

DAVID
LINDSEY

BEZ 
ROZGŁOSU



REBIS

Titus Cain ma kochającą żonę, wiernych przyjaciół, świetnie prosperującą firmę, piękny dom i dziesiątki milionów innych powodów, żeby cieszyć się życiem. Któregoś dnia jednak w tę siankę wkracza niejaki Cayetano Luquin, który informuje Caina, że... pozwoli mu to wszystko zachować. Nie za darmo, rzecz jasna, i niezapewne wszystkich przyjaciół. Ktoś będzie musiał umrzeć, aby Titus nie pomyślał, że Luquin bluffuje. Jeśli nie zapłaci, pójdzie z tym do władz albo piśnie komukolwiek choćby słówka, zginie wielu ludzi...

BEZ ROZGŁOSU

David Lindsey jest autorem kilkunastu cieszących się uznaniem książek sensacyjnych, w tym *A Cold Mind*, uważanej za klasyka gatunku i jedną z najlepszych powieści detektywistycznych lat 80. Jego książki zostały przetłumaczone na dwadzieścia języków (w Polsce ukazały się m.in. *Kolor nocy*, *Bez litości*, *Requiem dla przeklętych*), a prawa do sfilmowania *Bez rozgłosu* wykupił Universal.

Rodowity Teksaszyk, urodzony nad granicą meksykańską, od lat 70. mieszka z żoną w Austin.

„Najbardziej pomysłowy thriller ze wszystkich, które przeczytałem przez cały rok. Porywa cię i nie wypuszcza do samego końca”.

James Patterson



PATRON MEDIALNY



cena 29 zł

DAVID LINDSEY

BEZ ROZGŁOSU

Przekład

Jan Pyka



DOM WYDAWNICZY REBIS

Poznań 2004

Tytuł oryginału *The Rules of Silence*

Copyright © 2003 by David Lindsey.

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,

Poznań 2004

Redaktor

Grzegorz Dziamski

Opracowanie graficzne serii, projekt okładki i ilustracja

Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce Getty Images/Flash Press Media

Wydanie I

ISBN 83-7301-483-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp, z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49,

60-171 Poznań

tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Druk i oprawa: ABEDIK Poznań

*Dla Joyce,
która jest moim stałym schronieniem
przed rodzącymi się w samotności burzami wyobraźni*

PODZIĘKOWANIA

Chociaż to autor jest odpowiedzialny za swoje dzieło, przekształcenie wyobrażeń powieściopisarza w książkę i dostarczenie jej czytelnikowi wymaga sporego wysiłku od wielu ludzi, których można nazwać akuszerkami. Pragnę podziękować tym osobom, które czuwały nade mną, i moją powieścią, podczas skomplikowanego procesu wydawniczego.

Na czele tych, którym jestem winny wdzięczność, znajduje się Aaron Priest. Poznałem go w roku 1975, kiedy przyjechałem w interesach do Nowego Jorku, a on właśnie rozpoczął działalność jako agent literacki w swoim małym biurze na East Fortieth Street. Wtedy jednak jeszcze nie pisałem i musiało upłynąć siedem lat, zanim sprzedał dwie moje powieści, zapoczątkowując naszą współpracę, która trwa już dwadzieścia lat i obrodziła dwunastoma książkami.

Mozolne zabiegi agenta literackiego to jakaś tajemnicza alchemia. Łączy on w niemożliwy do pojęcia sposób słowa i dolary w nadziei, że dla wspólnego dobra wszystkich zainteresowanych uda mu się wykuć kolejną pisarską karierę. To zagadkowa profesja wymagająca panowania nad wielce złożonymi stosunkami między autorem, wydawcą i czytelnikami.

Aaronie, miałem wielkie szczęście, że dwadzieścia siedem lat temu przypadek zaprowadził mnie do twojego biura. Ze wszystkich oczywistych korzyści, jakie odniosłem z tego spotkania, jedna przewyższa pozostałe: umożliwiłeś mi zdobycie zawodu, który wykonuję, ciesząc się zażyłą bliskością z językiem angielskim. Wciąż uważam to za coś niezwykłego. Jestem ci niezmiernie wdzięczny, że obdarzyłeś mnie tym przywilejem.

Ponadto przez te lata staliśmy się przyjaciółmi na dobre

i złe, mimo że Teksas od Manhattanu dzieli spora odległość.
Mil gracias, mi amigo.

W pracy nad tymi dwunastoma powieściami pomagali mi prawie wszyscy z biura Aarona. Dziękuję Molly Friedrich za jej ingerencje, kiedy było to bardzo potrzebne; Lucy Childs, która zgłasza swoje wątpliwości z dobronudszą pewnością siebie; Frances Jalet-Miller, której szczególnego podejścia i talentu nie sposób zapomnieć; i Lisie Erbach-Vance, najbardziej operatywnej, najmniej poddającej się zniechęceniu i najuprzejmiejszej ze wszystkich osób, z którymi dane mi było w życiu pracować.

Dziękuję także Larry'emu Kirshbaumowi i Maureen Mahoń Egen, którzy trzy powieści temu wprowadzili mnie do Warner Books. Obdarzenie pisarza zaufaniem, a potem trwanie przy nim przez wszystkie wzloty i upadki jego kariery nie jest małą sprawą. Zaangażowania, jakiego to wymaga, nie mogłem przeoczyć i nie przeoczyłem.

Dziękuję Jamiemu Raabowi za cierpliwość w sprawie propozycji, terminów i za redakcję, oraz Harvey-Jane Kowal i Sonie Vogel za to, że potrafiły ogarnąć morze szczegółów, które muszą się zająbiać na kilkuset stronach książki.

Szczególne wyrazy wdzięczności należą się redaktor Jessice Papin, która w pierwszym szkicu tej książki nieustępliwie poszukiwała lepszej powieści. Dzięki, Jessica, za wnikliwe wskazówki, których mi nie szczędziłaś.

ROZDZIAŁ 1

Benny Chalmers wyrzął przez otwarte okno pikapa. Miał na sobie poplamioną i przeпоconą koszulę khaki z długimi rękawami, brudne džinsy oraz zdarte kowbojskie buty, których cholewy sięgały mu prawie do kolan. Po czterdziestu jeden latach pod palącym słońcem pogranicza jego twarz była ogorzała, tylko czoło, stale osłaniane przez rondo stetsona, miał trupioblade.

Dochodziła szesnasta trzydzieści. Pikap stał w samym środku surowego, dzikiego terytorium o powierzchni dwudziestu jeden milionów akrów, ekologom znanego jako równiny południowego Teksasu, a wszystkim innym jako Krzacasta Kraina. W promieniu pięćdziesięciu mil można się było natknąć jedynie na kilka samotnych rancz. A zaledwie dwieście jardów dalej zaczynał się Meksyk. Słońce było oślepiająco białe. We wszystkich kierunkach jak okiem sięgnąć ciągnęła się bezkresna, spieczona kraina wysokich na człowieka zarośli akacji poprzeplatanych kolczastymi opuncjami i krzewami mesquite.

Chalmers obserwował, jak *vaqueros* zaganiają stado bydła do jego ciężarówki. Właściciel pikapa, w którym siedział, wynajął go do przewiezienia tych zwierząt na inne ranczo, pod Banderą, dwieście mil na północ. Bydło trzymano w rozległym labiryncie zagród z zardzewiałych rur pozostałych po wierceniach naftowych. Od wejścia do jednej z tych zagród do potężnej, dwunastokołowej naczepy firmy Wilson biegła długa rampa z żelaza i drewna.

Pięćdziesiąt jardów na lewo od Chalmersa w kłębach kurzu wylądował helikopter. Z maszyny wysiadło trzech uzbrojonych mężczyzn w znajomych zielonych mundurach Straży Granicznej Stanów Zjednoczonych. Chcieli się przyjrzeć ładującym bydło *vaqueros* i wielkiej ciężarówce Chalmersa.

- Niech to diabli - mruknął Chalmers i zmrużywszy oczy,

popatrzył na słońce. Bydło ryczało i kołysało ogromną naczepą, wchodząc po rampie do jej przepastnego wnętrza. Zwierzęta trzymane jeszcze w zagrodzie kłębiły się, wznosząc tumany kurzu, który wisiał ciężko nad całą sceną niczym rdzawa mgła.

Chalmers woził bydło dla pogranicznych hodowców od dwudziestu jeden lat. Znał więcej bocznych dróg między odległymi ranchami w pasie od El Paso do Brownsville niż ktokolwiek inny. Wiedział też o ukrytych lądowiskach i wzmożonej, z powodu wzrostu przemytu ludzi oraz narkotyków, aktywności patroli granicznych. Wiedział również, że zawęży to jego możliwości działania.

Obserwował trzech pograniczników, którzy stanęli z tyłu naczepy i patrzyli przez okulary przeciw słoneczne w trzech różnych kierunkach. Rozmawiali ze sobą, nie spoglądając na siebie, a kurz wzbijany przez bydło opadał na nich, przywierając do plam potu, wyraźnie widocznych na ich ciemnych mundurach.

Potem strażnicy zniknęli za naczepą, a kiedy przeszli sześćdziesiąt pięć stóp i wyłonili się zza szoferki czerwonego ciągnika siodłowego, popatrzyli w stronę Chalmersa i pomachali do niego. Odpowiedział im tym samym, wystawiając mięsistą rękę przez okno pikapa.

- *Adios*, chłopcy - powiedział pod nosem i odwróciwszy głowę, zaczął znowu patrzeć przez szybę na rdzawą mgłę, bydło i *vaqueros*. Odprężył się jednak, dopiero gdy usłyszał niski, powoli narastający wizg uruchamianego silnika helikoptera, który gotował się do startu.

Otarł czoło mankietem koszuli.

Chalmers szmugłował ludzi. Żeby zmylić nosy psów Straży Granicznej, w zaokrąglonym dachu swojej naczepy zrobił dwie skrytki, dokładnie w środku, nad stłoczonym stadem cuchnącego, wypróżniającego się bydła. Skrytki miały po dwadzieścia dwa cale wysokości (trochę więcej niż leżący na plecach człowiek), siedemdziesiąt dwa długości i dwadzieścia cztery szerokości. Z klimatyzatora szoferki docierało do nich rurkami chłodne powietrze, a umieszczone w środku długie zbiorniki z węzami zapewniały wodę. Człowiek mógł przeżyć w takiej skrytce trzy dni, i to we względnej wygodzie.

Tylko dwoje ludzi naraz. Dostawa gwarantowana. Ale opłata była wysoka. I Chalmers cholernie dobrze wiedział, co to znaczy. Na tego, kto przychodził do niego, gotowy zapłacić tę cenę, czekało w Stanach coś więcej niż praca na farmie czy sprzątanie ze stołów w lokalu jakiejś sieci fast foodów. Benny szmuglował elitę.

I kręciło się to świetnie. Przez sześć miesięcy zarobił siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Gotówką.

Do zmierzchu Chalmers odważył z ranczerem papierkową robotę na służącej im za biurko masce pikapa. Uścisnęli sobie dłonie, po czym Benny powiedział, że zanim ruszy w drogę, jeszcze coś przekąsi w ciężarówce. Oparty o przód ciągnika, patrzył, jak ranczer i jego *vaqueros* odjeżdżają w swych pikapach ciągnących przyczepy z końmi.

Pół godziny później Chalmers stał na skraju zarośli, prowadząc po hiszpańsku poważną rozmowę z czterema meksykańskimi kojotami. Jego ciężarówka powarkiwała za nim na wolnym biegu, a jej bursztynowe światelka jarzyły się w gasnącym świetle dnia niczym rozżarzone węgle. Po bezkresnej, tonącej w mroku krainie pustynnych krzewów niesło się poszczekiwanie i skowyt prawdziwych kojotów.

Kojoty, z którymi rozmawiał Chalmers, byli to bezduszni ludzie posiadający więcej pieniędzy niż rząd Stanów Zjednoczonych przekazywał na swoje organy ścigania. Kupowali najlepsze elektroniczne urządzenia zabezpieczające i komunikacyjne, jakie produkowano, i oto byli tu, żeby zrobić z nich użytek - banda żalonych meksykańskich przemysłowców w słuchawkach z mikrofonami, wyglądających na jakichś cholernych gówniarzy śpiewających w MTV.

Chalmers pocił się ze zdenerwowania, żałując, że zgodził się na ten kurs. Powinien się wycofać już po poprzednim.

Gówniarz, który najwyraźniej był tu szefem, powiedział coś cicho do mikrofonu na cienkim pałaku zagiętym ku ustom, po czym wszyscy odwrócili się i popatrzyli na południe, w kierunku rzeki i Meksyku. Cisza. Upłynęła minuta. Dwie. Trzy. Pięć. I wtedy zobaczyli charakterystyczne niebieskie światło helikoptera, jeszcze zanim go usłyszeli. Dźwięk jego wytłumionego silnika nie był głośniejszy od cichego pokasływania w oddali.

Chalmers poczuł nagle, że budzi się w nim szacunek. Widział dotąd tę maszynę tylko raz, ale sporo o niej słyszał. Mógł zażądać dwa razy więcej. Jezu.

Czarny helikopter zwolnił nad rzeką i wylądował na piaszczystej łasze. Nie minęła minuta, gdy wzniósł się w powietrze i pomknął w ciemność. Czekali. Wkrótce z zarośli, niczym cienie odrywające się od mroku, wyłoniła się grupka mężczyzn.

Było ich pięciu, dwóch miało na głowach czarne kaptury bez żadnych otworów. Zamaskowani mężczyźni byli ubrani lepiej od pozostałych i porozumiewali się tylko na migi. Najwyraźniej dobrze widzieli przez dziwnie połyskliwy materiał. Lepiej zbudowany niósł tanią plastikową torbę, w której było kilka owoców mango i pomarańczy.

Któryś z trzech niezamaskowanych, zapewne eskortujących tę dwójkę, porozmawiał z dupkami z MTV, a potem jeden z tych gówniarzy odwrócił się do Chalmersa i odezwał się do niego, posługując się doskonałym angielskim.

- W porządku, cześć pracy - powiedział, myśląc zapewne, że brzmi to dowcipnie - my na tym kończymy. Nie mamy nic wspólnego z drugim końcem.

Chalmers skinął głową, a dzieciak podał mu grubą kopertę. Benny spokojnie wyjął z kieszeni małą latarkę i zaczął liczyć. Nie obchodziło go, ilu ludzi stoi obok, czekając, aż skończy. To, co teraz robił, było sednem tego wszystkiego. Dbał o swój interes.

Była tam cała suma. Uniósł głowę i rzucił:

- W porządku.

- Załadujmy tych facetów - powiedział dzieciak.

Dwaj zamaskowani mężczyźni wspięli się po bocznej ścianie naczepy dla bydła i wczłgali się, nogami naprzód, do ciasnych skrytek na dachu. Nie powiedzieli ani słowa. Gdy już znaleźli się w środku, Chalmers, stojąc na poprzeczkach na zewnątrz naczepy, zaczął im tłumaczyć po hiszpańsku, jak posługiwać się przewodami doprowadzającymi chłodne powietrze i węzami od wody.

Kiedy Chalmers dostarczył stado do innego zespołu zagród na Branden Ranch, leżącym na południowy zachód od Bandery, dochodziło pół do trzeciej w nocy. Był w Texas

Hill Country, krainie falistych wzgórz porośniętych dębami i górskim jałowcem. Rzeka Medina była tak blisko, że czuło się jej zapach w powietrzu.

Przed świtem Chalmers powiedział ranczerowi, że zanim odjedzie, musi trochę posprzątać w naczepie, i pożegnał się z nim. Przez jakiś czas obserwował światła reflektorów ostatniej z furgonetek pnących się twardą drogą gruntową, która wiodła z tej płytkiej doliny, po czym odwrócił się, chwycił za poprzeczkę naczepy, podciągnął swoje ciężkie ciało i wdrapał się na górę. Małym kluczem odkręcił dwie śruby i podniósł płytę zakrywającą dwie skrytki.

- *Está bien* - powiedział i zszedł po poprzeczkach.

W rzadziejącym mroku przyglądał się z ziemi, jak pierwszy mężczyzna wydostaje się z schowka. Był bez kaptura, co natychmiast zaniepokoiło Chalmersa. Gdy ten pierwszy pomagał drugiemu - także już niezamaskowanemu - zejść z naczepy, Chalmers zauważył, że jest on wyraźnie młodszy i lepiej zbudowany od swego towarzysza. Ochroniarz.

Obaj byli zeszywniali i poruszali się powoli, ale w końcu zeszli. Chociaż było jeszcze ciemno, Chalmers nie odrywał oczu od ziemi. Ochroniarz wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do kogoś. Starszy mężczyzna odszedł kilka kroków na bok, rozpiął rozprek i stojąc do nich plecami, wysikał się w ciemność.

Chalmers ostentacyjnie porządkował coś z tyłu ciężarówki, ale przez cały czas nieufnie obserwował ręce młodszego z „pasażerów”. Wiedział, że teraz nie jest już im potrzebny. Kiedy mężczyzna skończył rozmowę, podszedł do Benny'ego.

- Gdzie jest droga? - zapytał po angielsku.

- Prosto za tobą - odparł Chalmers i wciąż odwracając wzrok, wskazał głową w stronę biegnącej między krzewami drogi gruntowej. W tym samym kierunku była ustawiona jego ciężarówka.

- W porządku - powiedział mężczyzna. W jego głosie słychać było po części podziękowanie, a po części pożegnanie. - Oczekaj tu pół godziny - dodał, po czym odwrócił się i ruszył ku swojemu towarzyszowi, który chodził tam i z powrotem.

Wymienili kilka słów, a potem, nie oglądając się, odeszli w kobaltową ciemność, ku jedynej drodze prowadzącej z doliny.

Chalmers powoli zbliżył się do skrzyni z narzędziami, która była zamontowana pod schodkami szoferki, i wyjął z niej lornetkę noktowizyjną. Odszedł od wozu, usiadł na ziemi i podciągnawszy nogi, oparł łokcie na kolanach. Przytknął lornetkę do oczu i odnalazł obu mężczyzn. Widoczni w podczerwieni zdawali się skąpani w lekko rozmytym zielonym świetle. Ciągle szli razem. Nie oglądali się za siebie.

Zorientował się na milisekundę, zanim poczuł zimny, gruby cylinder przyciśnięty mocno do prawego ucha. Już wiedział. Miał wrażenie, że stracił całą wagę, że jego ciężkie, zmęczone ciało wolno lewituje, po czym zatrzymuje się kilka cali nad ziemią, a zimny cylinder wciskający się w ucho nie pozwala mu się przechylić. Wciąż patrzył na dwóch mężczyzn odchodzących w zielony świat, kiedy rozerwało mu głowę.

ROZDZIAŁ 2

Lincoln navigator wspiął się po drodze gruntowej i wyjechał na drugą, równiejszą i zdecydowanie lepiej utwardzoną. Terenowy samochód skręcił w prawo i szybko przyspieszył. Wzbity przez niego kurz kłębił się w bezchmurnej ciemności, unosząc się coraz wyżej, aż pochwycił go blask księżyca, zamieniając w srebrzysty pióropusz, który wisiał przez chwilę na nocnym niebie i powoli zaczął opadać.

Kiedy navigator dotarł do szerokiej asfaltowej szosy, skręcił w lewo, na zachód. Człowiek zajmujący miejsce obok kierowcy podał dwie papierowe torby z hamburgerami siedzącym za nim mężczyznom, którzy przez ostatnie dwanaście godzin nie jedli nic oprócz kilku owoców mango i pomarańczy.

Samochód jechał przez Hill Country pofałdowaną, krętą szosą, a dwaj mężczyźni na tylnych siedzeniach jedli,

obserwując wylaniające się z mroku światła innych samochodów. Wszyscy słuchali prowadzonych po hiszpańsku zwięzłych rozmów radiowych, które dobiegały ze skomplikowanej aparatury zamontowanej pod deską rozdzielczą i między przednimi fotelami. Cała ta przestrzeń była tak upakowana elektroniką, że przypominała kokpit samolotu.

Wyposażony w słuchawki z mikrofonem pasażer z przodu od czasu do czasu rzeczowo, beznamiętnie wypowiadał słowo lub dwa po hiszpańsku, często przy tym zmieniając częstotliwości. Na komputerowym ekranie o niezwykle dużej rozdzielczości widać było mapę, w której górnym prawym rogu znajdował się stały czerwony punkt. Pozycję naviga tora ukazywał w dolnym lewym rogu punkt pulsujący zielonym światłem, który poruszał się nieregularnymi zygzakami w kierunku górnego prawego rogu.

Skreśli na północ.

- A co z tamtymi facetami? - zapytał po angielsku starszy mężczyzna, nawiązując do czegoś, co usłyszał przez radio. Chciał teraz rozmawiać w tym języku. Całkowicie się na niego przestawić. Wciąż miał zeszywniały kark i czuł smród krowiego łajna, którym przesiąkło jego ubranie. Nie zwykł podróżować pod dachem przyczepy na bydło.

- Są już na miejscu, obaj.
- Sprawdziłeś, czy wiedzą, jak to zrobić?
- Wiele razy.

Starszy mężczyzna westchnął z odrazą i włożył do torebki resztkę bułki. Cholerny hamburger. Będzie mu leżał na żołądku jak kamień. Wytarł usta papierową serwetką i rzucił torebkę na podłogę. Pieprzone, głupie amerykańskie hamburgery.

- A ta druga dwójka?
- To samo.
- To samo co? - warknął.
- Są gotowi. Też wiedzą, co robić. Mają dobry plan.

Czekają na twój sygnał.

Woskowy księżyc, który zdawał się sunąć wraz z nimi, oświetlał okolicę. Po obu stronach drogi całymi milami ciągnęły się wzgórza rozmiarów piramid, wypiętrzonych i

zamaskowanych przez czas. Od czasu do czasu rozsuwały się, dając początek dolinie, i w blasku księżyca otwierał się widok na pola uprawne lub łąki. Tu i tam, w dali, niczym rozżarzone węgielki, jaśniały okna samotnych rancz.

- Przygotowując coś takiego po tej stronie - podjął starszy mężczyzna, wyglądając przez okno - nie możemy niczego zaniedbać. Tym razem nie ma czegoś takiego jak nadmierna ostrożność czy zbyt drobiazgowo planowanie.

Pozostali słuchali go z uwagą. Już byli zdenerwowani. Tym razem stawka była wyższa niż kiedykolwiek przedtem, a każdy z nich wiedział, że gdy stawka jest wysoka, ten człowiek z tylnego siedzenia łatwo wpada w szał i jest wtedy bardzo niebezpieczny. Planowali to od dawna i teraz, kiedy przyjechała ciężarówka z bydłem, nie było już odwrotu.

Navigator znowu skręcił na zachód.

Starszemu mężczyźnie podobała się intensywność kontaktów radiowych. Oznaczało to, że jego ludzie doglądają interesu. Zawsze jest coś, co należy sprawdzić jeszcze raz. Zawsze jest jakieś drobne, kłopotliwe niedopatrzenie, które należy wyeliminować. Rozparł się wygodnie w fotelu.

- Ten facet będzie myślał, że sam diabeł chwycił go za *huevos* - powiedział. - Pożałuje, że matka go nie udusiła, gdy się urodził, kiedy był jeszcze między jej nogami.

WTOREK
DZIEŃ PIERWSZY

ROZDZIAŁ 3

Titus Cain i Charlie Thrush byli w drugiej połowie jednomyślniejszej ścieżki do biegów, kiedy postanowili sobie odpocząć i przejść resztę drogi. Zrobili już ponad trzy i pół okrążenia, a temperatura przekroczyła trzydzieści dziewięć stopni Celsjusza. Była szesnasta piętnaście.

Zwolnili do marszu. Lał się z nich pot, znacząc ciemnymi plamami ich popielate T-shirty i szorty. Po chwili weszli między umieszczone na wysokości głowy zraszacze, które Titus kazał zainstalować co pięćdziesiąt jardów po obu stronach żuźlowej ścieżki. Na kilkuset końcowych jardach trasy wytwarzały one chmurę wilgoci o średnicy ponad dziesięciu stóp.

Charlie, wysoki, chudy mężczyzna tuż po sześćdziesiątce, zawrócił, cofnął się do zraszacza i stanął w wodnej mgiełce.

- Do diabła, to mi ratuje życie - wysapał. Pochylił się i oparłszy ręce na kolanach, łapał z trudem oddech, podczas gdy na jego siwych włosach osiadały drobne kropelki.

Titus, który też ciężko dyszał, przeszedł dwukrotnie między zraszaczami.

- Powinniśmy iść na basen - powiedział. - To istna katorga.

CaiText zatrudniał prawie dwustu ludzi, którym Titus, dbając o zdrowe środowisko pracy, dał możliwość uprawiania biegów, pływania czy gry w piłkę ręczną na dwudziesto-sześćcioakrowym terenie zakładu. W przybliżeniu owalna żuźlowa ścieżka do biegów wiała się między dębami, wierzbami i górskimi wawrzynami lasów Hill Country. Była wybornie usytuowana, na szczycie wzgórza, z szerokim widokiem na doliny, za którymi dalej, na zachodzie, wyrastały następne wzgórza.

- Starzejemy się - powiedział z uśmiechem Charlie, prostując się.

- My?

Titus znał Charliego od czasu studiów w Stanford, kiedy CaiText był tylko marzeniem kiełkującym w jego głowie. Charlie, inżynier elektryk i programista komputerowy, zajmował się wtedy mikroinżynierią. Prowadził pionierskie badania nad sterowanymi komputerowo laserami chirurgicznymi i później opatentował parę rozwiązań z tej

dziedziny. Po latach te patenty uczyniły go niezmiernie bogatym.

Ich przyjaźń przetrwała próbę czasu i Charlie oraz jego żona, Louise, regularnie odwiedzali Titusa i jego żonę, Ritę, w Austin. Chociaż obie kobiety dzieliło prawie dwadzieścia lat, młodzieńczo impulsywna i żywiołowo ciekawa życia Louise świetnie się dopełniała z rozsądną i zrównoważoną Ritą. Stały się dobrymi przyjaciółkami w chwili, gdy się poznały.

Podczas tych wizyt w Austin Charlie i Louise zakochali się w Texas Hill Country i w końcu kupili czterystuakrowe ranczo na południe od Fredericksburga, niecałą godzinę jazdy od miasta. Zbudowali tam dom, w którym chcieli doczekać starości, i odtąd obie pary często się spotykały. Teraz Rita i Louise były na trzytygodniowej wycieczce do Włoch.

Titus usłyszał za sobą chrzęst żużlu pod stopami samotnego biegacza i odwróciwszy się, zobaczył przysadzistego faceta z bujnymi czarnymi włosami i czerwoną jak burak twarzą, który właśnie zwolnił do szybkiego marszu i bezskutecznie próbował wytrzeć do sucha okulary bawełnianą koszulką.

- Cześć, Robert - powiedział Titus, kiedy tamten zbliżył się do niego. - Dasz radę dobiec do końca?

Facet pokręcił głową.

- Musi być ze czterdzieści parę stopni.

- To ta wilgotność - odparł Titus. - Nie forsuj się za bardzo. - Poklepał go po plecach, kiedy ich mijał. Facet wyszedł z mgielki i znowu nałożył okulary, ale nie podjął biegu, tylko dalej szedł w miarę szybkim krokiem. Titus odprowadził go wzrokiem.

- Poznałeś Bristera? - zapytał Charliego, wskazując głową młodego mężczyznę.

- Taa, jasne. W laboratorium.

Kiedy Charlie przyjeżdżał do miasta, często przesiadywał po kilka godzin w laboratorium badawczo-rozwojowym Ca-iTekstu, żeby zaspokoić ciekawość. Wśród miejscowych badaczy uchodził za wybitną osobistość i rozmowy z nim sprawiały im ogromną frajdę. Jego intelekt, nieuznający żadnych ograniczeń, był równie radykalny teraz jak wtedy, gdy Charlie był młody, i każdy pracownik laboratorium

okazywał temu błyskotliwemu ekscentrykowi podziw oraz sympatię.

Obaj mężczyźni wyszli spod zraszaczy i ruszyli w stronę przebieralni, trzymając się zacienionej strony toru.

- Życie tego biedaka to teraz istny horror - podjął Titus. - Jego żona ma raka mózgu. Z rodzaju tych, co rozwijają się powoli i odbierają życie milimetr po milimetrze, tak że wciąż oddychasz, ale udręka nie mija ani na sekundę. - Przerwał na chwilę. - Mówię ci, Charlie, coś takiego sprawia, że uświadamiasz sobie, jakie masz szczęście, i zaczynasz dziękować za to Bogu. Nie wyobrażam sobie, co bym zrobił...

- Taa, wiem - powiedział Charlie, ocierając dłonią spocną twarz. - Też o tym myślałem. Może nie dokładnie tak samo, ale to prawda, że obu nam się dobrze wiedzie. Nie każdy dostał taką szansę od losu.

- Nie każdy dostał kogoś takiego jak Louise, Charlie. Lub jak Rita. Poszczęściło nam się z tymi kobietami, o tym mówię.

Charlie nagle zaczął się śmiać, kręcąc głową.

- Dostałem wczoraj e-maila od Louise - powiedział. - Napisała, że wysłała do domu jakąś skrzynię, której nie wolno mi pod żadnym pozorem otwierać, dopóki ona nie wróci. Jaka skrzynia? Co ona, kurczę, wykombinowała?

Śmiali się, mijając długi rząd altan, i wyszli na dziedzińiec przed klubem. W cieniu dębów, które porastały większość terenu firmy, siedzieli przy stoliczkach pracownicy CaiTekstu w strojach do pływania i biegania. Z każdego miejsca był widok na ciągnące się na zachodzie wzgórze.

Dzień dobry, panie Cain. Czy jest panu wystarczająco ciepło, panie Cain? Kilka kobiet powitało go uśmiechami. Titus zatrzymał się, żeby zamienić z nimi parę słów, po czym ruszył z Charliem dalej, obok basenu, z którego niosły się echem głosy, do męskiej przebieralni.

Titus Cain był egalitarystą. Dzielił się wszystkim ze swoimi pracownikami. W firmie nie było żadnych wydzielonych pomieszczeń dla niego ani dla nikogo z dyrekcji. Jego szafka była jedną z setek takich samych w tej samej szatni, z której korzystali wszyscy. Pływał razem z innymi, biegał z innymi i pracował równie ciężko jak wszyscy inni.

Ale tak jak bywa z najpiękniejszą dziewczyną w szkole, wyróżniało go samo to, że był tym, kim był. Zresztą, kiedy człowiek wdrapie się tak wysoko, egalitaryzm mimo wszystko jest kwestią symboliczną. Nigdy już nie będziesz tak naprawdę kumplem mężczyzn i kobiet z dołu drabiny. Ale dla nich to w gruncie rzeczy nie miało znaczenia, przynajmniej jeśli chodziło o Titusa. Znaczenie miało natomiast to, że liczył się z ich uczuciami i nie obnosił się z tą swoją wyjątkowością.

Titus Cain miał o wiele więcej pieniędzy niż oni - wiele milionów razy więcej - i większość z nich zapewne zgodziła-by się, że jest od nich bystrzejszy - w tym szerokim sensie, który los zdaje się nagradzać - ale nie zachowywał się tak, jakby wierzył, że z tego powodu jest kimś lepszym. I za to go lubili oraz szanowali.

Obaj mężczyźni weszli do szatni, zrzucili przepocone stroje, wzięli prysznic i ubrali się. Kilka minut później byli już w podziemnym garażu CaiTekstu.

- Może jednak przenocujesz tu i wrócisz do domu jutro po południu? - powiedział Titus.

- Nie, powinienem wrócić jeszcze dziś - odparł Charlie, otwierając tylne drzwi swojego pathfindera. Wrzucił do środka brudny strój do biegania i dodał: - Muszę zrobić jeszcze parę rzeczy w domu, a jutro chcę ściąć stare, uschnięte drzewo, które stoi obok biura. Ciągle to odkładam. - Zatrzaskał tylne drzwi. - Ale dzięki za zaproszenie. Może skorzystam pod koniec tygodnia. Muszę tu znowu przyjechać, żeby załatwić w centrum pewne sprawy prawne.

- Zadzwoń do mnie - rzucił Titus. - I jedź ostrożnie.

Otworzył drzwi swojego range rover a i usiadł za kierownicą. Włączył silnik, żeby uruchomić klimatyzator, i wyjął telefon komórkowy.

Wyjeżdżając z garażu, czekał na jedyny głos na świecie, który naprawdę chciał usłyszeć.

ROZDZIAŁ 4

- Cześć, Titus - powiedziała. - Opowiedz mi, jaki miałeś dzień.

- Ty pierwsza. Na pewno bawisz się o wiele lepiej niż ja.

Usłyszał ziewnięcie. W Wenecji była druga w nocy, ale on się tym nie przejmował, a Rita nigdy nie narzekała. Nie przywiązywała wagi do drobiazgów.

- Cóż, rano popłynęliśmy na Burano, gdzie Louise wydała majątek na koronki, a potem wybrałyśmy się do Murano, gdzie ja wydałam bardzo umiarkowaną sumę na wspaniałe szkła. W południe ucieliśmy sobie drzemkę. Kolację, pyszną, zjadliśmy w La Caravella.

- Wygląda na to, że macie bardzo napięty plan - powiedział. Przejechał obok budek strażników, skręcił tuż za bramą i zatrzymał się na punkcie widokowym. Poniżej, w niewielkiej odległości, widać było rozłożone między wzgórzami Austin. Lśniło zachęcająco na końcu doliny. Kiedy spojrział w drugą stronę, zobaczył Hill Country, purpurowiejące w pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca.

- A jak tobie minął dzień? - zapytała.

- Interesy. Nic szczególnego. Charlie był w mieście. Zjadłem z nim lunch, po południu pobiegaliśmy, a potem pojechał do siebie. Właśnie wracam do domu.

- Widziałam w Internecie, że temperatury w ostatnim tygodniu sięgnęły nieba.

- Jest piekielnie gorąco. Nic nie zapowiada deszczu. Zaczynają się pożary.

- Lato.

- Tak, pszepani.

- Cóż, my bawimy się tu świetnie. Louise jest kochana i jak zwykle cudownie się z nią spędza czas. Wczoraj cały dzień fotografowała kolorowe ściany. Świetnie się bawiłam, przyglądając się jej. Jest ciekawa jak sroka, za każdym razem, gdy się obróci, znajduje coś pięknego do podziwiania, czasem dosłownie pod stopami.

- A ty się tylko za nią włóczyłaś.

- Wcale nie tylko. Nosilaam jej sprzęt, dbalaam, żeby nie zabraklo jej nowych filmow, a stare numerowalam i opatrywalam datami.

- A przede wszystkim dbalaas, żebyście się nie spoznyly na nastepny posiłek w miejscu, które już zdazylas wybrać.

- No jasne.

Titus rozezmial się.

- Znasz Louise - powiedziala Rita. - Przez cały dzien chodzi tam, gdzie ja nos prowadzi, a kiedy sobie uswiadomi, ze powinna cos zjesc, wpada do pierwszej knajpki z brzegu. Odkad pochorowalyśmy się wtedy w Barcelonie, przestalam jej ufac pod tym wzgledem. Zawsze wszystko najpierw sprawdzam.

- Nie moge sobie wyobrazic, żeby w przewodnikach opisywano knajpy w zaułkach, po których lubi myszkować Louise.

- Nic o nich nie ma, ale na kazda rzucam swoim pielęgniarskim okiem. Jeśli nie przejdzie lustracji, pod jakimś pretekstem prowadze Louise do lokalu, który wydaje się stanowic mniejsze zagrozenie dla naszych zoladkow.

- A ona się na to godzi?

- Tak. Wie, ze wiem, co robie. Bawia nas nasze dziwactwa. Tak się sklada, ze ja lubie te miejsca, po których ona się walasa, a ona lubi te, w których ja jadam.

Paplali tak jeszcze przez jakis czas i chociaz bardzo chcial przedluzyc rozmowe, czul wyrzuty sumienia, ze nie pozwala jej spac o tej porze. Po kilku minutach rozlaczyl się. Ale nie ruszyl zaraz w droge. Przez chwile patrzyl na lezace w dole miasto.

Kiedy przed kilkunastu laty Tim Berners-Lee opracowal jezyk HTML*, co doprowadzilo do powstania koncepcji Swiatowej Sieci, Titus Cain byl czlonkiem jednego z zespolow pracujacych dla CERN, ośrodka badan fizycznych z siedziba w Genewie. Chociaz to nowe osiagniecie dotyczylo dziedziny, która znajdowala się na obrzezu jego zainteresowan, szybciej niz inni dostrzegl glębokie konsekwencje tego, co się dzialo. Wrocił do domu i zalozył malutka firme tworzącą oprogramowanie dla wyspecjalizowanych komputerow, których uzywano w badaniach biomedycznych.

Wprowadził ją na rynek poprzez powstający właśnie Internet i kiedy Światowa Sieć była jeszcze na wczesnym etapie swych akademickich początków, Titus Cain miał już stały kontakt z laboratoriami badawczymi na wszystkich zaludnionych kontynentach, wyprzedzając inne firmy software'owe o lata świetlne. CaiText stał się głównym dostawcą oprogramowania dla ośrodków pracujących nad medycznymi zastosowaniami laserów.

* HTML. Hyper Text Markup Language, specjalny język programowania służący do opisu strony oraz odniesień z poszczególnych jej elementów do innych dokumentów. Język ten powstał na potrzeby internetowej usługi WWW (przyp. tłum.).

Rozwój firmy interesował Titusa bardziej niż tworzenie samego oprogramowania, szybko zatem porzucił naukę i skupił się na interesach. Jego życie toczyło się według typowego dla młodych przedsiębiorców schematu: jego praca stała się jego życiem towarzyskim, rozrywką i rodziną. Pewnego dnia obudził się i odkrył, że z powodu pracy nie ma nic z tych pozostałych rzeczy.

Zmusiwszy się, wziął dwumiesięczne wakacje, a trzy miesiące później wybrał się w jeszcze jedną dwumiesięczną podróż. Czas, który spędził oderwany od codziennego mły-
na, był dla niego objawieniem. Zaspokajał swoją ciekawość świata na różnych kontynentach, ale nie wiedzieć czemu był niespokojny i zniecierpliwiony.

Wszystko to zmieniło się w pewne parne popołudnie we wrześniu, kiedy to ponton grupy, z którą spływał przełosem Rio Grande, pokonał ostry zakręt w głębokim kanyonie Boquillas i wpadł na inny ponton. Wypadek był dosyć poważny. Przewodnik ze złamanym obojczykiem stracił przytomność, a dwoje rannych turystów leżało na łasze piasku. Większość członków grupy była oszołomiona wydarzeniami i zdawała się całkowicie zagubiona, ale tych kilkoro, którzy zdołali zapanować nad zdenerwowaniem, słuchało poleceń jednej osoby, wysokiej, spokojnej, ubłoconej blondynki, która ignorując swoją wykreconą w stawie rękę, opatrywała rannych.

W takiej to roli po raz pierwszy zobaczył Margaritę Street, dyplomowaną pielęgniarkę z Houston, która okazała się archetypem niezależnej teksaskiej dziewczyny.

Ta chwila zmieniła jego życie. Dzięki Bogu.

Po kwadransie jazdy dotarł do swej posiadłości, dziesięciu akrów lasu na wschodnich stokach wzgórz ciągnących się na zachód od rzeki. Otworzyła się przed nim brama z kutego żelaza i podjechał do domu, dwunastu tysięcy stóp kwadratowych miejscowego wapienia i włoskich płytek. Był duży i wygodny, miał szerokie werandy i ocieniało go przynajmniej pół tuzina odmian wysokich teksaskich dębów. Titus poświęcił dużo czasu, więcej, niżby się komukolwiek przyznał, na dopilnowanie, żeby jego dom nie wyglądał pretensjonalnie i magnacko. Wyglądał jak solidny dom z teksaskiego rancza i właśnie tak miało być.

Zaparkował pod orzesznikiem za domem, gdzie powitały go dwa brązowe psy. Były zadowolone z widoku pana, ale nie można powiedzieć, żeby okazywały jakąś niepohamowaną radość. Poglaskał je po łbach, poklepał mocno po barkach, po czym wyszedł przez szeroką wiatę na tylny trawnik.

Nagle zatęsknił do zapachu brzoskwiń i ruszył długą aleją górskich wawrzynów do małego sadu poniżej domu. Oba psy niespiesznie podążyły za nim, machając ogonami. Sezon na brzoskwinie dobiegał końca i były już całkowicie dojrzałe. Zerwał jedną dużą odmiany harvester i zaczął ją jeść, idąc ścieżką ku zboczowi wzgórz, gdzie kamieniarze budowali zbiornik na spływającą z budynków deszczówkę, która miała być wykorzystywana do nawadniania.

Kiedy wrócił do domu, było już prawie ciemno. Podczas gdy karmił oba psy, na całym terenie posiadłości zapaliły się lampy systemu bezpieczeństwa, oświetlając drogę na werandę.

Wszedł do kuchni, wyjął z lodówki piwo i popatrzył przez kuchenne okno na lampy oświetlające aleję, którą właśnie wrócił. W pewnej chwili wydało mu się, że na granicy cienia zauważył jakiś ruch. Prawdopodobnie kojoty. Cholera. Te przekłete zwierzaki są coraz odważniejsze, z roku na rok podchodzą coraz bliżej miasta. Ale dlaczego psy nie szczekają?

Wyszedł na rozległą werandę, która ciągnęła się wzdłuż tylnej ściany domu, i przygasił światła tak, że zaledwie się jarzyły. Usiadł przy jednym ze stołów z kutego żelaza i popatrzył na trawnik za werandą oraz na jaśminowe żywopłoty

opadające ku sadowi.

Wypił kilka łyków piwa, zanim sobie uświadomił, że coś jest nie tak. Fontanna na dziedzińcu była cicha. Mógłby przysiąc, że pluskała wodą, kiedy przechodził wcześniej obok niej, idąc z psami do sadu.

No i gdzie są psy? Powinny już tu być, drapać go, wachać jego buty i dobierać się do piwa, które trzymał w ręce. Czyżby w końcu pogoniły za kojotami? Jeśli tak, to dlaczego nie słyhać szczekania?

Miał w ustach kolejny łyk piwa, kiedy zauważył, że mrok na podwórzu zagęszcza się, że cienie nabierają konturów, zmieniają się w sylwetki mężczyzn, którzy powoli nadchodzą z trzech stron trawnika. Nie mógł przełknąć piwa. Serce zatrzepotało mu w piersiach i straciło rytm.

Mężczyźni zbliżyli się nieco, sprawiając takie wrażenie, jakby nie poruszali nogami, lecz jakimś magicznym sposobem przenosili się nad ziemią. Titus dostrzegł teraz, że mają broń, i gdy już myślał, że za chwilę zemdleje, jego serce znowu podjęło pracę, a on przełknął piwo.

ROZDZIAŁ 5

W tym momencie na wawrzynowej alei pojawił się czwarty mężczyzna, poruszający się z taką swobodą, jakby był tu częstym gościem. Po chwili wkroczył w krąg słabego światła padającego z werandy.

- Niech się pan nie boi, panie Cain - powiedział po angielsku z hiszpańskim akcentem - jest pan bezpieczny. Całkowicie bezpieczny. Wszystko jest w porządku.

Zatrzymał się przed werandą, jakby oczekiwał, że Titus go zachęci, aby na nią wszedł. Średniego wzrostu i wagi, z falistymi szpakowatymi włosami, miał może sześćdziesiąt cztery, sześćdziesiąt pięć lat. Wąski nos, wąska górna warga. Przystojny. Miał na sobie garnitur w gołęsim kolorze i białą koszulę w szerokie granatowe paski. Nosił się z angielska - bez krawata, kołnierzyk, w przeciwieństwie do marynarki, rozpięty.

- Przyszedłem złożyć panu wizytę, panie Cain, porozmawiać o sprawach, które leżą w naszym wspólnym interesie.

Titus kurczowo chwycił się myśli chaotycznie przelatujących mu przez głowę, próbując znaleźć w tym jakiś sens. Jego system alarmowy należał do najlepszych. A zatem ci ludzie musieli być bardzo dobrzy. Fontanna była podłączona do tego samego obwodu. Miał nadzieję, że nie zabili psów.

- Chciałbym usiąść z panem - kontynuował mężczyzna, wskazując jedno z żelaznych krzeseł, jakby prosił o pozwolenie.

Titus nie mógł wykrztusić słowa ani nawet skinąć głową.

Mężczyzna wszedł na werandę i zbliżył się do niego z miną wyrażającą życzliwość. Przyglądając się z uwagą Titusowi, jakby próbował ocenić jego stan, wysunął spod stołu jedno z krzeseł i usiadł. Jego garnitur był z jedwabiu. Najlepszego gatunku. Francuskie spinki do mankietów, błysk eleganckiej złotej bransolety na prawym nadgarstku. Złoty pierścionek z granatem.

Powoli, jakby demonstrując, że nie kryje w rękawie żadnych niespodzianek, sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął paczkę papierosów. Nie poczęstował Titusa, który po prostu wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany. Mężczyzna wyjął jednego dla siebie, zapalił go i położył paczkę wraz z zapalniczką na stole.

- Nazywam się Alvaro - powiedział i zaciągnął się dymem. - To, co mam panu do powiedzenia, będzie wymagało dość długiego wyjaśnienia, ale obawiam się, że od tej chwili musi pan, panie Cain, uważać się za *secuestrado*.

Titus otworzył usta ze zdumienia.

- Tak, za porwanego - potwierdził Alvaro.

Reszta mężczyzn pozostała na tonącym w ciemności trawniku. Titus słyszał teraz kojoty, wyjące po drugiej stronie doliny, poniżej bursztynowych świateł domów skupionych pod grzbietami kolejnego pasma wzgórz.

Alvaro ponownie się zaciągnął, zaciskając przy tym zęby, jakby w smaku papierosa było coś cierpkiego, ale smakowitego, po czym otworzył usta, żeby wydmuchnąć dym.

- Po pierwsze - zaczął - muszę dać panu kilka chwil na to, aby pan się opanował i zrozumiał, że ta sytuacja jest

rzeczywista. Przez pół godziny będę panu wyjaśniał, jak zmieniło się pańskie życie. *Bueno?*

Titusowi dzwoniło w uszach. Paliła go twarz i czuł lekkie zawroty głowy.

- Jak pan zapewne wie - ciągnął Alvaro - tego rodzaju przedsięwzięcia są częste w Ameryce Łacińskiej. W przeszłości był to bardzo topornie prowadzony interes i wciąż jest, w większości wypadków. Niepotrzebne komplikacje dla każdego. Idioci w górach przetrzymujący zakładników w okropnych warunkach. Głupki z londyńskich, paryskich czy waszyngtońskich firm zajmujących się uwalnianiem porwanych, negocjujący z idiotami z gór w imieniu jakiegoś spoconego ze strachu pachółka wielkiej korporacji zamartwiającego się tym, o ile po tym wszystkim wzrośnie cena polisy ubezpieczeniowej jego pracodawcy. Szalone żądania zbijane do idiotycznie małych sum. Debilna policja.

Titus osłupiał. Ten facet nie mógł mówić serio. To było jak jedna z tych sztuk teatralnych, na które wyciągała go Rita, kiedy aktorzy wychodzą spośród publiczności, żeby wziąć udział w przedstawieniu. Zawsze budziło to w nim niepokój.

Alvaro położył prawe przedramię na oparciu krzesła. Papieros tkwił głęboko między jego pierwszym i drugim palcem, a w spojrzeniu, którym intruz mierzył Titusa, pojawiło się leniwe rozbawienie.

- Może pan o tym wszystkim zapomnieć - podjął, lekceważąco machając ręką. - Jak pan zobaczy, to coś zupełnie odmiennego. Po pierwsze, dzieje się to tutaj, w Stanach, a nie w Ameryce Łacińskiej. Po drugie, nigdzie pana nie zabierzemy. Nie. Może pan normalnie żyć, jak pan zechce. Po trzecie, żadnych negocjacji. Żadnych targów. Po czwarte, żadnej policji, żadnych władz federalnych, żadnych pośredników, żadnych speców od dogadywania się. Nikt nigdy się nawet nie dowie, że to się zdarzyło.

Poziom adrenaliny Titusa był tak wysoki, że znacznie zwiększył jego percepcję. Lepkie plaśnięcia flegmy w gardle Alvara, kiedy wymawiał pewne słowa, brzmiały tak głośno, że aż rozpraszały. I chociaż światło na werandzie było jedynie poświata, widział siedzącego przed nim bandytę

wyraźnie jak w dzień. Jego sylwetka ostro odcinała się od zalegającej za nim ciemności, a twarz migotała jak hologram.

- Zadałem sobie dużo trudu, żeby dowiedzieć się o panu jak najwięcej - ciągnął Alvaro. Rozejrzał się dookoła i uniósł podbródek. - Ten dom, na przykład, jest mi tak dobrze znany jak mój własny. Potrafiłbym znaleźć po ciemku włącznik światła w każdym pokoju. Pańską firmę i jej historię znam na wylot. A pańską biografię lepiej niż własnego ojca.

Mówił ze spokojną pewnością siebie, monotonicznie, prawie nie podnosząc głosu.

Titus zapomniał o piwie, które wciąż trzymał w ręce. Był jak zauroczony. Niezdolny się poruszyć, czekał, aż wyłaniający się ze słów Alvara obraz przybierze konkretną postać. To było jak czekanie na własną śmierć, nadchodzącą długą drogą, widzianą najpierw jako mała plamka, która powoli rośnie, w miarę jak się niespiesznie zbliża. Widok okropny, ale fascynujący, taki, od którego nie można oderwać wzroku ani uciec.

- CaiText jest wart dwieście pięćdziesiąt sześć milionów dolarów, panie Cain - kontynuował Alvaro. - Chcę dostać równowartość jednej czwartej tej sumy.

W ciepłej bryzie letniej nocy Titus poczuł, że powoli ogarnia go chłód.

Alvaro czekał, najwyraźniej rozumiejąc, przez co przechodzi Titus.

- Dobrze się pan czuje, panie Cain? Mamy jeszcze do pokonania długą drogę.

Titus nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

- Najważniejsza w tych całych negocjacjach - podjął Alvaro - jest tajemnica. Chcę otrzymać te pieniądze w sposób całkowicie czysty i legalny. Nie bezpośrednio, oczywiście. Poprzez odpowiednie rozwiązania biznesowe.

Umysł Titusa uczeplił się słów „rozwiązania biznesowe”. To była jego rzeczywistość. Coś, z czym mógł się wziąć za bary. Coś, co rozumiał. Halucynacja zafalowała.

Zmaterializowane cienie przesuwały się od czasu do czasu w ciemności i poruszały się, nie wykonując żadnego ruchu. Raz były w jednym miejscu, a potem gdzie indziej. Ale były tam zawsze.

- Jakiego rodzaju biznesowe rozwiązania? - zdołał w końcu zapytać Titus. Negocjacje. Jakiś układ, coś, co wymagało, żeby się wziął w garść i okiełznał chaotyczne myśli.

- Mam kilka przedsiębiorstw, w które powinien pan zainwestować - odpowiedział Alvaro. - To zagraniczne przedsiębiorstwa. Stworzy się też panu okazje do zainwestowania w międzynarodowe fundusze charytatywne. Same dobre sprawy. Wszystkie te firmy to przykrywki, przez które te pieniądze zostaną wyprane i przekazane dalej, w nieznane panu miejsca.

Znowu zapalił papierosa, zacisnął zęby, rozchylił usta i pozwolił, żeby smród uchodził w powietrze. Titus odniósł wrażenie, że na obrzeżach obłok dymu ma odcień ochry. Sam odór nie miał źródła w papierosie, zdawał się raczej dochodzić z nozdrzy Alvara lub, dokładniej, gdzieś z jego wnętrza.

- Dlaczego ja?

- Och, jest wiele powodów, panie Cain, ale kilka oczywistych. Zarówno pan, jak i pańska firma nie rzucacie się w oczy. Stara się pan trzymać w cieniu. Pańska firma jest względnie mała, ale od ponad dziesięciu lat jest solidnym i zyskowym przedsiębiorstwem. I nie chciał pan jej wprowadzić na giełdę. Jest pan jej jedynym właścicielem. Caitext to pan. Nie odpowiada pan przed nikim, czego w zwykłych warunkach można tylko pozazdrościć.

Titus nie mógł się zmusić, żeby sformułować w głowie następne pytanie, ale nie mógł się też od niego opędzić. Wciąż i wciąż próbowało przyjąć kształt niczym jakiś zatruty załazek myśli czający się w zakamarkach jego umysłu.

- A dlaczego - usłyszał swój głos, czując, że ścisza mu się żołądek - miałbym to zrobić?

Alvaro leniwie zamknął oczy i skinąwszy głową, zaciągnął się swoim śmierdzącym papierosem.

- No tak, oczywiście - odparł. Popatrzył na Titusa, jakby go oceniał, jakby zastanawiał się, ile mu powiedzieć albo jak mu to powiedzieć. - W naszych negocjacjach będą krytyczne chwile, kiedy będę oczekiwał, że postąpi pan dokładnie według moich wskazówek. Przedstawię warunki, które pan

będzie musiał spełnić. Zachowanie tajemnicy. Dotrzymanie terminów. Dokładne wykonywanie moich poleceń. Wykonując te polecenia, nie będzie pan miał, jak to się mówi, pola manewru. - Przerwał, żeby Titus mógł to sobie przemyśleć. - Nie jestem cierpliwy - podjął po chwili. - Nigdy nie powiem: „Jeśli następnym razem nie wykona pan polecenia...” Nie. Otrzyma pan je tylko raz. A odpowiadając na pańskie pytanie, dlaczego miałby pan to zrobić... To bardzo proste. Zaczną umierać ludzie i będą umierać w tempie, które sam ustalę na podstawie tego, jak chętnie, moim zdaniem, będzie pan współpracował. A będą umierać do czasu, aż dostanę sześćdziesiąt cztery miliony dolarów.

ROZDZIAŁ 6

Titus powinien to przewidzieć, ale nie zrobił tego. Natychmiast wróciło poczucie, że cała ta sytuacja jest jakąś halucynacją. Kamienie, którymi wyłożona była weranda, uniosły się w powietrze i zaczęły dryfować nad jego głową, a fontanna na podwórzu zawisła do góry dnem na niebie, które rozciągało się przed nim jak czarna dolina bogato upstrzona roziskrzonymi kwiatami.

Jezu Chryste. Jezu. Chryste.

- Musimy przejść do następnej sprawy, panie Cain - odezwał się Alvaro.

Titus popatrzył na niego.

- Następnej?

- Tak. Rozumie pan, w jakim jest położeniu?

Rozumiał, co mówił ten facet, tak. Ale wciąż czekał, żeby to wszystko przestało wydawać się tak nierzeczywiste.

- Panie Cain, czy pan rozumie?

Titus postanowił spróbować. Zajmie się problemem tej... halucynacji i będzie się kierował logiką.

- Taa - odparł - rozumiem. - To po prostu nie mogła być prawda. - Kiedy... dowiem się więcej o tych „rozwiązaniach biznesowych”?

- Wkrótce.

- Nie chce pan wszystkiego naraz?

- Och, wziąłbym wszystko naraz, ale wiem przypadkiem, że nie może pan zorganizować tego tak szybko. Jednak pierwszą ratę chcę dostać od razu.

- Ile to ma być?

- Dam panu znać.

Titus szybko sprawdził w myślach stan swojego osobistego majątku. Ile ten maniak zażąda? Zaczął odzyskiwać panowanie nad sobą, jakby wracała mu przytomność.

- Moi doradcy finansowi dostaną apopleksji, jeśli zaczną szastać milionami. Nie będzie to miało dla nich żadnego sensu.

- Musi pan coś wymyślić, żeby nie budzić podejrzeń - odparł Alvaro. - Nie chcę, żeby ktokolwiek powziął jakiegokolwiek podejrzenie w związku z tym, co pan będzie robił. To by było nie do przyjęcia.

- O jakich przedsięwzięciach pan mówi?

- Och, najzroźniejszych. Przejdę do tego później. Najważniejsze jest, żeby, kiedy już wszystko zostanie powiedziane i zrobione, wyglądało to tak, jakby przeprowadził pan szereg operacji finansowych, które niestety przyniosły straty. Wszystko, co pan robi, musi prowadzić do powstania takiego wrażenia. Sposób, w jaki przeprowadzi pan te transakcje, wszystko.

- Podejmując takie decyzje, wyjdę na głupca - powiedział Titus.

- Mam ludzi, którzy będą z panem współpracować - odparł Alvaro - i postarają się, żeby to wyglądało jak najlepiej. - Umilkł na chwilę. - Ale w gruncie rzeczy jest mi zupełnie obojętne, w jakim świetle to pana postawi. Dopóki nie będzie to budziło podejrzeń. Musi pan to zrozumieć. To jest najważniejsze. Brakuje mi słów, żeby właściwie wyrazić, jak wielkie znaczenie ma ten warunek.

Umysł Titusa powoli oswajał się z rzeczywistością. Odurzenie wywołane szokiem ustępowało i dochodził do siebie, jakby budził się z narkotycznego zamroczenia. Strach jeszcze nie minął, wciąż był ogromny i wyciskał z niego pot, ale czuł też pierwsze drgnienia rodzącej się chęci oporu. Chociaż wciąż miał wrażenie, że zatacza się po jakimś

niespodziewanym ciosie, gdzieś w głębi jego serca kielkowało już ziarno gniewu.

- Jeśli chodzi o wasze organy ściągania - kontynuował Alvaro - to niech pan tego nie robi. To jest jak hazard. Jeśli ich pan powiadomi i zdoła to na jakiś czas przede mną ukryć, może rzeczywiście uda się panu ocalić pieniądze. Ale prędzej czy później dowiem się o tym i wtedy zapłaci pan za to utratą spokoju ducha do końca życia. Jeśli nie zdołam dostać pana, dostanę pańskich bliskich. Przyjaciół. Członków rodziny. Będzie pan odpowiedzialny za to, co spotka każdego, kogo pan dobrze zna.

Przerwał i pochylił głowę, jakby znużyły go wysiłki, żeby wypaść przekonująco.

- Panie Cain, niech pan mi wierzy, już to robiłem. Znam wszystkie sztuczki i wybiegi, których ludzie próbują. Wiem, że kiedy stąd dziś odejdę, zacznie pan planować, jak się z tego wyrwać, zachowując pieniądze i życie. Wiem, że pan to zrobi, ponieważ jest pan inteligentny. - Rozłożył ramiona i rozejrzał się dookoła. - Popatrzmy na to. W końcu ten majątek zgromadził pan dzięki swojej pomysłowości i sprytowi. Prawda? Kim zatem jestem, żeby tak przychodzić do pana i mówić panu: zrób to, zrób tamto, jakby był pan głupkiem, który nie potrafi nic wymyślić, żeby wyprowadzić mnie w pole? Prawda?

Ale... niech pan mnie posłucha, panie Cain - podjął po chwili, unosząc podbródek i z przesadną starannością wymawiając słowa. - Nie może pan tego zrobić. A jeśli pan spróbuje, stworzy pan pieprzonego potwora. Począwszy od tego wieczoru, pańskie życie zmieniło się tak zdecydowanie, jakby odkrył pan, że cierpi na straszną chorobę i nic nie może na to poradzić. Jedyne, co pan może zrobić w związku z tą sytuacją, to wykonywać wszystkie polecenia. Ocali pan w ten sposób życie wielu ludziom. - Pochylił głowę ku Titusowi i dodał: - A to niemało, czyż nie?

Titusowi znów odjęło mowę. Jak mógłby odpowiedzieć na to... szaleństwo? Nie zdołałby nawet sformułować pytania, które nie wydawałoby się surrealistyczne.

W pewnej chwili jego uwagę zwróciło czerwone światełko na trawniku. Zamrugało i zniknęło, a potem jedna z ciemnych plam odsunęła się od pozostałych i zatrzymała w

pewnej odległości od nich. Titus usłyszał, że tamten mężczyzna coś mówi. Głowa mu pękała. Wyciągnął rękę i postawił na żelaznym stole letnią już butelkę piwa.

- Samobójstwo - powiedział nagle.

- To zawsze jest jakieś rozwiązanie - odparł niewzruszony Alvaro. - Ale tak naprawdę nie chodzi mi wcale o pana. Chcę pieniędzy. Nie dbam o to, czy dostanę je od pana, czy od pańskiej żony. To dla mnie nieistotne. Ważne, żebym je dostał.

- Mógłbym je wszystkie przekazać pod zarząd powierniczy. Nie miałbym wtedy nad nimi żadnej kontroli.

- Panie Cain, proszę zrozumieć: jeśli nie dostanę pieniędzy, umrą ludzie. Nie ma znaczenia, jaki pan będzie pomysłowy albo jak pomysłowi mogą się okazać pańscy prawnicy. Wszystko, co pan zrobi, żeby przeszkodzić w przekazaniu mi sześćdziesięciu czterech milionów, spowoduje śmierć ludzi. Pójdzie pan do FBI, oni umrą. Znajdzie pan finansowy kruczek, żeby nie płacić, umrze ich jeszcze więcej. To bardzo proste.

- Ilu ludzi? - zapytał głupio Titus. Ale myślał tylko o jednej osobie. Rita. Jezu Chryste. W myślach zobaczył jej twarz. To było jakieś szaleństwo.

- A ilu ludzi pan zna? - zapytał Alvaro, nie pozostawiając wątpliwości, że pociągnie to wszystko dalej, niż Titus zdoła znieść.

- Cóż - podjął Alvaro, odwracając się na krześle, i nieznacznie skinął w stronę ciemności. - To w zasadzie wszystko na temat ogólnej sytuacji.

Titus usłyszał psy, a potem je zobaczył: człapały wawrzynową aleją z nosami przy ziemi, wciągając w nozdrza jakieś zapachy. Najwyraźniej tam, gdzie je trzymano, było im dobrze i teraz wbiegły radośnie na werandę, zmierzając prosto do niego.

Pochylił się nad nimi i poklepał je mocno, tak jak lubiły. Cieszył się, że je widzi. Były rzeczywistością: ci śliniacy się starzy przyjaciele byli rzeczywistością.

Kiedy jednak psy zwróciły się do Alvara, spodziewając się, że zostaną tak samo potraktowane, powstrzymał je groźnym burknięciem. Odsunęły się, rzucając mu spojrzenia wyrażające zdziwienie i nieufność, a potem stanęły,

przypatrując mu się ze zwisającymi nieruchomo ogonami.

W tej chwili Alvaro wykonał kolejny gest i Titus zobaczył błysk w ciemnościach, a potem usłyszał stłumione puf! puf! puf! puf! Głowa pierwszego psa odskoczyła do tyłu. Gwałtownie ugięły się pod nim łapy, a jego mózg zachlapał drzwi do domu. Drugi pies, trafiony w chwili, gdy się obracał, zachwiał się, jakby się o coś potknął. Pociski przeszły jego głowę pod innym kątem, co dało mu milisekundę życia więcej. Z jego gardła dobiegł stłumiony skowyt, tylne nogi załamały się, ale przednie jeszcze chwilę pozostały sztywne, jakby nie miał zaraz umrzeć, a łeb wyciągnął pod tak niewygodnym kątem tylko po to, żeby zachować równowagę. A potem padł.

Titus instynktownie zerwał się na nogi, co w jednej chwili ściągnęło na werandę trzech Latynosów w ciemnych ubraniach, niewysokich, z nowoczesną bronią automatyczną w rękach i ze słuchawkami na uszach.

Alvaro był tak spokojny, jakby to wszystko go nudziło. Podniósł rękę i dał Titusowi znak, żeby się od niego odsunął. Titus zrobił to z sercem łomoczącym w piersiach, przestraszony, wściekły i zaskoczony. Alvaro wstał i zbliżył się do swoich ludzi. Następnie podbródkiem wskazał

psy.

- Widzi pan, jakie to proste, panie Cain. - Wzruszył ramionami. - Przyjaciele. Krewni. Obcy. Przekazuję ich panu pod opiekę. Niech pan mi nie próbuje ich oddać. Dla mnie oni wszyscy są psami.

Odwrócił się i wkroczył w ciemność.

ROZDZIAŁ 7

Titus stał na werandzie, jakby właśnie wyszedł na nią z domu i zapomniał, po co to zrobił. Wpatrywał się w cichą fontannę na podwórzu i słuchał, jak z podjazdu przed domem zaczynają odjeżdżać samochody. Słyszał trzaskanie drzwi i cichnący, w miarę jak sunęły krętą drogą w dół wzgórza, warkot ich silników.

Odwrócił się i popatrzył na psy. Musiał pomyśleć. Musiał mieć jasny umysł. Musiał to wszystko dokładnie przemyśleć.

Podszedł do ciała pierwszego psa, ukląkł przy nim i wsunął pod nie ręce. Było ciepłe, bezwładne i zakrwawione. Titus starał się nie patrzeć na roztrzaskany łeb. Kiedy wziął psa na ręce, odniósł to osobliwe wrażenie, znane mu z czasów, gdy miał do czynienia z martwymi zwierzętami, że po śmierci ciała są znacznie cięższe niż za życia.

Poniósł psa przez trawnik, aleją obsadzoną górkami wawrzynami i dalej, w ciemność, szeroką, opadającą ścieżką, która prowadziła do sadu. Za sadem, gdzie jedynym oświetleniem była luna miasta wisząca nad wzgórzami, położył martwe zwierzę na płaskim kawałku ziemi porośniętej gęstą bermudzką trawą. Następnie wrócił po drugiego psa.

Kilofem i łopata, które przyniósł z terenu budowy zbiornika na deszczówkę, zaczął kopać w gliniastym podłożu. Wykopał dołu dość głębokiego, by zniechęcić kojoty oraz zdziczałe koty do grzebania w ziemi, zajęło mu prawie godzinę. Ułożył w nim oba psy, jednego na drugim, po czym zasypał dziurę.

Kiedy skończył, cały spływał potem, a jego ubranie, pokryte ziemią i krwią psów, było do wyrzucenia. Odniósł kilof i łopatę, po czym wrócił do domu i węzłem zmył z weraudy kałuże czerniejącej krwi.

Następnie przeszedł trawnikiem do otoczonego murem basenu. Za stojącym przy nim domkiem były prysznicze, przebieralnia i spory magazyn, w którym trzymali stoły, krzesła i inne rzeczy potrzebne do podejmowania gości. Pod przebieralniami ściągnął ubranie oraz powalane mokasy i wrzucił je do pojemników na śmieci. Podszedł nago do maszyny do lodu, która stała w kabinie plażowej obok basenu, napełnił plastikowe wiadro, po czym wrzucił lód do basenu. Powtarzał to do chwili, gdy maszyna była pusta. Wtedy wskoczył do wody. Przepłynął wolno basen cztery razy, próbując ochłonąć, odzyskać jasność myślenia.

Gdy wyszedł z wody usiadł w leżaku i zaczął rozważać sytuację. Początkowo nic nie przychodziło mu do głowy. Chciał tylko zadzwonić do Rity, usłyszeć jej głos. Ale to było wykluczone. Nie ufał sobie na tyle, by wierzyć, że zdoła ukryć swoje uczucia, a budzenie w niej podejrzeń - może nawet lęku - bez jakiegoś planu na podporządku byłoby po

prostu nieodpowiedzialne.

Jeśli uwierzy w groźby tego faceta, to nie będzie miał żadnej możliwości manewru. Żadnego wyjścia. Coś takiego było jednak dla Titusa czymś niewyobrażalnym. Zawsze jest jakieś wyjście, czyż nie?

W jaki sposób ten facet miałby się dowiedzieć, że on się z kimś skontaktował? Oczywiście, że ma jakiś zespół nadzorujący. Jak bardzo są skrupulatni? W domu muszą być pluskwy. Telefony też są pewnie na podsłuchu. I nie trzeba geniusza, żeby przechwycić rozmowy z telefonu komórkowego. Czy będą go także śledzić?

Ale poddanie się i zrezygnowanie z walki było wykluczone. Alvaro powiedział: „Jeśli powiadomi pan organy ścigania i zdoła to na jakiś czas przede mną ukryć...” Może zatem jego system inwigilacji nie jest tak niezawodny, jak chciał, żeby Titus myślał. Jasne, chciałby, aby Titus wierzył, że on, Alvaro, ma go w garści, że bez jego wiedzy Titusowi nie może się nawet zmienić tętno... co jednak, jeśli to nie jest prawda? Czy ma się po prostu poddać i we wszystko to uwierzyć? To jest jak hazard, powiedział Alvaro.

Titus wyprostował się gwałtownie na leżaku, przypomniawszy sobie tę uwagę. Tak, tam, gdzie jest hazard, istnieje również szansa wygranej, czyż nie?

Wstał. W głowie wciąż kłębiły mu się myśli. Żadnej policji. Żadnego FBI. Ale przypomniał sobie pewnego człowieka. Przed czterema laty jedna z jego pracownic została porwana z parkingu CaiTekstu. Porywacz został osaczony i użył jej jako zakładniczki (okazało się, że chodziło o konflikt małżeński). Impas trwał dwa dni. Pośród różnych powiązanych z organami ścigania konsultantów, których ściągnięto wtedy do tej sprawy, był niejaki Gil Norlin. Dla Titusa nigdy nie było jasne, kto go tam sprowadził ani przed kim on odpowiadał, ale przez cały czas kręcił się w pewnym sensie na obrzeżu wydarzeń. Nigdy w pełni zaangażowany, bez żadnej oficjalnej władzy. Jednak Titus zauważył, że ludzie się z nim naradzali, nawet agenci FBI, choć zawsze dyskretnie, na boku.

Usłyszał później, że to emerytowany agent CIA. Konsultant. Zostawił wtedy wizytówkę Titusowi, unikając przy tym jego wzroku. Przypomniawszy sobie teraz o tym wszystkim,

Cain ruszył w stronę domu.

Ubrany w szlafrok przez dwadzieścia minut przeszukiwał swój gabinet, zanim znalazł tę wizytówkę na samym dnie szuflady.

Popatrzył na zegarek. O tej godzinie na krętych drogach biegnących wśród porośniętych lasem wzgórz ruch był niewielki i nawet on powinien zauważyć, czy ktoś za nim jedzie. Z drugiej strony nie miało to żadnego znaczenia. Nawet przy tej zaawansowanej technologii, która była obecnie dostępna, z przypadkowo wybranej budki wciąż można było bezpiecznie rozmawiać. Nawet jeśli ludzie Alvara założyli nadajnik pozycyjny w jego roverze i dowiedzą się, że gdzieś telefonował, nie będą wiedzieli, do kogo dzwonił ani w jakiej sprawie.

Alvaro zabronił mu kontaktować się z organami ścigania. Wiedział jednak, że Titus będzie musiał rozmawiać z najróżniejszymi ludźmi, żeby zebrać pieniądze, których Alvaro od niego żądał. Titus mógł przecież dzwonić do swojego bankiera, brokera, księgowego, prawnika. Takie rozmowy z pewnością można uznać za prywatne i nie uważać ich za złamanie zakazu wydanego przez Alvara. Oczywiście, że tak. Czy z instrukcji Alvara miał wyciągnąć wniosek, że już nigdy nie będzie mógł przeprowadzić prywatnej rozmowy? To po prostu nie wydawało się realistyczne. Warto było podjąć to lekkie ryzyko, żeby się przekonać, jak mocno ten facet trzyma go w garści.

Wziął wizytówkę, włożył jakieś ubranie, zamknął dom - co, zważywszy na niedawne wydarzenia, wydało mu się dość głupie - wyszedł na dwór i wsiadł do range rovera. Po dziesięciu minutach jazdy krętymi wąskimi drogami dotarł do całodobowego sklepu na ustronnym skrzyżowaniu w lesie. Jak dotąd nie zauważył, żeby ktoś za nim jechał, chociaż zdawał sobie sprawę, że jego umiejętności dostrzegania takich rzeczy muszą być mniej niż przeciętne.

Nie było tam żadnych innych samochodów. Podszedł do automatu telefonicznego na zewnątrz sklepu i wykręcił numer. Okazało się, że został tymczasem zmieniony. Wykręcił nowy i usłyszał nagrany wiadomość, z której poznał

jeszcze nowszy numer, pod którym podano mu numer telefonu komórkowego, pod którym usłyszał nagranie instruujące go, żeby zostawił swój numer i podał, czy dzwoni w nagłej sprawie. Zrobił i to, i to.

Siedział wzburzony w samochodzie, w którym opuścił szybę, żeby usłyszeć dzwonek telefonu, i patrzył na jasno oświetlone wnętrze sklepu. Poza nocną sprzedawczynią nie było tam nikogo. Kobieta w średnim wieku, która, jakby zawieszona w świetle jarzeniówek, wpatrywała się w przestrzeń ze swego stołka za kasą, i Titus patrzący na nią z ciemnej kabiny, byli przeciwnymi biegunami związanymi swoją odmiennością. Czarno-białymi metaforami dla zdziwionych obserwatorów.

Kiedy zadzwonił telefon, w jednej chwili wyskoczył z rojera i podniósł słuchawkę w trakcie trzeciego sygnału.

- Tak? - usłyszał.
- Mówi Titus Cain. Poznałem pana mniej więcej cztery lata temu. To było porwanie...
- Aaa, przypominam sobie.
- Muszę z panem porozmawiać.
- Co się stało?
- Chodzi o wymuszenie. O groźbę zabicia różnych ludzi, jeśli zawiadomię policję. Ten telefon to wielkie ryzyko.
- W jaki sposób przekazano panu te groźbę? Listownie?
- Mniej więcej godzinę temu pojawiło się u mnie w domu trzech uzbrojonych mężczyzn. Na moich oczach zastrzelili moje psy i przekazali mi ultimatum.
- Proszę mi powiedzieć, gdzie pan teraz jest.
- Myślę, że jestem obserwowany. Mój samochód prawdopodobnie...
- Dopóki to nie pan jest celem, wszystko będzie dobrze. Titus podał mu adres sklepu.

Zostawił samochód na parkingu przed nocnym sklepem i pojechał z Gilbertem Norlinem, który wykonał podczas jazdy wszystkie konieczne manewry, aby się upewnić, że nie są śledzeni. Titus zaskoczył sam siebie, gdyż początkowo nie mógł wykrztusić ani słowa. Norlin nie naciskał na niego i przez jakiś czas jechali w milczeniu. Titus był zażenowany, że tak milczy, ale nie potrafił nic na to poradzić. W końcu jednak odzyskał panowanie nad głosem i powiedział

wszystko Norlinowi, chronologicznie i tak szczegółowo, jak tylko sobie przypominał.

Zanim skończył, zatrzymali się pod jednym z wielu wznoszonych na wzgórzach domów. Wysiedli z samochodu Norlina i podeszli do płyty fundamentowej, na której właśnie zaczynało stawiać szkielet budynku. Usiedli na niej, wdychając woń drewna, betonu i świeżo przekopanej ziemi.

Teraz to Norlin milczał. Titus czekał na jego słowa, czując, że serce łomocze mu w piersiach, jakby starało się wyprzedzić to, co musiało być pesymistyczną oceną jego problemu.

W końcu Norlin zapytał:

- Jak trudno będzie panu wykonać to, czego on chce, czyli zgromadzić i przelać pieniądze?

- To zależy, ile zażąda na początek. Mam, nie wiem dokładnie, sporo w akcjach, których mogę się natychmiast pozbyć. Poniosę straty, ale co tam. Żeby zdobyć więcej gotówki, będę musiał sprzedać część firmy. To będzie wyglądało dziwacznie dla... cholera, dla każdego. Zbudowałem CaiText, prowadząc interesy ostrożnie, wręcz zachowawczo, na litość boską. Jestem z tego znany. Zaledwie sześć miesięcy temu - ciągnął - po latach planowania, pozwoliłem szefom wydziałów kupić udziały w firmie. To się od lat świetnie sprawdzało z jednym człowiekiem, który jest ze mną od samego początku. Na dodatek sześć miesięcy temu wzięliśmy poważne kredyty na program rozwoju, program, który zaplanowali i przedstawili mi szefowie wszystkich wydziałów. Wszyscy są tym bardzo podekscytowani i spodziewamy się, że będzie nam się to bardzo opłacało.

Czy może pan sobie zatem wyobrazić - podjął po chwili - jak to teraz będzie wyglądało, jeśli zacznę manipulować aktywami firmy, żeby łądować miliony dolarów w zagraniczne inwestycje? To się nie uda.

- Ale nie otrzymał pan jeszcze konkretnych instrukcji - powiedział Norlin. - Nie wie pan, ile będzie pan potrzebował w najbliższym czasie.

- Nie.

Norlin nie mówił zbyt wiele, co pogłębiało obawy Titusa. W odbitym blasku świateł leżącego za rzeką miasta Titus

widział Norlina na tyle dobrze, by przypomnieć go sobie po czterech latach. Był średniego wzrostu, miał rzadzące włosy i twarz ze słabo zarysowanym podbródkiem. Jego zaokrąglone ramiona sprawiały takie wrażenie, jakby miał niewielki garb.

Po dłuższym namyśle Norlin potrząsnął głową i powiedział:

- Nie dziwię się, że nie poszedł pan do FBI. Ja też bym nie poszedł. Ale oni by chcieli, żebym powiedział panu coś zupełnie innego. Zwykle przyjmuje się, że im szybciej oni wkroczą do akcji, tym lepiej. - Norlin siedział z rękami wspartymi na krawędzi płyty fundamentowej i patrzył na Titusa. - Ale ta sprawa nie wydaje mi się wcale zwykła. Czy wie pan, ilu kidnaperów łapie się w Stanach? Dziewięćdziesiąt pięć procent. Ale to głównie dlatego, że takie przestępstwa nie są tutaj zbyt częste. Ludzie, którzy je popełniają, są generalnie samotnikami, emocjonalnymi połamańcami. Czubkami, którym się wydaje, że porywając innego człowieka, rozwiążą w magiczny sposób problemy swojego pustego życia. - Umilkł na chwilę. - Ale gdybyśmy mieli w Stanach do czynienia z czymś takim, z tego rodzaju sprawami, osiągnięcie tych dziewięćdziesięciu pięciu procent byłoby raczej niemożliwe. Dlaczego? Ponieważ to jest biznes, a ci ludzie nie są czubkami. W każdym razie nie w tym sensie, w jakim użyłem tego określenia. Ta sprawa z psami to była zapowiedź, a nie groźba. Może się pan spodziewać, że ci ludzie zrobią dokładnie to, co mówią, że zrobią.

- A więc to tak? - Titus nie mógł w to uwierzyć. - To jest wszystko? Mam po prostu być gotowy, żeby im wybulić sześćdziesiąt cztery miliony?

- Nie, tego nie powiedziałem.

- To co mam, do diabła, zrobić?

Norlin nie odpowiedział. Zastanawiał się i to, że nie sypał jak z rękawa kolejnymi propozycjami akcji, nie snuł planu działania, nie podawał Titusowi nazwisk ludzi, do których powinien się zwrócić, śmiertelnie go przeraziło. Norlin był jego ostatnią nadzieją i zawodził.

Titus otarł pot z twarzy. Nie tego chciał. Chciał, żeby Norlin go uspokoił, żeby odpowiedział na jego pytania. Czuł ucisk w piersi; czuł, że ucieka mu czas; czuł, że ogarnia go

desperacja.

- Nie przydam się panu - odezwał się w końcu Norlin. Jezu.

- Ja nie. Niezależnie od tego, skąd przybył ten facet... z Kolumbii, Meksyku, Brazylii... jest z innego świata. Niech mi pan wierzy, oni nie oddychają tym samym powietrzem co my. Proszę posłuchać, w zeszłym roku w samej Kolumbii porywaczom wypłacono prawie miliard dolarów. To wielki interes.

Norlin pokręcił głową, zastanawiając się.

- To, co wyłania się z pańskiej opowieści, to obraz jakiejś hybrydowej operacji. Sam nie wiem. Nigdy nie słyszałem, żeby coś takiego wydarzyło się w Stanach. Nigdy nie słyszałem, aby żądano tak wysokiej sumy. Nigdy nie słyszałem, żeby bandytom aż tak zależało na pozorach legalności podczas transferu pieniędzy. - Mówił to wszystko beznamiętnym głosem. Po prostu przedstawiał fakty. - Zabijanie przyjaciół lub krewnych dla zyskania przewagi w negocjacjach jest czymś rutynowym w Ameryce Łacińskiej, w Indiach, w Rosji, na Filipinach. Ale tutaj, w Stanach... Cholera. Nie wiem, co oni sobie myślą. To po prostu zupełnie, ale to zupełnie do niczego nie pasuje. Trudno w to uwierzyć.

Titusowi zajaśniała iskierka nadziei.

- Myśli pan zatem, że to może być wielka zagrywka pokerowa? Że Alvaro sprawdza mój bluff? Jeśli wybulę jakieś pieniądze, będzie miał szczęście? Jeśli tego nie zrobię, po prostu zniknie? Po prostu zaryzykował i spróbował, co tak naprawdę niewiele go kosztowało?

- Nie. - Norlin nie zwlekał z odpowiedzią. - Źle mnie pan zrozumiał. Musi pan wierzyć temu facetowi. - Pokręcił głową. - W ciągu ostatnich dwóch lat wszystko nabrało większego tempa i zaostrzyło się. Wszystko, terroryzm, międzynarodowa przestępczość, staje się bardziej bezwzględne. Policja naciska mocniej, służby specjalne i wywiadowcze znowu są w okopach. Za jakiś czas będziemy mieli do czynienia z rzeczami, o których nam się do tej pory nie śniło. To, co pana spotkało, należy właśnie do tych spraw, których się obawiamy. A najgorsze, że nie jesteśmy jeszcze gotowi sobie radzić z czymś tak cholernie brutalnym.

ROZDZIAŁ 8

Titus wstał, odwrócił się i ponownie usiadł na płycie, kilka stóp od Norlina. Kręciło mu się lekko w głowie, na przemian opadało go to ospałe, graniczące z szokiem niedowierzanie, to niepohamowana panika. Chciał znowu wstać. Chciał się przejść. Chciał móc myśleć metodycznie. Chciał więcej powietrza. Chciał się przebudzić.

- Dam panu pewną radę - odezwał się Norlin. - Będą na pana wywierać presję, żeby zmusić pana do podejmowania szybkich decyzji. I będzie pan musiał to robić. Nie zostawią panu żadnego wyboru. To będzie ciężkie, ponieważ czasem... takie są po prostu realia i nic pan na to nie może poradzić... czasem podejmie pan złą decyzję. Konsekwencje będą bardzo bolesne.

- Co to znaczy, dokładnie? - Titus chciał, żeby mu to przeliterować. Chciał poznać złe wiadomości czarno na białym.

- To znaczy, że kiedy coś się stanie, to się stanie. Jeśli będzie pan myślał o tym, co mógł pan zrobić, a czego nie zrobił, oszaleje pan, zanim to się skończy.

- Chce pan powiedzieć, że prawdopodobnie zginą ludzie.

- Niech pan nigdy nie zapomina, że to ten człowiek wpędził pana w tę chorą sytuację. To on ją stworzył. Nie pan. Zmusi pana, żeby dokonywał pan wyborów, z których żaden nie jest dobry. Kiedy to się stanie, niech pan pamięta, kto to rozpoczął. Pan po prostu musi grać kartami, które dostał od tego faceta.

Titus odczekał, aż ten trzeźwy pogląd do niego dotrze. Norlin nie poganiał go. Titus czuł woń świeżo wyciętych krzewów. Czuł zapach wzruszonej ziemi, który przypomniał mu jego psy i ich ciężar, kiedy wkładał je do dołu, który wykopał za sadem.

- W porządku - powiedział - rozumiem. - I rozumiał, ale nie chciał wierzyć. Chciał wierzyć, że zdoła uniknąć ponurego scenariusza, który przewidywał Norlin. Chciał wierzyć, że w większości wypadków to może być prawdą, ale jemu

uda się tego uniknąć. Znajdzie sposób, dzięki któremu nie będzie musiał stawać wobec takich mrocznych dylematów.

- Skontaktuję pana z kimś - rzucił Norlin, wstając. W nikłym świetle odległego miasta Titus widział, jak tamten schodzi z betonowej płyty i idzie do swojego samochodu. Kiedy tam dotarł, sięgnął do środka, wyjął dziwnie duży telefon komórkowy - z modułem szyfrującym, domyślił się Titus - i wrócił.

- Muszę to komuś powtórzyć - odezwał się. - FBI by to się nie podobało. Powiedzieliby, że jest pan nieodpowiedzialny. W normalnej sytuacji zgodziłbym się z nimi. Ale... Prawda jest taka, że gdybym był na pańskim miejscu, chciałbym, żeby ten człowiek wysłuchał mojej opowieści. I chciałbym wiedzieć, co o tym myśli. Może powie, że pan poszedł do FBI. Wtedy pan pójdzie i nie będzie się pan musiał martwić, czy postępuje dobrze, czy źle. Może pan wierzyć w to, co on powie.

- Ale on może powiedzieć także coś innego - rzekł Titus. - I wtedy również mam go posłuchać. Uwierzyć mu?

- Tak.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem. Zaraz postaram się dowiedzieć.

- Bardzo mu pan ufa? - To było zarówno pytanie, jak spostrzeżenie i wyraz niepokoju.

- Pracowałem z nim w CIA. Teraz od długiego czasu jest pracownikiem kontraktowym. Jest solidny, jak już mówiłem. I najskuteczniejszy, kiedy działa poza boiskiem.

- Poza boiskiem? To znaczy?

- Poza oficjalnymi strukturami. Jeśli spieszy sprawę, nie ma żadnych komplikacji. Jest jednym z niewielu, którzy wiedzą, że wchodząc w coś, są zdani tylko na siebie. Nikt go nie trzyma na smyczy. I nikt mu nie pomaga, kiedy w coś wdepnie. Jest sam. Dają mu najtrudniejsze zadania i kiedy odnosi sukces, wywiad wygrywa w wielkim stylu. I po cichu, bo w tym fachu tylko tak się wygrywa. Ale kiedy tacy faceci jak on przegrywają, przegrywają samotnie. I znikają. Na zawsze.

- Dlaczego zatem to robią?

- Duże, duże pieniądze. I dlatego, że nie mogą się postrzymać. Są uzależnieni od adrenaliny. A może

prześladują ich jakieś prywatne demony, które można zadowolić, jedynie stawiając wszystko na jedną kartę. - Wzruszył ramionami. - Lub robią to z powodów, które tylko Bóg rozumie.

- Ale ten człowiek pracuje dla CIA. Zajmuje się wywiadem. Dlaczego miałby się zainteresować moją sprawą?

Norlin jeszcze raz wzruszył ramionami.

- Duże, duże pieniądze. A może będzie miał inne powody.

Titus zastanowił się nad tym.

- I myśli pan, że tędy droga, z tym człowiekiem, który... jest tak dobry, pracując poza boiskiem?

- Niech pan posłucha, panie Cain. Może nie mam odpowiednich kwalifikacji, żeby radzić panu w sprawie tego, co się tutaj dzieje, ale mogę pana zapewnić co do jednego: ten Alvaro nawet nie wie, że jest jakieś pieprzone boisko. Niech mi pan wierzy, że jeśli tylko uda mi się znaleźć tego faceta, będzie pan go potrzebował.

Norlin odwrócił się i odszedł. Minął swój samochód i skierował się na drogę gruntową, która wiodła od terenu budowy do biegnącej w dole szosy. Słysząc było, że mówi coś półgłosem w ciemności.

Titus wstał i przeciągnąwszy się, skierował wzrok na dolinę. Z tego miejsca nie było widać miasta, ale mógł dostrzec fragment jeziora Austin*, którego powierzchnia połyskiwała odbitym światłem. Czuł się samotny. Izolowany. Całkowicie zagubiony. Lasy wokół budowy były gęste i kiedy spojrzął w górę, na oświetlone niebo, zobaczył kątem oka ciemny krąg otaczających go drzew. Stał tak dość długo, na tyle długo, że stracił poczucie czasu. Na tyle długo, że usłyszawszy głos Norlina, drgnął ze strachu.

- Ma pan szczęście - powiedział Norlin, wychodząc z ciemności, i ku zdumieniu Titusa, podał mu telefon. - Tak się składa, że jest blisko - wyjaśniał. - W San Miguel de Allende, w Meksyku. Nazywa się García Burden.

* Jezioro Austin to długi, stosunkowo wąski zbiornik wodny na rzece Kolorado, dlatego autor używa wymiennie określeń „jezioro” i „rzeka” (przyp. tłum.).

Titus wziął ciężki telefon i przyłożywszy go do ucha, usłyszał jeden sygnał, a potem:

- Pan Titus Cain?

- Tak, tak jest.

- García Burden. Gil przekazał mi podstawowe informacje. Jeśli to jest to, na co wygląda, to coś niezwykłego.

Jego głos był miękki, zaskakująco miękki, chociaż Titus nie wyrobił sobie z góry żadnego poglądu na to, jak właściwie powinien brzmieć. Miał lekki akcent, ale trudny do zidentyfikowania. García. Nie, akcent nie był hiszpański, w każdym razie nie taki jak Alvara. To było coś zupełnie innego.

- Jeśli? - zapytał Titus. - Dlaczego to nie miało być to, na co wygląda?

- Kto wie? - odpowiedział tajemniczo Burden. - Ale pański gość nie jest tym, za kogo się podał. Jego plan jest bardzo złożony i wymaga wielkiego doświadczenia w takich sprawach. Jestem więc niemal pewny, że używa fałszywego nazwiska, co by oznaczało, że znajduje się na międzynarodowych listach ludzi poszukiwanych. Musiał nielegalnie przekroczyć granice Stanów. To istotne, bo przemawia za prawdziwością historii o wymuszeniu.

- To znaczy?

- Jest zbyt ostrożny, żeby przyjechać tu z fałszywym paszportem. Zbyt wielkie ryzyko, jeśli wziąć pod uwagę używane obecnie techniki identyfikacji. A warunki, w jakich musiałby przekroczyć granicę nielegalnie, są takie, że nigdy nie przyjechałby tą drogą do Stanów w jakiejś zwykłej, rutynowej sprawie. Prawdopodobnie planował to od dawna. Przybył tu, żeby zadać śmiertelny cios... mówiąc obrazowo.

Wyglądało na to, że Burden zdążył to już sobie przemyśleć.

- Kiedy ma się z panem znowu skontaktować? - zapytał Titusa.

- Nie powiedział.

- To nastąpi bardzo szybko. Ale nie dał panu żadnych instrukcji?

- Nie.

- A zatem nie ma jeszcze „reguł”, które mógłby pan złamać?

- Nie wolno mi się kontaktować z organami ścigania.

- Cóż, zapewne zaliczyłby mnie do tej kategorii, a więc gdyby się o tym dowiedział, uznałby to za złamanie reguł. Ta rozmowa byłaby pretekstem do pierwszego zabójstwa.

Usłyszawszy słowo „zabójstwo”, Titus poczuł się tak, jakby dostał deską w głowę. Jezu. Ale z drugiej strony, czy naprawdę wierzył, że Alvaro zacznie mordować ludzi, jeśli on nie będzie postępował zgodnie z jego instrukcjami?

Milczenie Titusa skłoniło Burdena do reakcji.

- Nie, niech pan nie popełni tego błędu, panie Cain - powiedział. - Ten człowiek nie rzuca gróźb na wiatr. Pewnie sam już to panu powiedział. Niecierpliwie czeka na pierwszą okazję, żeby pokazać, jak szybko może pana ukarać za nieposłuszeństwo.

- A więc pan go zna.

- Nie wiem. Ale znam takich ludzi. - Burden nagle zmienił ton. - Chcę z panem pracować nad tą sprawą, panie Cain. Jest pan zainteresowany?

Titus zerknął na Norlina.

- Oczywiście, że jestem zainteresowany, ale muszę to przemyśleć. Nie podejmę decyzji natychmiast.

- Pytam tylko, czy chciałby pan ze mną porozmawiać.

- Taa, oczywiście.

- Nie mamy zbyt wiele czasu. Powinien pan przyjechać jutro.

- Do pana? Do San Miguel?

- Tak. Musimy być tutaj, kiedy będziemy rozmawiać. Mam tu pewne rzeczy, które chcę panu pokazać. Tutaj jest moje archiwum. Nie można go przenieść.

- Ale co się stanie, jeśli on spróbuje się ze mną skontaktować, a mnie nie będzie?

- Wytłumaczę panu, jak to załatwić.

- Nie wiem, czy zdołam to zrobić jutro. Mój system ochrony jest w proszku, no i muszę ściągnąć kogoś, kto zacznie usuwać pluskwy z mojego domu.

- Alvaro zakazał panu kontaktować się z firmami ochroniarskimi?

- Nie. - Titus skulił się w duchu. Czy to można by złamanie kolejnej reguły? Czy miał żyć ze świadomością, że

Alvaro słucha każdego słowa wypowiedzianego w jego własnym domu? Nie mógłby tego wytrzymać. Nie wytrzymałby tego. - Nie powiedział, że bym tego nie robił.

- Musi pan więc dokonać wyboru. Niech się pan do tego przyzwyczajają i uczy się żyć z konsekwencjami, jeśli jakieś będą.

- Nie mogę żyć ze świadomością, że jestem podsłuchiwany.

- Dobrze. Czy zna pan jakichś ludzi, którzy mogliby to dla pana zrobić?

- Jestem właścicielem firmy software'owej. Stale pracujemy nad elektronicznymi zabezpieczeniami.

- Będzie pan potrzebował fachowców najwyższej klasy, panie Cain. Ma pan tam bardzo szczególny problem. To nie to samo co zwykła ochrona. Przecież musi pan to widzieć.

Cholera. Titus poczuł się głupio. Będzie musiał zacząć myśleć inaczej.

- Panie Cain, to mój zawód. Proszę pozwolić, że bym przysłał panu odpowiednich ludzi. Oni się znają na najnowszym technologiach. Znają się na tej grze. W porządku?

- Taa - odparł Titus. - W porządku.

- Będą u pana jutro - ciągnął Burden. - Przyjedzie pan do mnie jutro na rozmowę?

- Taa...

- Czy mówi pan po hiszpańsku?

- Nie.

- Nieważne.

- Co mam zrobić? Po prostu tam polecieć?

- Nie. Przekażę panu wskazówki. I, panie Cain, musi pan zrozumieć, że poczynając od teraz, nie już nie jest takie samo. Jest pan odtąd nadzwyczajnym wyjątkiem od reguł dotyczących praktycznie wszystkiego.

ŚRODA
DZIEŃ DRUGI

ROZDZIAŁ 9

Tej nocy Titus nie mógł zasnąć dłużej niż na chwilę. Leżał w łóżku, patrząc na czarne wzgórza widoczne na tle kołbaltowego nieba, i patrzył na nie wciąż, kiedy wychyliło się zza nich słońce.

O dziewiątej trzydzieści na drodze dojazdowej do domu pojawił się jakiś van i pikap. Oba samochody zatrzymały się przy wysokim żywopłocie zasłaniającym parking przed widokiem od strony miasta.

Mark Herrin był spokojnym młodym mężczyzną z kucykiem i łagodnym uśmiechem. Był o głowę wyższy od Clin'e'a, swojego partnera o starannie przyszyżonych włosach oraz paśmie czarnego tatuażu, które wyłaniało się spod białego kołnierzyka koszuli i pełzło w górę wzdłuż tętnicy szyjnej.

Przedstawili się, a potem Herrin powiedział:

- García mówił, że mamy przyjąć, że wszystko w domu jest gorące.

- Nie jestem tego pewny - odparł Titus. - Wiem tylko, że zabezpieczenia systemu ochrony zostały pokonane.

- Wszystko ładnie oczyścimy - zapewnił go Herrin z leniwą obojętnością. - Prawdę mówiąc, odpluskwienie takiego domu wymaga sporo sprzętu. Wtaszczymy do środka pewne urządzenia. Wielkie. - Popatrzył na żywopłot. - Dobrze, że jesteśmy tak zasłonięci. Nie lubię pracować pod stałym nadzorem opozycji - dodał, spoglądając przez dolinę na płynącą w dali rzekę.

- Czy pan myśli, że dom jest obserwowany? - zapytał Titus.

- Jeśli jest pan celem, to pan nim jest - odpowiedział po prostu Herrin. - Jeśli facet jest poważny, to wie, że w tym interesie nie można sobie pozwolić na półśrodki.

Kiedy tak stali między drogą dojazdową a werandą, Herrin powtórzył Titusowi, co przekazał mu o sprawie Burden, i poprosił o potwierdzenie, a potem zadał jeszcze wiele innych pytań.

- W porządku - powiedział po chwili zadumy. - Wejdziemy do domu i się rozejrzemy. Kiedy zaczniemy namierzać te pluskwy i usuwać je, oni się o tym dowiedzą. Już po

wyrwaniu pierwszej mleko się rozleje. Nie ma jednak potrzeby ich ostrzegać. Kiedy zatem tam wejdziemy, nie rozmawiajmy o tym, co będziemy robić, dobrze?

Titus wprowadził ich do środka i pokazał im dom. Gdy tylko zorientowali się w rozkładzie wnętrza, zostawił ich, żeby sami ocenili zakres czekającej ich pracy.

Pamiętając, że dom jest zapewne obserwowany, Titus szedł aleją do kamieniarzy, którzy układali licówką zbiornik na wodę. Przychodzili codziennie tuż po wschodzie słońca, żeby zdążyć przed upałem. Zнали kod do bramy wejściowej i sami ją sobie otwierali. Titus od lat zlecał im różne prace na terenie posiadłości, ale teraz nie czuł się już dobrze ze świadomością, że ktoś ma do niej swobodny dostęp.

Stojąc w cieniu dębu, porozmawiał z Benitem, majstrem, i powiedział mu, że z powodu pewnych problemów z elektrycznością ściągnął ekipę, która przystąpi niedługo do pracy, i że nie chce mieć koło domu tak wiele osób oraz samochodów jednocześnie. Dodał, że daje mu i jego ludziom dwutygodniowy płatny urlop - od zaraz.

Benito był zaskoczony, ale myśl o dwóch tygodniach płatnego urlopu przeważała nad zdumieniem. Titus uścił mu rękę i ruszył z powrotem do domu. Idąc, słyszał, jak robotnicy zaczynają ładować narzędzia na ciężarówkę.

Titus wrócił do kuchni i spojrzał na zegarek. Do wyjazdu zostało mu jeszcze około czterdziestu minut. Wziął swój telefon komórkowy i wyszedł przed dom, żeby zadzwonić do Carli Elster, swojej asystentki w CaiTekście.

- Carla, nie mam chyba żadnych bardzo ważnych spotkań przez kilka następnych dni, co?

- W twoim kalendarzu nie ma nic oprócz cotygodniowych narad z szefami wydziałów - odpowiedziała Carla. - Ale, hm, wczoraj pod koniec dnia zadzwonił Matt Rohan i powiedział, że chciałby się z tobą dziś zobaczyć na jakieś pół godziny, kiedy będziesz miał czas. Nie powiedział, o czym chce porozmawiać. Jak zwykle. Poza tym dzwoniła Donice McCafferty, prosząc o spotkanie. Przypuszczam, że chce zapytać, czy CaiText wesprze tej jesieni ich działalność charytatywną. Miałam ci też przypomnieć, że w piątek, z okazji jej przejścia na emeryturę, jest przyjęcie pożegnalne dla Alison Daly z księgowości.

W życiu Carli nie było zbędnych ruchów ani straconych chwil. Była zdyscyplinowana, skupiona, zorganizowana i wierna swoim przyzwyczajeniom. Musiała być, ponieważ bez tego zawałiłoby się jej życie, a także życie Titusa. Przynajmniej była przekonana, że tak by się stało.

Carla była jego asystentką od dnia, kiedy podpisał dokumenty założycielskie CaiTekstu. Dopóki nie spotkał Rity, Carla była jedyną osobą, na której polegał, gdy chciał usłyszeć dobrze uzasadnioną uczciwą opinię na jakiś temat. Była dla niego jak siostra.

- W porządku, hm, gdybyś mogła to wszystko odłożyć na później, byłbym ci bardzo wdzięczny.
- Odłożyć na później? Na jak długo?
- Kilka dni, może. Przez kilka dni nie będzie mnie w pracy.

Chwila milczenia.

- W porządku. - Chwila milczenia. - Czy wszystko dobrze?

- Tak, jasne. - Przerwał. Jezu. Kusilo go, ogromnie go kusilo, żeby coś jej powiedzieć, zrzucić z siebie część ciężaru, który go przygniatał, ale pamiętał, co powiedział Alvaro: „Nie chcę, żeby ktokolwiek powziął jakiegokolwiek podejrzenie... To jest najważniejsze. Brakuje mi słów, żeby właściwie wyrazić, jak wielkie znaczenie ma ten warunek”.

- Titus - odezwała się - co się dzieje?

Czterdziestosześcioletnia Carla była samotną matką dwóch bliźniaczek, które wkrótce miały podjąć studia na Vanderbilt University. Mąż opuścił ją przed sześciu laty, kiedy dziewczynki były w szóstej klasie. Carla zawzięła się i narzuciła sobie ostry reżim. Była zdecydowana dać sobie radę ze wszystkim bez niego - i dała. Postanowiła, że prędzej ją diabli wezmą, niż dopuści, żeby jej życie się przez to zawałiło. Uznała, że mężczyzna, który zostawił żonę i dwie dorastające córki, od samego początku nie mógł być wiele wart.

Titus pomagał jej przez ten cały ciężki okres. Kiedykolwiek potrzebowała wolnego, by wziąć udział w jakichś szkolnych wydarzeniach córek, nie musiała nawet prosić. Podniósł pensję Carli, żeby jej skompensować utratę połowy dochodu, i załatwiał dziewczynkom pracę na wakacje

w CaiTekście, żeby Carla nie musiała się o nie martwić w ciągu dnia.

Mąż bez sprzeciwu zostawił jej dom w West Lake Hills. To, że nie uznał, iż warto o niego walczyć, doprowadzało ją do furii. I nie robił nawet wielkiej sprawy z wysokości alimentów, których zażądała. Tak mu było pilno do swojej przyjaciółki, że praktycznie zostawił wszystko, czego się dorobili z Carla przez czternaście lat małżeństwa.

No i była jeszcze Darlene, ta przyjaciółka. Była dwa razy młodsza od Carli. Była blondynką, Carla brunetką. Była wysoka, Carla niezbyt. Była szczupła i wysportowana, Carla miała kilka funtów za dużo i nie uprawiała sportów. Darlene nie pracowała, Carla przez cały okres ich małżeństwa pracowała dla CaiTekstu i była tak lojalna w stosunku do Titusa i przedsiębiorstwa, które budował, jakby w połowie należało do niej. Te uderzające różnice dodatkowo upokarzały Carle. Darlene była wszystkim, czym ona nie była.

Ale to stało się przed sześciu laty. Przez ten czas stworzyła sobie nowe życie i nową siebie. A także stabilny dom dla swych córek, w którym przeprowadziła je przez burze i stresy okresu dojrzewania. To były dobre dziewczynki, a ona była z nich dumna.

Jednak teraz, gdy córki wyjechały, bo tym razem Titus załatwił im pracę na wakacje w Denver, Carla stwierdziła, że pierwszy raz od osiemnastu lat ma czasem wolną chwilę. Umawiała się z mężczyzną, Nathanem Jordanem, człowiekiem uprzejmym, wrażliwym i dobrym dla dziewczynek, które go bardzo lubiły. Wkraczała w nowy okres swojego życia i wyglądało na to, że będzie to dobry okres.

- Czy z Ritą wszystko w porządku? - zapytała.

- Taa, wszystko dobrze. Rozmawiałem z nią w nocy.

Umilkł. Czuł, że Carla wsłuchuje się w jego głos, próbuje czytać między wierszami. Była wyraźnie zaniepokojona.

- Daj spokój, Titus. Co się dzieje?

- Jestem pod lekką presją - odparł. - To nie ma nic wspólnego z Ritą. To... kwestia finansowa. I osobista. Firma nie ma z tym związku. Rita jeszcze o tym nie wie. Wprowadzenie w to ciebie, zanim będę miał okazję porozmawiać z nią, nie wydaje mi się właściwe.

- Cóż... czy to... coś katastrofalnego? Chcę powiedzieć... do diabła, Titus, powiedz mi coś, żebym to mogła sprowadzić do właściwych proporcji.

- Parę miesięcy temu zrobiłem kilka... ryzykownych inwestycji. Właśnie się dowiedziałem, że nie wyszły. Straciłem masę pieniędzy. Staram się właśnie z tego wykaraskać. Za kilka dni będę ci mógł powiedzieć więcej. Jednak teraz... Carla, jesteś jedyną osobą, która o tym wie. Rozumiesz?

- Tak, Titus, rozumiem - odparła i usłyszał w jej głosie współczucie. - Posłuchaj, przykro mi o tym słyszeć. Jeśli mogę coś zrobić... zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Muszę kończyć - powiedział.

ROZDZIAŁ 10

Wytatuowany asystent Herrina odjechał z posiadłości Titusa pikapem z opuszczonymi w porannym upale szybamami. W ciemnej skrytce pod kanapą wozu leżał Titus, który w miarę jak pokonywali kolejne zakręty na wijącej się drodze do Westlake Drive i dalej do miasta, odgadywał w myślach, jaką posuwają się trasą.

Jazda do centrum prawie nie zapisła się w jego pamięci. Zgodnie z instrukcjami Burdena nie zabrał ubrania na zmianę, wziął tylko swój laptop. Czuł się otępiały, na skutek braku snu miał zwolnione reakcje, a grzechotanie sprzętu i narzędzi samochodowych oraz smród plastiku i przewodów elektrycznych dodatkowo go rozpraszały.

Cline wysadził go na pierwszym poziomie podziemnego parkingu Four Seasons i Titus zjechał windą na drugi poziom, gdzie spotkał dwóch mężczyzn czekających obok samochodu z wypożyczalni. Żadnego przedstawiania się. Jeden z nich podszedł do Titusa z wykrywaczem podsłuchu, a drugi otworzył jego laptop i także go sprawdził. Usatysfakcjonowani rezultatami, powiedzieli mu, żeby się położył na tylnym siedzeniu samochodu, i wyjechali z parkingu. Kilka minut później powiedzieli mu, że może już usiąść. Zrobił to i popatrzył na tonące w jasnym, letnim słońcu miasto. Zmierzali z centrum do międzynarodowego portu lotniczego Austin-Bergstrom.

Minęli główny terminal lotniska i wjechali prosto na pas startowy, pod czekającego beechcrafta king air 350. Po dwunastu minutach Titus był w powietrzu.

Siedząc sam w kabinie, patrzył, jak za oknem opada ziemia, a kiedy zaczęli przebijać się przez białe kłębiaste chmury, odchylił maksymalnie oparcie fotela. Następnie, wciąż próbując zrozumieć, jak to wszystko mogło mu się przydarzyć, zasnął.

Obudziła go gwałtowna zmiana ciśnienia spowodowana szybkim obniżeniem pułapu. Wyprostował oparcie fotela w chwili, gdy koła samolotu dotknęły ziemi. Za oknem przesuwiała się wąska dolina, porośnięta bujną po letnich deszczach trawą i poznaczona wzniesionymi palcami kaktusów *garambullo* oraz akacjami o wdzięcznych, rozłożystych koronach. Kiedy pilot zakręcił samolotem i wyłączył silniki, Titus zobaczył czarnego suburbana, który czekał na skraju lądowiska.

Kierowcą był zwalisty Meksykanin skryty za okularami przeciwsłonecznymi i wąsem, uprzejmy, ale małomówny. Po chwili jechali wąską drogą gruntową, która prowadziła przez dolinę. Za bliższymi wzgórzami widać było niknące w błękitnawej dali Sierra de Morenos, które ciągnęły się, jak Titus sięgał wzrokiem. W końcu dotarli do dwupasmowej szosy i skręcili na południe.

San Miguel de Allende było małym miastem w środkowym Meksyku, rozłożonym na zboczach wzgórz o kilka godzin jazdy na północ od Mexico City. Miało bogatą, kolonialną historię i zdobiło je wiele pięknych kościołów oraz eleganczkich domów skupionych wzdłuż wąskich brukowanych uliczek. Sławne ze swojej urody, było od dawna ulubioną kryjówką błakających się po świecie amerykańskich pisarzy i artystów oraz ekscentrycznych ekspatriantów z podejrzaną przeszłością. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat cieszyło się popularnością wśród zamożnych Amerykanów i bogatych kosmopolitów z całego świata, którzy chętnie kupowali tu sobie drugie domy.

Pokonawszy strome, kręte uliczki, samochód dotarł do centrum, minął rynek, po czym wspiał się do wyżej położonej dzielnicy, gdzie kierowca wcisnął go w wąski, pokryty kocimi łbami zaułek wiodący między prostymi, skąpanymi

w słońcu murami. W końcu zatrzymał rzeżący pojazd na pochyłości i powiedział coś po hiszpańsku, wskazując masywne drewniane drzwi osadzone w murze koloru, który kiedyś był chabrowy, ale od tego czasu bardzo zblakł. Wejście osłaniała jakaranda, obsypana bujnym kwieciami, które wyglądało jak potłuczone kawałki nieba. Zza kamiennego muru wylewały się nieregularne plamy jaskrawych bugenwilli.

Titus wysiadł ze swoim laptopem i gdy samochód odjechał, przeszedł na drugą stronę uliczki i zstąpił ze stromeego chodnika na próg przed ogromnymi drzwiami, zastukał brązową kołatką w kształcie kobiecej ręki i czekał, słuchając, jak cichnie niosące się między wysokimi murami echo uderzeń.

Po chwili w wielkich odrzwiach otworzyły się drzwi normalnych rozmiarów i stanęła w nich stara Indianka o babcinym uśmiechu, ukazująca jasne zęby w bogatej złotej oprawie. Jej bujne, czarne, przetkane siwizną włosy były rozdzielone pośrodku głowy i splecione w dwa warkocze, które sięgały poniżej jej szerokiej talii.

Wymówiwszy po hiszpańsku parę słów, cofnęła się, zapraszając go do środka. Przez cały czas z wdziękiem trzymała brązową dłoń na białej bluzce haftowanej naprzemiennie w szerokie rudobrunatne i złote pasy. Jej spódnica, olśniewające dzieło sztuki w pasy srebrzystoszare i czarne, kończyła się zaledwie cal od krótkich nagich palców nóg.

Mówiąc coś przez cały czas, wprowadziła go krótkim korytarzem w rozproszoną jasność otoczonego kolumnadą ogrodu. Uniósł wzrok ponad arkady, gdzie przechodzące przez korony drzew słońce pocętkowało kolumny pierwszego piętra.

Kontynuując swój śpiewny, niezrozumiały monolog, kobieta uprzejmie wskazała Titusowi długą drewnianą ławkę pod żółtą ścianą w głębi galerii, po czym zniknęła. Pod arkadami wisały drewniane klatki z różnokolorowymi kanarkami i innymi ptakami. Plusk stojącej pośrodku dziedzińca fontanny urozmaicał ich świergot.

Ledwie Titus się temu przyjrzał, zaskoczyły go gwałtowne krzyki kobiety. Z drzwi na pierwszym piętrze popłynęły śpiewne słowa w jakimś azjatyckim języku, wypowiedane z wyraźnym gniewem.

A potem zapadła cisza.

Ptaki, wystraszone tą werbalną erupcją, powoli podjęły świergot.

Zanim Titus zaczął się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi, usłyszał dochodzący z góry znajomy głos:

- Witam w moim domu, panie Cain.

Titus spojrział w lewo, na drugą kondygnację.

García Burden patrzył na niego, oparłszy przedramiona na kamiennej balustradzie. Był wysoki, szczupły, a jego ciemne włosy od dłuższego czasu nie widziały fryzjera. Miał rozpiętą na piersiach koszulę i podwinięte do łokci rękawy. Złoty medalion na łańcuszku, który miał na szyi, zwisał poza balustradę.

- Jesteśmy już prawie gotowi na pańskie przyjęcie - dodał Burden. - Tam są schody. - Wskazał ręką kamienną klatkę schodową. - Niech pan po prostu obejdzie galerię - dodał, machając ręką w stronę otwartych drzwi.

Kiedy Titus podszedł do niego, Burden zapinał właśnie koszulę, a kiedy ściskali sobie dłonie, Titus zauważył, że są prawie tego samego wzrostu. Jednak wiek gospodarza trudno było określić. Mógł mieć prawie tyle samo lat co Titus, ale zmarszczki w kącikach jego oczu były głębsze. I było w tych oczach coś, co skłoniło Titusa, żeby spojrział w nie jeszcze raz, coś, co sprawiło, że pomyślał, iż widziały więcej niż zwykłą miarę niezwykłych rzeczy, z których wiele musiało wytrącać z równowagi.

- Na podstawie tego, co usłyszałem od pana i Gila - powiedział Burden głosem, który teraz, kiedy byli blisko siebie, brzmiał nawet bardziej miękko niż w telefonie - zawęziłem pole poszukiwań do trzech ludzi Mam ich fotografie.

Odwrócił się i poprowadził Titusa przez otwarte drzwi, przed którymi stali.

Dom był stary, miał grube na trzy stopy ściany, typowe dla architektury kolonialnej. Gabinet, do którego weszli, był ogromny. Chociaż tylko przezeń przeszli, zmierzając do otwartych drzwi po drugiej stronie, Titus zdążył zerknąć na stare biurka i szafy biblioteczne, na sofę i fotele, na okrągły stół zarzucony książkami, na wieczne pióro między kartkami jednej z nich. Przez głęboko osadzone okna i drzwi wpadało niewiele światła.

Kiedy wyszli drugimi drzwiami na inną galerię, Titus uświadomił sobie, że niebieski mur, który ciągnął się wzdłuż ulicy, ukrywał zamknięty teren o okazałych rozmiarach. Patrzyli na drugi dziedziniec ogrodowy, dwukrotnie większy od poprzedniego i utworzony przez kilka piętrowych budynków, także połączonych dwukondygnacyjnymi galeriami. Strzeliste flamboyany* rzucały na wszystko koronkowy welon cienia.

* *Delonix regia*, drzewo z rodziny brezylkowatych, o płomiennie czerwonych dużych kwiatach. Pochodzi z Madagaskaru. Jedno z najpopularniejszych obecnie drzew ozdobnych w tropikach, sadzone w parkach, ogrodach, wzdłuż ulic (przyp. tłum.).

Titus wszedł za Burdenem do pierwszego budynku i jakby przez pętlę w czasie trafił z przeszłości do dwudziestego pierwszego wieku: zobaczył długi wąski pokój wyiębiony przez klimatyzację, liczne komputery i serwery, ekran filmowy, wielki ekran telewizyjny i wideofony. W pomieszczeniu znajdowały się trzy zajęte czymś kobiety, które zignorowały pojawienie się Burdena.

- Pokażmy mu, co mamy - powiedział Burden, nie zwracając się do nikogo w szczególności, po czym jedna z kobiet odwróciła się i usiadła przy komputerze. Titusa zaskoczyło to, że była Indianką, i to Mają; jej charakterystycznie spłaszczona twarz nie pozostawiała pod tym względem żadnych wątpliwości.

Podczas gdy ona pisała coś na klawiaturze, Titus zerkał na dwie pozostałe: atrakcyjną Azjatkę, która wyglądała na czterdzieści kilka lat, miała równo obcięte włosy, prostą czarną spódnicę i jasnopopielatą bluzkę, oraz piersiastą białą kobietę średniego wzrostu i w średnim wieku, niezbyt piękną, z czarnymi, przyprószonymi siwizną włosami i słodkim, sięgającym niebieskich oczu uśmiechem. Burden stał z założonymi na piersiach rękami, patrząc na ekran telewizyjny. Kiedy pojawiła się na nim pierwsza fotografia, spojrział pytająco na Titusa. Cain pokręcił głową. Druga fotografia. Burden znowu popatrzył na Titusa, który jeszcze raz potrząsnął przecząco głową.

- Tak? - Burden wydawał się jednocześnie zaskoczony i podekscytowany. - Naprawdę? W takim razie tu jest twój człowiek.

Trzecie zdjęcie. To był Alvaro na ziarnistej fotografii powiększonej z małego negatywu. Przechodził przez ulicę - Titus pomyślał, że miasto wygląda na Buenos Aires - z gazetą wciśniętą pod rękę i spoglądał za siebie, w kierunku fotografa, choć nie na niego.

- Taa - odparł - to on.

- Cayetano Luquín Beccera. Meksykanin - oznajmił Burden.

Titus poczuł zarazem ulgę i niepokój, jak człowiek, któremu lekarz mówi, że w końcu udało się ustalić, co to za tajemnicza choroba przykuła go do łóżka. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle.

- Niech mi pan pokaże swój laptop - poprosił Burden i kiedy Titus mu go podał, przekazał go Azjatce. - Trochę go podrasujemy - wyjaśnił. - Kiedy ona z nim skończy, wszystkie wiadomości od tego człowieka do pana będą automatycznie przekazywane do nas. To całkowicie bezpieczne. On się o tym nie dowie. Wbudujemy też wszystkie możliwe zabezpieczenia, żeby nikt nie przechwyił korespondencji między nami. - Popatrzył na Titusa i wskazał głową wielką fotografię na ekranie. - To dobra i zła wiadomość - powiedział. - Chodźmy, porozmawiamy o tym.

ROZDZIAŁ 11

Kiedy znowu znaleźli się w gabinecie, Titus spodziewał się, że Burden włączy światło, ale on tylko podszedł do części wypoczynkowej, gdzie stała sofa i fotele, i wskazał na nie ręką, żeby wybrał sobie miejsce. Usiedli.

- Nikt, w każdym razie nikt z mojej branży, nie widział Tana Luquína od trzech i pół roku - zaczął Burden. - Facet, który zrobił tamto zdjęcie, był ostatni. Już nie żyje. Upłynęło ponad piętnaście lat od czasu, gdy Luquína widziano w Stanach. To ważne.

- W jakim sensie?

- Cóż, nie jestem pewny. Czy jest tu tylko ze względu na wielkość okupu? Być może. A może nie.

Titus siedział na sofie plecami do biurka Burdena. Kiedy jego wzrok przystosował się do słabego oświetlenia, zorientował się, że większą część ściany przed nim zajmuje czarno-biała fotografia wysoka na cztery i długa co najmniej na dwanaście stóp, oprawiona w prostą czarną ramę i flankowana przez szafy biblioteczne. Przedstawiała leżącą, nagą kobietę.

- Niech pan posłucha, nie wydaje mi się, żebym miał dużo czasu - rzekł Titus, poirytowany spokojem Burdena. - Od czego zaczniemy?

- Otrzyma pan kompletne dossier Luquína - odparł Burden - żeby pan wiedział, z kim ma do czynienia. Ale teraz przedstawię panu w skrócie najważniejsze fakty. Tano wyrósł w zamożnej rodzinie w Mexico City i odebrał uniwersyteckie wykształcenie. Tak naprawdę nigdy go nie interesował żaden legalny interes i już pod koniec lat siedemdziesiątych zaczęło go ciągnąć do handlu narkotykami. Na przełomie dekady był w Kolumbii, gdzie załatwiał jakieś drobne sprawy dla ludzi świadczących usługi Pablo Escobarowi, który był już wtedy żywą legendą. Tano miał talent do porwań i wkrótce porywał, znowu na zlecenie ludzi pracujących dla Escobara.

W latach osiemdziesiątych nabrał doświadczenia w *secuestro* - kontynuował - bo Escobar musiał dyscyplinować i przekonywać coraz więcej swoich konkurentów. Ale Tano, okazując rzadką w tych kręgach mądrość, nigdy nie pracował bezpośrednio dla Pabla. Zawsze pilnował, żeby dzieliło ich kilku pośredników, pozwalając, by to na innych spadała chwała... lub odpowiedzialność, gdy coś poszło nie tak.

Titus przeniósł wzrok z Burdena na fotografię, która w miarę jak wyłaniała się z cienia, coraz bardziej rozpraszała jego uwagę.

- Kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych imperium Escobara zaczęło się chwiać w posiadach - podjął Burden - Tano w porę dostrzegł, że to koniec, i opuścił Kolumbię. Początek lat dziewięćdziesiątych spędził w Brazylii i od kilku lat mieszkał w Rio de Janeiro, kiedy to Escobar został w końcu zabity w Medellin w grudniu roku 1993.

Tano tymczasem był bardzo zajęty w Rio - ciągnął Burden. - Szlifował swoje umiejętności. Według Ministerio da Justiça, cztery największe pod względem wysokości okupu porwania, do których doszło w Rio między rokiem 1991 a 1997, miały cechy charakterystyczne dla jego sposobu działania. Wszystkie ofiary były obcokrajowcami i zajmowały kierownicze stanowiska w międzynarodowych koncernach, a okupy z tych czterech operacji przyniosły Tanowi blisko pięćdziesiąt trzy miliony dolarów.

- Jak wysokie były poszczególne okupy?

Burden pokiwał głową.

- To interesujące. Z akcji na akcję wzrastały. Tano rozpracowywał swoje cele z większą uwagą, a od tego, czego się o nich dowiadywał, zależało, jak przeprowadzi ich porwanie i czego zażąda. Decydowało to, jaką presję na nich wywrze.

Wszystko to Burden powiedział łagodnym tonem, jakby był delikatnym psychiatrą wyjaśniającym, dlaczego terapia musi się łączyć z pewnym reżimem. Od czasu do czasu poruszał z wdziękiem rękami, które, jak Titus teraz zauważył, były nadspodziewanie zadbane. Czasem przeczesywał palcami włosy, żeby odsunąć lok, który spadał mu na oczy.

- Technika Tana także się z czasem poprawiała - kontynuował Burden z błyskiem przyjemności w oczach, jakby się delectował tym, co miał za chwilę ujawnić. - Opiszę panu kolejno te cztery przypadki. Jest bardzo ważne, żeby pan zrozumiał, co pana czeka.

Numer jeden - zaczął. - Celem jest francuski dyrektor pracujący w międzynarodowej korporacji. Korporacja sprowadza zespół negocjatorów rekomendowanych przez jej firmę ubezpieczeniową. Negocjacje trwają trzy miesiące. Kidnaperzy schodzą do połowy pierwotnych żądań. Negocjatorzy coś partaczą w rozmowach. W trakcie tych przepychanek ofiara ginie, ale Tano dostaje trzy i pół miliona dolarów.

Numer dwa - podjął Burden po chwili. - Niemiec. Dyrektor wykonawczy. Tym razem porywacze kontaktują się z rodziną, a nie firmą. Dążą do tego, żeby to ona wywierała nacisk na korporację, oszczędzając im w ten sposób wiele

zachodu. Ale rodzina zawiadamia brygadę do spraw porwań Policía Civil z Rio. Przez jakiś czas nic się nie dzieje, a potem specjalną przesyłką otrzymują dłoń ofiary. Rodzina się załamuje. Wywiera taki nacisk na korporację, że ta w końcu godzi się wypłacić siedemdziesiąt procent sumy pierwotnie żądanej przez porywaczy: osiem i pół miliona dolarów.

Numer trzy. Hiszpan. Jeden z dyrektorów. Ale tym razem porywacze wiedzą, że do niego i jego rodziny należy większościowy pakiet akcji firmy. Nie zezwalają na pośrednictwo żadnych negocjatorów. Ofiara porwania zginie, jeśli do sprawy zostanie wciągnięta Policía Civil. Rodzina się zgadza, ale potem zaczyna się ostro targować. A zatem porwany zostaje także szwagier, reprezentujący firmę w Buenos Aires. Nie dla dodatkowego okupu, ale po to, żeby wprowadzić kolejny element nacisku w negocjacjach dotyczących pierwszej sprawy. Rodzina wciąż roztrząsa kwestię wysokości okupu. Szwagier z rękami i nogami związanymi drutem zostaje podpalony na podjeździe do rodzinnej posiadłości. Rodzina płaci dziewięćdziesiąt procent sumy pierwotnie żądanej przez porywaczy: szesnaście milionów osiemset tysięcy dolarów.

Numer cztery - kontynuował Burden. - Dyrektor wykonawczy, Anglik. Także bogaty właściciel dużego pakietu akcji. Porywacze dają wyraźnie do zrozumienia: żadnych negocjatorów, żadnej policji. Żądanie ogromnego okupu. Kilku członków zarządu korporacji ma dojścia w rządzie brytyjskim. Pod osłoną władz brazylijskich przylatuje supertajna grupa do zadań specjalnych. Ale nie mają szans. Tracą kilku ludzi, zawalają negocjacje. Wycofują się tak samo skrycie, jak przyjechali, z podkulonymi ogonami. Ale sprawili porywaczom wiele kłopotów. Prawie natychmiast ginie dwóch innych pracowników firmy - w wypadkach samochodowych. Kidnaperzy powiadamią rodzinę, że jeśli okup nie zostanie wpłacony, umrą także inni pracownicy. Płacą. Porywacze uzyskują sto procent okupu, którego zażądali: dwadzieścia dwa miliony dolarów.

Kiedy Burden przerwał, Titusowi wydało się, że na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia, sugerujący, że te skrótowe opisy wypadków, które właśnie przedstawił,

prowadzą do jakichś ważkich wniosków. Jednak w miarę jak analizował każdy z nich, Titusa ogarniało coraz większe przygnębienie, a pogodna postawa Burdena zaczynała mu działać na nerwy. Nie dawniej jak przed piętnastu godzinami całe jego życie stanęło na krawędzi katastrofy i wcale nie było jasne, czy uda się jej uniknąć. W tych okolicznościach spokój Burdena i to, że wyraźnie nie odczuwał on żadnej potrzeby szybkiego działania, uznał za odrażające.

- Nie widzę tu żadnego cholernego powodu do optymizmu - odezwał się Titus. Żołądek mu się ścisnął. - Chcę wiedzieć, po co mi pan to wszystko mówi, do diabła.

Burden spoważniał i wyciągnawszy rękę, wziął ze stołu pilota. Na długą fotografię na ścianie padło światło, rozjaśniając ją wolno, subtelnie. Była olśniewająca.

Widoczna na antracytowym tle naga kobieta leżała na prawym boku, patrząc prosto w obiektyw aparatu smutnym, przenikliwym wzrokiem. Jej włosy, ciemniejsze od tła, opadały na lewe ramię i kończyły się tuż nad lewą piersią. Opierała się na prawym łokciu, a jej lewa ręka układała się leniwie wzdłuż płynnej linii talii, bioder i uda. W prawej dłoni, która znalazła się w równej odległości od jej piersi i czarnego trójkąta między udami, trzymała skuloną kruczo-czarną małpkę, tak niewiarygodnie małą, że całkowicie się w niej mieściła. Osobliwe stworzenie wpatrywało się w aparat fotograficzny wielkimi oczami, jakby widziało najbardziej zdumiewającą rzecz, jaką małpa może kiedykolwiek zobaczyć. Jedwabisty hebanowy ogon owinęło desperacko wokół jasnej dłoni kobiety, a maleńkie łapki złożyło tak, jakby o coś błagało.

- To siostra tego hiszpańskiego dyrektora z trzeciej operacji Tana - wyjaśnił Burden - wdowa po człowieku, który został spalony na podjeździe do domu tej rodziny.

- Jezu Chryste! - Titus wbił wzrok w kobietę. - Kiedy zrobiono to zdjęcie?

- Dwa tygodnie po pogrzebie męża.
- To był jej pomysł. W każdym szczególe.
- Dlaczego?
- Co?

Burden popatrzył na fotografię z taką uwagą i fascynacją, jakby widział ją pierwszy raz.

- Z kobietami często tak bywa - odparł. - Nie da się wytłumaczyć, dlaczego tak a nie inaczej wyrażają żal po śmierci kogoś, kogo kochały. Mam tu na myśli „logikę” tego, co robią. To, że ona wydaje się, na tym zdjęciu, zachowywać w sposób, który jest absolutnym przeciwieństwem tego, jak sobie wyobrażamy osobiste cierpienie... - wzruszył ramionami - cóż, to tylko pozór, tylko nam się tak wydaje. Nie rozumiemy jej.

Titus popatrzył na Burdena i zaczął się zastanawiać, co też dzieje się w jego głowie. Rozejrzał się po pokoju. Było tam wiele oprawionych w ramki czarno-białych fotografii o najróżniejszych rozmiarach, które wisiały na ścianach, stały na półkach z książkami lub na podłodze, oparte o boki biurka, czasem po dwie, trzy jedna za drugą. Wszystkie, a przynajmniej wszystkie te, które widział Titus, były zdjęciami kobiet, głównie portretowymi.

- Sądzę jednak - ciągnął Burden - że gdyby mąż tej kobiety wiedział, co ona zrobi z żalu po nim, byłby zaszokowany. Zdarzeniem, które spowodowało takie jej zachowanie, była jego śmierć, a zatem dopóki żył, nie mógł poznać tego... niezwykłego aspektu jej psyche.

Na zewnątrz odezwały się kościelne dzwony, najpierw jeden, potem drugi, bardziej oddalony, następnie trzeci, z innej strony, i jeszcze jeden. Powietrze śpiewało wraz z nimi.

Burden oderwał wzrok od fotografii i wstał.

- Chcę, żeby pan zapamiętał to zdjęcie i to, co o nim powiedziałem, panie Cain. Gdy będziemy się zastanawiać, jak rozwiązać pański problem, w którymś momencie - to nieuchronne - uzna pan, że sam wie najlepiej, jak się wywikłać z tej pułapki, w jakiej się pan znalazł. Będzie się panu wydawało, że nie musi pan mnie słuchać, że pański instynkt lepiej panu podpowiada, co należy zrobić.

Urwał i prawie się uśmiechnął. Jego twarz przybrała jakiś dziwny wyraz, który zaniepokoił Titusa.

- Jeśli pan nie chce, żebym zobaczył, jak pańska żona zareaguje na pańską śmierć - podjął po chwili Burden, zerkając na fotografię - musi mnie pan słuchać. Musi pan robić to, co panu każe robić... tak, jak panu każe to robić.

Zaskoczony tą nagłą puentą, Titus także wstał.

- Za chwilę przyjdzie tu Lália i pokaże panu, gdzie się pan może odświeżyć - dodał Burden. - A za dwadzieścia minut spotkamy się na dole i zjemy lunch - oznajmił i wyszedł.

ROZDZIAŁ 12

Zostawszy sam w gabinecie, Titus jeszcze raz spojrzął na zdjęcie. Ostrzeżenie Burdena było bardzo sugestywne i zaskoczyło go prawie okrutnym podtekstem. Sama myśl o tym działała mu na nerwy, o co zapewne chodziło Burdenowi.

Wziął jedną z książek leżących na stole i przeczytał tytuł: *Dzieje, kultura i religia epoki hellenistycznej*. Przekartkował ją i zobaczył, że na marginesach stron znajduje się wiele notatek zapisanych brązowym atramentem. Wziął inną: *Hiszpańska czerwień: Etnogeograficzne badania nad koszenilą i opuncją*. Ta też była pokryta wieloma uwagami. Pochylił się i popatrzył na otwartą książkę z wiecznym piórem między kartkami. *Opowieść kłamcy: Historia fałszu*. Jeszcze więcej marginaliów naniesionych brązowym atramentem. Z leżącego obok tomu wystawało kilkanaście zakładek: *Historia naturalna duszy w dawnym Meksyku*.

Titus był zaskoczony. Spodziewał się znaleźć książki o wywiadzie, kryptografii, międzynarodowej przestępczości, terroryzmie, handlu narkotykami... kidnaperstwie. Nic z tych rzeczy. Ale Burden najwyraźniej dysponował własnymi źródłami danych. W tym pomieszczeniu, w którym pracowały trzy kobiety, musiano przetwarzać i magazynować mnóstwo informacji. Titus przypomniał sobie również, że podczas ich rozmowy telefonicznej Burden wspomniał o swoim archiwum.

Kątem oka zauważył w progu cień i uniósł wzrok. Stała tam bosa Lália i uśmiechała się do niego promiennie. Poruszając się lekkim krokiem, poprowadziła go galerią na drugą stronę. Zostawiła go w przestronnej sypialni, gdzie pościel pachniała liliami, a zapachy dochodzące z kominka mgliście przywodziły na myśl listopadowe wieczory.

Podczas gdy Lália czekała za drzwiami, Titus umył się, spryskał włosy zimną wodą i uczesał. Kusilo go, żeby zadzwonić do Rity - w Wenecji była właśnie pora obiadowa - ale z drugiej strony nie miał jej nic do powiedzenia oprócz tego, że znalazł się w poważnych kłopotach. To by nie wystarczyło.

Bolał go kark i rozpoznał w tym początki napięciowego bólu głowy. Wsuwając koszulę w spodnie, pomyślał znowu o fotografii argentyńskiej wdowy i jej małpki oraz o tym, że Burden wybrał dla niej w swoim gabinecie miejsce, z którego praktycznie nadawała całemu temu wnętrzu określony charakter. Titus był pewny, że w tym zdjęciu jest coś więcej, niż wydaje się na pierwszy rzut oka lub wynikałoby z wyjaśnień Burdena. Był także pewny, że w samym Garcíi Burdenie jest więcej, niż dałoby się zrozumieć, nawet znając go całe życie.

Zszedł za kolorową Lalią po schodach do pokoju stołowego, z jednej strony otwartego na dziedziniec. Usiadł sam przy stole i został obsłużony przez dwie młode Indianki, które zachęcały go, żeby na nikogo nie czekał i spokojnie jadł.

Przez jakiś czas delectował się jedzeniem i piwem. Dobiegający spod arkad świergot ptaków zlewający się z szumem fontanny był niemal usypiający, nawet podniósł trochę na duchu. A potem, niespodziewanie, ścisnął mu gardło niepokój. Stwierdził, że niewiele brakuje, a zaraz się rozplacze. Jezu, co się ze mną dzieje? pomyślał. Odstawił piwo, z trudem starając się odzyskać panowanie nad sobą, - zszokowany tym nagłym wybuchem uczuć. Zażenowany przełknął ślinę. A potem jeszcze raz.

Kiedy tak starał się uspokoić, zobaczył, że z korytarza po drugiej stronie dziedzińca wychodzi Burden. Nim dotarł do pokoju stołowego, Titus zdołał zapanować nad emocjami.

Burden usiadł obok niego i jedna z dziewcząt przyniosła mu półmisek z owocami i plasterami różnych melonów. Wziął plasterki limonki i skropił jej sokiem melona. Następnie zjadł kilka kęsów, po czym wrócił do ich rozmowy, jakby jej wcale nie przerywał.

- Opowiem panu pewną historię o Luquínie - powiedział, żując kawałek kantalupa. - Na kilka miesięcy przed tym, jak opuścił Kolumbię, żeby nie przygniotły go szczątki walącego się imperium Escobara, miałem okazję zobaczyć, jak on działa. To było jedno ze zleceń Escobara, który przekazał je Tanowi przez co najmniej dwóch pośredników.

Przebywałem wtedy w Medellin w innej sprawie, ale widziałem już wystarczająco wiele jego operacji, aby poznać, że to jego robota.

Jak pan zapewne wie - ciągnął - Kolumbijczycy żarliwie pielęgnują więzi rodzinne. Są kochający i oddani swoim dzieciom, ciotkom i wujkom, całej rodzinie. To godna podziwu społeczna cecha, z której dumna byłaby każda inna kultura. Ale Kolumbia to świat wszelakich krańcowości i ta zbiorowa cnota perwersyjnie zwyrodniała w tamtejszym podziemiu kryminalnym. Każdy tam rozumie, że kiedy przestępcze przedsięwzięcie wymaga zastosowania przemocy, najdotkliwiej można zranić człowieka, uderzając właśnie w jego rodzinę. I robi się to tam z obrzydliwą regularnością.

Burden zjadł kolejny kawałek melona, po czym oparł się na łokciach i zamyślony patrzył przez chwilę na dziedziniec.

- Żona wroga - podjął przerwany wątek - jego siostry, bracia i dzieci są idealnymi celami. Często wiąże się to ze strasliwym okaleczaniem ofiar, a czasem człowiek, w którego to wszystko jest wymierzone, musi na to patrzeć. To ich ulubione posunięcie, bestialstwo mające na celu zniszczenie człowieka w człowieku, jego jestestwa. Zabicie jego ciała nigdy nie wystarcza. Nie, oni chcą także rozszarpać mu duszę. I gdyby znaleźli jakiś sposób, by zadać mu ból po śmierci, wysłaliby kogoś prosto w ogień piekielny, żeby to zrobił.

Fascynują mnie - mówił dalej Burden - te przeciwstawne oblicza przywiązania do rodziny. Jedno daje siłę drugiemu, stając się, w jakiś dziwny sposób, usprawiedliwieniem dla własnego istnienia. Człowiek zastanawia się, dlaczego jedno nigdy nie łagodzi drugiego. Dlaczego oni nigdy nie widzą twarzy własnych żon, dzieci lub rodzeństwa w twarzach ludzi, których okaleczają. Dlaczego to ich nie powstrzymuje przed kolejnym okrucieństwem lub... -

Wzruszył ramionami i wypił łyk piwa z butelki. - Ale z drugiej strony, może taka już jest ludzka natura? Może w tym jest jakiś szczególny, kolumbijski element, ale jeśli chodzi o ten brak wyobraźni i moralnych hamulców, Kolumbijczycy z pewnością nie są osamotnieni. Tano nie jest Kolumbijczykiem, ale jego metody działania, których nauczył się od nich, są takie same.

Jedna z indiańskich dziewcząt podeszła do nich, żeby zabrać butelki po piwie. Gdy tylko odeszła, pojawiła się druga Indianka, niosąc pełne butelki, zimne, z plasterkami limonki wystającymi z szyjek.

- Cóż, to w takim właśnie otoczeniu - mówił dalej Burden - Tano Luquín osiągnął dojrzałość w sztuce porywania, a potem przerósł swych nauczycieli i stał się mistrzem.

Wcisnął plasterki limonki do piwa i milczał przez chwilę, jakby nie mógł przejść do opowieści o Luquínie, którą obiecał.

- Ten mężczyzna... którego trzeba było ukarać, nazywał się Artemio Ospina... - zaczął w końcu, odprowadzając wzrokiem odchodzącą dziewczynę. - Miał troje dzieci, wszystkie poniżej dwunastu lat. Najstarsza była jego jedyna córka, którą bezgranicznie uwielbiał. - Burden pokręcił głową. - W każdym razie porwali go na ulicy i zawieźli do domu. Tam Artemio i jego córka zostali posadzeni obok siebie i musieli oglądać, jak jego żona i pozostałe dzieci są... ćwiartowane... a części ich ciał... mieszane ze sobą i ponownie składane w potworne surrealistyczne rekonstrukcje, niczym jakieś straszne lalki Hansa Bellmera.

Przerwał.

- Byłem tam potem. Widziałem to na własne oczy. Nie-wiarygodne,

Kolejna przerwa.

- Nigdy nie można powiedzieć, że widziało się już wszystko. Ludzka zdolność do bestialstwa jest bezgraniczna. Nigdy nie można powiedzieć, że widziało się już wszystko. Zawsze jest coś jeszcze bardziej niewyobraźnego, co gdzieś tam na ciebie czeka. Po prostu czeka.

Tej nocy Artemio odzyskał wolność - ciągnął. - Mógł żyć, z tymi obłąkanymi obrazami w głowie. Ale Tano jeszcze z nim nie skończył.

Zjedli i siedzieli, sącząc piwo. Burden zerknął w stronę kuchni.

- Chodźmy - powiedział. Wstał, wziął swoją butelkę i przeszli do gabinetu. Usiedli tam gdzie przedtem i Burden podjął opowieść:

- Tej samej nocy zabrali córkę Artemia. Ale Tano pilnował, żeby ojciec ją widywał. Co kilka miesięcy jego wysłannicy odszukiwali Artemia i zmuszali do oglądania zdjęć przedstawiających jego córeczkę w różnych, nieopisanie poniżających scenach. Pracowała teraz w dziecięcym biznesie seksualnym.

Na tych fotografiach - mówił dalej - widać było cierpienia zbyt potworne, by je można opisać. Wyobraźnia się przed tym wzdraga. Jej dusza zamierała kawałek po kawałku na oczach ojca. Tano mógłby to ciągnąć bez końca, ale po roku Artemio się unicestwił. Nie wiem, jak wytrzymał tak długo.

Titus siedział w milczeniu, przerażony. Napływające ku nim powietrze niesło czyste, lekkie głosiki kanarków.

- A co on, na litość boską, takiego zrobił? - zdołał w końcu zapytać. Kara, jak to bestialstwo nazwał Burden, musiała być konsekwencją czegoś strasznego.

- Był jednym z moich agentów - odparł Burden. - Zwyczajny człowiek. Nadzwyczajny człowiek. I to nie jest sprzeczność. Zwyczajni ludzie są zdolni do niewiarygodnego bohaterstwa. Jest w tym coś transcendentnego.

Burden przerwał. Zbierał się w sobie, żeby coś dodać, ale nic nie powiedział. Po dłuższej chwili jednak się przełamał:

- A Luquín nawet nie był pewien, czy Artemio dla mnie pracował. Tylko to podejrzewał. Artemio nigdy się do tego nie przyznał.

- Nawet żeby uratować rodzinę?

- Uratować rodzinę? Takiej możliwości nigdy nie było. To nie jest metoda działania Luquína. Samo podejrzenie jest jednoznaczne z wyrokiem skazującym. Artemio o tym wiedział. Przyzna się, nie przyzna... to nie miało znaczenia.

Jedyne, co miał Artemio, a czego Luquín nie mógł dostać, to była prawda. Złamany i zrozpaczony Artemio uczepił się tego strzępu godności. Powtarzał sobie, że Luquín tego nie dostanie.

Titus oniemiał. Z każdym obrazem prowokowanym przez opowieść Burdena coraz bardziej uświadamiał sobie ogrom bestialstwa Luquína.

- Mówię to wszystko - powiedział Burden, sięgając po jedno z wielu kobiecych zdjęć leżących wokół - żeby mógł pan zrozumieć, co pana spotkało. - Patrzył przez chwilę na fotografię kobiety, po czym odłożył ją i spojrzał Titusowi w oczy. - Pańska udręka się rozpoczęła. To nie jest czas na niezdecydowanie. To nie jest czas na wmawianie sobie, że negocjując z tym człowiekiem, może pan uniknąć tego, co pana czeka.

Titus znowu poczuł ucisk w żołądku.

- Niech pan posłucha - powiedział, czując, że z jego strachu i frustracji rodzi się niecierpliwość, która miesza mu myśli - ja nie chcę, żeby ktokolwiek zginął, ale... Mówi pan, bym się nie ludził, że mogę negocjować z tym człowiekiem. W porządku, cóż, to nie pozostawia mi zbyt wielu możliwości.

Burden pólleżał w fotelu, ale gdy Titus mówił, stopniowo się prostował i Titus zobaczył, że coś się dzieje na jego twarzy, coś subtelnego, ale jednoznacznego, co wymazało ten spokój, który do tej pory zdawał się dominować w jego zachowaniu.

- Pytanie - rzekł - czy powinien pan iść z tym do FBI, i zaryzykować, że jeśli Luquín się o tym dowie, poniesie pan konsekwencje. - Przerwał. - Mówię panu, że on się dowie. To niemożliwe, żeby się nie dowiedział. Musi pan zadać sobie pytanie: Ile osób pozwolę mu zabić, nim dotrze do mnie ta prawda? - Popatrzył na Titusa. Z jego twarzy zniknęła cała uprzejmość. - Musisz wiedzieć, Titus...

To, że zwrócił się do niego po imieniu, miało na Titusa nagły, zaskakujący wpływ. W jednej chwili uczyniło z nich sojuszników, jakby byli związani sercem, krwią i ideałami.

- ...że jedna lub dwie osoby już nie żyją. Nie dosłownie, ale chcę powiedzieć, że są już praktycznie martwe. On to

musi zrobić, żeby wiedzieć, że ty wiesz. Zdaje sobie sprawę, że nie zdołasz go właściwie zrozumieć, dopóki nie przeżyjesz związanego z tym szoku.

- To niewyobrażalne - odparł Titus. - To nie ma żadnego sensu.

Burden popatrzył na niego tak, jakby starał się upewnić co do czegoś, co najwyraźniej nie stało się jeszcze dla niego oczywiste. To było prawie tak, jakby próbował ustalić, czy jego rozmówca jest godny zaufania.

- Byłoby błędem, Titus, gdybyś uwierzył, że ta sprawa dotyczy tylko ciebie i Luquína. Obecnie obiektyw jest skierowany na ciebie, ale tylko dlatego, że to Tano skupił się na tobie. Ten obraz zawiera więcej elementów, niż możesz zobaczyć ze swojego punktu widzenia. Jesteś tylko jednym detalem pośród wielu, ale na razie bardzo ważnym detalem.

Burden przerwał i usiadł wygodniej w fotelu. Ale nie przybrał poprzedniej, leniwej pozycji.

- W ciągu następnej godziny lub dwóch będziemy musieli podjąć wiele decyzji - powiedział. - Wierzę, że jesteś dobrym i uczciwym człowiekiem, Titus. Wierzę, że będziesz uczciwy wobec mnie.

Umilkł na chwilę, a w jego wzroku pojawiła się surowa powaga, pogłębiły się zmarszczki wokół oczu.

- Powiniennem ci opowiedzieć - podjął - jak się skończyła historia tej małej dziewczynki. - Znowu przerwał, a jego wzrok pobiegł ku jakiemuś punktowi po drugiej stronie gabinetu. - W końcu ją znalazłem, kilka lat później. Właściwie jej grób. Miał... zaledwie... trzy tygodnie. Tylko trzy tygodnie. Doprowadziłem... - znowu skierował oczy na Titusa - doprowadziłem do ekshumacji. Chciałem ją zobaczyć... na własne oczy. Musiałem wiedzieć... ponad wszelką wątpliwość... że jej piekło się skończyło.

Przełknął ślinę. Ciągłe patrzył na Titusa, ale go nie widział. Znowu przełknął.

- Ale ona tyle wycierpiała... a to ją zmieniło fizycznie. Mimo to jestem prawie... pewny... że to była ona.

ROZDZIAŁ 13

Ziemia Charliego Thrusha leżała kilkanaście mil na południowy zachód od Fredericksburga. Jego dom, zbudowany z miejscowego kamienia i drewna, głównie dębowego oraz kasztanowego, stał w samym środku małej doliny porośniętej licznymi strumieniami. Brzegi największego z nich, który płynął dołem, gęsto porastały platany.

Chociaż Charlie nie był ranczerem, zawsze marzył o takim życiu, toteż po kilku latach, które spędził z Louise w ich nowym domu, szybko wszedł w rolę właściciela ziemskiego.

Tego popołudnia miał do załatwienia dosyć prostą sprawę. Przez ostatnie cztery lata stary suchy platan stał samotny i opuszczony siedemdziesiąt pięć jardów od głównego domu, blisko tylnego narożnika trzypokojowego budyneczku, w którym znajdowało się biuro Charliego. Odkąd drzewo uschło, Charlie co roku przymierzał się do tego, żeby je ściąć, a teraz jego szkielec stał się wręcz symbolem, dokuczliwym przypomnieniem jego skłonności do odkładania wszystkiego na później. W końcu dopisał to do listy zadań na ten miesiąc i dziś był właśnie ten dzień, który sobie wyznaczył na tę pracę.

Miał zamiar zacząć wcześniej, kiedy jest jeszcze chłodno, ale zasiedział się w sadzie brzoskwiniowym i kiedy pomyślał znowu o drzewie, był już późny ranek. Uświadomił sobie wtedy, że będzie mógł się zabrać do pracy dopiero po lunchu.

Gorącym wczesnym popołudniem Charlie ruszył ku szopie z narzędziami wraz z dwoma meksykańskimi robotnikami, którzy pojawili się kilka dni wcześniej w poszukiwaniu pracy. Słyszeli, że oczyszcza z zarośli teren wokół źródła w dąbrowie kilkaset jardów od domu. Charlie zatrudnił ich i pozwolił im spać w szopie nieopodal źródła. Okazali się jednak niezbyt pracowici, toteż postanowił, że nie zatrzyma ich na dłużej. Poprzedniego dnia powiedział im, że będzie potrzebował ich pomocy przy ścinaniu platana. Zwolni ich jutro.

Mężczyźni nieśli szesnastostopową drabinę, a Charlie taszczył swoją dwudziestocalową piłę łańcuchową marki Stihl. Gdy doszli do drzewa, Meksykanie wzniesli drabinę tak wysoko, jak to było możliwe, i oparli o platan w rozwidleniu najgrubszego z jego gołych konarów. Przytrzymywali ją, czekając, aż Charlie sprawdzi piłę i przyczepi ją do uprzęży, którą zrobił, żeby sam mógł wnosić na drzewa różne narzędzia.

Cięcie z drabiny bywa wyczerpujące, dlatego sporządził tę uprzęż tak, że mógł wyłączyć piłę i puścić ją, a wtedy wisiła na rzemieniu. Uwalniał dzięki temu ręce, gdy chciał zmienić pozycję i znaleźć pewniejsze oparcie dla stóp. Dla człowieka w jego wieku była to uciążliwa praca.

Wspiął się na drabinę, przyjął stabilną pozycję i uruchomił piłę. Kilka razy dodał gazu, aż się upewnił, że wszystko z nią w porządku, po czym zaczął ciąć, sięgając najpierw, póki miał jeszcze energię i wypoczęte mięśnie, do wyższych konarów.

Meksykanie zbierali na dole spadające gałęzie i odciągali je na bok. Praca posuwała się szybko, ponieważ były suche i bezlistne, toteż wkrótce Charlie chciał już przestawić drabinę. Ale wtedy coś poszło nie tak.

Kiedy miał zatrzymać piłę, dźwignia przepustnicy urwała się i silnik zawył na pełnych obrotach. Zaparłszy się udami na drabinie, sięgnął do wyłącznika. Ale wyłącznik nie działał. Przesuwał się swobodnie do przodu i do tyłu, ale nic z tego nie wynikało.

Pchnął przedramieniem hamulec łańcucha wyjącej na najwyższych obrotach maszyny, ale łańcuch wciąż się przesuwiał z tą samą prędkością - bolce były zbyt luźne, żeby go zatrzymać.

I wtedy Charlie poczuł, że drabina się porusza.

Popatrzył w dół i zobaczył, że dwaj Meksykanie przywiązali sznur do jednej z nóg drabiny i teraz jeden z nich powoli wyciąga ją spod nóg Charliego. To było jak oglądanie ptaka lecącego do tyłu lub kojota wzbijającego się w niebo. Nie miało absolutnie nic wspólnego z logiką. Wyglądało po prostu dziwnie.

Wrzasnął do nich:

- Co wy, do diabła, robicie?! Co jest?! Hej!!

Nagle, słysząc wizg ciężkiej piły, którą trzymał w ręce, uświadomił sobie, jak to się może dla niego skończyć.

Jeśli ją puści, żeby chwycić się konara oburącz, piła zaświśnie na uprzęży i moment obrotowy wyjącego silnika przyciągnie do niego łańcuch, który obetnie mu nogi... Jeśli uchwyci się konara jedną ręką, a w drugiej będzie trzymał piłę, zabraknie mu w końcu sił i spadnie na obracający się łańcuch...

Gdyby jednak zdołał wejść szczebel wyżej, zanim tamci wyciągną spod niego drabinę, i położyć piłę na konarze, mógłby ją odczepić od uprzęży i zrzucić na dół...

Czując, że drabina odchyła się w bok, wszedł szczebel wyżej i przez chwilę wyjąca piła leżała chwiejnie na gałęzi, po czym, gdy Meksykanie wyrwali spod niego drabinę, zsunęła się na drugą stronę.

Wszystko to przebiegło w jednym płynnym ciągu zdarzeń. Mówi się, że w chwili śmierci ostatnim zmysłem, który zamiera, jest słuch. Charlie nie mógł tego potwierdzić. Dziwne, ale gdy wyjący przenikliwie łańcuch wgryzł się w jego ciało, nie poczuł wielkiego bólu. Szarpiąca się chaotycznie w jego wnętrzościach piła wypatroszyła go. Moment obrotowy silnika miotał nią na wszystkie strony jak oszalałą żywą istotą, rozcinając go coraz bardziej, jakby był sprawianym jeleniem wiszącym na drzewie.

Czuł swąd gorącego silnika, plującego olejem i benzyną.

Odrętwienie przyszło szybko i nie był pewny, jak i kiedy puścił się konara. Zdawał sobie sprawę, że jego ciało kręci się dokoła splecione z wyjąca piłą. Zdawał sobie sprawę, że się kołysze na wszystkie strony. Nawet słyszał chlupoczący odgłos, który towarzyszył wyszarpywaniu i rozpryskiwaniu jego wnętrzości.

W pewnej chwili wydało mu się, że wraz z kolejnym uderzeniem piły odleciała mu ręka.

Widział światło słońca i ziemię, i Meksykanów obserwujących wszystko z zaciekawieniem, ale bez zaskoczenia. Widział drzewa i las, a nawet ciemne kropelki lecące w powietrzu.

Gdzieś w jego tułowiu coś się oddzieliło i spadło.

Wściekły wizm pily był wręcz ogłuszający. Z ust wypadały mu strzępy płuc. Widział coraz gorzej. Nie było tak źle; warkot także stopniowo cichł mu w uszach i chociaż Charlie nic nie czuł, zdawał sobie sprawę, że się kołysz.

ROZDZIAŁ 14

Szpakowata kobieta z archiwum Burdena przyniosła dwa grube segregatory zawierające dossier Cayetana Luquína. Burden zrobił miejsce na okrągłym stole do czytania i zostawił Titusa z dokumentami, a sam wyszedł z kobietą.

Dossier było zwykłym biogramem urozmaiconym fotografiami. Był w nim szczegółowy indeks odnośników do innych pozycji w archiwum Burdena oraz archiwach najróżniejszych amerykańskich, a także zagranicznych służb policyjnych i wywiadowczych. Titusa zaskoczyła liczba szczegółów osobistych (rozmiary ubrań, ulubione potrawy, najczęściej wypożyczane kasety wideo, historie chorób) i to, że sporo miejsca poświęcono psychologicznemu portretowi Luquína.

W pewnej chwili, czytając przypis, Titus trafił na odnośnik do pracy napisanej przez Garcíę Prieto Burdena, wykładowcę z Ośrodka Badań nad Terroryzmem i Przemocą Polityczną uniwersytetu w St. Andrews w Szkocji.

Raporty na temat czterech porwań w Rio de Janeiro zawierały więcej szczegółów, niż Burden podał Titusowi, i znajdowały się w nich odnośniki do obszerniejszych opracowań. Dossier wyglądało na dokładne i drobiazgowo, ale było w nim wiele miejsc noszących ślady wymazywania informacji, zapewne tych, których Titus nie powinien zobaczyć.

Tak jakby miał zdolność jasnowidzenia, Burden wszedł do gabinetu w chwili, gdy Titus kończył czytać ostatnią stronę. Zatrzymał się w niewielkiej odległości od stołu, przy którym tamten siedział. Światło padające z drzwi wychodzących na drugi dziedziniec obramowało jego sylwetkę, a w półmroku panującym w pokoju trudno było dostrzec wyraz jego twarzy.

- Co o tym myślisz? - zapytał Burden.

Informacje z akt były tak szokujące, że Titus miał wrażenie, że czyta fikcję literacką. Dossier, wraz z relacjami Burdena o zbrodniach Luquína, napełniło go lękiem. Ten człowiek był niczym złośliwa choroba, która przez jakiś dziwny, biologiczny kaprys stała się groźna dla jego przyjaciół i rodziny.

Ale Titus starał się też czytać między wierszami i wydało mu się, że z kontekstu tych fragmentów, które usunięto z akt, wynika, iż Luquín stanowi groźbę na skalę znacznie przekraczającą wymuszenia i porwania, nawet jeśli okup sięgał dziesiątków milionów dolarów. Titus miał wrażenie, że zabójczy wpływ Luquína obejmuje wiele kontynentów. Burden już zrobił na ten temat aluzję, ale wymazanie części informacji z dossier wyraźnie wskazywało na to, że w tej sprawie Cain może się spodziewać od niego tylko aluzji.

- To jest cholernie przerażające - odparł Titus. - To właśnie myślę. - Przełknął ślinę, patrząc na Burdena. - Ale... pomóż mi to zrozumieć... Jeśli Luquín zaczął zabijać ludzi... to znaczy on mi grozi prawdziwą rzezią. Może coś takiego uszłoby mu na sucho w Kolumbii, ale przecież nie w Stanach. Jak mógłby to zrobić?

Burden patrzył na niego, nic nie mówiąc. Stał po prostu w milczeniu, czekając, aż Cain sobie wreszcie przypomni. Oczywiście, że to mogłoby się stać w Austin. Boże, jeśli czegoś się nauczyłem z wizyty Alvara, pomyślał Titus, to właśnie tego, że wszystko może się zdarzyć wszędzie. Śmierć, nawet szokująca, nie czyni żadnych specjalnych wyjątków z uwagi na geografię czy narodowość. Titus pochylił głowę.

- No tak, to było głupie - przyznał, unosząc wzrok - pomóż mi jednak zrozumieć, jak on chce spełnić swoje groźby, zachowując wszystko w tajemnicy, którą obiecuje i której żąda. Chodzi mi o to, jak mógłby zrobić to, o czym mówi. Chaos i tajemnica po prostu nie są kompatybilne.

Sylwetka Burdena - ręce w kieszeniach, jedno ramię nieco niżej od drugiego - oddaliła się od drzwi i przesunęła w cień przy szafach bibliotecznych. Światła było tam mało i Titus nie widział go zbyt dobrze. Na zewnątrz dzień przechodził w późne popołudnie.

- To nie tak - odparł Burden. - W Austin nie zrobi tego, co robi w Kolumbii lub Brazylii. Nie jest głupi. Wróćmy do spraw z Rio. Za każdym porwaniem Tano uczył się coś robić i czegoś nie robić. Przypadek pierwszy: nauczył się, że specjaliści od negocjacji ograniczają jego zyski, a cała operacja przebiega mniej sprawnie niż powinna. Przypadek drugi: eliminuje ich, kontaktując się z rodziną zamiast z firmą. Ale wciąż musi naciskać na rodzinę, żeby ona naciskała na firmę w kwestii zapłaty. Wywieranie presji na dwa odrębne ośrodki wciąż jest za mało efektywne. Przypadek trzeci: tym razem upewnia się, że do ofiary i jego bliskich należy główny pakiet akcji firmy. Będą mieli większą niż zwykły pracownik możliwość wpłynięcia na nią, żeby zapłaciła. Żądania są skierowane do rodziny, a nie firmy. Kiedy coś się zaczyna w rokowaniach, porywa krewnego pierwszej ofiary, zmuszając rodzinę, żeby wywarła nacisk na firmę. Luquín dostaje pieniądze, których żądał. Przypadek czwarty: wybiera ofiarę, która jest głównym akcjonariuszem firmy. Ale to była spółka giełdowa i niektórzy członkowie zarządu nalegali na tę supertajną interwencję antyterrorystów. Sprawilo mu to wiele kłopotów i żeby wyrzucić presję na kierownictwo firmy, musiał zagrozić, że zabije więcej pracowników.

Burden szedł wolno wzdłuż szaf z książkami, aż w końcu stanął przy stopach nagiej kobiety z małpką.

- Piąty przypadek: ty. Czego się nauczył? Redukować liczbę źródeł kłopotów. Żadnych negocjatorów. Żadnej policji. Żadnego konfliktu interesów między firmą a rodziną. Żadnej spółki giełdowej z zarządem, przed którym trzeba odpowiadać. I coś nawet bardziej wyrafinowanego: żadnego przestępstwa. Będziesz kupował akcje przedsiębiorstw zagranicznych. Wszystko odbędzie się po cichu... i z pozorami legalności.

Burden umilkł. Zrobił kilka kroków w stronę Titusa.

- Po cichu - powtórzył. - Co nam to mówi, Titus? Czy myślisz, że on popełni w Austin serię zuchwałych zabójstw w kolumbijskim stylu? Pamiętaj: powiedział, że kiedy to wszystko się skończy, nikt nawet nie będzie wiedział, że popełniono jakieś przestępstwo.

Przeszedł przez pokój i stanął po drugiej stronie stołu, przy którym siedział Titus. Zamyślony, położył palec na wiecznym piórze, które leżało między kartkami otwartej książki.

- Wyobraź sobie coś takiego, Titus. Powiedzmy, że uznajesz, iż współpraca ze mną nie jest właściwym rozwiązaniem. Idziesz do FBI. Luquín natychmiast się o tym dowiaduje i znika. Mówisz wszystko FBI, ale tak naprawdę nie masz żadnego dowodu, że to, co im opowiadasz, się wydarzyło. Z wyjątkiem martwych psów. Już oczyściliśmy twój dom z pluskiew. Informacje federalnych o Luquinie są bardzo skąpe, a poza tym od dziesięciu lat go nie widziano. Stwierdzają, że twoja opowieść jest interesująca, ciekawa, lecz szczerze mówiąc, także trochę podejrzana. Ale już po wszystkim, a ty uniknęłaś straty ogromnych pieniędzy. Ocalałeś ludziom życie. Sprawa zamknięta.

Sześć miesięcy później - mówił dalej Burden - niespodziewanie umiera twój przyjaciel. Wypadek samochodowy. Lub na polowaniu. Albo atak serca. Potem otrzymujesz e-mail: „Cześć, Titus. Mówiłem ci, żebyś nie powiadamiał FBI. Powinieneś mnie być posłuchać”. Znowu idziesz do FBI i mówisz im, co się stało. Wysłuchują ciebie. Jesteś szanowanym człowiekiem, traktują to więc poważnie. Ale nic nie mogą zrobić w tej sprawie, bo nie udowodnią, że wypadek był w rzeczywistości morderstwem popełnionym przez złego faceta z Brazylii.

Upływa trochę czasu - kontynuował. - Żona przyjaciela tonie we własnym basenie. Otrzymujesz e-mail: „Cześć, Titus. To znowu ja. Powinieneś mnie być posłuchać”.

Pięć miesięcy później nastoletnia córka innego przyjaciela, mieszkającego po drugiej stronie kontynentu, bierze śmiertelną dawkę prochów. To szokujące, ponieważ dziecko nigdy nie miało z narkotykami nic wspólnego. Dostajesz e-mail: „Cześć, Titus...”

Burden przesunął pióro o cal lub dwa wzdłuż kartki.

- Pojmujesz, jak to się może stać? - zapytał. - Za każdym razem idziesz do FBI. Ale musisz zrozumieć, że Luquín nie zawsze będzie uderzał w twoich najbliższych przyjaciół. Rozsieje śmierć po całym kraju i po różnego rodzaju twoich

związkach. Może nawet uśmiercić dalekich krewnych twoich pracowników. Raz na sześć miesięcy. Raz na rok. Czy możesz sobie wyobrazić, ilu ludzi zginie, zanim FBI zdoła ustalić związki przyczynowo-skutkowe? Jeśli kiedykolwiek im się to uda.

Wyobrażasz sobie - podjął po chwili - jak będą na ciebie patrzeć, gdy będziesz ciągle do nich wracał, mówiąc: „Proszę! Musicie mi uwierzyć. Ten wypadek z traktorem w Iowa był w rzeczywistości morderstwem. Jest facet z Brazylii, który chciał wymusić ode mnie sześćdziesiąt cztery miliony dolarów...” A Luquín już dopilnuje, żebyś nie mógł skopiować jego e-maili. Nie będzie żadnego dowodu. To się może ciągnąć bez końca.

Tano Luquín nie wyznaje żadnej ideologii - ciągnął Burden. - Nic nie wie o ideałach, marzeniach lub polityce i zupełnie go to nie obchodzi. Jest zwykłym kryminalistą. Skorumpowanym. Brutalnym. Egoistycznym. Takiego człowieka można znaleźć w każdym pokoleniu i w każdej kulturze. To drapieżnik. Masz coś, czego on chce, i on weźmie to sobie.

Różnica jest jednak taka, że w tych czasach tacy przebiegli ludzie jak Luquín mają do dyspozycji o wiele potężniejsze środki techniczne. Żeby przewidzieć ich posunięcia, musisz sięgnąć wyobraźnią poza normalność. Zapewniam cię, że oni to zrobili. Luquín jest bogaty. Jego metody działania i środki, które ma do dyspozycji, są bardzo wyrafinowane. Jego wyobraźnia i apetyty nie mają granic.

Burden wyłożył swoje racje tak dobrze, że aż mroziło to krew w żyłach.

- W porządku - odezwał się Titus - więc po prostu odpowiedz mi, czy możesz go powstrzymać. Możesz ocalić tym ludziom życie?

Burden nie odpowiedział natychmiast i z każdą sekundą jego wahania malały nadzieje Titusa.

- Myślę, że mogę go powstrzymać - odparł w końcu Burden. - Mogę ocalić życie wielu ludziom. Ale nie wszystkim. Już ci to powiedziałem.

Musisz pamiętać - kontynuował - że ego Tana jest bezpośrednio związane z pozycją, jaką ma we własnych oczach.

Ostrzegł cię. Postępując wbrew jego ostrzeżeniom, obrażasz go, bo nie uznajesz, że może ci dyktować warunki. Zapłacisz za to. A on dopilnuje, żebyś wiedział, że za to płacisz.

Titus poczuł się jak w potrzasku.

- Mógłbym po prostu sięgnąć do portfela. Mieć to z głowy.

- Taa, mógłbyś to zrobić - zgodził się Burden. - I może w twoim wypadku to by wszystko zakończyło. Ale byłaby to jednocześnie gwarancja, że Luquín będzie dalej robił to, co robi, i to mając do dyspozycji nawet większe środki niż do tej pory. Zagwarantowałbyś, że ktoś inny będzie musiał przejść przez to samo piekło, przez które ty przechodzisz. A twoje pieniądze posłużyłyby do sfinansowania tego piekła. Nie wiem jak ty, ale ja nie chciałbym mieć czegoś takiego na sumieniu.

Titus stwierdził, że oddychanie przychodzi mu z trudem.

Popatrzył w stronę okien. Czuł się wyalienowany, odsunięty od życia, które wiódł jeszcze dzień wcześniej. Zagubiony. Dochodzące z zewnątrz światło i dźwięki były obce. Język był obcy. Zapachy należały do innych ludzi, a rytm życia do innej kultury. Wszystko to składało się na jego niepewność.

Oprócz niepewności wciąż jednak czuł gniew. Wciąż się w nim tlił, powoli ewoluując w postanowienie, żeby się bronić. Jakoś. Ale nie kosztem czyjegoś życia. Nawet jednego. Burden miał przypuszczalnie rację, kiedy mówił, że Luquín dowie się, jeśli on powiadomi FBI. Prędzej czy później. Poza tym była jeszcze ta druga przepowiednia Burdena, że ktoś i tak umrze, tylko po to, żeby Luquín mógł ugruntować swoją władzę nad Titusem.

Spojrzał na Burdena, który przyglądał mu się z uwagą znad okrągłego stołu. Jego twarz zdawała się opowiadać o skutkach ustawicznych tajnych walk. Jakikolwiek było jego życie, nie mógł go całkowicie skryć przed kimś, kto naprawdę chciałby spróbować zrozumieć, co widzi. To było wyrzeźbione w twarzy Burdena i odcisnęło się smutkiem w jego oczach. Cokolwiek to było, ten człowiek drogo za to zapłacił. Titus nie mógł tego zignorować.

Poza tym było jeszcze zapewnienie Gila Norlina, że jeśli postąpi zgodnie z radą tego człowieka, nie będzie się musiał martwić, czy postępuje dobrze, czy źle. Może wierzyć w to, co on powie.

Titus wziął głęboki oddech.

- W porządku - powiedział do Burdena - zrobmy to, co musimy zrobić. I to tak szybko, jak tylko można.

ROZDZIAŁ 15

- Tacy faceci jak Tano świetnie wykorzystali wpływ, jaki na Stany Zjednoczone miały akty terroryzmu - powiedziała Mattie Selway, ta szpakowata kobieta, którą Titus widział w „sztapie” Burdena. Przyłączyła się do nich w gabinecie. Przyniosła czarny segregator, który teraz trzymała na kolanach, przerzucając od czasu do czasu kartki i robiąc na nich notatki. - Przewidzieli, że przynajmniej w najbliższej przyszłości zadaniem większości sił policyjnych, służb wywiadowczych i bezpieczeństwa wewnętrznego będzie walka z tym nowym zagrożeniem. Takie sytuacje zawężają społeczną percepcję. Ludzie domagają się, żeby to cholerne niebezpieczeństwo zostało zażegnane, żeby to się skończyło. Rząd chce ich zadowolić. Luquín wiedział, że wkrótce cała uwaga w Stanach - a także pieniądze - będzie skupiona na walce z międzynarodowym terroryzmem. Widzimy to w zmianach zadań stawianych FBI: wycofuje się wielu agentów zajmujących się narkotykami, przestępstwami z użyciem przemocy oraz urzędniczymi i kieruje ich do walki z terroryzmem.

Słońce skryło się za strzelistymi eukaliptusami i zmierzało na zachód, ku Sierra de Morenos. Siedzieli w niepokojącym półmroku, który Titusowi zaczynał się już kojarzyć z Burdenem.

- Tę sprawę wyróżnia kilka rzeczy, które są dla nas interesujące - kontynuowała Mattie. - Po pierwsze: wielkość okupu, oczywiście. To przypuszczalnie odzwierciedla przeświadczenie Luquína o realności jego planu. Po drugie: to, jak chce, żeby mu wypłacić pieniądze. Sprytne. To się uda.

Kiedy porobi pan te inwestycje, pieniądze znikną w elektronicznej otchłani. I po trzecie: to, że Luquín przekroczył granicę, żeby tym pokierować.

- Myślę, że to ostatnie daje nam sposobność zrobienia pierwszego kroku - odezwał się Burden z ciemnej części pokoju, której wciąż się trzymał. - Mattie natomiast uważa, że naszą największą szansą są nietypowe operacje finansowe. Tak czy owak należy poczynić podstawowe przygotowania. Twój laptop jest gotowy. Mniej więcej godzinę temu rozmawiałem z Herrinem, który powiedział, że w całym twoim domu znajdują pluskwy. - Przerwał i popatrzył na Titusa. - I musisz ściągnąć żonę - dodał.

Zanim Titus zdążył otworzyć usta, żeby odpowiedzieć, w drzwiach otwierających się na galerię pojawiła się Maja.

- García - powiedziała - mamy wiadomość od Luquína na laptopie pana Caina.

Kilka minut później wszyscy stali przy jednym z biurk i wpatrując się w ekran komputera Titusa, czytali niewiarygodną wiadomość.

PONIŻEJ JEST LISTA PRZEDSIĘWZIĘĆ, W KTÓRE ZECHCE PAN ZAINWESTOWAĆ I/LUB WESPRZEĆ JE FINANSOWO. SUGERUJĘ, ŻEBY ROZPOCZĄŁ PAN NATYCHMIAST OD PIĘTNASTU PROCENT Z SUMY SZEŚCZDZIESIĘCIU CZTERECH MILIONÓW DOLARÓW, KTÓRE CHCIAŁ PAN NA TO PRZEZNACZYĆ.

PROSZĘ ZAKOŃCZYĆ TRANSAKCJĘ W CIĄGU CZTERDZIESTU OŚMIU GODZIN OD CHWILI, GDY OTRZYMA PAN TĘ WIADOMOŚĆ.

W CIĄGU NASTĘPNYCH SIEDEMDZIESIĘCIU DWÓCH GODZIN PROSZĘ DOKONAĆ KOLEJNEJ INWESTYCJI W WYSOKOŚCI TRZYDZIESTU DWÓCH PROCENT CAŁEJ SUMY.

FIRMA MARCELLO CAVATINO INVERSIONES SA Z BUENOS AIRES BĘDZIE CHĘTNIE ŚWIADCZYĆ PANU FACHOWE USŁUGI KONIECZNE DO PRZEPROWADZENIA TYCH TRANSAKCJI.

Poniżej była lista firm i organizacji charytatywnych. Jedna w Meksyku, dwie w Brazylii, po jednej w Libanie i St. Kitts, dwie w Monako. Titus wpatrywał się w

ekran z otwartymi ustami.

- Bonnie, sprawdź, czy możesz je odnaleźć - powiedział Burden do Azjatki, która teraz miała na sobie dzinsy i wyszywaną *huipil* z rejonu Oxaca. Siadła przy innym komputerze i zabrała się do pracy.

Titus patrzył jeszcze przez chwilę w ekran, po czym bez słowa usiadł na jednym z krzeseł. Był wstrząśnięty. Ile razy da się jeszcze tak zaskoczyć? Nie wiedział, jaka będzie pierwsza wiadomość od Luquína, ale nie spodziewał się czegoś takiego.

- O co chodzi? - zapytał Burden. - Problem z płynnością?

Titus był tak pogrążony w myślach, że nic do niego nie docierało. Pieniądze. Jezu. Powinien sobie to zapisać na kawałku papieru i co jakiś czas oglądać: Ta cała sprawa była tak nierzeczywista, że nie zastanawiał się jeszcze tak naprawdę nad tym, czym będzie dla niego strata sześćdziesięciu czterech milionów dolarów - jednej czwartej wartości CaiTekstu.

- To prawie dziesięć milionów w dwa dni - powiedział Burden - a potem około dwudziestu jeden milionów w trzy dni.

- Tak, mogę zgromadzić dziesięć. Będę się jednak musiał nagimnastykować, żeby zdobyć dwadzieścia jeden.

- Dobrze. Cóż, będziemy musieli działać szybko - stwierdził Burden, zerkając na zegarek. - Ze względów praktycznych zapamiętajmy, że jest wpół do czwartej.

Mattie zwróciła się do Titusa.

- Żądanie Luquína w tej sprawie jest o wiele prostsze do spełnienia niż pranie pieniędzy - powiedziała. - Piorąc pieniądze, starasz się ukryć, skąd one pochodzą. W tym wypadku to nie jest problem. Luquín stara się ukryć, dokąd te pieniądze idą dalej. Tak więc kiedy Cavatino zacznie rozdzielać pańskie inwestycje między tych siedem przedsięwzięć, będzie to prawdopodobnie ostatni moment, kiedy będziemy wiedzieli o nich coś na pewno. Później zostaną zasypane pod lawiną najrozmaitszych operacji.

- García - odezwała się od swojego komputera Bonnie - mam je. Nie, czekaj, jedna z organizacji charytatywnych,

ta z Monako, jeszcze się nie pokazała. Wszystkie nie mają nawet roku. Tylko Marcello Cavatino Inversiones jest na rynku od trzech lat.

- Dobrze. Popracuj nad nimi.

Burden wciąż czekał, patrząc na ekran komputera wraz z Mattie i Indianką, jakby oczekiwali na jeszcze jedną wiadomość. W pokoju słychać było jedynie stukot przebiegających po klawiaturze palców Bonnie.

Sygnał dźwiękowy kolejnej wiadomości zabrzmiał jak wystrzał z rewolweru.

- Oto jest - powiedziała Maja, a na ekranie ukazał się krótki, zwięzły tekst.

CHARLIE THRUSH ZAPŁACIŁ ZA PAŃSKĄ GŁUPOTĘ.
POWINIEN SIĘ PAN POGODZIĆ Z TYM, ŻE JEST PAN OBSERWOWANY.

Titus znowu stał, wpatrując się w ekran ponad ramieniem dziewczyny. Upłynęło trochę czasu - nie miał pojęcia ile - zanim zdołał dopasować dwa słowa do sytuacji. Charlie Thrush?

I wtedy Burden zapytał:

- Gdzie mieszkał Thrush?

Czas przeszły użyty w tym pytaniu był dla Titusa jak cios w żołądek. Nagle stwierdził, że w ustach nie ma ani kropli śliny.

- Na ranczu na zachód od Austin.

- Gdzie? Dokładnie.

- Koło Fredericksburga. - Pomyślał, że zaraz zwymiotuje.

- Roshia - powiedział Burden.

Maja odwróciła się, usiadła przy innym komputerze i zaczęła wściekle walić w klawiaturę.

Titus zamknął oczy i zobaczył mówiącego Charliego. Jego tyczkowate ciało spoczywało leniwie w fotelu przed komputerem, jego długie palce tańczyły po klawiaturze, jakby grał na fortepianie, a jego głowa była na wpół odwrócona, kiedy tłumaczył teorię leżącą u podstaw widocznych na ekranie obliczeń z mechaniki kwantowej. Titus zobaczył go czytającego książkę w małej plamie światła w ciemnym pokoju. Zobaczył go podającego Ricie wiklinowy koszyk z

własnymi brzoskwiniami i mówiącego do niej z figlarnym uśmiechem, że Titus wciąż nie potrafi wyhodować czegośkolwiek tak słodkiego jak te owoce.

- Mam - powiedziała Rosh, czytając informację. - Trochę ponad trzy godziny temu biuro szeryfa z hrabstwa Gillespie otrzymało wezwanie z rancza Thrusha nad Schumann Creek. Tu jest tylko napisane, że odpowiedzieli na nie.

Titus miał wrażenie, że jest zupełnie gdzie indziej. Poczłował rękę na ramieniu, a potem siedzenie krzesła dotknęło tyłu jego kolan. Usiadł. Słyszał, jak klawisze komputera stukają, stukają, stukają. Był bardzo słaby. Drżał. Słyszał, jak tamci rozmawiają, jakby nie było go w pokoju. Nie uświadamiał sobie, czy na coś patrzy, ani nawet czy coś widzi. Nie był świadomy samego siebie.

- Mam - powiedziała znowu Rosh. - Dom Pogrzebowy Speera. Pół godziny temu przyjęto ciało Charlesa Thrusha z hrabstwa Gillespie. Przyczyna śmierci: wypadek podczas pracy na ranczu.

W pokoju zapadło kłopotliwe milczenie. Nie znali człowieka. Nie znali nawet Titusa. Czego mógł się po nich spodziewać? Płaczu? Śmierć Charliego była dla nich sprawą tak daleką jak raport meteo z Azorów.

Ciszę przerwał Burden. Jego głos był zarazem łagodny i podenerwowany.

- Widzisz, jak to się będzie toczyło - powiedział. Titus miał wrażenie, że twarz mu płonie. Uczucia, które nim szarpały, były nie do opisania. Podszyty wstydem lęk, gniew i panika. Nie było tu nic, z czym mógłby się identyfikować. Zarzut, że ponosi odpowiedzialność za śmierć Charliego, był nieunikniony. Burden nawet go zapytał, czy Luquín zabronił mu kontaktować się z firmami ochroniarskimi. Titus pamiętał to klaustrofobiczne uczucie, jakie go ogarnęło na myśl, że miałby żyć ze świadomością, iż Luquín słucha każdego słowa, które on wypowiada. Przypomniał sobie, jak powiedział: „Nie mogę tak żyć”. Cóż, teraz było oczywiste, że może. I powinien. Ale jak, na litość boską, ma dalej żyć z tą świadomością? Obliznął wargi.

- Rita jest teraz z Louise Thrush w Wenecji - powiedział. - Muszę je tu ściągnąć. - Zanim ostatnie słowo padło z

jego ust, popatrzył z lękiem na Burdena. - Jezu Chryste. Luquín o tym wie, prawda?

Słuchał odgłosów połączeń, a potem sygnału dzwoniącego telefonu. W Wenecji było wpół do trzeciej rano. Po ich rozmowie Rita już się nie położy spać.

Kobiety Burdena siedziały do niego tyłem, ostentacyjnie pogrążone w pracy, czy to przy komputerze, czy też nad jakimiś papierami. Doceniał ten gest, mający mu zapewnić choćby symboliczną prywatność. Sam Burden czekał na krzesło przy sąsiednim biurku. Nie odwrócił się - chciał słyszeć rozmowę.

- To możesz być tylko ty, Titus - odezwała się sennie Rita.

- Przepraszam - odpowiedział.

- Wiem, że wiesz, która tu godzina - ciągnęła chropawym głosem, a on wyobraził sobie, jak mówiąc to, zerka na budzik na stoliku przy łóżku. - Wiesz, kochanie, gdybyś poczekał kilka godzin, byłabym już na nogach.

Nie wiedział, jaki przyjąć ton. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Po kilku słowach i tak to wyczuje, usłyszy to w jego głosie.

- Mam złe wiadomości, Rita - powiedział.

Milczenie. Wyobraził ją sobie, nagle znieruchomiałą w ciemności, analizującą jego słowa, ton jego głosu.

- Co się stało? Z tobą wszystko w porządku, Titus? - Powiedziała to spokojnie, swoim „nie wpadnę w panikę, choćby nie wiem co powiedział” głosem. Rzeczowa, przygotowana. Pewnie już siedziała na łóżku, marszcząc czoło, zdecydowana wyciągnąć z niego prawdę.

- Taa, nic mi nie jest - odparł. - Chodzi o Charliego.

- Och, nie... - Wstrzymała oddech.

- Miał dziś wypadek, na ranczu. Nie żyje, Rita.

- Och, nie! - powtórzyła. A potem jeszcze raz. I znów.

Bardziej niż cokolwiek innego bolało go, że robi jej to na tak wielką odległość, że przez telefon przekazuje jej, aby powiedziała o wszystkim Louise, przygotowała ją i siebie do podróży, pocieszała przyjaciółkę przez tysiące mil drogi powrotnej do domu.

Rozmawiali pół godziny i w tym czasie powiedział jej prawdę: nie wie zbyt wiele. Spróbuje zdobyć więcej informacji. Nie zdradził jej, oczywiście, że jest w Meksyku.

Postanowił, że wyjaśni jej to wszystko później. Kłamał, pocieszał ją i razem z nią planował, co dalej. Rita czuła się najlepiej, kiedy planowała. To ją uspokajało; pomagało jej radzić sobie z nieznanym, z nieuniknionymi, ale budzącymi lęk próbami, którym człowieka poddaje życie.

Powiedział jej, że wycarteruje samolot, którym wróca do domu. Uznała, że to zbyt duże, ale nie sprzeciwiała się zbyt mocno, a on dodał, że zajmie się wszystkim i zadzwoni do niej jeszcze raz ze szczegółowymi informacjami.

To była dziwna i bolesna rozmowa, tym trudniejsza dla Titusa, że znajdował się między obcymi sobie ludźmi. Najgorsze jednak w tym wszystkim było to, że znał prawdę.

ROZDZIAŁ 16

Tempo pracy, które zwolniło po potwierdzeniu śmierci Charliego Thrusha, szybko wróciło do normy. Był już prawie zmierzch, kiedy Mattie, Titus i Burden szli galerią biegnącą wzdłuż jego gabinetu. Drzwi i okna wielkiego pomieszczenia wciąż były otwarte, a jego wnętrze rozjaśniało tylko kilka lamp stołowych oraz nieco upiorne oświetlenie długiej fotografii nagiej wdowy.

Gdy tylko weszli do gabinetu, Titus zwrócił się do Burdena.

- Jeszcze dziś lecę z powrotem - oświadczył. - Lepiej, żeby pilot nie myślał, że spędzi tutaj noc.

- Tak - odparł Burden. - Jest gotowy.

- Dobrze - powiedział Titus - w takim razie przejdźmy do rzeczy. Jeśli o mnie chodzi, możesz robić, co zechcesz, żeby dostać Luquína. Powiedz mi tylko, czego potrzebujesz. Co ja powinienem zrobić.

Burden odwrócił się do Mattie.

- Możesz mi przynieść telefony? I laptop Titusa.

Kiedy zniknęła za drzwiami, zwrócił się znów do Titusa.

- Posłuchaj - zaczął - po pierwsze chciałbym, żebyś zrozumiał, że Luquín i ja mamy ze sobą wiele wspólnego: tajemnica to nasza mantra. Musimy utrzymać go w nieświadomości co do naszego spotkania. On nie może wiedzieć, że szukałeś u kogoś pomocy i że ją uzyskałeś. Musi wierzyć, że twoje reakcje na jego żądania są tylko i wyłącznie twoimi

reakcjami i że całkowicie zajmuje cię organizowanie pieniędzy dla niego. Musi wierzyć, że jesteś sparaliżowany, że wstrzymując oddech, czekasz na jego następne polecenia.

Nie może wiedzieć - ciągnął Burden - że my wiemy, że on jest w Austin. Jakakolwiek aluzja na ten temat i on zniknie. Pamiętaj: ludzie, z którymi on pracuje, są bardzo dobrzy. Przypuszczalnie są w Austin od kilku tygodni, które poświęcili na przygotowania. Mają nad nami dużą przewagę, musimy być zatem sprytniejsi. Nieugięci. I absolutnie niewidoczni. Bez tego nie mamy żadnej nadziei na sukces.

Druga sprawa: kiedy to się zacznie, nie będzie można tego odkręcić, Titus. Rozumiesz to, prawda?

- Nie myślałem o tym - odparł Titus. Zastanawiał się przez chwilę. - W porządku. Rób, co trzeba.

Burden pokiwał głową.

- Porozmawiajmy o tym, do czego twoim zdaniem to prowadzi. W ostatecznym rachunku.

- Co masz na myśli?

- To, jak ta sprawa ma się według ciebie skończyć, Titus. Dokąd to zmierza.

- Chcę, żeby ten facet zniknął z mojego życia - odparł Titus bez zastanowienia. - Chcę, żeby ten koszmar się skończył. Powiedziałem ci to przecież.

Burden stał do tej pory przy drzwiach obok szaf z książkami, a teraz zaczął wolno przemierzać pokój, znowu to pojawiając się w plamach światła, to znikając w mrocznych kątach. W końcu zatrzymał się, a potem podszedł do Titusa, który nadal stał przy stole do czytania.

- Nie zapominaj - powiedział Burden - że Luquín ustalił zasady, których nie można zmienić. Pójdiesz na policję: umrą ludzie. Nie zapłacisz okupu: umrą ludzie. Nie utrzymasz wszystkiego w tajemnicy: umrą ludzie. On zdefiniował reguły gry. Nie pozostawia nam to zbyt wielkiego pola do działania.

Obaj mężczyźni popatrzyli sobie w oczy,

- W porządku - zgodził się Titus.

- Powiedzmy, że zapłacisz cały okup, którego chce Luquín - kontynuował Burden. - Czy to będzie oznaczało koniec tej sprawy? Czy może zażąda jeszcze czegoś? A jeśli on zechce po prostu odejść z tym, co od ciebie dostał, to czy uznasz, że wszystko jest w porządku? Chociaż zabił ludzi?

- Wierzysz zatem w to, co powiedział, że nawet gdy dostanie pieniądze, wróci zabijać, jeśli ujawnię, co się stało? Jeśli po wszystkim pójdę do FBI?

Burden spojrział Titusowi prosto w oczy.

- On chce, żebyś zrozumiał, Titusie, że nad wszystkim całkowicie panuje. Po to była mu potrzebna śmierć Thrus-ha. Miała ci uświadomić, że przyszło ci teraz żyć w innej rzeczywistości. Luquín zadał sobie wiele trudu, żeby się zabezpieczyć z każdej strony. Jeśli zwrócisz się z tym do FBI, kiedy to się skończy, podpiszesz wyrok śmierci na wielu ludzi. Powiedział ci to. Ja też ci to mówię.

Burden przecesał palcami włosy.

- Nie przestawaj sobie tego powtarzać, Titus. Albo przyjmiesz jego warunki, albo zginie więcej osób. Potem zadaj sobie pytanie: Jeśli zgodzę się utrzymać wszystko w tajemnicy, żeby uratować życie wielu ludziom, to czy zdołam pogodzić się z tym, że ten facet tak po prostu sobie zniknie, kiedy będzie po wszystkim... z pieniędzmi... i po zabiciu jednego, dwóch, trzech, czterech?... moich przyjaciół?

- Przejdź wreszcie do rzeczy, cholera - odparł Titus. Głowa mu pękała, był wzburzony, wściekły i wystraszony. Ale wiedział, do czego zmierza Burden. Tak naprawdę nie przemyślał jeszcze tego do końca. Chciał po prostu mieć to za sobą, zakładając w głębi umysłu, że koniec końców, chociaż pewnie straci miliony dolarów, sprawiedliwości stanie się zadość. Tak jak w kinie pojawiają się dobrzy faceci i o to zabijają.

- Koniec może być brutalny - powiedział Burden. - Odpowiedzialność za to wezmę na siebie. Ale jeśli zrobię to dla ciebie, nie chcę, żebyś przychodził do mnie z wyrzutami sumienia i próbował interweniować, kiedy sprawy przybiorą straszniejszy obrót, niż to sobie wyobrażałeś. Jak już raz zacznę, nie zatrzymam się.

Titusowi mocniej zabiło serce. Na zewnątrz było już ciemno. Niewiele spał przez ostatnie dwadzieścia godzin, a stres, w jakim żył, sprawił, że czuł się tak, jakby nie spał wcale.

Zbliżył się do Burdena i stanął na wyciągnięcie ręki od niego.

- Czy jest możliwość, że skończę w więzieniu za to, co się stanie, kiedy już zaczniesz?

Burden popatrzył Titusowi prosto w oczy.

- Nie ma żadnej.

- W takim razie wyrzuty sumienia, o których mówisz, mają dotyczyć tego, co może się stać z Luquínem?

- Tak.

Titus zastanawiał się przez dłuższą chwilę, ale gdy się w końcu odezwał, w jego głosie nie było wahania.

- W takim razie nie musisz się o to martwić. Nie będę miał z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

Patrzyli na siebie w milczeniu, kiedy do gabinetu weszła Mattie z telefonami komórkowymi i laptopem Titusa.

- Gotowe - oznajmiła, po czym przeszła obok nich i położyła wszystko na stole do czytania.

Obaj mężczyźni podeszli do stołu. Burden podniósł jeden z telefonów i podał go Titusowi.

- Nigdy się z nim nie rozstawaj - powiedział. - Ma szyfrator. Mattie poda ci kody wejściowe. Dzięki niemu będziesz miał kontakt ze mną, Mattie i innymi. To twoja lina ubezpieczająca. Laptop jest odpowiednio przygotowany - mówił dalej. - Mattie poda ci również kody do niego. Będziemy utrzymywać łączność zarówno przez telefony, jak i laptop.

Przez większość czasu - kontynuował - masz robić to, co musisz zrobić, żeby spełnić żądania Luquína. Pamiętaj, że będziesz obserwowany. Nic nie możesz na to poradzić, nie narażając się na jego kolejne kroki odwetowe, ale pamiętaj, że tak będzie.

- Jak ścisła będzie ta inwigilacja? Jakiego rodzaju?

- Niezbyt ścisła. Ludzie Luquína nie chcą przyciągać uwagi. Nie będzie się od nich roiło. Najczęściej będzie to obserwacja ruchoma. Krążący po okolicy samochód, z którego będą próbowali przechwycić fragmenty rozmów prowadzonych przez telefony komórkowe. Może jakieś fotografowanie. Ale wszystko bardzo dyskretnie. Nie będzie siedział ci na karku, ale będzie cię obserwował. Jestem zdecydowany - ciągnął Burden - działać tak szybko, jak to możliwe, żeby spróbować ocalić życie kolejnym ludziom. Oszczędzi nam to także wydatków. Pamiętaj o jednym: nawet jeśli nie będziesz miał ode mnie żadnej wiadomości, to nie

znaczy, że mnie tam nie ma. Trzeba poczynić masę przygotowań. Nie będę miał zbyt wiele czasu na sen. Kontaktuj się z nami tak często, jak zechcesz. Nie za każdym razem będę mógł z tobą porozmawiać, ale zawsze złapiesz Mattie. Odezwę się do ciebie tak szybko, jak to tylko możliwe.

To na razie wszystko - dodał po chwili. - Mattie poinformuje cię o procedurach łączności. Ja pójdę teraz umówić się z pilotem. W ciągu godziny ktoś zabierze cię stąd na lotnisko.

Titus pokiwał głową. Wybiegał już myślami daleko w przyszłość i miał wrażenie, że prowadzi dwie rozmowy jednocześnie. Ale mógł się skupić tylko na tym, jak wydostać Ritę z Europy i sprowadzić ją do domu.

ROZDZIAŁ 17

AUSTIN

Luquín z ręką w kieszeni przechadzał się wolno po tarasie zbudowanym na krawędzi urwiska. Palił papierosa, wydychając błękitny dym, który odpływał od niego w mrok. Od czasu do czasu przystawał i spoglądał w noc.

W kierunku, w którym patrzył, nie było zbyt wiele do oglądania. Daleko w dole połyskująca rzeka wiła się w kobaltowej ciemności, a za nią majaczyło podnóże czarnych wzgórz z rozsianymi gdzieś tam światłami, które przebłyskiwały przez gęsty las. Od czasu do czasu migotały, przesywały ciemność i niknęły reflektory jakiegoś samochodu pokonującego wąskie, nieoświetlone drogi, które pięły się po tych zalesionych wzniesieniach. Dom, który przykuwał uwagę Luquína, był dokładnie przed nim, odległy o półtorej mili w linii prostej.

- Jutro będziemy mieli od niego wiadomość - odezwał się. - Ile pluskiew już usunęli?

- Pół tuzina, jak do tej pory.

- Mówiłem ci - powiedział szyderczo Luquín - że będzie takim przewidywalnym aroganckim sukinsynem. Tak cholernie pewnym siebie. Nikt nie będzie mu zakładał podsłuchu w domu. Żałuję, że nie widziałem jego twarzy, kiedy

uświadomił sobie, co zrobił. - Pokręcił głową z rozbawieniem. - Gdyby Cain zostawił te cholerne pluskwy w spokoju, musiałbym znaleźć inny pretekst do zabicia Thrusha. - Prychnął. - Przetrącenie gnatów temu dupkowi będzie przyjemnością. - Zaciągnął się dymem. - Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego żadna z pluskiew, które tam jeszcze są, nie wychwycała odgłosów świadczących o jego obecności. Nie słyszeliśmy, żeby kaszłał, sikał i tak dalej.

- Słyszemy techników.

- Wiem o tym, Jorge. Ale nie słyszymy Caina. Co on robi?

- Wystraszyłeś go jak cholera, Tano - odparł Macias. - Pewnie boi się głośniej odetchnąć.

Jorge Macias kierował operacjami Luquína na terenie Meksyku. Ten trzydziestoparoletni mężczyzna o wydatnym torsie i urodzie latynoskiego kochanka był pewny siebie, egocentryczny i skory do gwałtu.

Kiedy Luquín miał jakieś interesy w Meksyku lub Teksasie, do Maciasa należało dopilnowanie, żeby wszystko przebiegało tak, jak powinno. Jego ludzie wykonywali prace przygotowawcze. Jego ludzie zbierali informacje. Jego ludzie dokonywali aktów przemocy, kiedy było to potrzebne (to właśnie ludzie Maciasa przemycili Luquína przez granicę na dachu ciężarówki Benny'ego Chalmersa). Po latach doświadczeń nauczył się ich trzymać krótko. Jeśli popełniali pomyłki, Macias dawał im jedną szansę naprawienia błędu. Kolejne niepowodzenie i znikali. Na ich miejsce przychodzili inni z pełną wiedzą o tym, co spotkało ich poprzedników, których błędy nigdy nie były powtarzane. Od tej zasady nie było wyjątków.

- A co z tymi facetami, którzy przeszukują dom? - zapytał Luquín.

- To zwykli technicy. Nasz obserwator nie zauważył żadnej broni. Cain zainstalował w CaiTekście bardzo wyrafinowany system bezpieczeństwa i pewnie stąd zna tych gości. To wygląda na rutynowe przeszukanie, tak jak się spodziewaliśmy. Nic więcej.

- I myślisz, że to do nich zadzwonił z automatu?

- Prawdopodobnie. Nie mógł tego wytrzymać. Chciał jak najszybciej coś z tym zrobić.

Luquín szeroko rozstawił nogi, wolno zaciągnął się papierosem i popatrzył na rzekę. Płynęła nią łódź motorowa, oddalając się ze stałą szybkością od miasta. Jej światła odbijały się w mrocznej wodzie, a odgłos silnika niósł się po urwistych brzegach.

- Próbuje sobie wyobrazić - podjął, mówiąc tak do siebie, jak i do Maciasa - co on może myśleć. To ostrożny człowiek. Nie popełnia wielkich błędów. Waży za i przeciw, przestrzega zasad i podejmuje bezpieczne, rozsądne decyzje. Jest przewidywalny, jak widzieliśmy. A teraz pytanie. Jak zareaguje, kiedy uświadomi sobie, że jest odpowiedzialny za śmierć przyjaciela?

Będzie w kółko rozmyślał o tym, jak to się stało - ciągnął, odpowiadając na swoje pytanie. - Będzie się raz za razem utwierdzał w przekonaniu, że nie powiedziałem wyraźnie: niech pan nie przeszukuje swojego domu. I wtedy w jego głowie pojawiają się myśli: mój Boże, muszę podchodzić do tego z większym wyczuciem. Ten sukinsyn jest nieobliczalny. Muszę mu czytać w myślach. Jak mam to, do diabła, zrobić?

Luquín znowu się zaciągnął, oparł łokcie na poręczy i spojrział badawczo w noc, jakby małe światełka dalekich domów były kartami wróżki i mógł w nich dojrzeć odpowiedzi na swoje wszystkie obawy.

- A potem - podjął - zacznie wariować. Ostrożny człowiek, który ma do czynienia z czymś nieprzewidywalnym, jest w wielkim stresie. Nie potrafi tego pojąć. I to zaczyna go wykańczać. Zaczyna go zżerać. I tak jest dobrze.

Jorge Macias uważnie słuchał Luquína. Ten człowiek nie miał sobie równych w tym, co robił, i pracując z nim, Jorge ciągle się uczył czegoś nowego. Przez lata Luquín wyewoluował z jeszcze jednego zwykłego zabójcy w świecie nieprzerwanie toczących wojny handlarzy narkotyków, w kulturze, w której mordercy mnożyli się jak czerwie i byli traktowani mniej więcej z takim samym szacunkiem, i stał się kimś w rodzaju mentora przemysłu śmierci. Na poznanie psychiki osoby, na której skupił uwagę, poświęcał mnóstwo czasu, co było niezwykle w tym biznesie. To dlatego ci, którzy znali go wystarczająco dobrze, żeby się go bać, tak bardzo się go bali. I dlatego był tak skuteczny.

Macias wiedział, że z tej jednej roboty dostanie tyle, że stanie się bogaty. Ale miało to też swoją cenę. Kiedy się pracuje z Luquínem, zawsze jest jakaś cena. Facet nie uważa, że wydał pieniądze na darmo, tylko wtedy, gdy ci, którzy je dostali, czymś mu płacą, a to zwykle oznacza jakiś rodzaj cierpienia. Zanim ta sprawa dobiegnie końca, Luquín zażąda od niego, żeby zrobił coś, co będzie bolesne, albo fizycznie, albo emocjonalnie, i dlatego właśnie Macias przysięgł sobie, że ostatni raz pracuje z tym szaleńcem.

Nagle zadzwonił telefon komórkowy Maciasa. Wyjął go z kieszeni i odwrócił się od poręczy tarasu. Z pochyloną głową, słuchając, zaczął się wolno przechadzać wokół oświetlonego basenu. Luquín także się odwrócił i obserwował go. Lubił, gdy w czasie takich akcji jak ta urywały się telefony. To oznaczało ruch. Blisko i daleko działały się różne, korzystne dla niego rzeczy. Tryby się obracały, plan był realizowany.

Prztyknąwszy palcami, wyrzucił niedopałek papierosa, który zakreśliwszy w powietrzu wysoki łuk, wpadł do basenu i unosił się teraz na podświetlonej od dołu wodzie. Dalej obserwował Maciasa, który przeszedł na drugą stronę basenu. Sylwetka podwładnego migotała turkusowym, odbitym od wody światłem. Kiedy w swej okrężnej wędrówce dotarł do Luquína, kończył już rozmowę. Wyłączył telefon i podszedł do swojego szefa, który wciąż stał przy poręczy.

- To był Mateos z Wenecji. Jego informator w hotelu pani Cain właśnie doniósł, że dwie godziny temu ktoś do niej dzwonił. Niestety to wszystko, co wie. Informator nie miał możliwości podsłuchania rozmowy. - Macias popatrzył na zegarek. - W Wenecji było wtedy około wpół do trzeciej w nocy. To raczej niezwykła pora na rozmowy telefoniczne.

Luquín wyciągnął z kieszeni koszuli kolejnego papierosa i zapalił go.

- Oznacza to, że pani Thrush i pani Cain będą jutro rano w drodze powrotnej do domu. - Uśmiechnął się lekko, a potem z jego gardła dobiegł cichy, pełen zadowolenia śmiech. - Do cholery, kocham tego Caina. Załatwienie tej kobiety na taką odległość wiązałoby się z wieloma niedogodnościami.

Luquín odwrócił się znów ku ciemnej dolinie i oparłszy łokcie na poręcz, pogrążył się w myślach. Macias zostawił go tak i znowu wyjął telefon. Zerknął w górę, gdzie stało na straży dwóch jego ludzi obserwujących ulicę od frontu. Spojrzał w zalegające obok domu ciemności, gdzie ledwie mógł dostrzec zarys sylwetki Roque'a, osobistego ochroniarza Luquína, wyglądającego w mroku jak jakaś zjawa. To właśnie Roque wdrapał się na dach ciężarówki ze swoim szefem. Zawsze był gdzieś w pobliżu jak jakieś chore wspomnienie, którego nie można się pozbyć.

Macias spojrział znowu na Luquína. Tano patrzył w noc, a na jego plecach kładło się blade światło. Obłoczek dymu z papierosa uniósł się nad jego głową i odpłynął w dal długą smugą. Wyglądało to tak, jakby paliły mu się włosy.

Nocny lot z San Miguel zdawał się trwać bez końca. Gdy king air pożerał mile powietrznej trasy nad Sierra Madre Oriental i północną częścią Wyżyny Meksykańskiej, Titus, nie tracąc czasu, organizował powrót do Austin dla Rity i Louise. Zadzwonił do międzynarodowej firmy czarterowej w Houston, która miała samoloty na mediolańskim lotnisku Malpensa. Zgodzili się z Ritą, że po jej rozmowie ona i Louise najpewniej już nie zasną, uzgodnił więc z ludźmi z firmy czarterowej, że polecą po nie na lotnisko Marco Polo pod Wenecją, gdy tylko zdołają zebrać załogę.

Potem zadzwonił do domu Lacka Paleya w Austin. Paley był jego radcą prawnym i Titus powiedział mu, że chce, by się zajął trzema sprawami:

1. Ma się skontaktować z Terrym Odellem, maklerem giełdowym Titusa, i pożyczyć dziesięć milionów dolarów pod zastaw jego osobistego portfela lokat inwestycyjnych, po czym natychmiast zainwestować całą sumę w określony sposób w firmy i fundusze charytatywne, których nazwy Titus poda później. Dla ułatwienia tych transakcji ma wykorzystać firmę Marcello Cavatino Inversiones SA z Buenos Aires. Wszystkie operacje muszą być zakończone do trzeciej po południu następnego dnia.

2. Ma się skontaktować z Lee Silberem i pożyczyć dwadzieścia jeden milionów, dając jako zabezpieczenie udziały w CaiTekście.

3. Ma przygotować dokumenty sprzedaży większej części CaiTekstu w sposób, który Titus opisze później.

Potem nakreślił harmonogram poszczególnych działań.

Kiedy Paley wyszedł z szoku, w który wpadł, gdy otrzymał te instrukcje, następane czterdzieści minut poświęcił na opracowanie ogólnej koncepcji tego, jak to wszystko przeprowadzić. Titus powiedział mu, że te plany mają pozostać ich ściśle chronioną tajemnicą, chociaż nie wyjaśnił dlaczego.

Gdy king air wylądował w Austin, Titus zatrzymał się w Hiltonie przy lotnisku. Burden zakładał, że Luquín, jak to robił podczas swoich operacji w Rio, będzie miał jego dom pod obserwacją, i nie chciał, aby Tano się dowiedział, że jego ofiara gdzieś wyjeżdżała. Ustalili, że Cline odbierze go rano i Titus wróci do domu tak samo, jak go opuścił, w skrytce pod kanapą jego pikapa.

Titus wszedł do pokoju hotelowego i włączył telewizor. Przez cały lot obsesyjnie wciąż od nowa puszczał sobie w głowie taśmę z tymi wszystkimi „a co, jeśli”, „nie powinno”, „dlaczego”. Potem przeanalizował swoje rozmowy z Burdenem i spróbował nabrać dystansu do tego, co, jak się zgodził, tamten powinien zrobić. Mógł mieć tylko nadzieję, że to, na co przysłał rano, nie będzie wyglądało tak dramatycznie.

Nie chciał już dłużej myśleć. Zdjął ubranie i padł na łóżko, wpatrując się w komentatora CNN. Miał ogromną nadzieję, że powstrzyma go to od myślenia.

CZWARTEK
DZIEŃ TRZECI

ROZDZIAŁ 18

Kiedy wyszedł spod kanapy pikapa, Herrin czekał już na niego na osłoniętym przez żywopłot podjeździe. Ruszyli w stronę werandy. Titus niósł w teczce swój zmodyfikowany laptop, a Herrin popijał kawę z chromowanego kubka o ściankach grubych jak w termosie na ciekły azot. W pewnej chwili zatrzymali się w cieniu powojów.

- Rozmawiałem z Garcíą - odezwał się Herrin. - Wprowadził mnie w najnowsze sprawy, tak że jestem na bieżąco.

Titus skinął głową. Jezu.

- Możemy pogadać w moim gabinecie? - zapytał, odchrząkując.

- Taa, możemy. Prawdę mówiąc, przeszukałem go w pierwszej kolejności.

Minęli fontannę i dotarli do tylnych drzwi. Przeszli szerokim korytarzem, przez którego szklany dach wlewało się poranne światło, i skręcili w pierwsze, dwuskrzydłowe drzwi po prawej.

Gabinet był przestronny. Titus przeszedł przezeń i położył laptop na pochodzącym ze starego banku w El Paso sekretarzyku z żaluzjowym zamknięciem. Podłączył komputer do prądu i uruchomił go. Na środku gabinetu stał długi stary stół z orzecha zasłany papierami z jego najnowszymi projektami, po części przyniesionymi z CaiTekstu, a po części dotyczącymi jego prywatnych interesów. Na stół padało rozproszone światło z wiszącej nad nim ośmiokątnej lampy, nadając połysk dwustuletniemu orzechowi. Titus podszedł do okna i spojrzął na trawnik, po czym przeniósł wzrok na leżący za nim sad. Po lewej widział mur otaczający basen. Odwrócił się.

- W porządku - powiedział. - A teraz niech pan mnie wprowadzi w najnowsze sprawy.

- Czynimy postępy - odparł Herrin. - To bardzo dobry towar, sprytnie poumieszczany. Podoba mi się to. Ale z tego powodu robota posuwa się wolno. W kuchni mam plan domu. Zaznaczam na nim pokoje, które już przeszukaliśmy,

żeby pan wiedział, gdzie można swobodnie rozmawiać, a gdzie nie. - Wypił kilka łyków ze swojego chromowanego kubka. - García powiedział mi, żebym zostawił kilka gorących miejsc.

- Dobrze. Dlaczego?

- Mówił, że być może będziemy chcieli podrzucić im jakieś fałszywe informacje. Udamy więc, że przeoczyliśmy kilka pluskiew. Chcemy, żeby to wyglądało tak, jakbyśmy byli w tym dobrzy, ale nie aż tak, jak jesteśmy. I tak spodziewają się, że tracą większość z nich. Ale te, które zostawimy, muszą być w pomieszczeniach, które logicznie rzecz biorąc, powinien pan uważać za bezpieczne.

- Ma pan na myśli łazienkę. Sypialnię.

- Taa. Znalazłem te, które umieścili w waszej sypialni. Są bardziej wyrafinowane niż reszta, znacznie trudniej było je znaleźć. Chcieli, żeby te cacka nie zostały odkryte. Więc ich nie ruszałem.

Przez okna na końcu gabinetu Titus zobaczył szkarłatną tanagrę na murze wokół dziedzińca, niewiarygodnie jaskrawą plamkę koloru, która po chwili znikła.

- W porządku - powiedział. - Rozumiem. W takim razie niech pan je zostawi, gdzie są.

- W tych pomieszczeniach będzie pan musiał bardzo uważać, co mówi - przypomniał mu Herrin.

Titus kiwnął głową. Tak, będzie musiał bardzo uważać w ogóle.

Nagle zadzwonił jego telefon z szyfratorem. Wyjął go z kieszeni i odebrał.

- Tu García. Masz minutę?

- Mów.

- Całą noc przygotowywałem dwa mobilne zespoły, które będą pracować z nami w Austin - zaczął Burden. - Przecięcie po troje ludzi w każdym. Jeden już tam jest, kolejny dotrze mniej więcej za dwie godziny. Herrin będzie koordynował z nimi pewne sprawy i musi zainstalować dodatkowy sprzęt. Czy w tym domku dla gości znajdzie się miejsce na jeszcze kilka monitorów?

- Taa, tam jest dużo miejsca.

- Świetnie. Jestem około godziny drogi od Austin. Musimy się jak najszybciej spotkać i omówić pewne sprawy.

Teraz jednak chcę, żebyś się skontaktował z Luquínem. Miałeś od niego jakieś wiadomości?

- Żadnych.

- W porządku. Użyj laptopa i postępuj zgodnie z jego instrukcjami na temat łączności. To wszystko wiąże się z pieniędzmi, porozmawiaj więc z nim o pieniądzach. Moim zdaniem powinienes rozegrać to tak...

Instrukcje Burdena były precyzyjne, proste, zrozumiałe uzasadnione. Titus był zaskoczony śmiałością tego, co Burden kazał mu zrobić, zwłaszcza po tym, co spotkało Charliego.

Chociaż nie wyszedł jeszcze do końca z szoku po tym, gdy do niego dotarło, jak fatalne konsekwencje przyniosły decyzje, które podjął dzień wcześniej, wiedział, że agresywne podejście Burdena jest konieczne. Wiedział też, że nic z tego nie wyjdzie, jeśli on sam się w to całkowicie nie zaangażuje. Nie mógł tracić zimnej krwi, chociaż musiał przyznać, że jeszcze nigdy nie był pod tak ogromną presją. Ale, na Boga, nie zamierzał się teraz załamywać. Bo chociaż tyle już zostało utracone, wiele było jeszcze do uratowania. I chociaż z rozpaczy obwinał się, że dopuścił do śmierci Charliego, w głębi duszy wiedział, że to Luquíen go zabił. W głębi duszy był też wściekły na zabójcę, że próbował zrzucić na niego odpowiedzialność za własną zbrodnię.

- Dobrze. Zrobię to - powiedział, kiedy Burden skończył.

- W porządku. W takim razie wszystko ustalone. Zadzwoń jeszcze raz do Herrina i omówię z nim pewne sprawy. Dam ci znać, kiedy będę w mieście.

- Jeszcze jedno - odezwał się Titus. - Za dwie godziny Rita i Louise wylądują w Austin. Nie chcę, żeby Rita tu była. Chcę, żeby znalazła się w jakimś bezpiecznym miejscu. Gdzieś daleko od tego, co tu się dzieje.

W słuchawce zapadła cisza.

- O co chodzi? - zapytał. - Byłby z tym jakiś problem?

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - odparł Burden.

- Jezu, dlaczego?

- Nie zapominaj, że Luquíen chce pieniędzy. Pieniądzy. Jego metody pod pewnymi względami są toporne, ale w gruncie rzeczy prowadzi z tobą grę psychologiczną. Ma nadzieję, że zabijając, zapewni sobie twoją współpracę, że

śmierć ludzi, których zabije, zagwarantuje mu to, iż sięgniesz do kieszeni. Jest jednak na tyle inteligentny, by wiedzieć, że zamordowanie Rity może dać przeciwny rezultat. Coś takiego mogłoby cię doprowadzić do ostateczności. On tego nie zaryzykuje. Rita jest bezpieczna. Równie bezpieczna jak ty. On chce pieniędzy. Tu chodzi tylko o pieniądze.

- Mówisz mi, że nic jej nie grozi?

- Tak. Nie sądzę, żeby w tej chwili coś jej groziło. Co więcej, gdybyś zrobił, co zamierzasz, mógłbyś go sprowokować do zabicia kogoś innego. On nie chce, żebyś myślał samodzielnie i podejmował takie decyzje. Nie chce, żebyś był niezależny. Chce ci dyktować, co masz robić. - Chwila ciszy. - Sądzę, że to mógłby być wielki błąd, Titus.

Titus był wściekły. Czy miał wierzyć, że nie może nawet ochronić Rity? Że ma ją po prostu zostawić tu, bezbronną, dopóki Luquín nie dojdzie do wniosku, że ją także powinien zabić? Trzymał jednak język za zębami. Wrzał z gniewu, ale się nie odzywał.

- Porozmawiamy o tym później - powiedział w końcu. - Muszę to sobie przemyśleć.

ROZDZIAŁ 19

Pół godziny przed tym, gdy Titus usiadł przy komputerze, żeby po raz pierwszy skontaktować się z Luquíнем, beechcraft king air 350, podobny do tego, którym Titus poleciał do Meksyku i z powrotem, wystartował z lotniska w kurorcie Lago Vista nad jeziorem Travis i wziął kurs na Austin, odległe o dwadzieścia pięć mil na południowy wschód.

Na pokładzie dziesięciomiejscowego samolotu było sześciu przedstawicieli firm developerskich, którzy chcieli rzucić okiem na Austin i okolice. Nie było w tym nic dziwnego, bo miasto to w ostatnich dziesięciu latach przyciągnęło wiele inwestycji budowlanych. I pomimo że tempo rozwoju ekonomicznego spadło od niedawna w całym kraju, ruchliwe oczy developerów nigdy nie odpoczywały. Zawsze pełni nadziei, że następna hossa na rynku nieruchomości jest tuż za rogiem, byli przekonani, że jeśli tylko wyczują moment,

znowu zarobią kupę pieniędzy, budując dobrze usytuowane osiedle mieszkaniowe, centrum handlowe lub biurowiec.

Kiedy samolot wszedł w obszar kontroli powietrznej międzynarodowego portu lotniczego Austin-Bergstrom, pilot połączył się z wieżą, wyjaśnił, czego oczekują jego pasażerowie, i poprosił o zgodę na krążenie nad miastem na wysokości dwudziestu dwóch tysięcy stóp. Po wymianie kilku informacji uzyskał zgodę wieży i zaczął wykonywać serię kręgów, w większości nad południowo-zachodnią, obejmującą najatrakcyjniejsze tereny części Austin, gdzie w ostatnich latach poczyniono najwięcej inwestycji budowlanych. Obszar ten obejmował oba brzegi jeziora Austin, od mostu Emmeta Sheltona do Austin Country Club.

Kiedy samolot położył się na skrzydło, pasażerowie obrócili fotele w stronę ścian kabiny i otworzyli ukryte konsole komputerów klasy mainframe. Z brzucha samolotu wysunęła się antena i pasażerowie nałożyli słuchawki oraz włączyli komputery.

Każdy prowadził nasłuch jednocześnie na dwóch częstotliwościach radiowych. Każdy był odpowiedzialny za monitorowanie wybranego zakresu częstotliwości w paśmie wykorzystywanym przez telefonię komórkową. Ilekroć trafiali na sygnał kodowany, ich komputery natychmiast ustalały częstotliwość radiową przekazu i czas jego trwania, nagrywały pozycję samolotu i kąt, pod jakim sygnał został odebrany. Po ustaleniu współrzędnych nagrywali przekaz, po czym przechodzili do następnego kanału i kontynuowali skanowanie.

Celem tego pierwszego lotu było wyłowienie tyłu kodowanych transmisji, ile się tylko da w dwie godziny, jakie samolot miał spędzić w powietrzu. Nagrania przesyłano z kolei zespołowi, który, jak Burden powiedział Titusowi, był już na miejscu, czyli do wielkiej, zamkniętej furgonetki z grupa deszyfrantów, którzy natychmiast zabrali się do pracy nad materiałem przekazywanym z beechcrafta. Najpierw mieli stwierdzić, które z nagranych rozmów prowadzono po hiszpańsku. Kiedy tylko wyławiali rozmowę w tym języku, informacje o niej wysyłali je do Herrina i Cline'a, którzy analizowali dane o źródle sygnału i nanosili wszystko na mapę.

Mark Herrin siedział przed komputerem w domku gościnnym Titusa i obserwował dane przewijające się w dół na ekranie monitora.

- Jezu. Dobry towar! - powiedział do mikrofonu przy słuchawkach. - Jaką aparaturę mają w tej maszynie?

- Drogą - odparł Burden z jakiegoś nieznanego reszcie miejsca.

Kiedy informacje przestały się przewijać na ekranie, Herrin zapisał wszystko na dysku w nowym podkatalogu.

- Rany! Sto dwadzieścia kodowanych rozmów w południowo-zachodnim kwadrancie w ciągu dwóch godzin?!

- To żadna niespodzianka - powiedział Burden. - Telefony szyfrujące stały się ostatnio symbolem wysokiej pozycji społecznej.

- Ale, do diabła, tak wiele?

- Cóż, wielu ludzi myśli, że ma wysoką pozycję - powiedział sarkastycznie Burden. - Zerkniemy na to znowu, kiedy tu wrócą. Jeśli się nam poszczęści, przygotujemy dla nich coś, na co będą mogli rzucić okiem drugi raz. Teraz poczekajmy, aż ci z furgonetki powiedzą nam, które z tych rozmów były po hiszpańsku.

ROZDZIAŁ 20

Przez siatkowe drzwi i otwarte okna starego pokoju motelowego patrzył na popołudniowy cień na okrągłym żwirowym podjeździe, wokół którego przycupnęło w rozmaitej ciszy kilkanaście odrapanych domków. Cały teren tonął w gęstym cieniu, rzucanym przez szmirowate wiązowce i chińskie drzewka, ostro kontrastującym ze skąpaną w słońcu ulicą, która ciągnęła się niedaleko wejścia do motelu. Na środku podjazdu znajdował się miniaturowy, zarosnięty chwastami plac zabaw z popękana ze starości deską pełniącą funkcję huśtawki i zardzewiałą karuzelą. Żadne dziecko nie tknęło ich od dziesięcioleci i można było odnieść wrażenie, że są udreżone ciszą oraz nieobecnością małych pup i małych rączek.

Z zapadającego się łóżka, na którym siedział, widział stojący naprzeciwko bungalow. Przed domkiem, na skrzypiących, pordzewiałych krzeselkach ogrodowych, siedziała

para starszych ludzi, którzy palili papierosy. Mieli zbyt duże koszule, zasłaniające ich wydęte brzuchy, i blade, patykowate nogi. Zza okularów przeciwsłonecznych patrzyli przed siebie nieruchomo, jak nasłuchujący ślepcy.

Bungalows Motel zbudowano w roku 1942 i od tego czasu nic w nim nie robiono, z wyjątkiem koniecznych, fragmentarycznych napraw wymuszanych przez upływające dziesięciolecia. Kiedyś znajdował się na obrzeżu miasta, ale z czasem został przez nie wchłonięty. Mieścił się przy odcinku South Congress Avenue, na który nikomu nie chciało się nawet rzucić okiem, z wyjątkiem ludzi, którym także nikt nie chciałby poświęcić spojrzenia i którzy nie chcieli mieć już nic wspólnego z otaczającym ich światem.

Nagi do pasa i spocony, wytarł wilgotne ręce w spodnie. Czuł zapachy starzejącego się otoczenia, pomiętej pościeli i przesiąkniętej stęchlizną tapicerki oraz drewnianych mebli zniszczonych przez dziesięciolecia powierzchniowego czyszczenia tanimi środkami chemicznymi. Pod wpływem tego wszystkiego niespodziewanie ogarnęło go przygnębienie.

Nie lubił tego motelu, chociaż spędził w nim tylko kilka godzin. Było w tym miejscu coś, co go niewytłumaczalnie brzydziło. W końcu stwierdził, że to woń stęchlizny, ale obrzydzenie przez to nie minęło. Tam, skąd przybył, nie było żadnej stęchlizny. Wonie tanich hoteli i mieszkań były tam zupełnie inne.

Zwykle nie przywiązywał żadnej wagi do tego, gdzie akurat przebywa. Wzywano go. Przyjeżdżał. Robił swoje. Czekał. Jeśli nikt się nie odzywał, zostawał tam, żyjąc jak miejscowi. Świat był interesujący. Lub nie był. Wszędzie było inaczej. Albo tak samo. Czasem było zarazem tak i tak. To zależało od tego, czym to było. Nieskończenie wiele rzeczy mogło być różne lub takie same. Jednak w ostatecznym rozrachunku nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Po prostu zauważał, że tak jest... lub nie jest.

Nigdy jeszcze nie czuł takiego zapachu i doprowadzało go to do szaleństwa. Nie miało to żadnego sensu. Dlaczego ta woń tak bardzo działała mu na nerwy? Wilgoć w powietrzu, mokro pod pachami. Wyobraził sobie, że sam nasiąka stęchlizną, gnije.

Czasami przyjeżdżał do miast, w których już kiedyś był.

Zdarzało się to często. Ale rzadko wydawały mu się znajome. Były dla niego zupełnie nowe. Obce jak wewnątrz trumny.

Staruszkowie po drugiej stronie ulicy także zaczęli mu działać na nerwy. Siedzieli tam jak dwa trupy rozdęte przez upał. Wyobraził sobie, że ich zapach także czuje. Wyobraził sobie, że kiedy ich ciała zaczną pękać i ociekać zgnilizną, oboje zaczną się powolutku pochylać. Gdy się będą pochylali, ich okulary przeciwsłoneczne podniosą się po jednej stronie, może zsuną się trochę po nosach. Ich ciała zaczną pokrywać zgnilizna, cali spuchną od gazów, odbarwią się i zeszywnieją głęboko pochyleni.

Nie ma potrzeby, żeby tak myśleć. Powinien zmienić temat. Już zapomniał nazwiska, które powinien tu nosić. To nie ma znaczenia. Ma przecież dowód tożsamości. Sprawdzi, jeśli będzie trzeba.

Czasami dobrze nie pamiętać, kim się jest.

ROZDZIAŁ 21

Czarterowy samolot zatrzymał się przy hangarze w oślepiającym popołudniowym słońcu. Titus czekał na drodze kołowania z synem i córką Thrushów, Derekiem i Nel, którzy przylecieli z Denver. Odbił z nimi długą rozmowę i poznał szokujące szczegóły śmierci Charliego. Derek mówił o śmierci ojca zbyt chętnie i z zaskakującą, wręcz kliniczną dbałością o detale. To był ten rodzaj obsesji, którą czasem widzi się u ludzi próbujących uporać się z czymś strasznym, przyjąć to jakoś do wiadomości i wytłumaczyć sobie, żeby móc z tym żyć. Titus znosił to z wielkim trudem.

Stali wszyscy w słońcu i płakali. Louise wcielała się już w rolę twardej osoby, która wszystko przetrzyma. Lot był długi i miała czas na rozmyślanie, zapewne też dużo o tym rozmawiała z Ritą.

Przeszli w cień hangaru, postali tam trochę, po czym Titus i Rita pożegnali się z nimi, a Louise ruszyła z dziećmi w drogę powrotną do Fredericksburga.

Titus z żoną wsiedli do range rovera i pojechali do miasta. Rita siedziała z głową na szybie, wyczerpana fizycznie i emocjonalnie. Miała na sobie czarne spodnie, sandały, białą bluzkę. Okulary przeciwsłoneczne zsunęła na jasne włosy.

Przez większą część półgodzinnej jazdy Titus nic nie mówił. Wprawdzie wiele zostało już powiedziane, ale nie miał pojęcia, jak, do diabła, powiedzieć jej resztę, a przy tym ciągle sprawdzał w lusterku wstecznym, czy nikt za nimi nie jedzie. Nie był pewny, czego wypatrywać, a poza tym, jak powiedział Burden, nic nie mógłby w tej sprawie zrobić, ale nie potrafił się od tego powstrzymać i ciągle się zastanawiał, którzy z tych normalnie wyglądających ludzi w samochodach pracują dla Luquína.

Kiedy minęli bramę i jechali w stronę domu, powiedział:

- Są tu pewni ludzie, którzy pracują dla mnie.
- Co robią? - zapytała Rita bez większego zainteresowania.

- Przede wszystkim pracują nad systemem bezpieczeństwa - odparł. - Nawalił.

Zatrzymał się obok samochodów Herrina i wysiadł. Wyjął bagaże Rity i weszli w cień werandy, a przez nią do kuchni, gdzie natknęli się na Marka Herrina, który niósł całe naręczne jakichś cyfrowych mierników.

Titus przedstawił ich sobie, po czym Herrin natychmiast się ulotnił. Kiedy wychodził z kuchni, Rita stała właśnie przy blacie, gdzie jej uwagę przykuła lista przeszukanych pomieszczeń. Przeczytała ją jednym rzutem oka, upuściła podręczną torbę na podłogę i zwróciła się ku Titusowi.

- Co tu się dzieje? - zapytała.
- Mamy pewne kłopoty - odparł - ale nie rozmawiajmy o tym tutaj. Chodźmy się przejść.

Objęci przeszli wawrzynową aleją i usiedli na niskim kamiennym murze za sadem. Świeży grób psów, który był zaledwie trzydzieści stóp dalej, przypominał mu, co się zmieniło w ich życiu. Na drzewach brzoskwiniowych pogruchiwały gołębiaki karolińskie. Zaczął od początku i powiedział jej prawie wszystko.

Rita była oczywiście zaszokowana i kiedy Titus opowiadał jej, co się wydarzyło przez ostatnie dwa dni, nawet w jego uszach to, co mówił, brzmiało niewiarygodnie. Przerwała mu kilka razy, żeby zadać pytanie, ale przez większość czasu siedziała cicho, a jej brak reakcji mówił więcej o tym, jakie to na niej zrobiło wrażenie, niż gdyby płakała i pomstowała.

Kiedy skończył, przez dłuższą chwilę nic nie mówili. Było

już dobrze po południu i w sadyie narastał upał. Spomiędzy drzew dobiegało granie cykad.

- Boże, Titus - powiedziała w końcu. - Dobry Boże.

Wstała, jakby nie mogła dłużej usiedzieć, i przeszła kilka kroków do granicy cienia dębu, który osłaniał ich przed słońcem. Odwróciła się i założyła ręce na piersiach.

- Jesteś tego absolutnie pewny? Tego, że ten człowiek jest odpowiedzialny za śmierć Charliego?

- Tak.

Patrzyła na niego z osłupieniem. Nagle poczerwieniały jej oczy i popłynęły z nich łzy. Drżał jej podbródek. Objęła się ramionami. Łzy po prostu płynęły i płynęły. To było tak, jakby niosły ze sobą targające nią uczucia: strach, gniew i żal.

- Och, to straszne - zdołała w końcu powiedzieć, a właściwie wyszlochać. Kiedy na niego spojrzała, zrozumiała, że już intuicyjnie się zorientowała, iż ich przyszłość wali się w gruzy. Przeszłe, normalne życie sprawiało wrażenie naiwnego dziecięcego marzenia.

Rita, pociągając nosem, zaczęła ocierać łzy dłońmi i palcami. Potem wyjęła z kieszeni spodni jednorazową chusteczkę i wytarła nos. Odchrząknęła. Pochyliła głowę i przeciągnęła rękami po włosach, jakby chciała je związać wstążką.

- Boże - powtórzyła i spojrzała w górę, opuszczając ręce.

Wzięła głęboki oddech, oparła ręce na biodrach, po czym wypuściła powietrze z płuc i wpatrzyła się w niego zaczerwienionymi oczami. - Życie Louise zaważyło się z naszego powodu!

Nie wiedział, co na to powiedzieć, bo co, u diabła, można powiedzieć na coś takiego. Nie przestawała się w niego wpatrywać i wiedział, że z ogromnym trudem dociera do niej to, co jej mówił.

- Rita, chcę, żebyś wyjechała, żeby cię tu nie było. Porozmawiam z Burdenem... ukryje cię w bezpiecznym miejscu. Gdzieś, gdzie... nie będziesz się musiała obawiać...

- Co? Na Boga... o czym ty myślisz, Titus? - Patrzyła na niego, jakby nagle zaczął mówić w nieznanym języku. - To... nie do pomyślenia. Nie. Nie wyjadę. Zostaję tutaj. Cokolwiek się wydarzy... spotka nas oboje. Nie wierzę... pomyślałeś, że mogłabym zrobić coś takiego? - mówiła,

ledwie panując nad głosem.

- To szaleństwo, nie możesz tu zostać...

- To ty jesteś szalony - przerwała mu ostro. W jej oczach nie było już łez, ale były w głosie. Gniew, strach i miłość zlewały się, rozmazywały, przenikając nawzajem.

- Powiedz mi, co się tutaj dzieje, Titus - rzuciła kategorycznym tonem. - Powiedziałeś mi, co się stało, a teraz powiedz, co się dzieje.

Wciąż siedząc na kamiennym murku, popatrzył na ziemię, która opadała w kierunku strumienia.

- Burden jest na tropie tego faceta i działa bardzo szybko, ale nie ma żadnych gwarancji. - Chciał być wobec niej szczery, ale wolał nie mówić jej wszystkiego. Nie chciał mówić o swoich lękach, mrocznych przewidywaniach ani o tym, że próbuje nie myśleć, ku czemu to zmierza. Jeśli dopisze mu szczęście, może uda im się przejść przez ten koszmar tak, że ona nigdy się nie dowie o sprawach, z którymi potem byłoby jej ciężko żyć.

- Na litość boską, Titus, w co ty się wpakowałeś?

- W co ja się wpakowałem?! - Jej pytanie wzbudziło w nim gniew. - To samo mnie dopadło! Rita, posłuchaj mnie: ten sukinsyn jeszcze kogoś zabije. Pomyśl o tym. A potem jeszcze kogoś i znowu... Przyjaciół, naszych przyjaciół! Mam gdzieś to, jak Burden go powstrzyma, i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc.

Mogła tylko na niego patrzeć. W sadzie pojawiło się stado sójek błękitnych. Walczyły ze sobą i wydzierały się, skacząc na wszystkie strony niczym banda narwańców - błękitne błyski migoczące między uporządkowanymi rzędami drzew brzoskwiniowych. Wciąż walcząc, przeniosły swoją bratobójczą nienawiść w jałowcowe chaszczce ciągnące się aż do strumienia. Oddaliły się i zapanowała cisza, a potem znowu rozległo się gruchanie gołębiaków, głos pociechy i spokoju.

Rita dziwnie wykrzywiła usta. Miała ten wyraz twarzy, który przybierała, kiedy coś ją nagle wystraszyło i nie zdążyła zapanować nad sobą. Widział to wtedy, kiedy usłyszała o wypadku ojca na polowaniu i kiedy dowiedziała się o chorobie matki. I wciąż odczuwał ten sam ból, kiedy przypominał sobie, jak lekarz powiedział im, że płód jest strasznie zdeformowany.

- Nie można w to uwierzyć - odezwała się w końcu - w to wszystko. Po prostu nie wiem, jak... - Wzięła krótki, nerwowy oddech. - Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś, że nie powiadomiłeś policji. FBI... - Pokręciła głową. - Kogoś, kto reprezentuje prawo.

- Przecież ci wszystko wytłumaczyłem, wyjaśniłem, dlaczego tak zdecydowałem.

- Cóż, myślę, że straciłeś rozum, Titus.

- Próbuję uratować życie niewinnym ludziom - powiedział.

- I myślisz, że to właściwy sposób? Z tym... samozwań-
czym pogromcą zła?

Już chciał jej ostro odpowiedzieć, ale się powstrzymał.

- Wierzę w słuszność rady Gila Norlina - rzekł.

- Niebawem! Poznałeś faceta przelotnie cztery lata temu, a nawet wtedy mówiłeś, że jest szemrany.

- Nigdy tego nie powiedziałem.

- Powiedziałeś, że był zbyt tajemniczy.

- Po prostu nie pracował otwarcie przy tamtej sprawie, jak cała reszta - odparł. - Tylko to miałem na myśli.

Znowu popatrzyli na siebie ze złością. To go wykańczało. Widział, że jej oczy ponownie czerwienieją.

- Titus - powiedziała Rita łamiącym się głosem - czy będziemy tego żałować? - Cała drżała. Titus nigdy jeszcze nie widział drżącej Rity. Nigdy.

- Podejmuję decyzje, które muszę podjąć - odparł - i robię to najlepiej, jak potrafię. Musisz zrozumieć, Rito, że nie ma żadnych wskazówek, jak postępować w takich sytuacjach. To tak, jakbyś obudziła się z koszmaru i odkryła, że on nadal trwa. Muszę po prostu przejść przez to najlepiej, jak tylko mogę. - Zawahał się. - Potrzebuję twojej pomocy, Rito. Nie mogę tego zrobić bez ciebie.

Wyraz jej twarzy uległ zmianie. Nie była pewna, czy chce, żeby ta rozmowa zmierzała w kierunku, który sugerował ton jego głosu. W tej chwili nie chciała pojednania.

- Potrzebuję twojej współpracy w tej sprawie - mówił dalej. - Każę Burdenowi znaleźć dla ciebie bezpieczne miejsce...

- Titus! - rzuciła, patrząc mu prosto w oczy. Jej twarz skamieniała w wyrazie gniewu i frustracji.

Wiedział, co Rita myśli: On nie rozumie... nie ma najmniejszego pojęcia, o co prosi. Ale wiedział. Tak naprawdę to ona nie miała o niczym pojęcia. Jej lojalność przerażała go, ponieważ narażała ją na niebezpieczeństwo.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Muszę się rozpakować - rzuciła ostrym tonem i odwróciwszy się, ruszyła aleją w kierunku domu.

Nie próbował jej zatrzymać. Wiedział, że to nie ma sensu. Była zmęczona. Była wyczerpana emocjonalnie. Była wystraszona. W taki sposób Rita zwykle reagowała na streśy. Kiedy się czegoś bała, wpadała w gniew, ponieważ czuła, że traci kontrolę nad wydarzeniami, a to ją przerażało. Potrzebowała czasu. Oni wszyscy potrzebowali czasu, na litość boską, ale nie sądził, żeby dostali to, czego im trzeba. Wraz z pieniędzmi Luquín skradnie im tyle czasu, ile tylko zdoła.

Kiedy patrzył na plecy Rity, do których skakały cienie wawrzynów w alei, brzęczenie cykad przybrało na sile, jakby ktoś podkreślił gałkę głośności. Można było odnieść wrażenie, że upał także się trochę wzmógł, uwalniając aromaty lata, przegrzanej roślinności, brzoskwiń, przyjemne zapachy ziemi. Wszystko to wydawało mu się teraz znacznie bardziej pociągające niż kilka dni temu, kiedy uważał to za coś oczywistego. Rozkoszował się tym, rozumiejąc, jak nigdy przedtem, że to coś chwilowego, że nie będzie trwało wiecznie, bo nie może. Zawsze było czymś tymczasowym, ale on nigdy przedtem nie myślał o tym w ten sposób.

ROZDZIAŁ 22

Współrzędne miejsc, z których prowadzono rozmowy po hiszpańsku, spływały powoli, wysyłane przez pierwszy zespół natychmiast po tym, gdy zostały wyznaczone. Kiedy kilka pierwszych pojawiło się na ekranie komputera Herrina, w jego słuchawkach natychmiast zabrzmiał głos Burdena, który był z drugim zespołem i także miał je na monitorze.

- I co na to twój nowy program? - zapytał.

- Zawęził obszar poszukiwań. Obracamy się w kręgu o promieniu mniej więcej stu metrów - odparł Herrin, wpatrzony w ekran.

- Dobrze. Sprawdźmy, czy można coś od razu wyeliminować. Jakieś centrum handlowe, firmę handlową, posterunek policji. Coś, gdzie może być uzasadniona potrzeba szyfrowania rozmów. Nas najbardziej interesują domy mieszkalne. Głównie takie do wynajęcia.

Herrin spędził przed komputerem prawie dwie godziny, zanim wszystkie transmisje zostały sprawdzone przez pierwszy zespół. Kiedy spośród stu dwunastu szyfrowanych rozmów wyłowiono wszystkie przekazy hiszpańskojęzyczne, lista skurczyła się do czternastu. Zadzwoił wtedy do Burdena.

- W porządku - powiedział Burden. - Beechcraft będzie znowu na pozycji za piętnaście minut. Co mamy?

Herrin wyświetlił podsumowanie na obu ekranach.

- Z czternastu zakodowanych hiszpańskojęzycznych rozmów - zaczął - dwie prowadzono z country clubu, jedną z biura handlu nieruchomościami, trzy z kancelarii adwokackich, a dwie z siedziby brygady policji zajmującej się przestępczością w środowisku meksykańskim.

Pomasował twarz, a potem oparł się na łokciach i wbił wzrok w ekran. Siedział pod jednym z klimatyzatorów w domku gościnnym i zimne powietrze mile go chłodziło.

- Pozostaje nam więc tylko sześć rozmów, które należy dokładniej sprawdzić - kontynuował Herrin. - W trzech wypadkach dzwoniło z tej strony jeziora, a w trzech z drugiej. Znamy adresy domów po tamtej stronie, z których odbyły te rozmowy. Z tego brzegu prowadzono je w ruchu. Wciąż jednak nie znamy ich treści.

- Mówią mi tu, że mają spory problem z ich rozszyfrowaniem. Ustalenie, czy były anglo- lub hiszpańskojęzyczne, nie sprawiło im wielkiej trudności, ale ich rozszyfrowanie to zupełnie inna sprawa.

- Jakież domysły?

- Nie. Liczę jednak na to, że ci przemierzający się rozmówcy skontaktują się z jednym z domów po drugiej stronie jeziora - odpowiedział Burden. - Jeśli tak się stanie, namierzemy, jak mam nadzieję, ich bazę i zespół obserwacyjny.

Herrin wpatrywał się przez chwilę w ekran, po czym zerwał celofanowe opakowanie cukierka i włożył go do ust.

- Mamy jeszcze tylko ten jeden strzał - ciągnął Burden.
- Poczynając od jutra, ten samolot bierze udział w jakiejś zaplanowanej od dawna robocie w Maracaibo.

Herrin, zastanawiając się, nerwowo ssał cukierka. W końcu rozgryzł go i przeżuł.

- Wezwę teraz samolot - podjął po chwili milczenia Burden. - Powiem im, żeby mieli na oku te sześć kanałów i wyłapali tyle nowych, ile tylko będą mogli podczas dwugodzinnego lotu.

Herrin czekał, nie odrywając wzroku od ekranu i nerwowo poruszając nogą, jakby był rozgorączkowanym nastolatkiem. Kiedy brał bezpośredni udział w operacjach, zapominał o swoim niefrasobliwym sposobie bycia.

- Cholera - odezwał się Burden w jego słuchawkach - to niezbyt wiele. Jeśli tak się złoży, że oni nie użyją telefonu przez te dwie godziny... - Umilkł. Potem dodał: - Mam jednak przeczucie, że dobrze to ustawili w czasie. Podczas pierwszego lotu beechcraft znalazł się na pozycji i zaczął zbierać dane zaledwie kilka minut po tym, jak Cain wysłał e-mail do Luquína. Jeśli Luquíń zareagował szybko, a zawsze to robi, powinien zacząć prowadzić szyfrowane rozmowy jeszcze podczas tego pierwszego lotu. On po prostu musi być w jednym z tych trzech domów.

ROZDZIAŁ 23

Jorge Macias stał przy poręczy tarasu, który górował nad jeziorem, i z telefonem komórkowym przy uchu obserwował dziewczynę w żółtym bikini leżącą na dziobie pomrukującej motorówki, która kołysała się na lekkich falach sto metrów niżej. Był w czarnych płóciennych spodniach i jedwabnej popielatej koszuli, rozpiętej do połowy na porośniętych ciemnymi włosami piersiach. Rozmawiał ze swoim zespołem obserwacyjnym, który doniósł właśnie o przyjeździe Rity Cain.

Słuchając, patrzył na drugą dziewczynę, w czarnych majteczkach i z drinkiem w ręce. Wychyliwszy się za burtę, rozmawiała z taplającym się za rufą mężczyzną, który przypinał narty wodne. Drugi mężczyzna stał przy kole sterowym i tłumaczył pierwszemu, co ma robić.

- Aha, bardzo dobrze - powiedział Macias - właśnie tak. Potrzebowałem jakichś dobrych wiadomości. Nadal ani śladu ochroniarzy, nic w tym stylu?... *Bueno, bueno*. Świetnie.

Dziewczyny wdzięczyły się na słońcu. Lubią to, *qué chichis*. Nagle ta z dziobu wstała i weszła do kokpitu. Sternik spojrział za rufę i przygazował. Śruba zakotłowała się w wodzie i łódź skoczyła do przodu. Facet, który był w wodzie, wyłonił się z niej i pomknął na nartach po jeziorze.

Macias odprowadzał ich wzrokiem do chwili, gdy zniknęli w blasku słońca. Cholera.

Spojrział na Luquína, który siedział przy stoliku po drugiej stronie basenu, w cieniu drzew. Palił i patrząc na swój komputer z takim skupieniem, jakby się wpatrywał w jądro wszechświata, wysyłał i odbierał zakodowane wiadomości przychodzące przez Rio, Mexico City, Buenos Aires, Bejrut, Monako. Przerzywał tylko po to, żeby coś zjeść. Spał bardzo niewiele. Był irytujący. Był wybuchowy jak nitrogliceryna i trzeba się było z nim obchodzić z jeszcze większą ostrożnością niż z tym świństwem.

Z drugiej strony wszyscy biorący w tym udział byli podenerwowani. Przeprowadzenie czegoś takiego w Stanach było bardzo niebezpieczne. Wszyscy działali pod wielką presją, ponieważ każdy otrzymywał podwójną stawkę, za którą Luquín oczekiwał wręcz nadludzkich wysiłków.

W pewnej chwili Luquín wyprostował się gwałtownie na krześle, nie odrywając wzroku od ekranu. Macias przestał słyszeć to, co mu mówiono przez telefon komórkowy. Luquín ze ściągniętą nagle twarzą pochylił się nad komputerem.

- Oddzwonię do ciebie - rzucił Macias do mikrofonu.

Wyłączył telefon i ruszył wokół basenu. Zanim go obeszł, Luquín zaklął głośno i zerwał się na nogi. Porwał laptop ze stołu i cisnął nim w powietrze. Komputer poleciał wysokim łukiem, wciąż otwarty, z ostatnią wiadomością jaśniejącą na ekranie, po czym spadł dokładnie na środku basenu, uderzając w wodę z cichym pluskiem, i wolno zatonał.

Macias zatrzymał się. Luquín, rozstawiwszy nogi w wojowniczej postawie, rzucił mu nad wodą wściekle spojrzenie.

- Niech to szlag - warknął - daj mi inny komputer.

Macias oblał się potem i wszedł do domu, gdzie chwycił laptop ze stołu w jadalni. Wracając z nim na taras, przebiegał gorączkowo w myślach te wszystkie punkty, w których spodziewali się problemów, próbując odgadnąć, co mogło spowodować wybuch szefa.

- Nie ufam temu facetowi - powiedział Luquín. Głos mu się już uspokoił, furia zeszła gdzieś w głąb. Teraz należało się go obawiać.

Macias położył laptop na stoliku, otworzył go i włączył. Następnie przeszedł na drugą stronę stołu, skąd mógł obserwować twarz Luquína. Tano zaczął z finezją, bezdźwięcznie muskać szare klawisze.

Odczekawszy, aż na ekranie pojawi się zabezpieczona witryna, Luquín wywołał wiadomość, która była przyczyną jego wybuchu. Odwrócił laptop i pchnął go w stronę Maciasa.

- Ten *pinche cabrón* - powiedział z uśmiechem, ale jego głos ociekał pogardą.

Macias popatrzył na ekran.

PRZYGOTOWAŁEM DZIESIĘĆ MILIONÓW DOLARÓW DLA CAVATINA, ALE PRZEŚLĘ JE DOPIERO WTEDY, GDY JESZCZE RAZ POROZMAWIAMY, TWARZĄ W TWARZ. MUSIMY SIĘ CO DO CZEGOŚ POROZUMIEĆ. NIE ZROBIŁEM NIC, CO MOŻNA BY UZNAĆ ZA ZŁAMANIE PAŃSKICH INSTRUKCJI. JEŚLI BĘDZIE PAN ZABIJAŁ LUDZI NAWET WTEDY, GDY JA BĘDĘ WYPEŁNIAŁ PAŃSKIE POLECENIA, ZATRZYMAM PIENIĄDZE, A PAN MOŻE SOBIE IŚĆ DO DIABŁA.

Macias nie mógł uwierzyć własnym oczom. Cain właśnie skazał na śmierć kolejną osobę, lub dwie. Macias czuł na sobie spojrzenie Luquína, który czekał na jego reakcję.

- Cóż, przynajmniej wiemy, że nie ma nikogo, kto by mu doradzał - odezwał się Macias. - Żaden znający się na rzeczy człowiek nie pozwoliłby mu zrobić czegoś takiego.

Luquín nie odpowiedział. Jego spojrzenie zsunęło się z Maciasa i zawisło gdzieś w połowie odległości między nimi. Nie patrzył na nic konkretnego.

- Co on zatem wyrabia? - zapytał w końcu.

- Może nie potrafi znieść zabijania. Może się wkurzył.

- To nie to. Myślę, że nie widział jeszcze wystarczająco wiele trupów.

To była wielka gra Luquína, *jugar el todo por el todo*, wszystko lub nic. Podczas przygotowań ślęczał nad profilem psychologicznymi Caina, jakby był zawodowcem. Na tej podstawie wyrobił sobie takie pojęcie o swojej ofierze, że pozwalało mu to przewidywać jej reakcję na każdą presję. Jednak takiego zachowania Caina jego plany nie przewidywały.

Ale Luquína ta niespodzianka tylko zniecierpliwiła. Był absolutnie pewien, że ma druzgoczącą przewagę. Cain mógł wykonywać jakieś nagłe posunięcia, które wymagały natychmiastowej reakcji, ale były to tylko chwilowe i nieistotne zakłócenia.

- To interesujące - odezwał się Luquín. - Nieposłuszeństwo? Po tym, gdy się dowiedział, że jest odpowiedzialny za śmierć przyjaciela?

- Ale on uważa, że to zabójstwo było nieusprawiedliwione - odparł Macias. - Może myśli, że nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności. Sądzi, że to ty złamałeś zasady.

Luquín wolno, jakby jakikolwiek szybszy ruch mógł zakłócić tok jego myśli, wyciągnął papierosa z paczki leżącej przed nim na stoliku. Zapalił go i wpatrywał się przez chwilę w rozżarzony koniec.

- Możliwe - powiedział zamyślony. - Ten facet to skomplikowana mieszanka, kotek z jajami z mosiądzu. - Roześmiał się. - Taa, to dobry opis. Jestem tylko zaskoczony, że właśnie teraz postanowił pokazać, że ma jaja. Myślałem, że to nastąpi, gdy się go jeszcze trochę przycisnie. Sądziłem, że pierwsze zabójstwo wytrąci go z równowagi, że minie trochę więcej czasu, nim dojdzie do siebie. I że dopiero później, może, będę miał z nim jakieś problemy. - Zaciągnął się i po kiwał głową. - Taa, to interesujące.

Macias obserwował go z uwagą. Dla niego to także było interesujące. W normalnych okolicznościach po tak wyzywającym ruchu ofiary Luquín kazałby natychmiast kogoś brutalnie zabić, ale tym razem z jakichś powodów tego nie zrobił. Tym razem był skłonny okazać trochę cierpliwości, choć robił to niechętnie, kierując się być może nastrojem. Mimo to okazanie przezeń nawet odrobiny cierpliwości było czymś niezwykłym. Może Luquín pragnął tych pieniędzy jeszcze bardziej niż zyskania punktu w pojedynku z

Cainem, wykazania się większą niż tamtego męskością. Jego chciwość była legendarna. Chciał dostać te miliony.

Ale tu chodziło o coś więcej niż tylko pieniądze. Chociaż nie był w to bezpośrednio zaangażowany, a Luquín nigdy o tym nie mówił, Macias wiedział, że stawka jest większa. Luquín znowu robił interesy z niektórymi starymi przyjaciółmi z Bliskiego Wschodu. Robił je w Meksyku.

Macias oficjalnie nie miał z tym nic wspólnego, ale wiedział o wszystkim więcej, niż się Luquínowi wydawało. W Meksyku niewiele działo się takich rzeczy, o których Macias by nie wiedział. A dziwne poczynania jego starego *compadre* Luquína nie były tu wyjątkiem.

Nawet dla Luquína ten bliskowschodni interes był szalenie wręcz niebezpieczny. Nic dziwnego zatem, że czasem szef był wybuchowy, a innym razem zachowywał się z nietypową dla siebie łagodnością. Prowadził śmiertelnie niebezpieczną *grą, jugar a la vida*.

- Czy to wykonalne? - zapytał Luquín, przenosząc wzrok na Maciasa. - Bezpieczne spotkanie z tym *cabrón*?

- Wykonalne, Tano. Ale czy jesteś pewny, że tego chcesz?

Luquín popatrzył mu prosto w oczy.

- Strach. I elastyczność. To wymaga twardej ręki... a od czasu do czasu odrobiny delikatności, żeby dać mu nadzieję. Musimy być elastyczni, Jorge. Nigdy jeszcze tego nie robiliśmy w ten sposób. Musimy być... wyczuleni na różne możliwości. Raz kopnąć, innym razem pogłaskać. Robimy to, co musimy zrobić... dla sześćdziesięciu czterech milionów dolarów. Dasz radę? Bez problemu?

- Jasne. Ale musimy to kontrolować. Powinien myśleć, że potrzebujemy czasu, bo przylatujesz na to spotkanie. Nie może wiedzieć, że jesteś w pobliżu.

Luquín zastanowił się. Po chwili wyciągnął rękę i odwróciwszy komputer do siebie, napisał:

W PORZĄDKU. JEDNO SPOTKANIE. NIECH PAN CZEKA NA INSTRUKCJE. DOBRZE BY BYŁO, ŻEBY DOTRZYMAŁ PAN TERMINU NAJBLIŻSZEJ PŁATNOŚCI. PRZYPADA JUTRO.

Skończywszy, Luquín ponownie odwrócił komputer, żeby pokazać wiadomość podwładnemu.

- Skontaktuję się z moimi ludźmi i zajmiemy się przygotowaniem - powiedział Macias.

- Wyślij to - polecił Luquín.

Macias puknął w odpowiedni klawisz, a Luquín wstał z krzesła. Chciał zobaczyć laptopa, którego wrzucił do wody. Podeszedł do basenu i zatrzymał się na samym skraju. Spojrzał w dół i zobaczył go: leżał na dnie niczym cyklopie oko. Luquín zaciągnął się i wypuścił dym, który porwała bryza wiejąca wzdłuż urwistego brzegu jeziora.

W pewnej chwili dostrzegł liść dębu, który krążył nad wodą miotany przez zmienne poddmuchy wiatru. Wyglądało to tak, jakby raz rzucał się w szalony pościg w jedną stronę, a po chwili, kompletnie dezorientowany, dawał się nieść w inną.

Takiego właśnie chciał zobaczyć Titusa Caina - na progu hysterii, z łomoczącym sercem, niezdolnego do wyhamowania gonitwy myśli na tyle długo, żeby zadziałał rozsądek, ale mającego jeszcze dość władz umysłowych, aby wiedzieć, że im prędzej sięgnie do kieszeni, tym prędzej skończą się zabójstwa. To Luquín ponownie chciał osiągnąć podczas tego spotkania. Cain powinien się stale miotać, nie wolno mu było dać chwili spokoju. Musiał być rozgorączkowany.

ROZDZIAŁ 24

Wracając z sadu, Titus wstąpił do domku dla gości. Salonik był teraz wypełniony przez komputery i inne urządzenia elektroniczne, których przeznaczenia Cain nawet nie próbował dociec.

Herrin przedstawił mu w ogólnym zarysie, jak to wszystko ma działać, i właśnie informował go o wynikach nasłuchu z beechcrafta, kiedy odezwał się telefon Titusa. Dzwonił Burden.

- Widziałeś odpowiedź Luquína?

- Nie.

- Zrobi to. Spotka się z tobą.

Titus był oszołomiony. Nie wiedział, czego może się spodziewać po swoim żądaniu, ale wiadomość, że ponownie stanie oko w oko z Luquínem, mocno zbiła go z tropu.

- Co napisał?

- Wyśle ci instrukcje, a więc bądź w pobliżu.
- Czy napisał, dlaczego się zgadza na to spotkanie?
- Nie, ale nie jest tak pewny siebie, jak chciałby, żebyś wierzył. Myślę, że chce sobie ciebie obejrzeć, aby się uspokoić. To dobra wiadomość. Przejmiemy jego instrukcje, a więc rób po prostu to, co ci każe. My zajmiemy się resztą.

- To znaczy?

- Chcę to z tobą dokładnie omówić - odparł Burden. - Będę u ciebie wczesnym wieczorem i wszystko ci przedstawię, opowiem, na czym stoimy. Co musisz zrobić, żeby przesłać pierwszą ratę?

- Zadzwoń.

- Dobrze. Chcę, żebyś to zrobił przy nim. A co z następną?

- Pracuję nad tym.

Burden umilkł i Titus usłyszał w tle jakieś odgłosy: rozmowy, szum transmisji radiowych.

- Posłuchaj - odezwał się znowu Burden - chcę, żebyś był przygotowany... Thrush nie będzie jedyną ofiarą. Po prostu nie chcę, żebyś zaczął myśleć... że coś się zmieniło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Titus czuł woń urządzeń elektronicznych, rozgrzanego plastiku obudów i izolacji przewodów. Znajome zapachy. To jednak, co działo się gdzieś w zakamarkach jego umysłu, buczenie, które wibrowało w głębi klatki piersiowej, jakby mu groziło migotanie przedsionków, było nie tylko nieznanne, ale i przerażające. Czekanie na jeszcze jedną śmierć było czymś strasznym. Zastanawiał się, czy to właśnie czuje człowiek, który stracił panowanie nad sobą, czy te doznania są początkiem tego, co później zostanie nazwane ślepą furją.

- Nie - odparł - zdaję sobie sprawę, że nic się nie zmieniło.

Titus wyszedł na dwór i stanął w cieniu przed domkiem dla gości. Cień się wydłużył, gdy słońce zejdzie jeszcze niżej za sad, zmierzając ku zboczowi wzgórza, gdzie robotnicy budowali zbiornik na wodę. Popatrzył w dół przez światła i cienie wawrzynowej alei i poczuł, że wszystko znajome i zwykle szybko wycieka z jego świadomości, oddzielając go od doświadczeń całego życia, pozostawiając zagubionego w dziwnym i obcym świecie.

A potem, równie szybko, otrząsnął się z tego. Wyjął z

kieszeni telefon komórkowy i zadzwonił do Carli, która była jeszcze w biurze. Spytał ją, czy mogłaby wziąć swój laptop i przyjechać do niego, żeby popracować z nim przez kilka godzin. W tej prośbie nie było nic niezwykłego. Titus lubił pracować w domu i robił to, gdy tylko mógł, nawet w tych pierwszych latach, gdy rozkręcał firmę.

Minąwszy fontannę, wszedł do domu i ruszył szerokim korytarzem ze szklanym dachem, szukając Rity. Znalazł ją w ich sypialni; rozpakowywała się po podróży. Usłyszała go, ale nie odwróciła się od łóżka, na którym leżały jej otwarte walizki. Wyjmowała z nich rzeczy, ciągle wzburzona.

- Posłuchaj - powiedział - nie zostawiamy tego tak.

Odwróciła się, żeby powiedzieć coś, co - był tego pewien - narastało w niej od dłuższego czasu, powstrzymał ją jednak, unosząc dłoń z wyciągniętym do góry palcem wskazującym, którym następnie dotknął ucha, żeby przypomnieć jej o podsłuchu.

Zaskoczona, wpatrywała się w niego przez chwilę, wstrzymując oddech. A potem warknęła:

- Nie teraz, Titus, na litość boską. - Po czym wróciła do rozpakowywania.

- Niedługo przyjedzie Carla - powiedział do jej pleców. - Mam parę spraw do załatwienia.

- Więc je załatw - odparła, pokrywając łóżko halkami, spodnicami, bielizną i butami.

Titus wyszedł z pokoju.

Kiedy dwie godziny później Carla weszła do jego gabinetu, siedział przy długim roboczym stole, któryś raz odczytując na ekranie laptopa wiadomość od Luquína. Gdy uniósł głowę i zobaczył jej twarz, zrozumiał, że ona już wie, że dzieje się coś złego. Położyła swój laptop na stole naprzeciw niego i włączyła go, zanim zdjęła z ramienia torebkę.

- Przed chwilą widziałam w kuchni Ritę - powiedziała, rzucając mu badawcze spojrzenie. - Jak jej minęła podróż? Była zdenerwowana.

- Usiądź - rzekł Titus i kiedy to zrobiła, zaczął jej opowiadać o wypadku Charliego Thrusha.

Ośłupiała, po chwili jednak zadała kilka pytań - zawsze zadawała pytania - a dopiero potem powiedziała, że mu współczuje.

Przez jakiś czas rozmawiali o powiadomieniu niektórych ludzi z CaiTekstu i Carla zanotowała sobie nazwiska tych, którym wedle Titusa należało powiedzieć natychmiast. Oni z kolei mieli przekazać wiadomość innym.

- Boże, jedno nieszczęście po drugim - powiedziała. Zawałała się, ale zaraz przeszła do rzeczy: - Co z... tą finansową sprawą, o której wspomniałeś? Tym chcesz się teraz zająć?

- Głównie.
- A czy Rita...?
- Wie o wszystkim.
- Jak to...?
- Pracujemy nad tym.

Carla pokiwała głową. Po chwili kłopotliwego milczenia Titus powiedział:

- Zamierzam sprzedać część udziałów w firmie, małą część, około ośmiu procent.

Carla otworzyła usta.

Titus natychmiast się zaczerwienił. To było upokarzające.

- Poleciłem Lackowi Paleyowi, żeby się tym zajął. Powinien to załatwić w dwa dni.

- Dwa dni?! - Zamurowało ją.

Zły i zażenowany, Titus przełknął ślinę, a potem zorientował się, że ona to zauważyła. Nigdy w życiu tak się nie czuł. Cały rozsądek, solidność i ostrożność w zarządzaniu, dzięki którym zbudował CaiText i które były jego znakiem firmowym w interesach, rozpadały się teraz pod presją Luquína. Czułby się źle nawet wtedy, gdyby ta jego dyskredytacja mogła być czymś usprawiedliwiona, ale to, że musi ściągać na siebie tak bezpodstawne przypuszczenia, ledwie mógł znieść.

- Musisz to wiedzieć - ciągnął, czując, że pali go twarz - na wypadek, gdyby były jakieś przecieki i zaczęto cię wypytywać.

Jeśli czuł się tak, mówiąc to Carli, która świetnie go znała, z którą tyle go łączyło i która wiedziała o nim więcej niż ktokolwiek inny oprócz Rity, to jak będzie się czuł, kiedy ta jego pozorna nieodpowiedzialność stanie się powszechnie znana? Co sobie pomyślą ludzie, kiedy rzuci się na to prasa gospodarcza? Co się stanie z jego reputacją, kiedy jego koledzy, menedżerowie i pracownicy uwierzą, że postąpił

tak lekkomyślnie? Jak sobie z tym poradzi?

- Jeśli... jeśli będą mnie indagować... to co mam powiedzieć? - zapytała.

- Powiedz im po prostu, że nic o tym nie wiesz. Powiedz, że to wszystko kwestie prawne. To nie wchodzi w zakres twoich obowiązków.

Pokiwała głową, wciąż patrząc na niego, ale wyraz jej twarzy się zmienił. Teraz nie malował się na niej szok, ale podejrzenie, jakby zaczynała się domyślać, że w tym wszystkim chodzi o coś więcej, niż Titus jej powiedział.

- To musiała być wielka wpadka - powiedziała, udając, że mu wierzy, i wiedząc, że on zdaje sobie sprawę, że udaje - ta zła inwestycja.

Pokiwał głową. Carla była zapaloną biegaczką i ta sama wewnętrzna dyscyplina, dzięki której narzuciła sobie reżim treningowy, ukształtowała jej poczucie prawości. Nie to ją bolało, że coś przed nią ukrywa. Titus nigdy, rzecz jasna, nie mówił jej wszystkiego o interesach i nie oczekiwała tego. Ale wiedziała, że teraz dzieje się coś innego, coś złego.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Posłuchaj - rzuciła w końcu, zbliżając ku niemu twarz obramowaną krótkimi włosami - kiedy tu przyjechałam, zobaczyłam jakiegoś technika, który wyszedł z domku dla gości ze słuchawkami na uszach. Zajrzałam do kuchni, a tam przy zlewie stała Rita, wpatrzona w okno. Objęłam ją i zdziwiona zapytałam, dlaczego tak wcześniej wróciła, ale nic nie odpowiedziała. - Patrzyła mu prosto w oczy. - A już zupełnie przed chwilą, kiedy szłam tutaj, zobaczyłam innego technika ze słuchawkami na uszach. - Przerwała dla wzmocnienia efektu. - Wyglądało to tak, jakby osłuchiwał tę małą biblioteczkę.

Wzruszyła ramionami, pytając bez słów: Kim jestem, żeby twierdzić, że to coś dziwnego? Otworzyła zaciśnięte dłonie i rozczapierzyła palce, jakby w ten sposób chciała zademonstrować, że jest szczerą. Miała zadbane paznokcie o owalnym, nieutrudniającym pracy kształcie. Nigdy ich nie malowała.

- Powiedzmy, że uwierzyłam w tę historię o złej inwestycji - mówiła dalej. - Może być. - Pokiwała głową. - Dobrze? Ale posłuchaj, Titus, myślę, że coś tutaj jest strasznie

nie w porządku. Czy jesteś pewny... no wiesz, że nie chcesz mnie w to wprowadzić odrobinę głębiej?

Popatrzył na nią. Kusilo go. Pokój był już odpluskwiony. Kto by się dowiedział? Nie miał żadnej wątpliwości, że ona potrafi dotrzymać tajemnicy, ale czuł, że gdyby powiedział jej o wszystkim, byłoby to tak, jakby ją spryskał jakimś radioaktywnym świństwem. Taka wiedza byłaby dla niej śmiertelnie niebezpieczna.

- Daj mi tydzień - powiedział, przełykając ślinę. - Wtedy o tym porozmawiamy.

- Czy między tobą a Ritą - mówiła dalej Carla - wszystko w porządku?

- Duże napięcie - odparł szczerze. - Ale nic nam nie będzie.

Z powagą pokiwała głową.

- To dobrze - stwierdziła. - W takim razie z wszystkim innym sobie poradzisz, prawda?

- Taa. Z wszystkim innym sobie poradzę.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

- W porządku - powiedziała. - Bierzmy się więc do pracy.

Titus pracował z Carla kilka godzin i kiedy wyjechała, było już późne popołudnie. Sprawdził w komputerze, czy nie ma jakichś wiadomości, i zobaczył, że nadeszły już instrukcje Luquína na temat ich spotkania. Były związane: dokładnie o wpół do pierwszej w nocy ma opuścić posiadłość i szczegółowo opisaną trasą dojechać do ustronnego skrzyżowania dróg na wzgórzach, gdzie otrzyma kolejne wskazówki. Siedział przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w ekran. Burden też już to ma. Pewnie wkrótce się odezwie.

Wszedł do kuchni, gdzie Rita przygotowywała spaghetti na kolację. Wciąż była roztrzęsiona, a on w gruncie rzeczy nie mógł nic dodać do tego, co już powiedział. Z trudem panowała nad sobą i było jasne, że lepiej nie dawać jej pretekstu do kłótni.

Otworzył butelkę wina, napełnił kieliszki, a potem pomógł jej przygotowywać sałatę. Kolacja upłynęła im w najbardziej napiętej ciszy, jaka kiedykolwiek między nimi zapadła. Wątpił, czy zdołają strawić to, co zjedli.

ROZDZIAŁ 25

Pokój tonął w ciemności, a on leżał na boku w samej bieleźnie i patrzył przez otwarte okno. Do zarośniętego zieliskiem podwórka docierała poświata ulicznej latarni, wyrывая z mroku kształty huśtawki, zjeżdżalni i karuzeli, które na tle podświetlonej mgły wyglądały jak zgłiszcza dzieciństwa. To mogłoby być gdziekolwiek, ten plac zabaw. Opuszczony. Porzucone rzeczy wszędzie wyglądają tak samo, a dzieciństwo, w niektórych miejscach, bywa groteskowo skracane.

Myśl o dzieciństwie przyprawiła go o mdłości, wstał więc i poszedł do łazienki, gdzie zwymiotował. Następnie opłukał twarz, wrócił do pokoju i padł na łóżko. Po chwili westchnął i przekręcił się na plecy. Pościel była wilgotna, prawie lepka. Wyciągnął z nozdrzy skręcone kawałki papieru toaletowego i natychmiast dotarł do niego smród stęchlizny oraz wilgotnych ścian. Nie wiedział, co gorsze: ucisk papieru w nosie czy ten fetor.

Wstał z łóżka i podszedł do otwartych drzwi. Było zbyt gorąco, żeby spać, choć nie miał pewności. Było jeszcze tyle innych powodów, żeby nie spać. Popatrzył na stojący za żwirowym podjazdem domek, w którym spała para starszków. Słyszał szum ich okiennego klimatyzatora. Nie uruchomił swojego, bo powietrze, które wydmuchiwał, było wstrętne - czuł w nim zgniły i stęchły oddech nieznanomych.

Przez siatkę w drzwiach przenikała woń kurzu, który wznosił się łagodnie ze żwirowego podjazdu, kiedy na teren motelu wjeżdżały samochody, i czuł też, słabo, gorący asfalt z rozpalonych słońcem ulic. Czuł pieniającą się dziko roślinność. I wyczuwał pierwsze, niczym nieskażone światło następnego dnia, chociaż brakowało do niego jeszcze wielu godzin. I tuż za tym... raz wydało mu się, że czuje esencję wieczności. Ale ten zapach natychmiast się rozwiął, więc nie miał pewności, czy tak było naprawdę.

Wyciągnął rękę do góry i z ostrożnością, z jaką dotknąłby pajęczyny, musnął koniuszkami palców brudną siatkę w drzwiach. Pokrywała ją lepka substancja powstała ze smółki

tytoniowej i oddechów obcych ludzi. Przesunął lekko palcami po siatce, wyczuwając zabrudzone druciki.

I wtedy dostrzegł przez nią twarz. Zrobiło mu się zimno i natychmiast oblał się potem. Przykucnąwszy, wyjrzał przez brudną siatkę w mrok. Tam, gdzie najniższy konar drzewa opadał obok domku starej pary, ta linia była łukiem prawej brwi. Ciemne drzewa z tyłu były cieniem na policzku, a łuk drogi dojazdowej tworzył krzywiznę lewej strony szczęki.

Przełknął ślinę, zamrugał i ponownie skupił wzrok, spodziewając się, że przywidzenie zniknie. Ale to nie było przywidzenie i obserwowało go przez cały czas.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy pierwszy raz zobaczył tę twarz, zbyt wiele miast, zbyt wiele ulic, zbyt wiele śmierci temu. Czasem była ukryta w rzeczach, tak jak teraz, czasem w ludziach idących chodnikiem, czasem w tłumie. Nigdy nie potrafił stwierdzić, czy jest męska czy kobieca, czy wyraża gniew, smutek czy groźbę. I teraz, gdy próbował rozpoznać zmarszczone czoło, smutnie wygiętą brew, napięcie w kąciку ust, twarz zaczęła się wolno cofać, tak że drzewo nie było już dłużej łukiem oka, domek był znowu tylko domkiem, a droga dojazdowa zwykłą zakurzoną drogą.

Pogodził się z tym. Dziwaczność dawno już przestała być dla niego dziwaczna. To, co szokujące i prozaiczne, istniało razem na tej samej płaszczyźnie doświadczeń, gdzie wizje stają się rzeczywistością, a rzeczywistość się dematerializuje. Czasem, jak teraz, reagowało jego ciało. Pot. Kołatanie serce. Gwałtowna potrzeba oddania moczu. Ale emocjonalnie był spokojny. Stabilny. Niewzruszony.

Coś przesączało się przez siatkę, powietrze, lekki oddech.

Zsunął slipy na podłogę i przestąpił je. Podniósł ręce, oparł je po obu stronach ramy drzwi, rozstawił nogi i stanął tak w progu. Przez siatkę przeszedł podmuch powietrza i owiał jego ciało. Przepływał wokół niego jak oswobodzony duch szukający miejsca na chwilowy wypoczynek. Dotykał każdego poru skóry, okręzał genitalia, poruszał włosami łonowymi.

Wciąż tak stał, kiedy na granicy ciemności zmaterializowała się postać, która zaraz potem stanęła. Przez pewien czas przyglądali się sobie z dala, oddzieleni mrokiem.

Potem postać ruszyła w jego stronę, zbliżyła się do drzwi i zatrzymała blisko, o kilka cali od niego. Patrzyli na siebie przez filtr siatki, nie poruszając się. Dojrzał połysk wilgoci w oczach drugiego mężczyzny.

- *¿Mé recuerdas?* - zapytał cicho ten drugi.

Nie zmieniając pozycji ciała, wielkiego X rozpiętego w drzwiach, nie odpowiedział i ani drgnął. A potem:

- *Aaa* - wymruczał w głębi piersi, mimo mętluku panującego w pamięci poznając przybysza. - *Si, García. Yo recuerdo.*

Wciąż nagi, usiadł na jednym z dwóch krzesel, które stały w pokoju. Burden usiadł na drugim, za skotłowanym łóżkiem. Padające z zewnątrz słabe światło wystarczało im, by się widzieli; wyglądali jak duchy. W pokoju było bardzo gorąco.

- Nie wiedziałem, że to ty po mnie posłałeś - odezwał się do Burdena, prostując się na krześle.

Oczywiście, że nie wiedział. Jego ostatni adres podawano sobie w ciemnych zaułkach, jakby to był bardzo niebezpieczny narkotyk. Ludzie pragnęli jak najszybciej pozbyć się papieru, na którym był napisany. Nigdy nie wiedział z góry, kto wynajmie go następny, i dowiadywał się o tym dopiero wtedy, gdy dochodziło do spotkania, a i wtedy zazwyczaj miał do czynienia tylko z pośrednikami. Często nie dowiadywał się wcale, a przynajmniej nie miał pewności, kto mu zapłacił za to, co zrobił.

- Opowiedz mi o sobie - zażądał.

Powiedział to dosyć przyjaźnie, ale już samo przebywanie w jego towarzystwie wiązało się z zagrożeniem. Mimo to Burden nie bał się go, choć zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z kimś niezrównoważonym psychicznie. Nikt o jego pozycji nie skontaktowałby się z kimś takim osobiście. Burden wiedział, że to nie umknęło uwagi tego człowieka i że wyróżnia go to w jego oczach.

- Odszedłem z Agencji. Jestem teraz wolnym strzelcem - odparł.

- Słyszałem o tym. Słyszałem różne historie Zostawiasz je za sobą jak odchody. Gdzie mieszkasz?

To było jedno z tych pytań, na które nikt przy zdrowych zmysłach nie odpowiedziałby szczerze.

- Po części w San Miguel de Allende. Częściowo w Paryżu. W San Francisco. W Londynie...

- Dobrze, już dobrze. - Mężczyzna pokiwał głową. - Ożeniłeś się z tą kobietą?

- Nie.

- Ale wciąż z nią jesteś?

- Oczywiście.

- Oczywiście. - Ciało mężczyzny było blade, skąpane w bladym świetle padającym z pobliskiego okna. - Lucia Cyganka. Piękna kobieta.

Burden poczuł się nieswojo, słysząc, że ten człowiek mówi o niej. Ale czekał, ukrywając skrepowanie.

- Dlaczego odszedłeś z Agencji?

- *Descontento*.

- Tak, ale dlaczego?

- Nie chcę o tym mówić.

- W porządku, dobrze.

Wilgotny pokój śmierdział... czymś... wieloma rzeczami... potem, stęchlizną, zastarzałą uryną... strachem... koszmarami. To były wonie złamanych mężczyzn. Burden pamiętał je także z pokojów kobiet, ale tam czuło się także perfumy, i niezależnie od tego, jak były tanie, jak tandetne, ich zapach łagodził atmosferę samotności. Ale wpędzał także w trudną do zniesienia melancholię.

- Nigdy ci nie podziękowałem - powiedział mężczyzna.

- To nie było konieczne.

- Niewiele rzeczy jest tak naprawdę konieczne. Wstyd mi, że ci nigdy nie podziękowałem. *Lo siento*.

Burden zrozumiał, ale nie odpowiedział. Ten człowiek żył, nie myśląc o jutrze. O tyle, o ile było to możliwe, żył teraźniejszością, z chwili na chwilę. To było czyste życie, życie zwierzęcia, które nie zna pojęcia przyszłości. Straszne życie.

- Nie wiedziałem, gdzie się podziałeś - powiedział Burden.

- Szukałeś mnie?

- Poniękad.

Usłyszał, jak mężczyzna wciąga powietrze, a potem wydało mu się, że widzi, jak wydycha je w długim pióropuszu cynizmu, który rozprasza się w bladym świetle otaczającym jego ciemną sylwetkę.

- Poniekąd - powtórzył za Burdenem mężczyzna, jakby chciał jeszcze raz usłyszeć to słowo. - To takie w twoim stylu.

- Myślałem, że chcesz zniknąć.

- Chciałem. - Zakasłał lekko. - Dobrze zrobiłeś.

Teraz, kiedy znowu siedział naprzeciw niego, Burden chciał zapytać o coś, nad czym zawsze się zastanawiał. Jego ciekawość przeważała nad lękiem, który każdemu innemu człowiekowi nie pozwoliłby zadać tego pytania.

- Jak zdołałeś mu się wyrwać?

Nie było natychmiastowej odpowiedzi. Może nie będzie jej wcale. Ale mężczyzna po chwili powiedział:

- To było łatwe. Jak samobójstwo. Nie ma nic łatwiejszego, kiedy się już zdecydujesz.

Burden czekał na dalszy ciąg.

- Jednej bezsennej nocy... leżałem w ciemności. Nie widziałem jej końca. Wyciągnąłem rękę, chwyciłem garść mroku i pociągnąłem. Zsunął się jak czarna płachta. Pociągnąłem znowu i jeszcze raz. Trwało to wiele godzin. Kiedy nadszedł dzień, mnie już tam nie było. To wszystko.

Burden pokiwał głową. Słyszał, że ten człowiek tak mówi, że dla niego nie ma granicy między normalnością a fantazją.

- Tam jest karuzela - odezwał się mężczyzna i zwrócił twarz do okna. - I huśtawki. I chwasty.

- Mam dla ciebie nazwisko - powiedział Burden - ale nie chcę ci go jeszcze podawać. - Bał się, że wiadomość, o kogo chodzi, wstrząśnie mężczyznę, zachwieje nim do tego stopnia, że stanie się nieprzewidywalny. - Pamiętasz pewnie, że często działałem odmiennie niż inni.

- My mawialiśmy, że niekonwencjonalnie.

- Ostrożnie - poprawił go Burden.

- Niekonwencjonalnie. Ale dla mnie to już nie ma żadnego znaczenia. Żadnego odniesienia. To jest nic.

- Ale rozumiesz?

- Cóż, widzisz, to po prostu nie ma żadnego znaczenia Jezusa. Burden dostrzegł rysujące się trudności. Ale mimo psychozy tego człowieka jego reputacja była bez zarzutu. Przyszło mu do głowy, że to on, Burden, ma teraz kłopoty z niekonwencjonalnym podejściem. Oto siedzi tu, oczekując,

że szalenię przedstawi mu jakiś układ odniesienia. Cóż, jest w tym jakaś nauka, czyż nie? Nie powinien być zaskoczony.

- Czy to ma być dziś w nocy? - zapytał mężczyzna.

- Nie.

- No to nie chcę o tym mówić. Wciąż chodzisz się modlić?

- Tak.

- Do kościołów? Meczetów? Synagog?

- Tak.

- Dlaczego?

- Z tych samych powodów.

- Teraz nie widzisz spraw inaczej?

- Spraw? Tak, sprawy się zawsze zmieniają, toteż widzę je inaczej. Ale siebie nie widzę inaczej. Więc ciągle chodzę.

- Jeśli to, co słyszę, jest prawdą - powiedział mężczyzna - to nie rozumiem, dlaczego wciąż chodzisz.

Burden nic nie odpowiedział. Cisza.

- Ale z drugiej strony - podjął mężczyzna - jakie to ma znaczenie? Myślę, że żadnego.

Patrzyli na siebie w półmroku małego pokoju, dwie ledwie widoczne postaci.

Burden podniósł się powoli. Nagle poczuł się tak, jakby noc okryła cały glob, jakby w czasie, który on spędził w tym motelowym pokoiku, wszystkie strefy czasowe stopiły się w ciemność, a słowo „poranek” znikło ze słowników.

- Wróć, żeby cię zabrać - powiedział. - Wtedy to zrobisz.

ROZDZIAŁ 26

Titus czekał na niego na werandzie. Burden był rozgrzany i spocony, gdyż wysiadł z furgonetki na Cielo Canyon Road i wspinał się przez las do sadu. Ubrany był podobnie jak dwadzieścia cztery godziny temu w Meksyku, kiedy Titus się z nim rozstał, w wyblakłe dżinsy i luźną płócienną koszulę w kolorze czekolady.

Przeszli do gabinetu Titusa, w którym czekała Rita.

Przywitała go z rezerwą i nie robiła nic, żeby to ukryć, a spocony Burden wyraźnie się spieszył. Rita zaproponowała jednak, że przyniesie mu wody, na co chętnie się zgodził. Kiedy podała mu szklanę, podziękował, wypił spory łyk i natychmiast przystąpił do wyjaśniania sytuacji.

- Najpierw - odezwał się, stojąc przy końcu stołu, plecami do okna wychodzącego na ciemny sad - musimy ustalić, ilu ludzi Luquín ściągnął do tej operacji. Przygotowując to spotkanie, będą musieli wprowadzić do gry swoich specjalistów od łączności i ochrony. My będziemy obserwować i liczyć. To wszystko.

Łyknął wody i wziął głęboki oddech. Potem popatrzył na zegarek i wrócił do sprawy.

- Mają nad nami ogromną przewagę - powiedział. - Nie możemy o tym zapominać. A my mamy tylko jedną szansę, żeby się dowiedzieć, ilu ich jest...

- Niech pan wyjaśni, na czym polega ich przewaga - przerwała mu Rita.

Burden popatrzył na nią. Titusowi wydało się, że widzi, jak z irytacją zaciska zęby. Po chwili jednak pokiwał głową.

- Ten model operacji Luquín doskonalił przez lata - powiedział. - Jego ludzie prawdopodobnie spędzili tu kilka tygodni, robiąc przygotowania, co tłumaczy, jak im się udało założyć w waszym domu podsłuch. Do przeprowadzenia tej operacji wybrał prawdopodobnie Jorge Maciasa, byłego oficera wywiadu Meksykańskiego Federalnego Zarządu Bezpieczeństwa Narodowego. Macias przez całe lata dostarczał Luquínowi informacji wywiadowczych. I ma kontakty w Stanach. Przypuszczalnie wykorzystuje w tej operacji cztery lub pięć działających osobno zespołów. Każdy z jego ludzi jest wypoczęty, dobrze przygotowany do czekających go zadań i ma łączność z innymi.

A jak my wyglądamy? - mówił dalej. - Zostałem w to wprowadzony w ostatniej chwili i nie mam żadnych obserwatorów w terenie. Musiałem utworzyć dwa zespoły, dosłownie w ciągu jednej nocy, sprowadzając tu ludzi samolotami z kilku różnych miast, a czasu mam coraz mniej. Moi ludzie są świetni, ale jest ich niewielu. Pracują na tak wysokich obrotach, jak to tylko możliwe, i nie będą mogli zwolnić tempa do czasu, aż to wszystko dobiegnie końca.

Działają pod ogromną presją, z czym nie muszą się zmagać ludzie Luquína, bo to on wywiera presję. On dyktuje warunki, jak już o tym mówiliśmy - powiedział do Titusa - i to on ustalił terminy płatności. Jeśli spóźnisz się z pieniędzmi, będą konsekwencje. Już widzieliśmy jakie.

Wszystko to Burden wyłożył w jednym płynnym, skrótowym monologu i chociaż był uprzejmy, widać było, że jest zniecierpliwiony tym, iż musi to wyjaśniać.

Titus zerknął na żonę, która siedziała pół stołu dalej. Na leżącym przed nią ilustrowanym magazynie stała szklaneczka szkockiej. Rita z napięciem wpatrywała się w Burdena, jakby czytała w jego myślach i bała się, że może stracić z nim kontakt.

Burden popatrzył na nią, żeby sprawdzić, czy jego odpowiedź ją zadowoliła, ale Titus pomyślał, że w tym spojrzeniu jest coś jeszcze. Pamiętał portrety w gabinecie Burdena. Ten człowiek miał słabość do kobiet i jego wrażliwość na ich urodę najwidoczniej wcale nie zniknęła z tak prozaicznego powodu jak odrobina stresu i niebezpieczeństwa. Titus zerknął na Ritę. Rozumiała, co się dzieje. Piękne kobiety wiedzą, co znaczą takie spojrzenia. Dowiadują się tego już jako dziewczynki.

- Porozmawiajmy o tym, co się wydarzy w ciągu kilku następnych godzin - podjął Burden. - Kiedy stąd wyjedziesz, Titus, będziesz w dużej mierze zdany tylko na siebie. Rzecz jasna nie możemy ci założyć podsłuchu. Ani w twoim rowerze, bo na pewno przesadzą cię do innego samochodu. I chociaż nasze wozy będą jechały za tobą przez cały czas, muszą się trzymać z dala. Nie wolno nam ryzykować, że zostaną wykryte, nawet jeśli mielibyśmy cię zgubić.

- Co?! - głucho krzyknęła Rita. - Nie możecie go tak wysłać na to spotkanie!

- Musimy - odparł spokojnie Burden, a potem spojrzał na Titusa, szukając u niego pomocy.

Rita także patrzyła na męża, a w jej oczach błyskał gniew i strach, jakiego jeszcze nigdy nie czuła.

- Pomyśl, Rita - odezwał się Titus. - Luquín chce pieniędzy. Ja kontroluję pieniądze. Uwierz mi, nic mi nie grozi. Tak naprawdę mogę być jedyną osobą, która nie jest zagrożona. Moje bezpieczeństwo nie jest tu problemem.

- Co więc, u diabła, jest problemem?

- Uniknięcie wykrycia - odparł Burden. - Nie możemy zostać wykryci. Naszym jedynym, powtarzam, jedynym, i to niezbyt mocnym, atutem w tej operacji jest to, że oni o nas nie wiedzą. Nie mają pojęcia, że ktoś jest na ich tropie.

Rita utkwiała w nim spojrzenie.

- Rozumiem powody - powiedziała spokojnie - ale dla mnie to nie jest ćwiczenie taktyczne. Tu chodzi o mojego męża, który ma się samotnie spotkać z mordercą.

Burden pochylił głowę i otarł pot z czoła rękawem koszuli.

- Pani Cain - wbił wzrok w jej oczy - mówiąc z brutalną szczerością, bardziej prawdopodobne, że prędzej czy później to raczej pani znajdzie się w niebezpieczeństwie, a nie pani mąż.

- Mówiliśmy o przeniesieniu jej w jakieś bezpieczne miejsce - wtrącił Titus - i...

- To głupi pomysł - przerwała mu Rita, wyzywająco patrząc na Burdena. - Nie zrobiłabym tego nawet za tysiąc lat. Nigdy. Zapomnijcie o tym.

- Proszę posłuchać - powiedział Burden - wiem, że to wydaje się pani... szokująco ryzykowne. Ale proszę mi wierzyć, że wszystko, co pani zobaczy w najbliższych dniach, będzie dla pani szokujące. To jest świat, którego sobie pani przedtem nawet nie wyobrażała, ale to świat, w którym ja żyję. Znam go od podszewki i postrzegam inaczej niż pani. Inaczej też odczytuję rozwijające się wydarzenia, gdyż patrzę na nie z zupełnie innej perspektywy. - Przerwał. - Mówiąc szczerze, pani Cain, musi mi pani zaufać. Nie ma pani innego wyboru. Naprawdę.

- Nie jestem pewna, czy w to wierzę - odparła szybko.

- Rita, García i ja już to omówiliśmy - powiedział Titus. - Szczegółowo. Idziemy tą drogą. Na zmianę kursu już za późno i wiąże się z tym zbyt wielkie ryzyko... chodzi o ludzkie życie.

- Szczegółowo - powtórzyła. - To znakomicie. - Zwróciła się do Burdena. - A co się stanie, jeśli pańscy ludzie zostaną zauważeni? W jakim położeniu znajdzie się wtedy Titus? Co pan przygotował na wypadek takiej sytuacji? Przez dwadzieścia minut słuchałam, jak wielką przewagę mają tamci

w tej... operacji, a teraz mówi mi pan, że Titus pojedzie sobie gdzieś porozmawiać z tym... szalonym zabójcą, i chce pan, bym uwierzyła, że on... że nic mu nie grozi? Czy pan myśli, że jestem idiotką?

Titus przyjrzał się Ricie. Osiągnęła punkt, w którym nie potrafiła już odróżnić swojego gniewu od strachu. Chociaż była tak twarda i pewna siebie, zawsze wierzyła w jego umiejętność oceny sytuacji, gdy gra toczyła się o najwyższe stawki. Wyglądało jednak na to, że tym razem trudno jej się z nim zgodzić.

Powstrzymując łzy, upiła łyk whisky, ale Titus widział, że przelyka o wiele więcej niż tylko szkocką.

Milczeli. Burden przeczesał palcami włosy. Kiedy znowu zaczął mówić, wydawało się, że w pełni się wczuwa w jej sytuację.

- Nie mogę cofnąć nieszczęścia, które panią spotkało, pani Cain - powiedział. - Nie mogę sprawić, żeby zniknęło zagrożenie. Udawanie, że jest inaczej, byłoby okrucieństwem.

Rita odwróciła wzrok, a Burden zerknął na Titusa, szukając u niego jakichś wskazówek. Titus skinieniem głowy dał mu znak, żeby mówił dalej.

- Musisz zrozumieć - ciągnął Burden, zwracając się do Titusa - że nawet jeśli stracimy z tobą kontakt wzrokowy, będziemy wiedzieli, gdzie jesteś. To nie tak, jakbyś spadł w przepaść na krańcu świata.

Wstał, wyjął z kieszeni małe plastikowe pudełko miętówek i obszedł stół. Usiadł obok Titusa i położył przed nim to pudełeczko.

- Tuż przed tym, jak tu przyszedłem - powiedział, patrząc na nich oboje - praktycznie ustaliliśmy miejsce pobytu Luquína.

- Praktycznie? - zapytał Titus.

- Tak naprawdę to jeszcze go tam nie dostrzegliśmy. Dzięki przejęciu kodowanych hiszpańskojęzycznych rozmów z telefonów komórkowych zawęziliśmy przedtem obszar poszukiwań do trzech domów. Teraz dwa z nich zostały wyeliminowane. Ten, który obserwujemy, należy do rozwódki, która dzieli swój czas między Austin i Santa Fe. Kiedy jej tu nie ma, pozwala korzystać z domu przyjaciołom. W tym miesiącu dała klucze pewnej kobiecie z Laredo, która

z kolei przekazała je swoim przyjaciołom. Straciliśmy ślad, ale myślimy, że to jest to.

Ponadto jeden z moich dwóch ruchomych zespołów - ciągnął - wyłapał kodowane rozmowy telefoniczne prowadzone przez jakiś inny ruchomy zespół - z kimś z Mexico City. Niezbyt nam się jednak wiedzie z łamaniem tego kodu... jest bardzo skomplikowany... i mamy trudności z dokładnym zlokalizowaniem tego pojazdu. Sądzymy, że to ludzie Maciasa, i myślimy, że uda nam się to potwierdzić podczas waszego dzisiejszego spotkania.

- A potem co? - zapytał Titus.

- Żeby nasza akcja przeciwko Luquínowi była skoordynowana, musimy przez cały czas wiedzieć, gdzie są wszyscy jego ludzie. Istnieje ryzyko, że wraz z naszym pierwszym taktycznym posunięciem uruchomią jakiś system alarmowy. Wtedy wszystko weźmie w łeb. Zespół, który podróżuje z Luquínem... to prawdopodobnie ci sami faceci, których widziałeś tamtej nocy... natychmiast go niepostrzeżenie wywiezie. Jeśli nie będzie tam naszych ludzi, żeby temu przeszkodzić, Luquín zniknie.

Burden otworzył pudełko miętówek i wysypał na stół małe, białe kulki. Następnie zdjął wieczko i ostrożnie wyciągnął z pudełka cienki, złożony na pół kawałek plastiku, który wyglądał jak woskowany papier.

Było w nim kilka różnych „plamek” o średnicy około pół centymetra, niektóre cynamonowo-brązowe, niektóre nieco ciemniejsze niż ciało, niektóre rude. Burden wyjął z kieszeni pęsetę i ostrożnie podniósł jedną z nich.

- Pieprzyki i plamy wątrobowe - wyjaśnił. - Z jednej strony są przylepne i nie odpadną od spoconej lub mokrej skóry, ale łatwo dają się odkleić. Są tak cienkie, że można je wyczuć tylko wtedy, gdy się wie, że tam są. Zaprojektowane przez dermatologa - położył jeden z fałszywych pieprzyków na złożonym plastiku - i specjalisty od mikroprzepływów. Są produktami ubocznymi innego projektu, ale okazały się idealne dla naszych potrzeb. To małe nadajniki... do dziesięciu dni nadają sygnał odbierany w promieniu około dwudziestu mil. Chcemy, żebyś przykleił je sobie na dłoniach i przedramionach. Kiedy znajdziesz odpowiedni obiekt, oderwij jeden pieprzyk i przyklej do niego.

Titus pochylił się nad stołem, przyglądając się z bliska mikronadajnikom.

- A jakie to są te odpowiednie obiekty? - zapytał.

- Będzie najlepiej, jeśli zdołasz to przykleić jakiemuś człowiekowi Luquína. Zostaw je w samochodzie, jeśli będzie wyglądał na jeden z używanych przez nich... powiedzmy taki, w którym zobaczysz sprzęt elektroniczny lub coś innego, co by wskazywało na to, że znowu go wykorzystają. Jeśli zabiorą cię do jakiegoś miejsca, które wygląda jak ich stały lokal, też zostaw tam „pieprzyk”. Ujmując to skrótowo, naklejaj je na takie obiekty, o których twoim zdaniem powinniśmy koniecznie wiedzieć... kiedy nadejdzie czas.

Zauważ - dodał Burden, wskazując peseta mikronadajniki - że są jasne i ciemne. Wysyłają różne sygnały. Pierwsze zostawiaj na pojazdach, drugie na ludziach. Dzięki temu będziemy wiedzieli, co obserwujemy. Ponieważ w ciemności ich nie odróżnisz, przyklej sobie na każdej ręce takie same. Dzięki temu sprawa będzie jasna.

- Ile ich tutaj jest? - zapytał Titus.

- Tylko osiem, niestety.

- Muszą być bardzo drogie.

- Patrzysz na znamiona skórne wartości pięćdziesięciu trzech tysięcy dolarów. I są tego warte, co do centa.

- A więc to wszystko, co on ma zrobić? - wtrąciła Rita. - Tylko zostawić te rzeczy... gdzieś tam?

- To i, oczywiście, wyciągnąć co się da z rozmowy. - Popatrzył na Ritę. - To niezmiernie ważne - powiedział. - Informacje są bezcenne.

- Tak jak i on - odparła spokojnie, ale z taką miną, jakby potrzebowała tylko niewielkiej zachęty, żeby powiedzieć Burdenowi, co o tym wszystkim myśli. Powstrzymała się jednak. Ledwie.

Burden nie zareagował na jej słowa.

- Jeden z nich będzie wysyłał inny sygnał - powiedział do Titusa, po czym pogrzebał wśród „pieprzyków” i wybrał jaśniejszy, z czarną kropką pośrodku. - Jest twój. Umieścimy ci go na ramieniu, żebyś go nie oderwał przypadkiem. Zostanie ci siedem do przyklepienia.

- Dobrze, w takim razie lepiej zaczynamy - odparł Titus, kładąc przedramiona na stole. - Chcę zobaczyć, jak to działa, a nie zostało nam wiele czasu.

ROZDZIAŁ 27

Wypełniając instrukcje Luquína, Titus dokładnie o wpół do pierwszej w nocy wyjechał przez bramę swojej posiadłości i skierował się w dół krętą, długą na pół mili drogą dojazdową, która prowadziła do Cielo Canyon Road. Poinstruowano go, że ma najpierw dotrzeć do Westlake Drive, a potem skręcić na południe i dojechać do skrzyżowania Toro Canyon, gdzie otrzyma kolejne wskazówki.

Nie przebiegło to jednak w ten sposób.

Kiedy pokonał drugi zakręt opadającej drogi, w świetle reflektorów ukazał się jakiś człowiek, który wyszedł z lasu i dał mu znak, żeby stanął. Titus zatrzymał samochód, a mężczyzna szybko podszedł i otworzył drzwiczki.

- Proszę wysiąść, panie Cain - powiedział z silnym obcym akcentem.

Titus wrzucił bieg jałowy i zrobił, co mu kazano. Mężczyzna wsiadł do rovera i odjechał bez słowa, zostawiając go w ciemności, na środku szosy.

Kiedy warkot silnika ucichł i powietrze wypełniło bzyczenie sieciarek, Titus usłyszał trzask pękającej gałęzi i odwróciwszy się, dojrzał czarną plamę innej postaci wychodzącej z lasu.

- Panie Cain - powiedział mężczyzna, zbliżywszy się do niego. - Proszę to włożyć. - Podał mu jakieś gogle.

Gdy Titus je nałożył, świat stał się jasnozielony. Mógł teraz stwierdzić, że mężczyzna ma na głowie takie same gogle. Przyciasna koszula polo opinała twardego brzuch i muskularne ramiona. Pistolet u jego boku wydawał się ogromny.

Weszli między drzewa. Nieznajomy prowadził Titusa w dół przez gęsto podszyty las cedrowy, niespiesznie wybierając drogę, gdyż ich wyjściowe mokasy nie były nadawały do wędrówki w trudnym terenie.

Po kilku minutach dotarli do Cielo Canyon Road i zatrzymali się w zaroślach, kilka stóp od skraju lasu. Minął ich jeden samochód. Potem drugi. Trzeci, lincoln navigator, zatrzymał się. Nieznajomy szybko wyprowadził Titusa z

lasu i wpełnął do samochodu, który ruszył, zanim jeszcze zatrzasnęły się drzwi.

Titus znalazł się na miejscu za kierowcą, obok mężczyzny, który mu do tej pory towarzyszył.

- Gogle - powiedział mężczyzna.

Titus zdjął noktowizor i podał mu go. Następnie popatrzył na kierowcę. Widział tylko tył jego głowy i nic mu to nie mówiło. Zerknął na tego, który siedział obok, i stwierdził, że facet na niego patrzy. Sądząc po akcencie i aparycji, był Meksykaninem.

Z zainstalowanego na desce rozdzielczej skanera dobiegały bipnięcia i trzaski, a obok niego, na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu, widać było mapę satelitarną. Jakby wyczuwając zainteresowanie Titusa, kierowca pochylił się i wyłączył monitor. Westchnąwszy ciężko, Titus oderwał z lewego przedramienia „pieprzyk” i przykleił go do siedzenia.

Pokonawszy zaledwie kilka zakrętów, wjechali na jakieś osiedle mieszkaniowe i zatrzymali się na jego końcu przy dwóch domach w budowie.

- Niech pan wychodzi - powiedział jego meksykański przewodnik. Mężczyzna wysiadł za Titusem i podszedł do niego, trzymając coś w rękach. - Proszę się rozbierać - polecił.

Titus rozebrał się, a kiedy był już tylko w butach i bieliznie, facet dodał: „Reszta”. Titus ściągnął buty i bieliznę. Część instrukcji, które otrzymał od Luquína, dotyczyła pozostawienia w domu wszystkiego, co mogłoby posłużyć do identyfikacji. Najwyraźniej mieli stąd odjechać i zostawić jego ubranie oraz buty tam, gdzie leżały.

- Uprawia pan coś? - zapytał mężczyzna, podając Titusowi ubranie, które trzymał.

Kierowca navigатора prychnął.

- Taa - odparł Titus.

- Ciężary?

- Taa - mruknął Titus. Włożył spodnie, a potem koszulę.

Z tego, co mógł dojrzeć w świetle padającym z otwartych drzwi samochodu, wywnioskował, że to roboczy kombinezon w kolorze kitu, coś, co noszą ludzie zajmujący się naprawami. Kiedy zapiął koszulę, facet rzucił na ziemię parę butów.

- Jedenastki?

- Tak. - Titus pochylił się nad pierwszym butem i stracił równowagę. Chwiejąc się, odruchowo wyciągnął rękę do Meksykanina, który podtrzymał go umięśnionym ramieniem, i Titus szybko włożył buty. Opierając się na mężczyźnie, niepostrzeżenie przylepił mu „pieprzyk” na wewnętrznej stronie ramienia.

Kiedy wsiedli do samochodu, facet podał Titusowi czarny kaptur.

- Proszę to nałożyć - powiedział.

Titus wsunął kaptur na głowę i niemal natychmiast zaczął walczyć z klaustrofobią. Nie chodziło tu tylko o uczucie, jakie wywoływał ciasno przylegający do twarzy materiał. Chodziło o wszystko, o całą nabrzmiałą groźbą obcość tego wszystkiego.

Próbował liczyć zakręty, ale to było niemożliwe. Poza tym podejrzewał, że kierowca przez większość czasu zawracał i kluczył. Obaj nieznajomi zaczęli rozmawiać po hiszpańsku. Musieli wiedzieć, że Titus ich nie rozumie, bo mówili swobodnie i długo. Potem samochód najwyraźniej wjechał na autostradę, ponieważ przyspieszył i utrzymywał tę szybkość. Mężczyźni umilkli.

Titus stracił na autostradzie rachubę czasu, a monotonia jazdy ze stałą szybkością i brak rozmów sprawiły, że miał dziwne wrażenie zawieszenia w czasie. Nagle samochód zaczął szybko zwalniać i nie zjechawszy na pobocze, zatrzymał się.

Otworzyły się drzwi i Titus został wyciągnięty na zewnątrz, a zaraz potem wepchnięty do innego pojazdu - także terenowego, jak się zdawało. Raz jeszcze Titus znalazł się na tylnym siedzeniu. Szybko, ponieważ nie wiedział, jak długo zostanie w tym wozie, przykleił następny „pieprzyk” na siedzeniu. Samochód zjechał z autostrady i szybko przyspieszył, pędząc po utwardzonej, ale wijącej się drodze, może polnej.

Jeszcze jeden zakręt. Żwirowa droga prowadząca pod górę i gwałtownie opadająca w dół. Hamowanie. Stop.

Otworzyły się drzwi kierowcy i jeszcze jedno. Inni ludzie, domyślił się. Znów ktoś go wyciągnął z wozu i trzymając za ramię powyżej łokcia, poprowadził po żwirze, potem po

trawie lub jakimś zielsku i po dwóch stopniach na ganek. Drewniany ganek. A następnie przez drzwi wejściowe.

Udając, że jest mniej pewny, jak iść, niż był w rzeczywistości, wyciągał przed siebie ręce, dotykając prowadzącego go mężczyzny. W drodze z samochodu na ganek także jemu przykleił pieprzyk.

W środku mężczyzna powiedział mu, że ma stać bez ruchu i czekać, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Titus miał wrażenie, że w pokoju jest z nim ktoś jeszcze, czuł także woń wygasłego kominka. Drewniana podłoga pod jego stopami zaskrzypiała. Była stara. Spróchniała.

- Proszę zdjąć kaptur, panie Cain.

Titus rozpoznał głos Luquína.

ROZDZIAŁ 28

Ściągnął kaptur i stwierdził, że jest w jednoizbowej chacie. Oświetlała ją lampa naftowa, stojąca przed kominkiem na odwróconym wiadrze. Wokół lampy światło było ostre, ale szybko ustępowało ceniom, które niecierpliwie wyczekiwały pod ścianami pokoju. Zapach nafty mieszał się ze smrodem szczurzej uryny i gnijącego drewna.

- Niech pan siada - odezwał się Luquín. Sam siedział na płóciennym leżaku rozstawionym przy lampie. Jego cień, padający na pobliską ścianę, łamał się w narożniku. Luquín wskazywał Titusowi drugie odwrócone wiadro. Miał na sobie bardzo eleganckie ubranie (Titus zauważył matowy połysk jedwabnej materii spodni), co sprawiało, że w tym otoczeniu wydawał się całkowicie nie na miejscu. Byli sami.

- Chciał pan porozmawiać - powiedział Luquín. Był odprężony, jego ramiona spoczywały na oparciach leżaka, dłonie zwisały luźno na zewnątrz.

Titus podszedł do wiadra i usiadł na nim. Luquín wyglądał hiperrealnie. Wiedza o tym, co zrobił Charliemu, zmieniła sposób, w jaki Titus go postrzegał.

- Kazał pan zabić Charliego Thrusha.

- Tak.

To jednosylabowe stwierdzenie, tak chętnie wypowiedziane, tak wolne od poczucia winy, było wręcz rozbrajające.

- Czy pan wie, jak został zabity?

- Nie - odrzekł Luquín, znów bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia.

- Nie wie pan.

- Nie. - Luquín z irytacją targnął głową. - Czego pan chce, panie Cain?

- Nie powinien był pan go zabijać - powiedział Titus.

Luquín podniósł palec i pogroził nim wolno Titusowi.

- Niech pan uważa. Zapadł się pan po pas w gówno i dalej pan w nim tonie.

- Dlaczego?

- Powiedziałem panu - odparł Luquín - że to ja zdecyduję, kto umrze i kiedy. I tak zrobiłem. Zaskakuje to pana? A co, u diabła, miałem pańskim zdaniem na myśli, kiedy to mówiłem?

Do chaty wleciał chrząszcz, ciężki jak miniaturowy samolot. Trzasnął w kulę lampy i spadł ze złamanym skrzydłem obok stóp Luquína, kręcąc się w kółko na zakurzonej podłodze. Luquín nawet go nie zauważył.

- Co pan osiągnął, zabijając go?

- Czy po tym inaczej pan myśli o swoim położeniu?

Pytanie było retoryczne. Titus nie odpowiedział. Mina Luquína skwaśniała. Pokiwał głową.

- To właśnie osiągnąłem.

Zachowywał się niezmiernie arogancko i Titus z trudem to znosił.

- Niech pan każe któremuś ze swoich ludzi przynieść telefon - powiedział Titus - a ja natychmiast polecę przelać pierwsze dziesięć milionów dolarów. Co więcej, następnej płatności dokonam w ciągu dwudziestu czterech godzin, a nie czterdziestu ośmiu, jak pan chciał.

Oczy Luquína rozbłysły, ale choć kiwał przyjaźnie głową, mile zaskoczony, sceptycznie marszczył czoło. Titus wręcz widział, jak bandzior formułuje pytanie, a potem nagle postanawia go nie zadawać.

Nie spuszczać wzroku z Caina, Luquín podniósł stopę i zmiażdżył chrząszcza z ostrym trzaskiem pękającego pancerzyka.

- Roque - odezwał się nie głośniejszym głosem niż mówił do Titusa.

W ciemnościach coś się poruszyło, otworzyły się drzwi i do chaty wszedł mężczyzna, który stanął za Titusem.

- *Tú celular* - powiedział Luquín, wskazując brodą Caina.

Mężczyzna wyjął telefon komórkowy z futerału przy pasku i podał go Titusowi.

Titus wybrał numer Lacka Paleya i czekał na połączenie. Luquín obserwował go jak jaszczurka, nieruchomy, skupiony. Po chwili Paley odebrał.

Titus polecił mu, żeby z samego rana, gdy tylko otworzą bank, przesłał pieniądze do Cavatina. Powiedział mu również, żeby przygotował drugą wpłatę. Lack znał się na rzeczy i chociaż nie miał pojęcia, co się za tym kryje, zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego.

Kiedy Paley się rozłączył, Titus udawał, że jeszcze go słucha. Zanim Roque podał mu telefon, zdołał odkleić jeden z jaśniejszych „pieprzyków” i trzymał go między kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni. W chwili, gdy miał już „pieprzyk” tam, gdzie chciał go mieć, zakończył udawaną rozmowę z Paleym, nacisnął klawisz z odłożoną słuchawką i prawą ręką podał telefon czekającemu mężczyźnie. Mikronadajnik przyłgnał do aparatu jak pijawka Mężczyzna włożył telefon do futerału przy pasku.

- Zrobione - powiedział Titus do Luquína.

- Zobaczmy. - Luquín przyglądał mu się z uwagą. Zapalił papierosa i zaciągnął się. Sprawiał takie wrażenie, jakby próbował dojść do jakiegoś wniosku.

- Ale jeśli zginie ktoś jeszcze - dodał Titus - nie otrzyma pan więcej ani centa.

Twarz Luquína zmieniła się tak, jakby Titus go spoliczkował. Jego zaskoczenie było autentyczne, tak jak irytacja, która zastąpiła dotychczasowy enigmatyczny wyraz twarzy.

- Nie ma pan, do cholery, najmniejszego pojęcia, co pan mówi - warknął. - Naprawdę myślę, że pan nie rozumie, co by to oznaczało.

- Jeśli pozwolę panu... jeśli bym się z panem targował o życie innych ludzi, nie mógłbym żyć w zgodzie z sobą - odparł Titus. - I wiem, że pan tego nie zrozumie. Ale tak to jest. To się nazywa normalność. To nie jest nic niezwykłego. Tak postępują przyzwoici ludzie.

- Przyzwoici ludzie - powtórzył Luquín, kiwając głową. - Tak. Cóż, panie Cain, z moich doświadczeń wynika, że przyzwoitych ludzi i zwierzęta dzieli cienka linia, bardzo cieniutka.

Nauczyłem się, że to, co się sprawdza w stosunku do zwierząt, sprawdza się też w stosunku do przyzwoitych ludzi.

- Strach.

- Tak, oczywiście. Strach.

W ciszy, która zapadła, Titus słuchał cichego syku lampy. Mimo otwartych okien w chacie było nieznośnie gorąco, a gryzący dym z papierosa Luquína mieszał się z wonią próchniejącego drewna. Titus, który pocił się pod swym roboczym kombinezonem, zauważył, że Luquín też nagle zaczął się pocić.

- Jest pan głupi, panie Cain - powiedział Luquín.

- Za czterdzieści osiem godzin może pan mieć trzydzieści jeden milionów dolarów na swoich kontach - odparł Titus. - Ale jeśli ktoś jeszcze zginie, pójdę ze wszystkim prosto do FBI. Zmuszę ich, żeby ścigali pana aż do Patagonii. A jeśli oni pana nie znajdą... ja to zrobię.

Luquín wzdrygnął się, wyprostował na leżaku i wyciągnąwszy rękę, wycelował w Titusa palce, wskazujący i środkowy, między którymi dymił papieros. Butna życzliwość zniknęła i Titus zobaczył na jego twarzy wściekłość. Zobaczył tkwiącą w Luquínie bestię, której głód może zaspokoić tylko czyjeś cierpienie.

Niczym milcząca postać w muzeum figur woskowych, Luquín zamarł z wyciągniętą ręką, z oczami utkwionymi w Titusie. Jego słowa, jakiegokolwiek mogłyby być, pozostały w gardle. Tylko papieros, lekko drżący, smużący dymem, zdradzał, że Luquín nie jest kukłą z wosku.

- Niech pan sobie - zdołał wykrztusić chrapliwym głosem, ledwie nad sobą panując - za dużo nie pozwala wobec mnie, panie Cain. - I jakby nie mógł już dobyć ze ściśniętego wściekłością gardła innego tonu, dodał szeptem: - Niech pan mi nie grozi.

Spojrzenie Luquína pobiegło w bok i w tej chwili Titus przypomniał sobie, że tylko krok za nim wciąż stoi Roque. Kolba pistoletu bandyty trafiła go w kącik oka i prawą skroń. Usłyszał odgłos metalu uderzającego w kość i zanim zemdlął, poczuł, że głowa odskakuje mu do tyłu.

Stracił przytomność tylko na kilka sekund. Długo się zbierał na nogi, bo ciągle gasła lampa i z jakiegoś powodu przybrał na wadze dobre z kilkaset funtów.

Słyszał, że Luquín wrzeszczy coś gniewnie po hiszpańsku, a potem Roque znowu był przy nim i Titus zasłonił głowę, spodziewając się kolejnego uderzenia. Nagle ogarnęło go przerażenie, że zostanie pobity na śmierć. Ale drugiego uderzenia nie było.

- *La capucha* - powiedział stojący nad nim Roque i nałożył Titusowi czarny kaptur.

ROZDZIAŁ 29

W każdym z czterech śledzących samochodów był kierowca i operator z działającą w podczerwieni kamerą VHS, wszyscy miejscowi. Korzystanie z miejscowych było koniecznością. Powodzenie ruchomej obserwacji w ogromnej mierze jest uzależnione od tego, czy uda się przewidzieć posunięcia śledzonych, a to z kolei wymaga doskonałej znajomości okolicy. Burden jechał w piątym wozie, furgonetce obserwacyjnej. Siedział z tyłu wraz z dwoma technikami obserwującymi trzy monitory komputerowe ukazujące mapy terenu i cztery ekrany telewizyjne, na których widać było obrazy przekazywane przez kamery noktowizyjne z pozostałych samochodów.

Burden nigdy przedtem nie spotkał ludzi z pozostałych wozów zespołu śledzącego, ale kierowca i dwaj technicy z furgonetki byli jego stałymi współpracownikami, których ściągał do takich zadań z różnych części kraju.

Odkąd Titus za bramą swojej posiadłości został przejęty przez ludzi Luquína, Burden obserwował na monitorach LorGuide zielone plamki oznaczające mikronadajniki umieszczane przez Caina na ludziach i żółte punkty ukazujące położenie „pieprzyków”, które zostały w pojazdach.

Stosując skomplikowaną metodę śledzenia na zmianę, zespół zdołał utrzymać kontakt wzrokowy z samochodem wiozącym Titusa a, nawet gdy ten wjechał w tysiącakrowy pas zieleni parku miejskiego w zakolu jeziora Austin. To właśnie na ustronnym odcinku City Park Road Burden zobaczył na swych monitorach, że Titusa przeprowadzono do innego pojazdu, który potem zjechał z jedynej utwardzonej drogi w parku w gęste chaszczce cedrowego lasu.

Na City Park Road ludzie z zespołu śledzącego mieli szczęście i zauważyli furgonetkę obserwacyjną Maciasa. Kiedy wjechała w pętlę, z której mogła wyjechać tylko w tym samym miejscu, wysadzili w lesie snajpera. Ten strzelił potem z ukrycia w tylne koło furgonetki pociskiem wypełnionym czarną farbą, która rozjarzyła się na monitorach LorGuide jako jasna malinowa kropka.

Przez dwie godziny, które Titus spędził w rękach ludzi Maciasa, ludzie Burdena ani na chwilę nie przestali się przemieszczać, zmieniając samochody, aby żaden z nich nie był widziany więcej niż raz przez obserwatorów Meksykana. To była skomplikowana operacja, ale kiedy Titus został wysadzony przy kompleksie apartamentowców górujących nad Loop 360, ludzie Burdena mieli już niezłe pojęcie o wielkości zespołu taktycznego Maciasa. Titus oznaczył kilka z jego pojazdów i paru ludzi, teraz więc można było stale monitorować ich położenie.

Była za dwadzieścia trzecia w nocy, kiedy Titus wjechał roverem na swoją prywatną drogę dojazdową i minąwszy miejsce, w którym odebrano mu samochód, zatrzymał się przed bramą z kutego żelaza. Otworzył ją pilotem, który miał pod deską rozdzielczą, i wjechał na teren swojej posiadłości.

Nagle w światło jego reflektorów, na samym końcu ich zasięgu, wszedł jakiś człowiek. Serce Titusa załomotało, prawie że stracił oddech. O nie, mam już tego dość, pomyślał. Czy coś się stało? Czyżby dostali się do środka? Stojąca na drodze postać była coraz wyraźniejsza, aż uświadomił sobie, że to García Burden.

Titus zatrzymał samochód przed Burdenem, który otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł.

- Cholera! - krzyknął, gdy w świetle kontrolki z deski rozdzielczej ujrzał twarz Titusa. - Co się stało?

- Wkurzyłem Luquína i jego człowiek przyłożył mi kolbę pistoletu. Krwawiłem jak zarzynana świnia, ale nic mi nie jest, tylko piekielnie boli mnie głowa.

Burden już o tym nie myślał.

- Kiedy się obmyjesz, powiesz mi co i jak. Muszę znać szczegóły.

Rita już miała wybuchnąć gniewem, ale opanowała się i pomogła mu oczyścić ranę. Szybko się zorientowała, że to nic poważnego, ale upierała się, że potrzebne jest szycie. Titus jednak zdecydowanie odmówił jazdy na pogotowie, więc sama sfastrygowała mu brzegi rany ścięciem motylkowym. Jak powiedziała, spełni on swoją funkcję, ale zostanie mu po nim blizna wielka jak trzecie oko. Gdy w końcu włożył czyste ubranie, wezwali Burdena, który tymczasem poszedł do domku dla gości porozmawiać z Herrinem i przez radio oraz bezpieczne telefony z resztą swoich ludzi.

Usiedli w kuchni przy czarnym granitowym blacie stołu, na którym walały się papiery, krótkofalówki i telefony.

Rita sparzyła dzbanek mocnej francuskiej kawy, żeby zachowali sprawność umysłówą.

Rita, jak się dowiedział Titus, cały czas, gdy go nie było, przesiedziała w domku dla gości z Herrinem, słuchając rozmów radiowych. Było to, jak powiedziała, doświadczenie fascynujące i przerażające, ale w ostatecznym rachunku dodało jej otuchy. Powściągliwe opanowanie, z jakim Burden i jego ludzie radzili sobie w ciągu tych dwóch pełnych napięcia godzin, było dla niej lekcją zachowania w nowej rzeczywistości. W jakiś sposób wzbudziło to w niej nadzieję - irracjonalną, przyznawała - że może jednak uda się im przetrzymać to wszystko.

Burden, wysłuchawszy ze skupieniem sprawozdania Titusa, raz za razem kazał mu powtarzać wszystko, co pamięta, odkąd kazano mu wsiąść z rovera, do czasu, gdy do niego wrócił. Pytał Titusa, co słyszał, co czuł. Co z akcentami? Co może powiedzieć o zachowaniu tych ludzi? Ilu ich naliczył? Opowiedział mu, co widzieli na swoich monitorach, i zapytał jeszcze, co myśli o tym i owym, po czym wyjaśnił, jak sam to widzi.

Omówili szczegółowo rozmowę Titusa z Luquínem i Burden zapytał, jak bandyta się zachowywał, jak brzmiał jego głos, gdy mówił pewne rzeczy, jaki miał wyraz twarzy, jakie spojrzenie...

W końcu Burden zrobił przerwę w przesłuchaniu. Sprawdził wiadomości tekstowe w swoim telefonie komórkowym i odczytał je w milczeniu. Titus zerknął na Ritę,

próbując, bez powodzenia, ukryć niepokój. Rita zauważyła jego minę i zmarszczyła czoło.

Burden wyczyścił właśnie ekran telefonu, uniósł wzrok i znieruchomiał.

- No dobrze - odezwał się po chwili - porozmawiajmy o tym. Cokolwiek to jest. Nie ma czasu na subtelności. Nie mam czasu na domysły. Wal prosto z mostu.

Titus poruszył się na krześle.

- Ta cała historia dziś w nocy... - powiedział. Pomasażował twarz i drgnął, kiedy dotknął rany, o której zapomniał. - On cholernie sprawnie prowadzi tę swoją operację, prawda?

- Jak zawsze. Mając do czynienia z tym facetem, nie można sobie pozwolić na wiele błędów.

- Będę z tobą szczerzy - rzekł Titus. - Wydaje mi się, że nie masz tego, co jest konieczne, żeby dać sobie z tym radę.

Burden patrzył na niego, ale Cain nic nie mógł wyczytać z jego twarzy.

- Wydaje mi się, że nasze słabe punkty, które nam wcześniej naszkicowałeś, sumują się w jedną cholernie wielką przewagę, jaką on ma nad nami. Zbyt wielką, żebyś mógł sobie z tym poradzić.

- Powiedziałem ci już przedtem, że twoje szanse nie są duże - odparł Burden. - Nie powinieneś być zatem zaskoczony. A jeśli oceniasz przebieg bitwy po tym, co widzisz na jej polu, popełniasz błąd.

- Widziałem faceta - powiedział Titus - który ma dobrze naoliwioną maszynę prowadzoną przez zdyscyplinowanych, brutalnych ludzi. Widzę, że przybył tu dobrze przygotowany, zdecydowany wygrać i że jego ludzie zrobią wszystko, by mu się to udało.

- To jest to, co widziałeś - rzekł Burden.

- Taa.

- Cóż, w tym interesie to, co widzisz, nie jest dobrym miernikiem rzeczywistości. Cała bitwa jest tak zaplanowana, przez obie strony, żeby była niewidoczna. Właśnie to, czego n i e widzisz, powinno cię niepokoić.

- To brzmi nieźle, García, ale nie mogę podejmować decyzji na podstawie tego, czego nie widzę.

- Pamiętaj o jednym - powiedział Burden. - Ci ludzie, z którymi miałeś dziś do czynienia, są tu od miesiąca, a może

i dłużej, i przez ten cały czas nic nie dostrzegłeś, o niczym nie wiedziałeś. Weszli do twojego domu, wiele razy, instalując pluskwy, zapoznając się z twoim systemem bezpieczeństwa, obwąchując cię, a ty nie miałeś o tym najmniejszego pojęcia. Dopóki Luquín sam ci nie powiedział, co zrobili.

I nie zapomnij jeszcze o jednym: to, czego się dziś w nocy dowiedziałeś o operacji Luquína, dowiedziałeś się tylko dzięki temu, co zrobiliśmy, moi ludzie, ja i ty. Wyciągnęliśmy go z kryjówki, a on nawet nie wiedział, co się dzieje. Chociaż jest taki groźny, potrafilismy tego dokonać. Obecnie przetwarzamy te informacje w naszych komputerach i kiedy dodam do tego to, czego w ciągu ostatniej godziny dowiedziałem się od ciebie, będziemy mieli zupełnie dobre wyobrażenie o tym, z iloma i jakimi ludźmi mamy do czynienia.

Burden upił kawy i spojrzał na Ritę, zanim znowu się odezwał.

- Nie zrobiłeś nic niewłaściwego, Titus. Nie zaczynaj się teraz wahać. Z pewnością nie potrzeba nam tu masakry jak w Ruby Ridge czy w Waco. Jednak w krótkim czasie zrobiliśmy duże postępy. To, co widzisz, to tylko ogólny zarys. Szczegółów nie zobaczysz w ogóle. Nie chcemy rozgłosu. Chcemy być niewidzialni i niesłyszalni.

Przerwał na chwilę, po czym dodał:

- I jeszcze jedno. Pamiętasz naszą rozmowę w San Miguel? Gdy raz się na coś takiego zdecydowałeś, nie ma odwrotu. Trzymam cię za słowo. Śpimy teraz z wężem, Titusie. Jedyne sposoby, żeby wyjść z tego z życiem, to nie ruszać się i zachować ciszę do czasu, aż będzie martwy. Jeśli go obudzimy, zabije nas.

PIĄTEK
DZIEŃ CZWARTY

ROZDZIAŁ 30

Godzinę po tym, gdy Titus padł na łóżko i mimo buzującej mu w krwi adrenaliny natychmiast zasnął, kilka dołin na północ jego asystentka, Carla Elster, przekreśliła się w swoim łóżku i spojrzała przez okno na błądy poranek. Nastawione na budzenie radio właśnie się włączyło i słuchała Boba Edwardsa ze stacji NPR, który mówił coś o przesłuchaniach w Kongresie. Pozwoliła sobie poleżeć, póki Edwards nie skończył, co trwało nie dłużej niż trzy minuty, po czym odrzuciła nakrycie.

Sięgnęła po swój bawelniany szlafrok wiszący na krześle obok łóżka, włożyła go i zawiązała pasek. Przeszła do łazienki, gdzie opłukała twarz, uczesała się, a potem z lewą ręką na biodrze umyła zęby, przyglądając się swojej twarzy w lustrze i oceniając, jak się z nią obszedł czas.

Powiedziawszy sobie do diabła z tym, odwróciła się, i zeszła po schodach do kuchni, gdzie właśnie kończyła się parzyć kawa. Nalała sobie filiżankę, dodała śmietanki z lodówki i z kubkiem w ręce podeszła do drzwi wejściowych, żeby wziąć gazetę.

Wróciła do kuchni, usiadła przy stole i przeczytała nagłówki „New York Timesa”. Nie mogła się skupić na lekturze, bo wciąż wracała myślą do Titusa, jak przez całą noc. Martwiła się o niego. Działo się coś bardzo złego. Nie uwierzyła, oczywiście, w historię o złej inwestycji. Najniezwyklejsze jednak w tym wszystkim było to, że cokolwiek się stało, Titus uznał za konieczne zrujnować swoją reputację, żeby to zatuszować. To musiało być dla niego straszne i bardzo ją bolało, że uważał, iż powinien to zrobić.

A ci faceci ze słuchawkami na uszach? Czyżby szukali elektronicznych pluskiew? Tak to wyglądało, a Titus całkowicie zignorował jej podchwytliwe pytania na ten temat. Jeszcze bardziej osobliwe było to, że natychmiast zapewnił, iż jego kłopoty finansowe są natury prywatnej. To obudziło w niej podejrzenie, że wcale tak nie jest.

Przebrała się w strój do biegania, wciąż myśląc o Titusie i Ricie. Biorąc pod uwagę śmierć Charliego Thrusha i kłopoty finansowe Titusa, dziwne zachowanie Rity było

rozumiała, wydawała się jednak bardziej wzburzona niż zrozpaczona.

Zatrzymała się przy sekretarzyku w korytarzu wejściowym, żeby wziąć strzykawkę z adrenaliną, którą podczas bieganina zawsze trzymała w małym woreczku zawieszonym na szyi. Wyszła z domu i sprawdziła godzinę, po czym wbiegła na lekko opadającą ulicę.

W West Lake Hills, mieście wchłoniętym przez południowo-zachodnie dzielnice Austin, są okolice, w których czuje się prawie wiejską atmosferę. Wąskie, wijące się uliczki wspinające się po zalesionych wzgórzach, a potem opadające w doliny. Domy, często stojące tak daleko ulicy, że skryte przed okiem przechodnia. W wielu miejscach można nawet przebiec kilka kwartałów, nie dostrzegając żadnego budynku.

Carla, która miała wytyczoną trasę wiodącą przez takie odludne okolice, jak zwykle cieszyła się na swój spokojny, poranny bieg. Lubiła ten czas spędzany w samotności, ponieważ w CaiTekście czekał ją młyn, który kończył się dopiero wtedy, gdy wyczerpana wracała wieczorem do domu.

Po dwudziestu minutach biegu, kiedy skręciła na skrzyżowaniu, zauważyła mężczyznę rozgrzewającego się na początku prowadzącego w las podjazdu. Ruszył za nią i biegł tak przez jakiś czas, póki Carla nie skręciła w węższą uliczkę. Pół kwartału przed nią zza żywopłotu rosnącego wzdłuż chodnika przy jednym z domów wyłoniła się kobieta i zaczęła biec w jej stronę, wolniej niż ona.

Tuż przed tym, gdy Carla miała ją wyminąć, usłyszała kroki mężczyzny, który szybko nadbiegał z tyłu. Zwolniła, gdy zbliżyła się do kobiety, żeby wszyscy troje nie znaleźli się ramię przy ramieniu na wąskim chodniku, kiedy mężczyzna będzie ją wyprzedzał.

Ale on jej nie wyprzedził. Kobieta skręciła nagle i objąłszy Carle, obróciła ją do tyłu. Mężczyzna dopadł do niej w jednej chwili, wepchnął jej w usta kawałek gąbki, po czym oboje dosłownie wnieśli ją do gęstego lasu, który rósł wzdłuż uliczki.

Oszołomiona Carla nawet nie wiedziała, jak duży opór im stawiała, ale zdawała sobie sprawę, że nie poddała się bez

walki, chociaż szybko została przygnieciona do ziemi. Kobieta ściągnęła w dół sportowy biustonosz Carli, a mężczyzna wyjął skądś siatkową torbę. Dobiegał z niej dźwięk, który ją przeraził: nieustanne pulsujące buczenie.

Mężczyzna ostrożnie otworzył torbę nad jej lewą piersią i Carla zaczęła się rzucać jak szalona. Ale nic to nie dało. Szerszenie użądliły ją wielokrotnie, zanim mężczyzna przesunął torbę niżej, na jej nagi brzuch, gdzie trzymał ją mocno, póki owady ponownie jej nie pożądlily.

Potem tylko ją przytrzymywali. Mężczyzna zerkał co jakiś czas na zegarek. Czekali. Pożądłone miejsca na jej piersi i brzuchu piekły tak, jakby wysypano na nią rozżarzone węgielki, a że była już mocno spocona, również piekielnie swędziały.

Leżeli w wysokiej trawie kilka jardów w głąb lasu, splecieni w jakimś dziwnym uścisku, i czekali. Co się dzieje? Dlaczego oni to robią? Czują zapach wody po goleniu i miękkie piersi kobiety na swoim barku. Po głowie tłukło jej się pytanie, dlaczego to się dzieje, otepiąla ją groza czekania na początek reakcji alergicznej.

To było niepojęte.

Starala się zobaczyć ich twarze, ale jej to uniemożliwili. Dlaczego nie chcieli jej na to pozwolić? Jeśli próbowali ją zabić, jakie to mogło mieć znaczenie, że ich zobaczy? Zabić?! Czy... naprawdę o to im chodziło? Robili to, ale czy tego chcieli?

Nie widziała w tym żadnego sensu.

Miała ostrą alergię, a więc objawy wystąpiły szybko. Poczowała, jak zaciska się jej gardło, a potem, że zapadają jej się płuca, jakby nie mogły utrzymać wystarczająco dużo tlenu. Ogarnęła ją panika i zakaszlała przez wypełniającą jej usta gąbkę. Zaczęły się skurcze żołądka i długie, mocne, mięśni. Kręciło jej się w głowie, a serce biło jak oszalałe.

Poczowała, że jedno z nich zdejmuje jej z szyi strzykawkę z adrenaliną. Czy mimo wszystko chcą ją uratować?

Nagle odniosła wrażenie, że czas niewiarygodnie przyspieszył. Wiedziała, że ma najwyżej dwadzieścia minut. Para napastników wciąż ją obejmowała. Wyobraziła sobie, jak to mogłoby wyglądać w oczach jakiegoś przechodnia. Nadzwyczaj dziwnie. Czowała na sobie ich ciepłe ciała. Słyszała ich oddechy. A może to był jej oddech?

Kiedy zaczęło jej ciemnieć w oczach, odniosła wrażenie, że ich uścisk zelżał. Czy to było złudzenie wynikające z tego, że traciła przytomność, czy też zrobili to naprawdę. Nie wiadomo dlaczego pomyślała z żalem o swoim byłym mężu. Pomyślała o dziewczynkach. Poradzą sobie. Przeżyły z nią ciężkie lata i teraz umiały już sobie radzić. Reszta powinna być w porządku. Nathan. Kochany Nathan. Będzie zdruzgotany.

Nagle ogarnęła ją osłepiająca, paraliżująca umysł panika i zaczęła walczyć z napastnikami. Walczyła ze śmiercią. Ze wszystkich głupich rzeczy, które się jej przydarzyły... Kto by pomyślał, że to będzie coś takiego, coś tak wyjątkowo, absolutnie zdumiewającego?

Była zadowolona, że zawiozła do pralni ten ciemnobrązowy kostium. Dziewczynki by go wybrały. Ale Nathan będzie musiał sobie przypomnieć, że jest w pralni, kiedy nie znajdą go w jej szafie.

Nagle poczuła, że głowa jej pęka, i ogarnęły ją mdłości. I było jej tak gorąco!

ROZDZIAŁ 31

Titus golił się, opasany ręcznikiem. Kark wciąż miał sztywny, mimo że wziął długi pryznic, żeby się rozluźnić. Na półce obok przyborów do golenia stał kubek z kawą i talerzyk, na którym leżał zjedzony do połowy tost. Zraniona przy brwi skroń była spuchnięta i purpurowa. Popatrzył przez szklaną ścianę na basen. Czuł się otepiał. Cztery godziny snu to było zbyt mało.

Musiał jednak przyznać, że rozmowa, którą odbył nad ranem z Burdenem, była fascynująca. Burden miał rację co do obaw Titusa, że zrobił coś niewłaściwego, ale tak naprawdę nie udzielił mu żadnego konkretnego wyjaśnienia. Caina nie opuściło niepokojące uczucie, że jego decyzja, by współpracować z tym człowiekiem, doprowadzi do kolejnej tragedii. Ale nie potrafił znaleźć rzeczowych argumentów, które usprawiedliwiłyby jego niepokój.

Zmył piankę z twarzy i przeszedł do garderoby, żeby się ubrać. Kiedy wchodził do kuchni, był już nieco mniej apatyczny. Rita siedziała przy stole, trzymając w dłoniach

szklankę soku pomarańczowego.

- Chcesz coś oprócz kawałka tosta? - zapytała. Ona także wyglądała na wyczerpaną.

- Nie, tost wystarczy - odparł, wylewając swoją zimną kawę do zlewu. Odwrócił się i oparł o blat.

- Jak tam twoja głowa? - zapytała Rita.

- Kiepsko.

- Pozwól, że obejrzę. - Wstała ze stolka i podeszła do niego. Gdy przyglądała się ranie, widział jasny meszek na jej skroniach i czuł zapach jej szamponu.

- Opuchlizna zostanie ci jeszcze przez jakiś czas - stwierdziła, wracając do stołu.

Z tyłu dobiegł go sygnał domofonu. Ktoś stał przy bramie wjazdowej. Wyciągnął za siebie rękę i nacisnął guzik.

- Tak?

- Zastępca szeryfa Seams z biura szeryfa hrabstwa Travis. Czy pan Cain?

- Taa. Tak, to ja.

- Czy mógłby mi pan otworzyć bramę, panie Cain?

- Uhm, jasne - odparł Titus i zmarszczywszy czoło, nacisnął guzik otwierający bramę, po czym spojrzał na Ritę.

Rita siedziała nieruchomo, patrząc na niego pytająco.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparł i ruszył do drzwi prowadzących na werandę. Rita poszła za nim i stanęli oboje w cieniu, obserwując samochód patrolowy jadący powoli po wznoszącej się drodze dojazdowej. Nie mogli się oprzeć wrażeniu, że pokonanie jej łuku i dotarcie do zakrętu przed wysokim żywopłotem zajęło kierowcy zdecydowanie zbyt wiele czasu. Zatrzymał wóz za samochodami Herrina i wyłączył silnik.

Dziwne, ale nim zastępca szeryfa wysiadł z wozu, zdjął regulaminowy westernowy kapelusz i położył go na siedzeniu. Kiedy otworzył drzwi, na zewnątrz wydostał się zgłęb komunikatów radiowych. Zastępca szeryfa rozejrzał się dookoła i ruszył ku werandzie, na której skraju, pod powojami, czekali nań Titus i Rita. W drzewach brzoskwiniowych harcowały gołębiaki, a ich gruchanie niesło się zaskakująco daleko w spokojnym porannym powietrzu.

Zastępca szeryfa skinął głową Ricie, mówiąc „psze pani”, i wyciągnął rękę do Titusa.

- Ward Seams - przedstawił się.
- Jestem Titus Cain. A to moja żona, Rita.

Seams jeszcze raz skinął jej głową i również jej podał rękę. Następnie zwrócił się do Titusa.

- Przykro mi - zaczął - ale mam złą wiadomość, panie Cain. O ile mi wiadomo, Carla Elster to pańska osobista asystentka?

Titus zdołał jedynie kiwnąć głową. Pozostało mu się jeszcze tylko dowiedzieć, jak to się stało.

- Pani Elster nie żyje, panie Cain.

Rita raz za razem gwałtownie zachłysnęła się powietrzem, jakby ktoś mocno uderzył ją w brzuch. Titus nie potrafił się zdobyć na żadną reakcję.

Seams mówił powoli, starannie dobierając słowa:

- Znalezione ją mniej więcej godzinę temu w pobliżu jej domu. Leżała parę kroków od ulicy. Była w stroju do biegania. Ludzie z pogotowia mówią, że to wygląda na śmierć w rezultacie reakcji alergicznej na pożądenie przez owady.

Rita znowu gwałtownie wciągnęła powietrze. Seams spojrzął na nią i ponownie zwrócił się do Titusa.

- Miała przy sobie dowód tożsamości - ciągnął. - Pogotowie zawiozło ją do szpitala Seton w centrum. Ja przeszedłem się po domach sąsiadów, którzy powiedzieli mi, że jej dwie córki wyjechały z miasta na lato. Dowiedziałem się również, że pracowała w CaiTekście, a ludzie stamtąd powiedzieli mi, że pracowała dla pana. Że byliście starymi przyjaciółmi.

Niespodziewanie położył rękę na ramieniu Titusa.

- Bardzo mi przykro, panie Cain - powiedział i wyglądało na to, że tak rzeczywiście jest. Popatrzył na Ritę, a potem znów na Titusa. - To jest trudne, wiem, ale muszę zadać kilka pytań o dziewczynki. Powinniśmy porozmawiać o tym, jak to załatwić. Ktoś musi im o tym powiedzieć. Trzeba zdecydować, jak się do tego zabrać.

Rita siedziała na werandzie, płacząc, podczas gdy Titus stał i patrzył na wyjeżdżający przez bramę samochód zastępcy szeryfa. Odprowadzał go wzrokiem, póki nie zniknął mu z pola widzenia.

Tego, co czuł, nie zdołałby wyrazić. Nigdy nie był w takim stanie i kiedy tak stał pod powojami, słysząc cichy płacz Rity, nawet się nie ruszył, by ją pocieszyć. Nie wiedziałby

jak. W jej łkaniu było bezgraniczne zdumienie, strach, gniew, odrętwienie i inne emocje, których nikt jeszcze nigdy nie nazwał.

Titusa aż mdliło z potwornego poczucia winy. Gdyby tylko... gdyby tylko... Nagle zaczął winić Luquína... i Gila Norlina... i Garcíę Burdena... i siebie, za to, że nie potrafili przewidzieć, dokąd to prowadzi, za to, że zabrakło im przenikliwości, inteligencji, pomysłu... ikry...

- Szlag by to wszystko trafił! - zaklął i odwrócił się gwałtownie. Twarz mu poczerwieniała, a ciało dygotało od adrenaliny. - Niech to szlag! - powtórzył i wypadł z werandy na trawnik, kierując się w stronę domku dla gości, w którym Burden spędził to, co zostało z nocy, zamiast wrócić do miasta.

- Titus! - Rita uniosła głowę znad rąk, którymi zasłaniała twarz. - Titus! - Wstała, ale nie mogła się ruszyć z miejsca.

Titus pchnął drzwi domku tak silnie, że z hukiem uderzyły w ścianę. Zaskoczeni Herrin i Cline, którzy pracowali przy monitorach, zerwali się na równe nogi.

- Gdzie, u diabła, jest Burden? - rzucił przez ściśnięte gardło akurat w chwili, gdy Burden, wciąż z telefonem przy uchu, wstał z sofy, na której siedział.

- Zostaw ten cholerny telefon - warknął do niego Titus.

Burden powiedział coś do mikrofonu i rozłączył się. Obaj mężczyźni patrzyli sobie przez chwilę w oczy.

- Wiesz, co się stało?

- Taa - odparł Burden. - Właśnie się dowiedziałem.

Klatka piersiowa Titusa falowała, a serce łomotało w niej jak szalone. Ledwie mógł mówić.

- Dosyć tego - powiedział. - Wystarczy. To już koniec. Nikt więcej. Oszczędź mi tego pieprzenia o nieuniknionym. Pieprzyć to. Koniec zabijania. Natychmiast. Teraz.

- Jak to...?

- Powiem ci jak - przerwał mu Titus. - Weźmiesz wszystkie informacje, które masz o Luquínie i jego ludziach... a jest już tego sporo... i pójdziesz z tym do FBI. Teraz. W tej chwili. Przekażesz im wszystko, co masz, i sprowadzisz ich tu, żeby aresztowali Luquína lub go zabili. Mam w dupie, co z nim zrobią, ale to szaleństwo kończy się od teraz!

- Pomyśl o tym, Titus...
- Masz to zrobić n a t y c h m i a s t, García... - wychry-
piał Titus podniesionym głosem - albo ja to zrobię. Mam w
dupie twoje tajemnice i tajne plany. Nikt z moich przyjaciół
nie umrze już przez tego skurwysyna. Nie masz żadnego
wyboru. Nie masz nic do powiedzenia. To koniec.

ROZDZIAŁ 32

Atmosfera w domku dla gości była przesycona elektrycz-
nością. Więcej jej przepływało między ludźmi niż przez płą-
taninę kabli zasilających komputery oraz urządzenia komu-
nikacyjne porostawiane na składanych stołach.

Rita wpadła do domku zaraz po Titusie i stali teraz oboje
przed Burdenem, który, nieporuszony, kiwał głową, czeka-
jąc, aż złapią oddech. Mark Herrin i Cline pracowali go-
rączkowo przy komputerach, wpatrując się w ekrany moni-
torów z mało wiarygodnym skupieniem. W ciszy słychać
było tylko szum elektronicznych urządzeń.

- Nie powinienem nigdy dopuścić, żeby to się posunęło
tak daleko - odezwał się w końcu Titus. - Śmierć tych dwoj-
ga jest rezultatem moich decyzji. Ale nie pozwolę, żeby to
się kiedykolwiek powtórzyło.

- A zatem postanowiłeś wyciągnąć wtyczkę - odpowiedział
Burden. Stał przed szklana ściana sięgająca dachu i widział
końcówką część wawrzynowej alei oraz sad brzoskwiniowy. -
Posłuchaj - odezwał się, przeczesując palcami włosy i spoglą-
dając na Titusa - tylko pomyśl: czy wiedząc to, co teraz wiesz o
Luquínie, wiedząc, że ci obiecał, że jeśli zgłosisz się do FBI,
będzie zabijał ludzi... Naprawdę myślisz, że gdybyś zawiado-
mił FBI po tej pierwszej nocy, nie dopuściłbyś do któregośkol-
wiek z tych zabójstw? - Burden umilkł na moment, ale jeszcze
nie skończył. - Jak szybko, twoim zdaniem - podjął - FBI zna-
lazłoby Luquína? Jak oni by to rozegrali? Czy mieliby go -
zerknął na zegarek - sześćdziesiąt godzin później? Czy które-
muś z tych zabójstw dałoby się zapobiec?

Titus popatrzył na niego. Jego mózg szukał gorączkowo
odpowiedzi, ale Burden wcale jej nie oczekiwał.

- A nawet gdyby go aresztowali... co jest prawie niemoż-
liwe, ale pociągnijmy tę fantazję... czy zapobiegłoby to

tym... śmierciom?

Cisza.

- Albo powiedzmy, że Luquín zdołałby się wydostać z kraju, zanim go znaleźli. Czy myślisz, że wtedy tych dwoje by nie zginęło?

Burden zerknął na Ritę, która wpatrywała się w niego, z trudem zachowując milczenie.

- Pamiętaj, Titus, że nie tylko tobie ten człowiek wyrządził coś takiego. Zapomniałeś o tym? I, uwierz mi, nie powiedziałem ci nawet w przybliżeniu tyle, ile mogłem.

Mimo tych tragedii mógłbyś być w o wiele gorszym położeniu, niż jesteś.

Titus popatrzył mu w oczy, wciąż jeszcze czując gniew. Był wycieńczony, wypalony przez emocje.

Pozostawiawszy swe pytania bez odpowiedzi, Burden podszedł do okna.

- Nic nie poradzę na to, co Luquín robił gdzie indziej - powiedział Titus do pleców Burdena. - Przykro mi, naprawdę, ale nic na to nie mogę poradzić.

Burden odwrócił się.

- Ale możesz coś zrobić w związku z tą sprawą, co? Czy o to chodzi?

- Powinienem od razu pójść do FBI.

- I Luquína już by tu nie było - odparł Burden - a Thrush i Elster i tak by umarli.

- Ale FBI - odparował Titus - i CIA, i cholerna armia, gdybyśmy jej potrzebowali, wszyscy oni ścigaliby go po całym świecie. To potężna siła, Garcíia. A czym ty dysponujesz?

- I tak by umarli - kontynuował niewzruszony Burden - jak ci to Luquín obiecał, ponieważ byłby wściekły, że poszedłeś do FBI i że stracił przez to okup. Na dodatek zszedłby do podziemia i upłynęłoby dziesięć lat, zanim znowu byśmy trafili na jego ślad. A przez ten cały czas robiłby to samo, zabijając Bóg jeden wie ilu jeszcze ludzi. - Przerwał na chwilę. - Tyle byś osiągnął, Titus.

Obaj mężczyźni popatrzyli sobie w oczy.

- Zdajesz sobie z tego sprawę, Titus? Jest to dla ciebie jasne?

- Pozwól mi powiedzieć, co jest dla mnie jasne, García. Jest dla mnie jasne, że z powodu decyzji, które podjąłem, umarli Charlie i Carla. Jest dla mnie jasne, że nie będę mógł żyć ze świadomością, że przyczyniłem się do śmierci jeszcze kogoś innego. Nie mogę nic zrobić w sprawach, których nie rozumiem. Mam jednak dosyć działań pozaprawnych. Koniec z tym. Chcę, żeby te informacje dotarły do FBI. Teraz. Chcę, żeby Luquín został powstrzymany. Teraz.

Burden podszedł do Titusa i Rity.

- Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze - powiedział do nich niemal bezdusznie. - Charlie Thrush i Carla Elster byli martwi, odkąd dwa dni temu Cayetano Luquín wszedł na waszą werandę. Byliby martwi niezależnie od tego, co byś zrobił, Titus, i taka jest brutalna rzeczywistość. Wydaje mi się, że już ci coś takiego powiedziałem. W San Miguel. Powiedziałem, że jedna lub dwie osoby są już właściwie martwe. Powiedziałem, że Luquín będzie musiał to zrobić, ponieważ myśli, że tylko dzięki temu naprawdę zrozumiesz, co cię spotkało. - Przerwał, ale nie poruszył się, nawet nie mrugnął. - Za Luquímem idą gwałt i cierpienie.

Postanowił przyjechać tutaj. Możesz mnie o to obwiniać, jeśli chcesz, ale to nie znaczy, że masz rację. Jeśli chcesz, sam możesz się czuć winny z tego powodu, ale ponieważ nie miałeś z tym nic wspólnego, twoje poczucie odpowiedzialności za to, co się stało, jest irracjonalne, a poza tym do niczego nie prowadzi. I, szczerze mówiąc, trąci rozczuleniem się nad sobą.

Ta ostatnia uwaga rozwścieczyła Titusa, ale w tej samej chwili zrozumiał, że Burden ma racje. Nie zapomniał tego, czego się dowiedział o Luquínie, ale też nie przestał oddzielać tego, co sam doświadczał, od tamtych okropności.

Burden znowu odsunął się od Titusa. Chociaż zdawał się opanowany, jego wyważone i oszczędne ruchy były w gruncie rzeczy oznaką, że usilnie stara się opanować. Zatrzymał się przy jednym z kamiennych słupów podtrzymujących wysoki strop.

- Skończ z tą ambiwalencją, Titus. Nie ma na to czasu. Musisz zrozumieć, jak małe mamy szanse na sukces, nawet jeśli będziemy ściśle współpracować. Jeśli zaczniemy ze sobą walczyć, na pewno nie uda nam się wygrać tej sprawy.

Ledwie wypowiedział ostatnie słowo, odezwała się Rita.

- Chcę wiedzieć, na czym stoimy. Jeśli jest pan tak pewny, że Luquín by uciekł, gdybyśmy od razu poszli do FBI, by oni są zbyt powolni i nieudolni, to dlaczego teraz, skoro ma pan już te wszystkie informacje, które obrabiają pańscy komputerowcy, nie przekaże pan ich FBI, jak mówi Titus, i nie dopilnuje, żeby federalni dopadli tego maniaka? I kiedy pan mówił o wygrananiu tej sprawy, co konkretnie miał pan na myśli?

Burden patrzył to na Titusa, to na Ritę. Miał stoicki wyraz twarzy, ale najwyraźniej usiłował podjąć jakąś decyzję. Wciąż opierając się o słup, przeniósł ciężar z jednej nogi na drugą, a następnie spojrział na Herrina i Cline'a, którzy bardzo się starali wyglądać na zupełnie nieświadomych tego, co się dzieje.

- Mark - powiedział w końcu Burden - czy moglibyście na chwilę zostawić nas samych?

- Och, taa, jasne - odparł Herrin i obaj z Cline'em wyszli z domku.

Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi, Burden wrócił na sofę i usiadł na samym brzegu, z łokciami na kolanach i luźno splecionymi palcami.

- FBI nie chce tych cholernych informacji - powiedział.
- Oni chcą, żebym to ja je miał. I nie chcą wiedzieć, co z nimi zrobię.

ROZDZIAŁ 33

Titus i Rita wpatrywali się w niego z otwartymi ustami, obawiając się, co powie.

- To, co zaraz usłyszycie, zdradzę wam jedynie dlatego, że potrzebna mi jest wasza współpraca i nie wydaje mi się, abym mógł na nią liczyć, jeśli się tego nie dowiecie. Ale zapamiętajcie sobie: będziecie musieli za to zapłacić. Zabierzecie tę wiedzę do grobu. Jeśli nie, to choćbyście uważali, że wasze pobudki są najuczciwsze, nie skończy się to dla was dobrze.

- Nie umiesz grozić bardziej przekonująco? - zapytał Titus.

- Umie, ale to nie jest groźba. To rada, przestroga.

- Niczego nie obiecuję, do cholery - odparł Titus.

- Nie spodziewałem się tego. Jesteś w piekielnie trudnej sytuacji i na tym etapie zasługujesz na to, żeby wiedzieć tyle, ile to tylko możliwe. Mówię ci jedynie, że wiedza nie przychodzi za darmo. Będziesz się musiał poważnie zastanowić, jak ją wykorzystać.

Jego łagodny głos wydawał się coraz łagodniejszy. Burden przerwał, zbierając myśli, a kiedy znów się odezwał, Titus odruchowo pochylił się w fotelu, żeby go lepiej słyszeć.

- Istnieje pewna lista - mówił Burden - dość krótka, na której między innymi znajduje się nazwisko Luquína. Ułożył ją nadzwyczajny komitet składający się z wysokich rangą pracowników wszystkich agencji wywiadowczych Stanów Zjednoczonych. Nie została przekazana służbom wywiadowczym innych krajów, nawet naszych najbliższych sojuszników. Osoby, których nazwiska znalazły się na tej liście, są uważane za poważne zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych - w szczególności dla Stanów. Władze wykonawcze wydały tajną dyrektywę, zgodnie z którą ludzie ci mają zostać zabici.

Titus poczuł, że Rita, siedząca obok niego na poręczy fotela, zeszywniała.

- Jest też druga lista. Jeszcze krótsza. Osób, które zostały zatwierdzone do wykonania tej tajnej dyrektywy. Znajduje się na niej moje nazwisko. Posłuchajcie mnie uważnie - kontynuował Burden. - Wciągnięto was w coś, czego nie potraficie pojąć. To jest bardziej złożone, niż możecie sobie wyobrazić.

Titus był zaszokowany.

- Jak... jak to możliwe, żeby ci ludzie stanowili aż takie zagrożenie... że mówisz... o zabójstwach?

- Przed bin Ladenem także nie myśleliśmy, że to możliwe - odparł Burden. - Ci ludzie są nam znani. Tak jak był bin Laden. Łączą ich związki przebiegające ponad granicami politycznymi, ideologicznymi, narodowymi, a także tymi, które wyznaczają przestępcze interesy. Podobnie było z bin Ladenem. Ludzie ci znaleźli się na tej liście, bo wykorzystują te kontakty do osiągnięcia celów zakrojonych na nieznaną dotąd skalę. Gdyby coś takiego było możliwe przed bin Ladenem, jego nazwisko także by się na niej

znalazło. Jak się okazało, to właśnie on sprawił, że dostrzeżliśmy konieczność sporządzenia tej listy. I takiego rozwiązania problemu.

- Jezu Chryste - powiedział Titus. Nagle wszystko mu się poprzestawiało. Musiał spojrzeć na to z innej perspektywy. - Ci ludzie... na tej liście... oni są na całym świecie?

- Tak. Każdy strzęp informacji o nich jest przekazywany do biura operacyjnego... I ostatecznie dociera do mnie... lub jednego z moich kolegów. Na tym kończy się udział służb wywiadowczych. Ja nie jestem pracownikiem wywiadu. Prawdę mówiąc, nie jestem nikim konkretnym. Lub, ściślej, jestem tym, kim muszę być, żeby wykonać zadanie.

- Dlaczego - Rita kręciła z niedowierzaniem głową - nie można rozprawić się z tymi ludźmi w zwykły sposób, z pomocą prawną? Albo wojska? Albo...

- Proszę się nad tym zastanowić - odparł Burden. - Niech pani pomyśli o skali pościgu za bin Ladenem, o liczbie zaangażowanych w to ludzi i wielkości uruchomionych środków militarnych, o poświęceniu pracowników wywiadu, nakładach finansowych, sporach prawnych, zainteresowaniu mediów, ogólnonarodowej obsesji, czasie. Potem niech to pani pomnoży przez dziesięć... lub więcej.

- Ale ci ludzie nie zrobili tego, co zrobił bin Laden - argumentowała Rita.

- Tak samo jak bin Laden, z a n i m to zrobił. Wiedzieliśmy, że jest jakieś zagrożenie, ale zabrakło nam wyobraźni. I kosztowało nas to tysiące zabitych oraz miliardy dolarów, a to jeszcze nie koniec. Uwierzcie mi, ci ludzie mają takie same możliwości zaatakowania tego kraju, jakie miał bin Laden. Niektórzy nawet większe. Nie zrobią tego tak samo jak on. Wiedzą, że się tego spodziewamy i wypatrujemy oznak zagrożenia. Ale znajdują coś innego. Musicie zrozumieć - ciągnął - że im nie brakuje wyobraźni. Zobaczcie, co wymyślił Luquín. A to, co tutaj robi, wcale nie jest nawet jego ostatecznym celem. Robi to po prostu po to, żeby położyć ręce na ogromnych pieniądzach, które są mu potrzebne do czegoś większego. On coś finansuje, a my nie mamy najmniejszego pojęcia, co to, u diabła, jest. Ale martwimy się tym.

Burden wbił wzrok w podłogę. Dłonie wciąż miał splecione, a łokcie oparte na kolanach. Jego twarz, chociaż

spokojna, zdradzała napięcie.

- Trudno... w to uwierzyć - powiedziała Rita.

Burden uniósł wzrok.

- Tak trudno jak w śmierć Charliego Thrusha? Albo w to, co ledwie kilkanaście minut temu powiedział wam zastępca szeryfa?

- Skąd możemy mieć pewność, że to prawda? - zapytał Titus.

Dostrzegł wtedy w twarzy Burdena jakiś błysk, ledwie widoczną oznakę głębokiej pasji odartej z wszelkiej uprzejmości i całkowicie obcej światu, który został odebrany Titusowi trzy dni wcześniej. Było to coś, o czym w cywilizowanym społeczeństwie nigdy się nie mówi, ale czemu pozwala się istnieć, dopóki to nie stanie w pełnym świetle, dopóki jest niewidzialne i chroni nas przed tymi wszystkimi okropnościami, które czają się w jeszcze głębszym od niego mroku.

- Chcecie odpowiedzi na wszystkie wasze pytania? - zapytał Burden. - Posłuchajcie, spędziłem w tym interesie osiemnaście lat i w tym czasie musiałem podejmować cholernie dużo moralnie niejednoznacznych decyzji. Nigdy jednak nie poznałem odpowiedzi na wszystkie pytania. Nigdy. Tylko Bóg je zna.

Burden spojrzał na nich badawczo.

- Nie powiem, że toczymy wojnę - podjął po chwili. - To byłoby nadmierne uproszczenie. Ale mamy wrogów, przed którymi musimy się bronić. Giniemy przy tym, zabijamy, poświęcamy się, podejmujemy bolesne decyzje, robimy bolesne rzeczy. Jeśli to przetrwamy, będziemy musieli żyć ze wspomnieniami tego, co widzieliśmy i robiliśmy, i co pozwoliliśmy robić innym w naszym imieniu. To jest cena, którą zapłacimy... chociaż nie mamy w tej sprawie wyboru.

Titus zerknął na Ritę i zauważył napięcie na jej twarzy. Najwyraźniej to, co właśnie usłyszeli, niemile ją zaskoczyło, i to nawet bardziej niż jego.

- Nie możemy przenieść tej walki gdzie indziej i kazać jej toczyć innym ludziom - ciągnął Burden. - Kiedy coś takiego pojawia się na twoim progu, tam właśnie musisz się z tym rozprawić. I musisz umieć sobie poradzić z decyzjami, które zawsze wiążą się z zabijaniem. Nie jesteśmy

jasnowidzami. Opieramy się na tym, co mamy do dyspozycji. To stały ludzki problem.

Rita wstała z oparcia fotela. Titus przyglądał się jej tak, jakby widział ją po raz pierwszy, zachwycając się jej profilem i tym, jak szybko związała nad karkiem gęste włosy, zawsze praktyczna. Oparła ręce na biodrach i spojrzała na obu mężczyzn.

- To wszystko jest tak absurdalnie przerażające... - powiedziała. - Nie potrafię przestać myśleć o Louise i o dziewczynkach Carli. Żadna z nich już nigdy nie zaśnie spokojnie.

Titus instynktownie czuł, do czego zmierza Rita.

- Czy możecie sobie wyobrazić, jak... wyglądała śmierć Charliego i Carli? - mówiła, patrząc teraz na Titusa. - Myślałam o tym. Mimo odrazy nie mogłam przestać. - Umilkła. - Co mamy o tym myśleć?

Złożyła ręce i przycisnęła palce wskazujące do ust. Po chwili odsunęła za uszy kilka kosmyków, które opadały jej na skronie.

- Nie jesteśmy złymi ludźmi. Titus. Jeśli to zrobimy, to zrobimy, i nie będziemy do tego wracać. Długo nie mogłam zaakceptować tego, co robicie, i przez to utrudniałam wam sytuację. Ale jeśli on nam mówi prawdę... nie mamy wyboru. To rzeczywiście jest ważniejsze od naszych interesów, ważniejsze od naszych lęków. - Odwróciła się do Burdena. - Nie wiemy, co... my tu robimy. Utknęliśmy w tym okropieństwie. Jeśli Titus panu zaufa, ja także to zrobię. - Przerwała. - Ale, na Boga, jeśli się okaże, że nie jest pan tym, za kogo się podaje, to mimo że brzmi to nieprawdopodobnie, dopilnuję, aby pan pożałował tego, co pan nam robi.

Rita i Burden wpatrywali się w siebie w milczeniu. To, co powiedziała, na chwilę oczyściło atmosferę, ale zaraz ponownie pojawiło się napięcie.

Titus wstał.

- Róbnmy więc dalej swoje, do cholery - powiedział.

Burden uniósł głowę i spojrzał na niego.

- Titus, tej rozmowy nigdy nie było.

- Zrozumiałem - odparł Titus.

Rita przełknęła ślinę i skinęła głową.

Burden zawahał się, ale uznał, że musi mu to wystarczyć.

- W porządku - powiedział - to już mamy ustalone.

A teraz inna sprawa: już czas, żebyście sobie porozmawiali

w sypialni na użytek ludzi od pluskiew, które tam zostawiliśmy. Luquín musi uwierzyć, że wywierając na ciebie nieustanny nacisk, osiągnął to, o co mu chodziło. To bardzo ważne, bo wczoraj wieczorem go wkurzyłeś. Musisz powiedzieć Ricie - mówił dalej - że po śmierci Carli chcesz już tylko, żeby ta udręka się skończyła najszybciej, jak to możliwe. Że nie chcesz śmierci innych ludzi, więc dasz Luquínowi wszystko, czego żąda. Powiesz, że postanowiłeś zapomnieć o opóźnieniu wypłat, że tak szybko, jak tylko twój prawnik zdoła to załatwić z twoim bankierem i twoim brokerem, zaczniesz przysyłać do Cavatina duże partie okupu. Jutro. Lub pojutrze. Tak szybko, jak to tylko możliwe.

- A co, jeśli mi się to nie uda?

- Masz tylko powiedzieć, że przyspieszysz wykonanie planu płatności, który on podał. - Burden spojrzał na zegarek. - Ta rozmowa musi się odbyć w ciągu godziny. Jeszcze jedna sprawa - dodał, patrząc na Titusa. - Podczas spotkania z Luquínem dałeś mu niezłe popalić. To wymagało odwagi. Ale w każdych innych okolicznościach doprowadziłoby to do twojej śmierci. Co więcej, taka konfrontacyjna postawa ma bardzo poważny minus. To moja wina - dodał szybko. - Powinienem być to z tobą omówić. Nie chcieliśmy go wkurzyć. Z tego spotkania powinien być wyjść zastraszony. On powinien odjechać stamtąd przekonany, że całkowicie nad tobą panuje. Jednak sądząc po tym, jak zareagował na twoje słowa, myślę, że trzeba sprowadzić tu kilku ochroniarzy dla Rity.

Tak Titus, jak i Rita przez chwilę nic nie mówili. Obojgu przyszła do głowy ta sama myśl, ale to Rita pierwsza ją wypowiedziała.

- Ale... czy to nie będzie... to samo, co zrobił Titus, usuwając podsłuch? Kiedy zobaczą tych ochroniarzy... czy to nie da Luquínowi kolejnego pretekstu do zabójstwa?

Patrzyła na Burdena, ale pierwszy odezwał się Titus.

- Zrób to - powiedział do Burdena. - I to szybko.

ROZDZIAŁ 34

Loza rozpiął spodnie, podszedł kilka kroków do muru oporowego i zaczął nań sikać pod takim kątem, że nie było nic słychać. Jasnozielona jaszczurka wspięła się szybko po kamieniach, uciekając przed strumieniem moczu.

Jeszcze raz rozejrzył się dookoła. Między drzewami brzoskwiniowymi nieustannie narzekały sójki błękitne. Zewsząd dochodziło głośnie piłowanie cykad cieszących się z rosnącego upału. Nic niezwykłego. Zerknął do tyłu, na domek dla gości. Dwaj faceci, którzy wyszli pół godziny wcześniej, wciąż siedzieli na werandzie. Cainowie ciągle byli w środku. O co tu, do diabła, chodzi?

Otrząsnął się i zapiął spodnie. Wróciwszy do aparatu fotograficznego, oparł się całym ciałem na murze oporowym. Zbudowano go tak, że każda warstwa kamieni była trochę cofnięta w stosunku do poprzedniej, dzięki czemu mógł przyjąć wygodną, półleżącą pozycję, jakby mur wzniesiono z myślą o szpiegowaniu. Zbliżył głowę do aparatu i zaczął przepatrywać okolicę przez teleobiektyw. Nic. Tylko dwóch facetów na werandzie.

Kiedy rano obserwował dom, wyszła z niego kobieta, w szlafroczku. Zbliżyła się do fontanny, zajrzała do niej, po czym podeszła do muru otaczającego basen i zaczęła przyglądać się tam jakimś kwiatom. Gdy odwróciła się w stronę werandy, słońce padło na nią nad kamiennym murem pod takim kątem, że w jednej chwili jej szlafroczek stał się przezroczysty jak warstewka wody. Jasna cholera...

Napawał się tym widokiem przez sześć lub osiem kroków jej długich nóg, do czasu, gdy weszła w cień domku przy basenie i okrycie znowu zrobiło się nieprzejrzyste. Ale udało mu się zrobić dwa zdjęcia i kiedy nic się nie działo, obejrzał je sobie na ekranie aparatu. Miał zamiar je zachować.

Pomyślawszy o tym, sprawdził, co z leżącym na murze laptopem. Komputer był włączony, gotowy do wysłania kolejnej serii fotografii.

Nagle otworzyły się drzwi domku dla gości i dwaj faceci

na werandzie wstali, spoglądając ku nim. Wadą punktu obserwacyjnego, który wybrał, było to, że nie mógł zrobić dobrego zdjęcia samych drzwi. Drzewka, którymi była obsadzona alejka, przesłaniały je do tego stopnia, że widział tylko nogi ludzi, którzy przez nie wchodzili i wychodzili.

Teraz zobaczył trzy pary nóg. Tej kobiety, jej męża i jeszcze kogoś. Musiał zrobić zdjęcie temu trzeciemu. Nie wiedział, że była tu jeszcze jedna osoba. Facet musiał przyjechać po zmroku.

Po skroniach pociekły mu strużki potu i spłynęły niżej, na policzki. Miał lepkie dłonie, a aparat zrobił się śliski. Natężając wzrok, patrzył przez wizjer na nogi ludzi, którzy zasłonięci przez drzewa szli aleją w stronę werandy. Zamrugał; pot szczypał go w oczy. Cholerny świat.

Nieznany mężczyzna zatrzymał się przed werandą. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym facet zostawił Caninów i poszedł z powrotem aleją.

Loza musiał szybko podjąć decyzję, ponieważ aleja przebiegała zaledwie dwanaście metrów od miejsca, w którym stał. Wepchnął komputer w trawę - nie miał czasu go wyłączyć - chwycił aparat i cofnął się do sadu, kryjąc się w kępie dzikiej trawy. Zaraz potem odwrócił się i zaczął obserwować aleję, na którą miał widok między drzewami brzoskwiniowymi.

Idący nią mężczyzna rozmawiał przez telefon komórkowy. Loza wciąż nie mógł mu zrobić wyraźnego zdjęcia. Przy końcu alei facet skręcił za sad i ruszył w kierunku lasu. Do-
kład on, do cholery, idzie?

Ryzykując, że zostanie zauważony, Loza wyszedł z kępy trawy i pochylony pobiegł skrajem brzoskwiniowego sadu w poprzek rzędów drzew. Minąwszy szopę z narzędziami, ciężko dysząc, wdzięczny losowi, że tamten wciąż rozmawia przez telefon, dotarł do końca sadu i ukląkł obok stosu drewna opałowego. Zwrócił się ku miejscu, w którym spodziewał się zobaczyć tamtego, i podniósł aparat. Ale w jego polu widzenia nikogo nie było. Loza gorączkowo przesunął wzrokiem po skraju gęstego lasu, który ciągnął się w dół aż do Cielo Canyon Road.

W ostatniej chwili zauważył, że facet wchodzi między drzewa. Zrobił szybko kilka zdjęć, niezbyt pewny, co mu wyjdzie.

Cholera. Podejrzana sprawa. Niedobrze. Maciasowi się to nie spodoba.

ROZDZIAŁ 35

Gdy Burden zostawił ich przed werandą, Titus i Rita poszli prosto do sypialni, gdzie odbyli rozmowę przeznaczoną dla uszu Luquína, a później przeszli do gabinetu Titusa. Przez następną godzinę siedzieli przy długim stole pod szklaną kopułą, wydzwaniając do przyjaciół Carli i prosząc ich, żeby pomogli powiadomić o jej śmierci rozproszonych po całym kraju krewnych przyjaciółki. Titus dopilnował, żeby ta wiadomość została też przekazana pracownikom CaiTekstu i żeby ktoś przejął obowiązki zmarłej.

Bez względu jednak na to, ile rozmów telefonicznych Titus przeprowadził, bez względu na to, z ilu zszokowanymi ludźmi rozmawiał, czy też iloma nagłymi sprawami musiał się natychmiast zająć, myślał dwutorowo. Patrzył właśnie przez okno, zatopiony w myślach, kiedy uświadomił sobie, że Rita skończyła rozmowę i odłożyła słuchawkę. Rozmawiała z Louise.

- Jak z nią? - zapytał.

- Nie najgorzej. Myślę, że jest w tym stanie byle-prze-trwać-pogrzeb. Nel i Derek są dla niej dużym oparciem. Z Fredericksburga przyjeżdża też wielu ich przyjaciół.

- To dobrze - stwierdził Titus. - Będzie jej potrzebne towarzystwo.

- Chce, żebyś przemówił na pogrzebie - powiedziała Rita.

- Jezu. Co jej powiedziałaś?

- Że oczywiście to zrobisz.

Wydało mu się, że w żadnym razie nie zdoła tego zrobić, ale zanim zdążył się nad tym zastanowić, zadzwonił jego telefon z szyfratorem.

- Tu García. Posłuchaj, Gil Norlin ściąga ochroniarzy...

- Norlin? - Titus był zaskoczony, chociaż sam nie wiedział dlaczego.

- To on zebrał tych miejscowych kierowców, którzy wczoraj mieli cię na oku. Wykorzystuję go, kiedy jest mi potrzebny, tak jak wszystkich innych.

Z jakiegoś powodu to ostatnie zdanie zapłonęło w umyśle Titusa a jak neon.

Ochroniarzami byli dwaj mężczyźni i jedna kobieta. Przyjechali blazerem za volvem Gila Norlina, w ogóle nie próbując ukrywać swego przybycia.

Podali tylko swoje imiona. Janet była wysoka i atletycznie zbudowana. Jej makijaż wyglądał tak, jakby zrobiła go zupełnie mechanicznie. Była wręcz niefrasobliwa. Na pierwszy rzut oka MP5 z tłumikiem (powiedziała im, co to jest) na jej ramieniu wydawał się do niej nie pasować, ale to wrażenie szybko mijało, bo nosiła go z taką swobodą jak swoje spodnie z zaprasowanymi zaszewkami.

Ryan, niższy z dwóch mężczyzn, miał według oceny Titusa ze sześć stóp i dwa cale wzrostu. Musiał podnosić ciężary. Włosy strzygł krótko, po wojskowemu. Amerykański w każdym calu. Wyglądał dokładnie na tego, kim był.

Drugi facet, Kal, przewyższał go o trzy cale. Był dobrze zbudowany, ale nie tak zwalisty jak Ryan. Wydawał się trochę zatroskany, jakby ponosił odpowiedzialność za zespół.

Natychmiast po prezentacji i wymianie kilku grzecznościowych słów Rita i Titus oprowadzili ich po domu. Zaraz potem Norlin zdecydował, że trzeba zamknąć na klucz wszystkie drzwi poza najczęściej używanymi i założyć na nich oraz wszystkich oknach zabezpieczenia przeciwwłamaniowe. Bardzo szybko zaczęło to wyglądać bardzo poważnie.

W końcu ochroniarze rozeszli się do swoich obowiązków, a Norlin zatrzymał się w kuchni z Titusem i Ritą.

- Róbcie, co wam każą - powiedział. - Nie ma w tym żadnego hokus-pokus. Po prostu zdrowy rozsądek oparty na dużym doświadczeniu.

- Czy to pańscy ludzie? - zapytał Titus.

- Pracowałem już z nimi - odparł.

Stał z ręką na biodrze, tak że nieco odchyliła mu się poła marynarki. Titus zauważył, że Rita zerka na pistolet u jego boku.

- I pracował pan także z Garcíą Burdenem? - zapytała Rita. - Mam rację?

- Taa. Kilka lat temu.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Może mi pan coś o nim opowie? Chciałabym sobie wyrobić jakąś opinię.

Norlin rzucił niespokojne spojrzenie na Titusa, po czym opuścił wzrok, zбираjąc myśli.

- To dosyć delikatny temat - powiedział.

- Co pan ma na myśli? - zapytała. W jej głosie zabrzmiały ostrzejsze tony, jakby ociąganie się Norlina wzbudziło w niej podejrzenia.

- Cóż, pracujecie z nim...

- Niech pan posłucha - przerwała mu, zaraz jednak się zawahała, zdenerwowana... albo rozszalona. - Umierają ludzie - mówiła dalej - i żadne skrupuły natury zawodowej, które może pan mieć, nie wdaia mi się w tej chwili znaczące.

Norlin patrzył na nią. Nie wydawał się specjalnie zaskoczony ani zastraszone, ale Rita z pewnością odebrała mu możliwość zasłonięcia się pustostowem, na którym zwykle polegał, gdy znalazł się w trudnej sytuacji.

- Cóż, miał bogate życie - powiedział z zamierzoną ironią. - Co konkretnie ma pani na myśli?

- Niech pan powie coś, co mi pozwoli zrozumieć, jaki on jest - odparła. - Proszę posłuchać, współpracujemy z tym człowiekiem, ponieważ pan go zarekomendował. Co więcej, w gruncie rzeczy pana także nie znamy. Uważa pan, że... tak powinno być, że ponieważ jesteśmy śmiertelnie przerażeni, powinniśmy zaufać ludziom, którzy, powiedzmy sobie prawdę, prowadzą cholernie mroczne życie? Nie wiem, czym się pan zajmuje. Titus opowiedział mi, w jakich okolicznościach pana poznał, ale z drugiej strony... co to jest? Wydaje się, że jest pan tym, za kogo się podaje, ale skąd, u diabła, mamy wie d z i e ć, czy to prawda? Nie widzieliśmy żadnych dokumentów potwierdzających pańską tożsamość. Nikt z ludzi, którym możemy zaufać, nie zadzwonił do nas, żeby poręczyć za pana. Wie pan, panie Norlin, my w gruncie rzeczy przyjmujemy na wiarę, że jest pan uczciwy i że działa w zgodzie z prawem. Ale to, że współpracujemy z nim, z Burdenem, lub z panem... czy też z kimkolwiek z tych ludzi - szerokim gestem wskazała ochroniarzy i Herri-na w domku dla gości - wydaje mi się czymś... szalonym.

Pod koniec jej głos drżał od emocji. Ale ten potok słów wywarł wpływ na Norlina. Złagodniał nieco i spojrzał na nią.

- Ma pani wiele racji, pani Cain - odparł, ostrożnie dobierając słowa. - Niech mi pani jednak pozwoli powiedzieć,

że jest to coś szalonego jedynie na tle waszego życia, zanim wkroczył w nie Cayetano Luquín. Ale - dodał szybko - ma pani rację. Poprosiliśmy was, byście bardzo dużo przyjęli na wiarę. Ludzie pracujący w tym fachu nie zawsze przywiązują do tego odpowiednią wagę.

Zamyślony oparł się o blat kuchenny i założył ręce na piersi. Jego stara powyciągana marynarka zmarszczyła się na ramionach, jakby robiła to już tysiące razy.

- Jak już powiedziałem Titusowi - zaczął, patrząc na Ritę - ufam temu człowiekowi bezgranicznie. Szkopuł jednak w tym, i pewnie trudno będzie to pani pojąć, że moje zaufanie do niego dotyczy głównie sytuacji ekstremalnych. Na przykład to, do czego on, jak ufam, jest on zdolny, prawdopodobnie zaszokowałoby panią.

Kolejna przerwa.

- Mógłbym mówić o nim całymi dniami. Niech pani nie próbuje go zrozumieć. To strata czasu. Jedyną osobą, której się to prawie udało, jest kobieta, z którą żyje. Ma na imię Lucia. Nie wiem, od ilu lat jest z nią. To Cyganka z Sycylii. Fotografik. - Popatrzył na Titusa. - Zrobiła wszystkie... większość... zdjęć, które widział pan w jego domu. Jest równie tajemnicza jak on i są sobie ogromnie oddani... Łączą ich coś o wiele głębszego niż wszystko, co kiedykolwiek widziałem między dwojgiem ludzi. Ale to sprawy osobiste, niezupełnie te, o które nam chodzi. Wiecie co? - Najwyraźniej się na coś zdecydował. - Nie potrafię wam tego wytłumaczyć, opowiem więc wam po prostu pewną historię. Postaram się streszczać, ale wydaje mi się, że da wam to pewne wyobrażenie o życiu Garcíi Burdena.

ROZDZIAŁ 36

- Kilka lat temu - zaczął Norlin - na zdjęciach zrobionych w Mexico City wywiad zidentyfikował islamskiego ekstremistę z Algierii, niejakiego Mourada Berkata. Był w towarzystwie ludzi z kartelu narkotykowego, który miał od dawna kontakty na Bliskim Wschodzie.

Berkat zaczynał w Algierii w latach osiemdziesiątych jako terrorysta GIA, ale miał większe ambicje i w latach

dziewięćdziesiątych stał się niezależnym zabójcą, pracującym głównie dla różnych capo w Hiszpanii, na Sycylii i we Francji. Lubił trucizny, co było nietypowe dla płatnego mordercy. Jego pojawienie się w Meksyku włączyło dzwonniki alarmowe. Wezwano do tego Garcíę - mówił Norlin - z różnych, szczególnych powodów. Okazało się, że Berkat próbuje zdobyć bakterie *Clostridium botulinum*, które wytwarzają jad kielbasiany, sto tysięcy razy bardziej zabójczy od sarinu. Ale ma on także zastosowania medyczne, na przykład przy leczeniu niektórych zaburzeń układu nerwowego, można go więc legalnie nabyć w pewnych kręgach farmaceutycznych i medycznych.

García zaalarmował swoich zagranicznych współpracowników, ale upłynął miesiąc, zanim jeden z nich zadzwonił do niego z informacją o lekarce, którą znaleziono martwą w jej mieszkaniu w Paryżu. Pracowała w klinice Specjalizującej się w chorobach układu nerwowego. Znaleziono u niej zdjęcie Berkata. Przedarty bilet do metra doprowadził ich do apartamentu w pobliżu lotniska de Gaulle'a, gdzie jedna z kamer monitorujących zrobiła zdjęcie agentowi Hamasu, który wychodził z tego mieszkania.

García zapukał do Mosadu, gdzie wprawdzie niewiele mieli o Berkacie - kontynuował Norlin - ale świetnie znali tego faceta z Hamasu. Szybko zlokalizowali Berkata w Gazie, a potem sfotografowali go w kawiarence z Hassanem al-Abedem. Al-Abed miał doktorat z nauk biologicznych z Uniwersytetu Kairskiego. Francuzi z DST potwierdzili, że z tej kliniki neurologicznej wyniesiono *Clostridium botulinum*. Teraz Garcíą był już pewny, że Hamas i Berkat pracowali nad metodami rozprzestrzeniania jadu kielbasianego.

Norlin przestąpił z nogi na nogę. Zanim znów się odezwał, zastanawiał się przez chwilę.

- Berkat zniknął z Gazy, a jego trop szybko ostygł. Jednak trzy miesiące później jeden z agentów Garcíi namierzył go w Strasburgu. Berkat spędził tam noc z kobietą, która powiedziała potem, że przed wyjazdem cały dzień korzystał z jej komputera. Ludzie Garcíi wyssali szpik z twardego dysku i ustalili, że pod francuskim nazwiskiem zarezerwował miejsca na dwutygodniowy rejs wycieczkowy z Brestu

do St. Kitts, na który wybierał się z żoną i dwójką dzieci. Przykrywką dobrego męża i ojca to był jego stały numer. Można było odnieść wrażenie, że nie ma końca łatwowiernych kobiet które pomagają mu, nie wiedząc, co czynią.

Sledzili go do Belize - mówił dalej - gdzie porzucił swoją „rodzinę”. Następnie, pod innym francuskim nazwiskiem, poleciał do Tampico, gdzie na nazwisko obywatela Meksyku wynajął samochód terenowy i ruszył na północ.

Teraz wszyscy już musieli przyjąć - kontynuował Norlin - że zmierza do Stanów. Pomijając kwestię bezpieczeństwa narodowego, ludzie, którzy wynajęli Garcíę, nie chcieli, aby wiadomość, że terrorysta z bronią biologiczną znalazł się bliżej niż o sto mil od naszych granic, stała się powszechnie znana. W owym czasie wciąż jeszcze chowaliśmy głowę w piasek, mając nadzieję, że ludzie się nie zorientują, jak jesteśmy bezbronni.

Bóg jeden wie, jakie mogłyby być polityczne reperkusje, gdyby do ludzi dotarło, co się naprawdę dzieje, i podnieśli by tyłki ze swoich kanap. Politycy nie chcieli również, aby społeczeństwo dowiedziało się, że w Meksyku aż roi się od terrorystów, bo to by było złe dla NAFTA. To jeszcze jedna z tych spraw, o których, jak mają nadzieję, ludzie się nie dowiedzą.

Tak czy owak - podjął po chwili - Berkat musiał po prostu zniknąć, i byłoby najlepiej, gdyby to się stało w Meksyku. Bez wiedzy meksykańskiego rządu, oczywiście.

Nic byśmy na tym nie stracili, bo wiedzieliśmy już, że to Hamas finansował jego akcję, a urządzenie do rozsiewania jadu kielbasianego, które wiózł ze sobą, było znane jego projektantowi, dobremu doktorowi al-Abedowi z Gazy, którego miał wziąć w obroty Mosad. Berkat był po prostu jadowitym wężem, którego należało zatłuc.

García wybrał do tego - ciągnął - bombę zapalającą o szczególnej konstrukcji. Chciał mieć pewność, że jad kielbasiany nie przetrwa eksplozji i nie rozproszy się po całej okolicy. Bombę załadowano do helikoptera i przewieziono w rejon przewidywanej trasy Berkata, którego możliwości wyboru zawężyły się, w miarę jak posuwał się na północ. W końcu stało się jasne, że zmierza w kierunku jednego z najmniejszych przejść granicznych, mostu w Los Ébanos w Teksasie.

Norlin znowu przerwał. Zamyślony patrzył przez kuchenne okno. W końcu wolno potrząsnął głową i spojrzął na Ritę.

- Musicie zrozumieć - powiedział - że każda taka operacja jest jak tropienie lisa. Zaczynasz od zamiaru i planu, ale cholernie dobrze wiesz, że większa część tego planu i tak się zmieni, bo cholerny lis na pewno cię czymś zaskoczy. To jedna z największych trudności tej roboty. I jedna z tych, w których rozwiązywaniu wyróżnia się García.

Zawsze potrafi zachować zimną krew.

Nawiasem mówiąc, ma też inny niezwykły talent: potrafi przeprowadzać różne akcje tak, że nie budzi to niczyich podejrzeń. A gdy już nie daje się ukryć jakiegoś wydarzenia, tak je aranżuje, że wydaje się czymś zupełnie innym, niż było.

Wracając do rzeczy - kontynuował Norlin. - W wiosce Cerralvo Berkat zjechał z głównej drogi i ruszył na północ przez pustynię. Z punktu widzenia planów Garcíi było to nawet lepsze. Helikopter poleciał przodem, wylądował na szosie i gdy załoga zainstalowała ładunek, wystartował. Pięć mil przed bombą Berkat zjechał z drogi przy małym barze z kanapkami. I, masz ci los, wielka niespodzianka. Zespół obserwacyjny osłupiał, widząc, że z samochodu wraz z nim wysiadają kobieta, dwóch małych chłopców i mała dziewczynka. Berkat załatwił sobie nową „rodzinę”.

Norlin znowu wyjrzał przez okno nad zlewozmywakiem. Titus przeniósł wzrok za jego spojrzeniem i zobaczył jednego z ochroniarzy krążącego wokół basenu. Norlin, opierając się łokciem na szafce, drugą ręką pomasaował czoło. Wyglądało na to, że nie ma wielkiej ochoty ciągnąć tej opowieści.

- Pewnego wieczoru, trochę ponad rok po tych wydarzeniach, siedziałem z Garcíą w jego gabinecie w San Miguel.

Piliśmy. Zbyt wiele. Ale pamiętam, jak martwym głosem opowiadał mi, co się stało potem.

García kazał jechać kierowcy w stronę bomby. Mniej więcej ćwierć mili od niej skręcili na drogę gruntową i wjechali w zarośla, żeby móc prowadzić obserwację. García wysiadł z wozu i zwymiotował w krzaki, a potem, nagle, stracił kontrolę nad jelitami. Ale nic: oczyścił się, wszedł

na dach samochodu i zaczął obserwować szosę przez lornetkę. W pewnej chwili dostrzegł terenówkę Berkata zmierzającą w stronę granicy i bomby. Wiedział, że z bombą nie będzie żadnej niespodzianki, że komputer dopilnuje, by wybuch nastąpił we właściwej chwili. Wszyscy, którzy brali udział w operacji, przesyłali Garcii wiadomości, że Berkat jedzie z kobietą i dziećmi. Jego kierowca wciąż je odbierał.

A potem wszystko wyleciało w powietrze. Garcia pamiętał, że niebo było purpurowe i że grzyb podniósł się wysoko, a w jego wnętrzu rosła ognista kula. Zobaczył to, potem usłyszał, a później poczuł.

Bomba - kontynuował Norlin - miała zniszczyć możliwie jak najwięcej dowodów rzeczowych, więc meksykańscy federalni nie potrafili nawet stwierdzić, ilu ludzi było w samochodzie. Dochodzeniowcy i dziennikarze przyjęli, że ładunek podłożyli zabójcy pracujący dla handlarzy narkotyków, a ci, którzy coś podejrzewali, zachowali to dla siebie. Cokolwiek to było, musiało być czymś poważnym. Meksykanie już dawno nauczyli się godzić z wydarzeniami, których nie można wytłumaczyć.

Norlin pokręcił głową i przez chwilę patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

- Później, gdy rozpracowano operację Berkata i zbadano wszystkie tropy, dowiedziano się, że zmierzał do Centrum Medycznego w Houston. Efektywność opracowanej przez al-Abeda metody rozpylania jadu kiełbasianego pozostała kwestią kontrowersyjną. Miało do tego służyć urządzenie aerozolowe, które Berkat zamierzał umieścić w systemie klimatyzacyjnym jednego z największych szpitali centrum. Niektórzy twierdzili, że umarłoby tylko dwadzieścia - trzydzieści osób, ale inni stanowczo się z tym nie zgadzali. Używali takich słów jak „katastrofalne” i „niewyobrażalne”.

Jednak spekulacje na temat liczby zabitych nie miały żadnego wpływu na Garcie. W jego koszmarach zawsze były tylko cztery ofiary. Szczególnie dręczyło go to, że w tych snach nigdy nie widział części ciał, tylko strzępy osmolonej odzieży opadające w czarnym grzybie, różową tenisówkę, dziecięcy T-shirt w zielone i niebieskie paski, biały

biustonosz, małą sukienkę z trzepoczącymi w powietrzu wstążkami... Czworo niewinnych ludzi wciąż na nowo wylaływało w gejzerze ognia, dymu i pustynnego piasku.

Ponieważ García Burden zdecydował, że powinni.

ROZDZIAŁ 37

Luquín i Jorge Macias siedzieli pod dębem, który ocieniał brzeg basenu. Obaj trzymali w dłoniach *cafecitas*, jak Tano lubił nazywać małe filiżanki z piekielnie mocną kawą, od której był uzależniony. Luquín budził się późno i sypiał jak stary zmęczony kot, głęboko i spokojnie. Troski człowieka czuwającego nigdy nie zakłócały jego snu. Bo dla czego miałyby być inaczej. Czuwanie nie jest spaniem. To są kompletnie różne rzeczy, mawiał.

Ale konfrontacja z Cainem wprawiła go w paskudny nastrój. Jeszcze nigdy nikt nie mówił do niego tak jak Cain, a na dodatek słyszeli to inni, ponieważ w chacie ze względów bezpieczeństwa założono podsłuch. Słyszał to Macias i słyszał snajper, który mierzył przez okno w Caina na wypadek, gdyby coś się stało.

- Nie, absolutnie nic - mówił Macias. - Przez cały czas nie zauważyliśmy dwukrotnie tego samego samochodu, sprawdziliśmy też wszystkie tablice rejestracyjne. Nie dostrzeżliśmy nic podejrzanego, podobnie jak ludzie z grupy obserwacyjnej. Sfotografowaliśmy każdy samochód. Jeśli któryś z nich pokaże się znowu, będziemy to wiedzieli.

Luquín miał na sobie ciemne spodnie i białą guayabere, którą rozpiął, ukazując szeroką klatkę piersiową. Nosił okulary przeciwsłoneczne. Palił. I sączył kawę ze swojej *cafecita*.

To przedsięwzięcie byłoby niebezpieczne w każdych okolicznościach, ale przeprowadzenie go w Stanach Zjednoczonych graniczyło z szaleństwem. Jednakże właśnie tak, działając na granicy szaleństwa, zdobywało się wielkie pieniądze. Wysokie stawki muszą się wiązać z dużym ryzykiem.

- A dom?

- W końcu znaleźli wszystkie pluskwy. Z wyjątkiem jednej. - Macias był, jak zwykle, w ubraniu z przewiewnego płótna. - Jest w sypialni. Umieściliśmy tam nasz najlepszy towar. Ma wzmacniacze wielkości guzików po obu stronach pokoju. Dobry sygnał, tak filtrowany, że wykrywacze nie mogą go namierzyć.

Luquín spojrzał nad rzeką i doliną na dach domu Caina. Właśnie przeżuwał w pamięci jedną z uwag Titusa, szczególnie bezczelną.

- Każe mnie ścigać do Patagonii! - Prychnął, naśladując głos Titusa. - Patagonia, cholera. Co on sobie wyobraża? Jak się czuje dziś rano, co? Pewnie myśli, że się obudził w pieprzonej Kolumbii! - Przerwał nagle i spojrzał na Maciasa. - A tych dwoje? Zniknęli? Wywiozłeś ich stąd?

- Gdy się tylko upewnili, że kobieta nie żyje, zadzwonili do nas i moi chłopcy zawieźli ich na lądowisko. Za godzinę przelecą nad granicą w okolicy Lajitas. Ci dwaj, którzy załatwili Thrusha, są już w Oaxace.

Luquín pokiwał głową z aprobatą. Dobra robota. Popatrzył na zegarek.

- Za pół godziny powinien się odezwać Cavatino.

- Widzieliśmy, jak do domu Caina przyjechał samochód szeryfa hrabstwa, a więc pewnie już wie o tej kobiecie.

- Witamy w Kolumbii.

Macias pomyślał, że będzie bardzo zadowolony, gdy to się skończy. Kiedy Luquín przyjechał do niego z planem tej roboty i dwa dni wyjaśniał mu szczegóły, Macias zgodził się na nią, pod warunkiem że po wyprawie rekonesansowej do Austin będzie przekonany, iż jego ludzie dadzą sobie radę z logistyką.

Po dziesięciu dniach w Austin zadzwonił do Luquina i przyjął tę robotę. Ale chciał mieć absolutną kontrolę nad operacją i możliwość przerwania jej, gdy uzna, że coś im zagraża. Luquín, który nie mógł jej przeprowadzić bez amerykańskich i meksykańskich kontaktów Maciasa, w końcu niechętnie się zgodził. Układ został zawarty.

Macias wynajął dom w Las Ramitas. Miał sześciu ludzi w trzech samochodach oraz furgonetkę obserwacyjną z trzema technikami. Łącznościowcy byli z Juarez, reszta z karteli narkotykowych. Te cztery zespoły działały całkowicie niezależnie.

Macias wiedział, że są dwa elementy, które dają mu przewagę nad potencjalnym przeciwnikiem. Po pierwsze, trudno przewidzieć coś, co się jeszcze nigdy nie wydarzyło. To jedna z nauk, które można wyciągnąć z ataku na World Trade Center. Nowatorskie myślenie amerykańskiemu wywiadowi nie przychodzi łatwo. Rozbudowanej biurokracji trudno zmienić stare sposoby działania.

Drugą rzeczą, która dawała mu przewagę, było sprowadzenie wszystkich na miejsce z zachowaniem absolutnej tajemnicy. Wierzył, że mu się to udało.

Ale miał też powód do niepokoju. Po wrześniowej katastrofie w Nowym Jorku amerykańskie organy ścigania i agencje wywiadowcze zabrały się do intensywnej wewnętrznej analizy. Zaczynały wprowadzać zmiany. Macias musiał więc liczyć się z tym, że o niektórych z tych zmian nie będzie wiedział do czasu, aż okażą się dla niego i Luquína śmiertelnie niebezpieczne.

Jednak z tą operacją wiązała się dodatkowa zachęta. Gdyby wymuszenie się powiodło, Macias oprócz zwykłej zapłaty miał także dostać procent od okupu. Dla takich pieniędzy był gotów pocić się odrobinę więcej niż normalnie, może nawet trochę więcej, niż zdawało się mieć sens.

Luquín także miał o czym myśleć. Wciąż się wściekał na Titusa; doszedł do wniosku, że wspomnienie tej bezczelności Caina będzie osłabiało jego koncentrację do czasu, gdy zrobi coś, żeby pomścić zniewagę.

W końcu Luquín wyrzucił niedopałek papierosa i wypił ostatni łyk ze swojej *cafecita*. Następnie cmoknął, zlizując z warg bogaty napar, odstawił filiżankę, rozsiadł się wygodnie na krześle i spojrzał na Maciasa zza przeciwsłonecznych okularów.

- Zastanawiałem się - zaczął, ale nagle zadzwoniła komórka Maciasa. Luquín kiwnął głową i Macias odebrał telefon. Słuchał przez chwilę, po czym się rozłączył.

- To powinno być interesujące - powiedział i sięgnąłszy do jednego z laptopów, wpisał odpowiednie polecenie.

Obaj mężczyźni wysłuchali, jak Titus Cain powiedział żonie apatycznym głosem, że jak najszybciej zorganizuje

resztę okupu i prześle pieniądze do Cavatina. Jeśli tego trzeba, żeby ten koszmar się skończył, stwierdził, to on to zrobi. Ma tego dość. Potem wymienili jeszcze kilka słów i rozmowa się skończyła.

Luquín, pochyliwszy się, siedział przy stole jak zahipnotyzowany. Kiedy nagranie dobiegło końca, powiedział: „Jeszcze raz”. Macias postukał palcami po klawiaturze i ponownie wysłuchali rozmowy Cainów.

- Niech mnie szlag - mruknął Luquín. Wstał. - Jesteśmy coraz bliżej, Jorge. Cholernie blisko.

- Jeszcze dwadzieścia cztery godziny - odparł Macias, wpisując polecenie wyjścia z pliku.

- Może.

- Może wcześniej - powiedział Macias, naciskając kilka innych klawiszy, żeby sprawdzić wiadomości. Im wcześniej, tym lepiej.

Macias sprawdził codzienne raporty wszystkich swoich zespołów. Nic się nie wydarzyło. Kiedy uniósł głowę i spojrział na Luquína, ze zdziwieniem zauważył, że szef wpatruje się w niego, wyraźnie rozgorączkowany.

- Chcę, żebyś się zajął jego żoną - oznajmił Luquín. - To będzie mój pożegnalny prezent dla niego. Załatwisz ją, kiedy Cavatino przekaże dalej całą sumę. Zobaczmy wtedy, jak się będzie czuł Cain, ścigając mnie do Patagonii.

Macias wzdrygnął się wewnętrznie. To nie będzie dla niego warte nawet dolara, jeśli nie wyjdzie z tego żywy i w dobrym stanie. Ale dwa trupy nigdy nie wystarczyły Luquínowi. Chciał mieć dwa trupy, zanim jeszcze siadł na klozecie. To nie byłby pierwszy raz, kiedy Luquín niepotrzebnie zwiększał napięcie towarzyszące operacji tylko dlatego, że chciał, by umarł jeszcze ktoś. A sprawy rozwijały się tak dobrze. Ta obsesja na punkcie męskości. Któregoś dnia ten sukinsyn przez to zginie.

Macias miał już powiedzieć, że zacznie to przygotowywać, kiedy usłyszał bipnięcie swojego komputera. Odwrócił się i zobaczył, że to wiadomość od Eliasa Lozy. Zerknąwszy na Luquína, postanowił poczekać z otwarciem pliku.

ROZDZIAŁ 38

Kiedy Burden zszedł w końcu ze wzgórza i dotarł do Cielo Canyon Road, ociekał potem. W butach miał pełno kamyków i gałązek, a pod koszulą igły cedrowe, które pobijały mu się w skórę w kilkunastu swędzących miejscach. Wezwał pagerem furgonetkę i czekał na nią kilka minut w lesie, który dochodził w tym miejscu do skrajności drogi. Kiedy samochód się zatrzymał, Burden znalazł się w środku w kilka sekund.

Niecałe pół mili od posiadłości Titusa Gil Norlin wynajęli mały, ukryty w lesie drewniany bungalow zbudowany w latach pięćdziesiątych. W tej bogatej części miasta nie było zbyt wiele takich niezamieszkanymi domów, których głównym walorem było odosobnienie. Przypuszczalnie jego nieobecni właściciele żądali zań wyśrubowanej ceny i byli skłonni poczekać, aż ktoś ją wybuli. Co nastąpi prędzej czy później. Ale bungalow był prawdziwą norą. Małe pokoje były puste, śmierdziały środkami owadobójczymi, a mimo to roiło się w nich od karaluchów.

Trzyosobowa ekipa z furgonetki zjadła już lunch i zostawiła mu w kuchni resztę pizzy. Wziął jedno z pudełek z dwoma ostatnimi, zimnymi kawałkami, które pokrywał stężały ser, plasterki twardej jak podeszwa pepperoni oraz miękkie pomarszczone oliwki, i otworzył puszkę coli Royal Crown. Zmęczony usiadł na podłodze w kuchni i oparł się plecami o ścianę. Zjadł zaledwie kilka kęsów zimnej pizzy, które popił colą, kiedy usłyszał, że otwierają się drzwi wejściowe.

Następnie dotarło do niego pytanie: „García?”, które oschłym tonem rzucił Calò jednemu z techników, i odpowiedź tamtego: „W kuchni”.

Calò, Włoch, którego Burden poznał w Buenos Aires, kierował zespołem, na który oprócz niego składały się trzy osoby. Czasem była w nim jakaś kobieta, ale na ogół do zespołu należeli sami mężczyźni. Calò był raczej średniej wagi, miał ciemną cerę i także włosy, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Twarz miał nijaką i mogłoby się wydawać, że jak na zadania, które tak często mu zlecano, nie wygląda specjalnie imponująco pod względem fizycznym.

Ludzie jednak zwykle źle rozumieją, co jest potrzebne do roboty z bliska. Ogólnie rzecz biorąc, faceci z jego zespołu zawsze byli różnymi wersjami jego samego: pospolitymi z wyglądu, spokojnymi i spostrzegawczymi.

Calò wszedł do kuchni i w ogóle się nie rozglądając, ruszył prosto w stronę Burdena, jakby z góry wiedział, gdzie on będzie. Burden wstał i wymienili uściski, którymi Calò pieczętował swój udział w każdej operacji. Odwrócił się ku trzem ludziom ze swojego zespołu, ubranym tak, by nie rzucać się w oczy.

- Baas - powiedział, wskazując mężczyznę o szeroko rozstawionych oczach, delikatnym uśmiechu i włosach kręconych jak u Murzyna. - Tito... - przedstawił bardzo chudego młodego człowieka z drobnym tatuażem na jednym policzku i ładnymi ustami. - Cope... - Jedyny blondyn w grupie wyglądał na najstarszego z nich, miał około trzydziestu kilku lat. Nie patrzył bezpośrednio na nikogo.

- Dobrze - powiedział Burden. Tita już widział, ale pozostałych dwóch nie znał. - Towar jest tam - dodał, wychodząc z kuchni na długi ganek z widokiem na gęsty cedrowy las. Leżały na nim porzrzucone plecaki i torby należące do załogi furgonetki. Burden chwycił kartonowe pudło, które stało pod ścianą, i postawił je na środku ganku.

Najpierw podał im zdjęcia domu na szczycie urwiska w Las Ramitas oraz plany ulic, domu i mapę okolicy. Czterej mężczyźni oglądali w milczeniu zdjęcia i mapy, podczas gdy Burden przekazywał im zgromadzone dotąd informacje, przyznając, że są niedostateczne.

Przez następną godzinę omawiał szczegóły operacji, szkicując plan rozprawienia się z ludźmi, których ściągnął Macias, wciąż podkreślając konieczność zachowania absolutnej tajemnicy i zacierania wszelkich śladów.

- Absolutnie żadnych dowodów rzeczowych. Jeśli czegoś dotkniecie, zabieracie to ze sobą. Żadnych porzuconych samochodów, żadnej pozostawionej broni lub łusek, żadnych ciał ani krwi. *Nada*.

- Tego się nie da zrobić przy tylu celach - odparł Calò. - Patrzył na listę pojazdów i ochroniarzy, którą podczas operacji z poprzedniej nocy opracował zespół obserwacyjny Burdena. - Za mało informacji. Za mało czasu na planowanie. Zbyt wiele celów.

- Rozumiem - powiedział Burden. - Ale nie oczekuję całkowitej czystki. Mówię tylko, że to, co załatwicie, musi być załatwione czysto. Mamy tu coś, co działa na naszą korzyść. Widzieliście w aktach, że tę operację zorganizował Jorge Macias. On w przeszłości zawsze stosował podobną procedurę i przestrzegał zasad dosyć konwencjonalnej dyscypliny taktycznej. Wszystko w ruchu. Wszyscy podzieleni na niezależnie działające zespoły. I najważniejsze: na pierwszą oznakę zagrożenia operacji wszyscy znikają. Bez dyskusji. Po prostu znikają. - Popatrzył na każdego z osobna. - Chcę, żebyście załatwili ich tyłu, ilu zdołacie. Jeśli jednak ryzyko odkrycia będzie zbyt wielkie, jeśli nie będziecie mogli zrobić tego po cichu, dajcie im uciec.

- A Luquín?

- Izolowanie go w tym domu jest waszym głównym zadaniem. Potem ja go od was przejmę.

Umilkli zaskoczeni. Calò udawał, że patrzy na leżące na podłodze płamy i mapy. Nikt jednak nie zamierzał poprosić Burdena, żeby bardziej szczegółowo wyłuszczył swoje zamiary.

Po dłuższej chwili Calò podniósł się i poszedł do kuchni. Włożył papierosa pod kran, puścił wodę i wrzucił mokry niedopałek do leżącego na szafce pudełka po pizzy. Następnie wrócił na ganek i oparł się o framugę drzwi. Wszyscy mocno się pocili. Gęsty las nie pozwalał dotrzeć do ganku jakimkolwiek powiewowi wiatru. Powietrze wręcz stało i gorąco doskwierało wszystkim z wyjątkiem cykad, które się wyraźnie ożywiły.

- Izolowanie go - odezwał się Calò - może być problemem.

- Taa - odparł Burden. - Wiem.

Calò pochylił się i podniósł swoją kopię notatek, które zostały dla nich przygotowane. Popatrzył na nie.

- Macias przebywa w tym samym domu - powiedział. - Ze swoim ochroniarzem i kierowcą. Do tego jest tam ochroniarz Luquína i jego kierowca. To w sumie sześciu ludzi. Jak bardzo chcesz go izolować?

- Ma być sam, jeśli to możliwe.

- A jeśli okaże się niemożliwe?

- Musimy stamtąd wyciągnąć przynajmniej Maciasa. I jego dwóch ludzi.

- Jakakolwiek frontalna konfrontacja wywoła smród - zauważył Calò.

Burden pokiwał głową.

- Nie można do tego dopuścić.

Calò znów spojrział do notatek.

- Nie znamy ich rozkładu dnia, ich planów. Nic nie wiemy.

- Mieliśmy tak mało czasu, że ledwie udało nam się ustalić, ilu ich tam jest - powiedział Burden.

Calò i jego ludzie milczeli. Burden czekał, pozwalając im przemyśleć sprawę. Każdy z nich czytał akta Luquína, wiedzieli zatem, z kim będą mieli do czynienia.

We wszystkich grupach operacyjnych Cala panował swoisty egalitaryzm. Calò gromadził wokół siebie najlepszych ludzi, jakich mógł znaleźć, a potem obdarzał ich pełnym zaufaniem. Ponieważ było ich niewielu, każdy mógł odwołać lub przerwać każdą operację. Wszyscy musieli być w stu procentach zaangażowani, bo w innym razie byłiby skazani na niepowodzenie. Mały zespół ludzi jest jak zegarek - wszystkie części są niezbędne.

Dobierając ludzi, Calò kierował się czymś na kształt intuicji rodem z zen. Ważne było dla niego, kto jest celem, a i jego ludzie musieli mieć ustalone poglądy na temat osób, przeciwko którym występowali. Jak mówił Calò, decydowało to o tym, czy się nie zawahają, jeśli będzie się trzeba uciec do przemocy. Wyjaśniał to dosyć ogólnikowo, ale Burden wiedział, że to ważne zarówno dla niego, jak i powodzenia operacji. Nie miało przy tym znaczenia, że nie brzmiało to zbyt logicznie. Burden już dawno zrozumiał, że logika jest tylko częścią tego interesu, czasem zaskakująco małą.

- Posłuchajcie - przerwał milczenie. Musiał to powiedzieć, zanim odezwie się ktoś inny. - Wiem, że ta cała sprawa jest pełna dziur i że nigdy ich wszystkich nie pozatykamy. Jest bardzo ryzykowna. Mamy niewielkie szanse powodzenia. Chcę jednak, byście wiedzieli, że zdaję sobie sprawę, iż pakuję was w niezły pasztet. Calò, możesz zaświadczyć, że

zwykle tak nie działałam. Nie mogę jednak zrezygnować z okazji załatwienia Cayetana Luquína. A to, niestety, musi się stać szybko lub nie stanie się wcale. Żaden nie odpowiedział. To nie byli ludzie, którzy w takiej sytuacji poklepują człowieka po ramieniu i mówią mu: W porządku, rozumiemy.

- Myślisz, że ci faceci są byłymi agentami wywiadu meksykańskiego? - zapytał Burdena Calò.

- Tak przypuszczam. Ale to tylko przypuszczenie.

Wszyscy znowu zamilkli, patrząc na plany i mapy, zastanawiając się, rozgrywając to w myślach, starając się przewidzieć najgorszy rozwój wydarzeń.

- W porządku - powiedział w końcu Calò, unosząc wzrok - decydujemy. Jeśli macie zastrzeżenia, przedstawcie je tu i teraz. Wchodzimy w to czy nie?

Popatrzył na Baasa, który bez wahania skinął głową. Wzrok Cala przesunął się na Tita. Tito zastanawiał się, delikatnie dotykając palcem tatuażu na policzku. Po chwili po kiwał głową. W końcu Calò popatrzył na Cope'a, który stał oparty o ścianę obok Burdena.

- Nie podoba mi się to, że mamy tak niewiele informacji. - Cope mówił z silnym australijskim akcentem. - Nie podoba mi się, że zabieramy się do tego na wariata.

A izolowanie Luquína... cholera, to jak wejście do nory węża. - Spojrzał na Burdena. - Ale czytałem akta tego dupka i chciałbym ci pomóc w tej sprawie. A ty masz reputację kogoś, kto potrafi wybrnąć z gównianych sytuacji. - Skinął głową w stronę Cala. - W porządku.

Calò popatrzył na Burdena.

- Wchodzimy w to - powiedział. - Chcielibyśmy teraz popatrzeć na twoje monitory. Najpierw sprawdzimy, gdzie jest każdy z nich, żebyśmy mogli się zabrać do układania listy priorytetów. Pierwszy punkt: odizolowanie Luquína. To będzie prawdziwe cholerstwo. Wszystko sprowadza się do tego.

ROZDZIAŁ 39

Burden spływał potem. Był zafascynowany tym, co widzi. Mężczyzna siedział w tym samym miejscu co poprzedniej nocy, ale teraz był ubrany. Prawie. Miał na sobie tylko spodnie od garnituru. Był bosy. Jego spocona skóra aż lśniła.

Facet wszedł do wilgotnej łazienki. Stojąc obok plastikowej zasłony prysznicowej ozdobionej turkusowymi rybkami harcującymi pośród niebieskich bąbelków, wsadził głowę pod kran i puścił zimną wodę. Następnie wyprostował się i nie zważając na to, że woda cieknie mu na kark i ramiona, zaczesał do tyłu rzednące włosy.

Potem wrócił do pokoju i usiadł na krześle pod oknem.

Burden lubił z nim rozmawiać.

- Co z twoją listą? - zapytał.

- Czterech z pięciu.

Burden pokiwał głową. Czy powinien powiedzieć, że to dobrze? Nie powiedział nic.

W popołudniowym upale pokój strasznie śmierdział stęchlizną. Stary motel zdawał się ledwie trzymać na krawędzi rzeczywistości. Nie miał przyszłości, albo bardzo niewiele. Zasłony wiszące obok głowy mężczyzny były kremowe ze starości, a ich dawna biel zdawała się bezpowrotnie zagubiona, jak dzieci, które bawiły się tu kiedyś na karuzeli.

- Możesz mi podać ich nazwiska? - zapytał Burden.

- Tylko ty, García, mogłeś zadać takie pytanie. - Chwila milczenia. - Sotomayor. Zabre. Vega. Mojarro. - Recytował ich nazwiska, jakby odmawiał różaniec, delektując się tym. Każde słowo było wręcz wydyszane, każda sylaba wyraźnie słyszalna, nabrzmiała wspomnieniami. Dla Burdena ta recytacja była czymś mieniącym się znaczeniami. I rozpaczliwym.

W wysokiej, uschłej trawie, która rosła wokół huśtawek, grały cykady i koniki polne.

- Został więc...? - odezwał się Burden.

Mężczyzna spojrział na niego. Za oknem, przy którym siedział, palące czerwcowe słońce przebijało się przez liście wiązowców. Rozświetlone cuchnące zasłony wyglądały jak

zwiewny, lśniący welon. Na ich tle twarz mężczyzny nikła w cieniu. Ale białka jego oczu wciąż były wyraźnie widoczne, niczym okruchy jasności w brudnym mroku.

- Jeszcze tylko jeden - dokończył mężczyzna, nie wymieniając nazwiska.

- Nie obawiasz się, czy uda ci się to dokończyć? - zapytał Burden.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie ma pośpiechu.

- Nie chcesz mieć tego za sobą?

- Po co?

- Nie wiem. Żeby mieć to z głowy.

- A potem co?

- Nie wiem.

- No właśnie.

- Żeby to po prostu załatwić.

- Doprowadzić do epilogu?

W ustach tego człowieka słowo to zabrzmiało jakoś dziwnie. Burden nie przypuszczał nawet, że on je zna.

- Tak sądzę.

- Nie. Nie będzie epilogu.

Dlatego też nie będzie przyszłości. To wszystko prowadziło donikąd. I ten człowiek też zmierzał donikąd. Niczym strzała Zenona był w danej chwili tylko w jednym miejscu. Jego egzystencja zawierała się w kontinuum, które nie było ani przeszłością, ani przyszłością, ani odchodzeniem, ani przybywaniem. Wszystko to spletało się w jedno. A jednocześnie, podobnie jak strzała, w jakiś cudowny sposób poruszał się do przodu, między chwilami, gdzie nie ma ani czasu, ani pamięci, ani nadziei, ani rozczarowań.

To nie był zwyczajny człowiek. Może był taki, zanim to się wydarzyło, ale teraz już nie. Niektórzy ludzie wznoszą się ponad zwyczajność dzięki temu, kim są ich ojcowie, dzięki zarobionym przez siebie pieniądзом, dzięki czemuś, co zrobili, czy też dzięki kobietom, z którymi spali, żyli lub które poślubili. Ale ten człowiek wznosił się ponad zwyczajność z powodu tego, co go spotkało, co widział i z czym musiał żyć... i z powodu tego, kim się w rezultacie stał.

Przyleciała mucha i usiadła na prawym ramieniu mężczyzny. Rzuciła na jego obojczyk cień dwa razy dłuższy od

siebie. Mężczyzna spojrział na nią, żeby sprawdzić, co poczuł, i zignorował ją. Poruszając się gwałtownymi ruchami, mucha dotarła do płytkiej wklęsłości obok szyi mężczyzny. Tam została, niewidoczna.

To, pomyślał Burden, coś dziwnego.

Obserwował to miejsce, chcąc, żeby mucha wyłoniła się z niego. Zagłębienie nie było wielkie. Mucha musiała siedzieć dokładnie w środku wklęsłości o powierzchni centymetra kwadratowego, na tyle głębokiej, żeby muchy nie było widać. Jakie było prawdopodobieństwo, że znajdzie sobie takie miejsce na ludzkim ciele, w którym by zupełnie zniknęła?

Mężczyzna uniósł prawą rękę z oparcia krzesła i wytarł pot ściekający mu pod lewą pachą. Burden spodziewał się, że mucha wyleci ze swej kryjówki, żeby poszukać innej. Nie zrobiła tego. Teraz obie ręce mężczyzny znowu spoczywały na oparciach krzesła. Zakaszłał cicho, co zabrzmiało jak chrząknięcie. Burden znowu spojrział na wklęsłość obok jego szyi. Nic. Było to tak, jakby mucha wpełzła w jakiś mały otwór prowadzący w głąb ciała tego człowieka. Zniknęła.

- To będzie dziś w nocy - odezwał się Burden.

Mężczyzna nie zareagował. Burden mu współczuł. Życie tego człowieka było raczej wegetacją, przynajmniej według miary Burdena. Tylko pięć spraw utrzymywało go na powierzchni. A kiedy załatwi ostatnią z nich, znajdzie pociechę w samobójstwie. Było to tak łatwo przewidzieć jak noc. Burden słyszał to w jego głosie.

Ale wiedział też, że to zbyt proste. Człowiek oceniający życie innego człowieka zawsze widzi je w sposób uproszczony lub nieobiektywny, lub nie potrafi go w pełni zrozumieć. Tak naprawdę nigdy nie wiemy, jakie jest życie innej osoby, a jeśli nawet nam się wydaje, że wiemy, to nie pojmujemy go właściwie. Nie wiemy, ponieważ możemy je porównać jedynie ze swoim życiem, z własnymi ograniczonymi doświadczeniami.

Burden nie wiadomo dlaczego pomyślał o Lucii. Zobaczył ją w myślach: patrzyła przez wizjer swojego hasselbladza, widząc świat do góry nogami, ale mimo wszystko

rozumiała go i dokumentowała aparatem z dobrocią, która sama w sobie była źle rozumiana. Zaciekawilo go, że siedzący przed nim mężczyzna zapytał o nią. Był tym zaciekawiony i nie był. Ludzie, którzy żyją na obrzeżu piekła, czasem okazują się wrażliwi na dobroć. To mało znany fakt dotyczący wielkich grzeszników. Często jest opacznie rozumiany, na ogół przez ludzi błędnie uważających, że mają mało wspólnego z tymi, którzy są już zgubieni.

- To Tano Luquín - powiedział w końcu Burden. - Znalazłem go.

Mężczyzna przestał oddychać. Ruchy jego klatki piersiowej po prostu ustały. Powoli obrócił się w wosk, a jego oczy stały się szklane. Już przedtem był spocony, ale teraz wręcz załsniał od potu.

Nagle coś zwróciło uwagę Burdena. Na ramieniu mężczyzny ukazała się mucha, która podpełzła do krawędzi zagłębienia. Zatrzymała się tam i tylko jej czarna głowa wystawała ponad skrajem wklęsłości. I tak czekała.

ROZDZIAŁ 40

- Nie wiem, co myśleć - powiedziała Rita. Norlin wyszedł zaraz po tym, jak im opowiedział o Mouradzie Berkanie, i gdy Titus odprowadzał go do samochodu, ona ruszyła do zlewozmywaka, by nalać sobie szklankę wody. Gdy mąż wrócił, Rita stała oparta pośladkami o zlew, z jedną ręką na biodrze i szklanką wody w drugiej.

Titus podszedł do lodówki i wziął sobie butelkę piwa. Otworzył ją i wypił długi łyk. Znużony usiadł na jednym ze stołków przy stole, postawił na nim butelkę i pomasażował twarz.

- Coś ci powiem - odezwał się. - To była cholernie zaskakująca historia. Ale wiesz co? Nie powinna być. García sam nam powiedział, czym się zajmuje. Spójrz prawdzie w oczy, Rita, jesteśmy w tych sprawach naiwni. Po prostu naiwni.

- Nie sądzę, że Norlin wybrał tę historię tak przypadkowo, jak twierdził - odparła Rita - To ma związek z tym,

co się teraz dzieje. Sprawa Luquína ma drugie dno.

- Taa, jestem pewny, że ma. Bylibyśmy nie tylko naiwni, ale i głupi, gdybyśmy myśleli, że tak nie jest. Do diabła, García sam nam to powiedział. My jesteście tylko fragmentem tej historii. Niezależnie od tego, jak straszna jest ona dla nas, staje się coraz gorsza, im więcej się dowiadujemy. - Wyrzwał na werandę. Po raz pierwszy od kilku dni pomyślał o psach. Cholera. Ile to lat temu było?

- Ta kobieta... - zaczęła Rita - i jej dzieci... Wiedział, co teraz usłyszysz.

- Czy to nie przywodzi ci na myśl nas? - zapytała.

- Taa - odpowiedział szczerze. - Pomyślałem o tym.

- A co, jeśli on chce dostać Luquína tak bardzo jak tego Algierczyka?

- Chcesz, żebym był wobec ciebie uczciwy - odparł, odrywając wzrok od werandy, i zwrócił się ku niej - więc ci odpowiem, że prawdopodobnie tak jest.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Rita potrafiła sobie radzić z szokiem. Wiedział, że i tym razem weźmie się w garść.

- Myślę, że to część tego, co Norlin nam chciał powiedzieć - mówił dalej - pozostawiając nam zadanie odczytania tego między wierszami. Może nie wiedział, co lub jak dużo García nam zdradził, ale myślę, że próbował nam wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi. Że nie chodzi tu tylko o nas.

Ale to jeszcze nie wszystko - ciągnął. - Sytuacja, w której się znaleźliśmy, nie jest taka sama jak te z jego opowieści. Tylko pomyśl... nazwiska na tej liście. Ci ludzie... każdy jest inny. Są rozproszeni po całym świecie, żyją w najrozmaitszych warunkach, w jaskiniach, w rezydencjach. Niektórzy są intelektualistami, inni prostakami. To musi być niewiarygodnie złożone. Uważam, że popełnilibyśmy straszną pomyłkę, myśląc, że każda z tych sytuacji jest taka sama, że na podstawie tego, jak poczynił sobie jeden z nich, potrafimy przewidzieć sposób działania innego.

Powiem ci coś - dodał. - Prawdopodobnie kiedy w to wchodziliśmy, pod pewnym względem byłoby nam dużo łatwiej, gdybyśmy znali choć tyle prawdy... nie mówię, że

całą, ale choć tyle co teraz... Ale wtedy on nie mógł nam tego powiedzieć. I gdybyśmy nie byli bliscy rozwalenia wszystkiego w drobny mak, wcale by nam tego nie powiedział. Jezus, pomyśl, co tu się dzieje.

Pociągnął długi łyk piwa. Było zimne. Było dobre. I przypomniało mu o tym, jak żył przed tym wszystkim, kiedy zło uważał za coś z książek i filmów, kiedy życie było proste, a on nawet o tym nie wiedział.

- Ale chociaż jestem przerażony - podjął - to, czego się teraz dowiedzieliśmy, zmienia mój ogólny ogląd sytuacji. Jeśli jest tak, jak mówią García i Norlin... to musimy tu wytrzymać. Mamy nawet... nie wiem... obowiązek współpracować z tymi facetami.

- Mamy obowiązek pomóc im w zabójstwie? - Rita popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

Titus skupił na niej wzrok.

- Tylko pomyśl, Rita. Jeśli oni mówią nam prawdę, to czy będziesz się dobrze czuła, przeszkadzając im?

- Cóż, nie czuję się dobrze, pomagając im.

- Właśnie.

- A ty ciągle powtarzasz: „jeśli mówią prawdę”.

- Posłuchaj, Rita. Nic... nic... nie możemy z tym wszystkim zrobić. Musimy po prostu radzić sobie w tej sytuacji najlepiej, jak potrafimy. Wiem, że to brzmi nieprzekonująco, ale jakie, do diabła, mamy inne wyjście?

Przez okno zobaczył Kala, który przeszedł przez żelazną bramę w kamiennym murze otaczającym basen i zmierzał w kierunku werandy.

Było już popołudnie. Wydawało się, że do wieczoru została jeszcze wieczność, zarazem jednak wydarzenia zdawały się toczyć jak w kalejdoskopie.

Otworzyły się drzwi od werandy i Kal zajrzał do kuchni.

- Przepraszam - powiedział. - Rozejrzemy się z Ryanem po okolicy. Janet idzie tutaj z drugiej strony domu.

- W porządku, dzięki - odparł Titus i Kal wyszedł. Cain obserwował przez okno obu mężczyzn, którzy oddalali się szybko wawrzynową aleją. Na ramionach wisiały im wyraźnie widoczne pistolety maszynowe.

- Rutynowy obchód - powiedziała Janet, wchodząc do kuchni. - To zawsze trochę trwa, zanim poczujesz się pewnie

w nowym miejscu - wyjaśniła zdawkowo. Tych troje ochroniarzy należało najwyraźniej do szkoły „nigdy nie okazuj niepokoju, ponieważ to niepokoi klienta”.

Titus obserwował obu mężczyzn do chwili, gdy zniknęli za pagórkami.

- To rozległy teren - odparł. - Jest tu wiele rzeczy do poznania, zanim człowiek poczuje się pewnie.

- Oni są do tego przyzwyczajeni - stwierdziła Janet. - I lubią to, co jest nawet ważniejsze. - Lekko przechyliła głowę na tę stronę, z której miała słuchawkę w uchu, po czym spojrzała na Titusa. - Kał chce, żeby pan przyszedł do sadu.

Titus wyjrzał przez okno i zobaczył Kała, wyłaniającego się zza pagórka przy końcu alei. Wyszedł z domu i ruszył ku ochroniarzowi.

- Robił pan tu ostatnio zdjęcia? - zapytał Kał i postawiwszy stopę na głazie, zaczął zawiązywać sznurówkę.

- Zdjęcia?

- Taa, tam. - Teraz zawiązywał drugą sznurówkę. Titus zauważył jego słuchawkę oraz małe mikrofon na pałku przylegającym do policzka i zagiętym ku ustom.

- Nie.

Kał sięgnął do kieszeni i pokazał Titusowi czarne plastikowe opakowanie karty pamięci do cyfrowego aparatu fotograficznego.

- Jest nowe - stwierdził. - Myślę, że miał pan gościa. - Uniósł głowę i zmrużywszy oczy, spojrzał w stronę końca alei, tonącego w jaskrawym, padającym z zachodu świetle słońca. - Chodźmy - powiedział do Titusa i ruszyli aleją.

Gdy dotarli do sadu, Ryan właśnie wchodził między rzędy brzoskwiniowych drzew. Kał zatrzymał się przy sięgającym mu do ramienia murze oporowym z kamiennych bloków, który ciągnął się szerokim łukiem poniżej domu i basenu, a dalej zbieżnym aż do końca sadu.

Kał stał plecami do sadu i patrzył na dom, próbując zobaczyć to, co widział ten człowiek, jeśli prowadził obserwację z tego miejsca. Titus poczuł mdłości, uświadomiwszy sobie ponownie, z jaką łatwością Luquín mógł śledzić jego i Ritę przez te kilka ostatnich dni. Mógł ich dopaść dosłownie w każdej chwili, kiedy tylko zechciał.

Kał bez słowa przeszedł między dwoma kamiennymi słupami wyznaczającymi miejsce, gdzie kiedyś była brama, i ruszył, a za nim Titus, wzdłuż muru oporowego. Słyszeli Ryana, który szedł ku nim przez sad, i wkrótce zobaczyli, że powoli przechodzi między drzewami i z wielką uwagą przepatruje teren.

Nagle Kał zatrzymał się i wbił wzrok w ziemię. Dzika trawa, która tam rosła, była zdeptana. Tu i tam w pyle były częściowo widoczne półksiężycowe odciski obcasów.

Nie musiał niczego wyjaśniać Titusowi. Obaj zaczęli się rozglądać dookoła. Po chwili podszedł do nich Ryan.

- Był tutaj - powiedział Kał i obaj ochroniarze przystąpili do oględzin podstawy muru.

Titus nie wiedział, czego szukają, ale ich nagła niecierpliwość przypomniała mu jego psy, kiedy chwytają nowy zapach i biegały z nosami przy ziemi. Były wtedy metodyczne, ale i podniecone.

Nagle Kał ukłęknął przed zdeptaną ziemią. Wpatrywał się w mur oporowy na wysokości swojej twarzy. Kamienie, z którego go zbudowano, miały standardowe wymiary, w jakich dostarczano je z kamieniołomów: szesnaście na osiem na dwanaście cali. Solidne bloki wapienia.

Kał przyglądał im się z bliska, przesuając kolejno wzrokiem po coraz wyżej leżących warstwach. Stopniowo podnosił się z kolan do przysiadu, aż znowu stanął wyprostowany. Następnie wyciągnął rękę i chwycił kamień znajdujący się na wysokości biodra. Był ciężki i Titus postanowił pomóc Kałowi. Razem wyciągnęli luźny blok i rzucili go na ziemię.

Za kamieniem była wnęka. Kał wsunął do niej rękę aż po łokcie i wyciągnął ciemnografitowy laptop i torbę z podklejonego gąbką przezroczystego plastiku, w której zapewne przechowywano komputer.

- Wygląda na to, że odszedł stąd w pośpiechu - stwierdził.

ROZDZIAŁ 41

- Pracuję nad tym - odparł Herrin - ale ten kod jest cholernie dobry. Nie wiem, jak długo to potrwa.

Byli w domku dla gości i głos Burdena dochodził z głośnika. Nie wiedzieli, gdzie jest, ale podczas chwilowych przerw w rozmowie słychać było w tle warkot silnika łodzi.

- Posłuchaj, Titus - powiedział Burden - to tylko moja wina. Ja to spieprzyłem. Stałem się nieuważny. Możliwe, że ten facet mnie sfotografował. Nie będziemy tego wiedzieli do czasu, aż Mark złamie kod. Jeśli zrobił mi zdjęcie, Luquín wyparuje, przerwie operację. Może już się tak stało. Może się tu wysilamy i nawet tego nie wiemy. Ale jeśli mnie zidentyfikował... jeśli Luquín wie, że tu jestem, sytuacja się zaostrzy. Trzeba będzie za to zapłacić wysoką cenę.

Popołudniowy upał zagonił ich do domu. Słońce stało teraz na wysokości czterdziestu pięciu stopni. Niebo było bez jednej chmurki i aż do wieczoru, kiedy horyzont połknie to całe światło, nic nie miało chronić przed lejącym się z góry żarem. Macias jeszcze nie otworzył e-maila od Eliasza Lozy. Ani załączników. Jakieś przeczucie kazało mu zachować ostrożność i nie powiedzieć Luquínowi, co ma. Zerknął teraz na niego. Tano krążył w tę i z powrotem przed oknem wychodzącym na taras.

Macias otworzył plik. Żadnej wiadomości, co było dziwne. Otworzył pierwszy załącznik ze zdjęciem. Znajoma aleja, nogi ludzi stojących przed domkiem dla gości pod baldachimem koron drzew. Dwóch mężczyzn i kobieta. Przypuszczalnie Cainowie i jeden z techników, pomyślał. Drugi załącznik ze zdjęciem: dalsze ujęcie pokazujące dwóch techników na werandzie i tamtych troje przed drzwiami domku. W grze zatem, poza technikami, których już znali, bierze udział jeszcze jedna osoba. Trzeci załącznik ze zdjęciem: aparat Lozy skierowany na niezidentyfikowanego mężczyznę, który rozstał się z Cainami i samotnie idzie aleją. Załączniki czwarty i piąty: fotografie zrobione z innego miejsca, nie spoza muru oporowego. Niezidentyfikowany mężczyzna na skraju lasu; w lewej ręce trzyma telefon

komórkowy. Ale kąt był niekorzystny, nieznajomego widać głównie z tyłu. Ostatnie zdjęcie ukazywało mężczyznę zerkającego wstecz w chwili, gdy wchodził do lasu; widać tylko oczy nad dłonią, w której trzyma telefon.

Macias siedział w salonie, opierając łokieć na stole, i podparłszy kciukiem podbródek, głaskał się palcem wskazującym po wąsie. W pewnej chwili palec przestał się poruszać. Wszystko, co kłębiło się w jego głowie, ta cała karuzela szczegółów, o których musiał pamiętać w swoim realizowanym od miesiąca planie, nagle zamarło. Cała percepcja zmysłowa niespodziewanie zanikła. Z wyjątkiem wzroku. Ale jego wzrok rejestrował tylko obraz oczu tamtego... i to, że było w nich coś mgliście znajomego. Gdzie już widział te oczy?

Chinga! Co to, do cholery, było? Uniósł wzrok i popatrzył na Luquína, który w zamyśleniu szczypał strupek na grzbiecie dłoni i patrzył ponad basenem na rozciągającą się niżej dolinę oraz widoczne dalej wzgórza, gdzie stał dom Caina. Rzucił też spojrzenie w stronę Roque'a, który siedział po drugiej stronie pokoju, czytając - a raczej oglądając zdjęcia - „People”.

Macias wrócił do fotografii, by znaleźć potwierdzenie, że w tym człowieku jest coś znajomego. Cholera, tak. Ale nie wiedział, kto to taki. Nie wiedział.

Jednak nie musiał koniecznie wiedzieć, co to za człowiek. To, że tam był, że skrycie opuszczał posiadłość Caina, było wyraźną wskazówką, że coś się dzieje za kulisami. Coś się święci. Ostatecznie nie mogli widzieć wszystkiego, co robił Cain.

Macias poczuł, że powoli rodzi się w nim mroczny, jeżący włosy na głowie strach. Jak jego ludzie mogli tego nie zauważyć? Co zrobi Luquín, kiedy o tym usłyszy? Jeśli wierzyć temu, co usłyszeli dzięki pluskwie, za dwadzieścia cztery godziny Tano będzie miał okup. Jak zareaguje na te ostatnie rewelacje, które stawiają wszystko pod znakiem zapytania?

Czy mogą wierzyć nagraniu z pluskwy? Coś się tutaj dzieje. Od jak dawna ten niezidentyfikowany mężczyzna pracuje dla Caina? Z kim rozmawiał przez telefon komórkowy? Co robił w domku dla gości? Macias wiedział, że

zgrupowali tam urządzenia elektroniczne przeciwdziałające podsłuchowi. A jeśli tam jest coś jeszcze? Co będzie, jeśli się okaże, że tylko godziny dzieli go od wielkiej katastrofy?

Myślał gorączkowo, usiłując przewidzieć, jak się rozwinie ta sytuacja, jakie będzie miał pole manewru. Czy zorientował się zbyt późno? W samą porę? A może o krok wyprzedził Caina w jego grze? Jaką grę prowadzi Cain?

Właśnie wtedy rozległ się sygnał powiadamiający o nadejściu nowego e-maila. Od Lozy. Kolejny plik ze zdjęciem. Tylko jeden. Macias otworzył go. Była to fotografia dwóch mężczyzn przechodzących przez trawnik za werandą Caina. Obaj mieli pistolety maszynowe.

Macias siedział bez ruchu, nie chcąc zwracać na siebie uwagi Tana, póki nie rozgryzie, co się dzieje. Dlaczego Loza nie wysłał żadnej wiadomości razem z plikami załączników z fotografiami? Musiał się śpieszyć? Może został przyłapany, zanim zdążył wysłać wiadomość? Czy Cain wie, że Loza wysłał te zdjęcia? I do kogo?

Czy Cain naprawdę zamierza zapłacić okup następnego dnia, żeby ocalić życie kolejnym ludziom? A może to był tylko podstęp, żeby powstrzymać Luquína od wszelkiego działania do czasu, aż będzie mógł wystąpić przeciwko niemu? Czy Cain szykuje pułapkę?

Czy on, Macias, ma jeszcze czas, żeby uratować operację?

Pytania pojawiały się tak szybko, że miał wrażenie, iż to emocjonalny odpowiednik przeciążenia danymi. Ale to było raczej przeciążenie obawami i nie groziło zawieszeniem systemu komputerowego, ale wybuchem paniki.

Mógł ocalić życie Luquínowi, natychmiast go stąd ewakuując. Wystarczyło podejść do niego, powiadomić go o wszystkim, wsadzić do navigatora i zawieźć na lądowisko. Byłby w Meksyku na czas, żeby obejrzeć wieczorne wiadomości.

Ale czy obecność tego niezidentyfikowanego mężczyzny oznaczała, że jest po wszystkim? Gdyby Macias postąpił zgodnie z własnymi zasadami, odpowiedź brzmiałaby: tak. Na każdą oznakę przeciwdziałania miał porzucić plan. W końcu to były pieprzone Stany Zjednoczone.

Z drugiej strony zaledwie godziny dzieliły ich od zdobycia cholерnej fortuny.

Macias zamknął e-maile od Lozy i usunął je z dysku. Spróbował uspokoić myśli. Zastanów się. Facet może być kimkolwiek. Z samej jego obecności w tym domu nie wynika wcale, że jest kompetentny lub jakoś szczególnie dobry w tym, co tam robi. To nie znaczyło, że jest zawodowcem. Może Cain próbował sobie z nimi pogrywać.

Ale jeśli to jest poważne, być może decydujące posunięcie, pomyślał Macias, a chciwość nie pozwala mi jasno rozumować? On i Luquín zgodzili się, że nagroda jest warta ryzyka, ale gdyby się nie udało... cóż, na to, co robić w takiej sytuacji, mieli różne poglądy. Dla Luquína każda porażka była upokarzająca. Chociaż było to irracjonalne, tak właśnie do tego podchodził.

A teraz pojawienie się ochroniarzy oznaczało, że wydany przez Luquína rozkaz zabicia Rity Cain jest niewykonalny, przynajmniej w najbliższym czasie.

Cayetano Luquín każe go za to zabić. Jeśli nie natychmiast, to później, kiedy on najmniej będzie się tego spodziewał. Tano uzna fiasko tej operacji - i utratę tak wielkich pieniędzy - za niewybaczalną zdradę.

Nagle wydostanie stąd Luquína wydało mu się sprawą znacznie mniej ważną. W gruncie rzeczy rysowało mu się to teraz jako wręcz głupie posunięcie.

To nie był czas na półśrodki. Należało się zastanowić nad wszystkim.

ROZDZIAŁ 42

Dwaj wędkarze, którzy sądząc po sprzęcie, wybrali się na okoniopstrągi, manewrowali łodzią wzdłuż północnego brzegu jeziora Austin, mniej więcej co pół godziny zbliżając się do rosnącego na urwistym brzegu lasu. Przywiązywali wtedy łódź do zwisających nad wodą i zarzucali wędkę w przybrzeżny cień. Nad pokładem łodzi rozciągnęli płócienny dach, który chronił ich przed żarem popołudniowego słońca, gdy tak się zabawiali, zмирzając powoli ku wyniosłym stalowym filarom mostu, którym biegła autostrada Loop 360.

Mieli pecha. Narciarze wodni, szczególnie aktywni tego dnia, śmigali tam i z powrotem po jeziorze, wznosząc nie kończące się serie fal, które zmierzały ku zalesionym brzegom. Wędkarze uparcie jednak płynęli z przystankami w kierunku mostu, ze stoicyzmem tolerując kołysanie się łodzi i bezowocnie mocząc kije w wąskim pasie wody zacienionym przez drzewa porastające wapienne zbocze.

W końcu postanowili spróbować w jeszcze jednym, ostatnim już miejscu. Wpłynęli pod osłonę gęsto splecionych gałęzi dębów, kryjąc się przed wzrokiem ewentualnych obserwatorów z drugiej strony jeziora. Po trzech kwadransach łódź wciąż tam tkwiła, a całą uwagę skupiali na sobie narciarze wodni, którym, jak też innym maniakom głośnych sportów wodnych, w letnie popołudnia oddawano we władanie tę część jeziora.

Łódź, zupełnie niewidoczna z domów na szczycie urwistego brzegu, tuliła się do lądu prawie przez godzinę. Motorówki wciąż orały wodę, wznosząc skiby fal, które powoli zmierzały do brzegów.

W końcu wędkarze mieli dość. Łódź powoli wyłoniła się spod gałęzi i wypłynęła na jezioro. Gdy zbliżała się do drugiego brzegu, skręciła na południe, przyspieszyła i ruszyła w dół rzeki, ku centrum miasta. Już wkrótce mknęła najkrótszą drogą do celu. Była zbyt daleko od brzegu i poruszała się zbyt szybko, żeby ktokolwiek mógł zobaczyć gołym okiem, co się dzieje w głębokim cieniu pod płóciennym daszkiem. Ale gdyby ktoś śledził ją od początku przez lornetkę, zauważyłby, że teraz znajdował się w niej tylko jeden wędkarz.

Kiedy odezwał się telefon, Rita odebrała go w gabinecie Titusa, skąd wciąż dzwoniła do różnych ludzi w sprawie Carli.

- Czy mogę rozmawiać z panem Cainem? - zapytał jakiś mężczyzna.

Rita zamarła. Miał meksykański akcent. O co tu może chodzić? Czy ma to jakiś związek z tym, co się ostatnio działo? Rzuciła spojrzenie Janet, która stała przy oknie.

- Mogę mu powiedzieć, kto dzwoni? - powiedziała do słuchawki.

- Oczekuje tego telefonu

Kolejny dzwonek alarmowy.

- Chwileczkę - rzuciła - muszę pana przełączyć. - Naciśnęła guzik oczekiwania i zwróciła się do Janet. - Mam tu kogoś, kto chce rozmawiać z Titusem. Meksykański akcent. Nie chce podać nazwiska.

- Przełącz go - odparła ochroniarka, po czym powiedziała coś cicho do mikrofonu.

Herrin stuknął w klawiaturę laptopa znalezionej w sadzie, a Titus i Cline zaglądali mu przez ramię. Cline, który miał na głowie słuchawki i mikrofon na długim kablu, był ich centrum łączności. Słyszał wszystkie rozmowy między ochroniarzami i wszystkie rozmowy telefoniczne.

- Oho... - odezwał się Herrin.

Wszyscy trzej patrzyli na zdjęcie Rity tak nagiej, jak to tylko możliwe, a jednak wciąż ubranej. Była piękna.

- Sukinsyn - warknął Titus. - Ile tego tu jest?

- Hmm... jeszcze jedno - odparł Herrin, zamykając plik z fotografią.

- Zobaczmy - powiedział Titus.

Niewiarygodne, pomyślał, gdy Herrin nacisnął kilka klawiszy i ukazało się następne zdjęcie.

- Niech pan to usunie - polecił - i dalej robi swoje. - Jezus Chryste. Był wściekły i aż mu ciarki przeszły po krzyżu, gdy sobie wyobraził faceta kucającego za murem, który robił prawie nagie zdjęcia Rity.

Palce Herrina błyskawicznie zatańczyły po klawiaturze, jakby chciał się natychmiast pozbyć tych fotografii. Następnie otworzył te, których szukał. Było ich pięć. Przejrzał je szybko, zwalniając przy dwóch ostatnich. Wyświetlił je obok siebie na ekranie. Wszyscy trzej wbili w nie wzrok.

- Nie wiem, jak można by go zidentyfikować na podstawie tych zdjęć - stwierdził Titus.

- Sądzę, że to zależy od tego, jakiego oprogramowania użyją - odparł Herrin.

- Taa, chyba tak - zgodził się Titus. - Ale tak na pierwszy rzut oka nie widzę, na czym mogliby się oprzeć.

Zadzwoił telefon na niskim stoliku przed sofą. Titus

ze zdziwieniem zauważył, że ma połączenie ze swoim gabinetem. Podszedł do stolika i podniósł słuchawkę. Zerknął przy tym na Cline'a, który zdawał się słuchać jakiejś innej rozmowy.

- Titus - odezwała się Rita - jakiś facet z meksykańskim akcentem chce z tobą rozmawiać. Nie chciał podać nazwiska.

- Powiedział, czego chce?

- Tylko tyle, że spodziewasz się jego telefonu.

Titus spojrział na Cline'a, który już kiwał do niego głową i podchodził do cyfrowego urządzenia śledząco-nagrywającego stojącego na rozkładanym stole pod ścianą.

- Titus, idę do was - dodała Rita. - Chcę to usłyszeć.

Zanim zdążył się sprzeciwić, rozłączyła się. Spojrział pytająco na Cline'a.

- Jesteśmy gotowi - powiedział Cline.

Titus nacisnął guzik telefonu.

- Słucham.

- Nazywam się Jorge Macias. Sądzę, że już pan o mnie słyszał.

Titus, zaszokowany, nic nie powiedział.

- Myślę, że pan słyszał - ciągnął Macias. - Chcę, żeby pan wiedział, że podejmuję śmiertelne ryzyko, dzwoniąc do pana. Muszę się z panem spotkać, panie Cain. Powinniśmy porozmawiać.

Titus nie wiedział, co odpowiedzieć. Drzwi domku otwarły się szeroko i weszły przez nie Rita oraz Janet. Herrin zatrzymał je, ostrzegł, żeby były cicho, po czym poprowadził Ritę przez pokój do stołu, na którym leżały słuchawki.

- Nie wiem, kim pan jest - odezwał się w końcu Titus. - O co tu chodzi?

- Niech pan mnie posłucha - mówił dalej Macias. - Nie ma czasu na takie gierki. Pańska sytuacja jest krytyczna. Dzieją się rzeczy... na które nie mam wpływu. Rzeczy, których nie przewidziałem. Wkrótce dojdzie do sytuacji, że wszystko albo nic... dla nas obu. I jeśli nie porozmawiamy, obaj będziemy żałować, że tego nie zrobiliśmy.

- I ja mam w to uwierzyć?

- Lepiej niech pan uwierzy. Kiedy się rozłączę, muszę tylko nacisnąć jeden guzik mojego telefonu komórkowego,

i wszystko z tej strony zniknie - Chwila milczenia. - Ale myślę, że pan już wie, że dla pana to nie będzie koniec tej sprawy. I niech mi pan wierzy, nie ma pan pojęcia, o ile gorsze rzeczy mogą się jeszcze wydarzyć.

Milczenie.

- Czy to coś dla pana znaczy? - zapytał Macias.

Titus nie widział już powodu, by dalej udawać.

- Taa - odparł - to coś dla mnie znaczy. Niech mi pan jednak powie, co się stało... co się zmieniło, że chce pan ze mną rozmawiać?

- Muszę to panu powiedzieć w zaufaniu, twarzą w twarz. Tylko pan i ja możemy zdecydować, co dalej. Musimy się bardzo dobrze zrozumieć.

Titus zerknął na Ritę, która z szeroko otwartymi oczami kręciła przecząco głową.

- Rozumie pan, prawda - powiedział Titus - że jeśli coś mi się stanie...?

- Panie Cain, mówi pan od rzeczy. Nic się panu nie stanie. Prawdę powiedziawszy, teraz, kiedy do pana zadzwoniłem, nie mogę już sobie pozwolić na to, żeby coś się panu stało. Marnuje pan czas. Kiedy możemy się spotkać?

Titus nie musiał być ekspertem w sprawach wywiadu, żeby zauważyć, że mogło to oznaczać zasadniczą zmianę w tym okropnym ciągu wydarzeń. Czy to możliwe, żeby Macias chciał wydać Luquína? Instynkt mówił Titusowi, że to może być punkt zwrotny.

Lub pułapka.

- Muszę się zastanowić.

- Za dwadzieścia minut zadzwonię ponownie - powiedział Macias i rozłączył się.

Rita zerwała słuchawki z głowy.

- Chyba o tym nie myślisz - powiedziała, a na widok gniewu i strachu malujących się na jej twarzy Titus poczuł, że coś go ściska za gardło.

- Oczywiście, że tak - odparł i Rita popatrzyła na Janet, jakby szukała u niej pomocy. Ochroniarka odwzajemniła się jej spojrzenie, nic nie mówiąc.

Titus popatrzył na Herrina i Cline'a.

- Połączcie się z Garcíą i odtwórzcie mu tę rozmowę.

Potem z nim pogadam.

Kiedy to robili, Titus zwrócił się do Rity.

- Nie zrobię nic głupiego - zapewnił ją. - Jeśli to nie jest część planu Luquína, jeśli to naprawdę szansa na szybkie zakończenie tej sprawy, to muszę z nim porozmawiać.

- Ale dlaczego ty? Masz tam dwóch zawodowców - wskazała ręką na dwór - którzy mogą się tym zająć.

- Nie słyszałaś, co on powiedział? To muszę być ja. Nikt inny.

- Nie dziwi mnie, że tego zażądał.

- Rita, a jeśli to praw...

- Och, Titus! - W oczach miała łzy. - Chciałeś powiedzieć „prawda”? To słowo dla tych ludzi nie ma znaczenia.

- García na linii - odezwał się Cline.

Titus skinął do niego głową, a potem spojrział na Ritę.

- Róbmymy po prostu wszystko po kolei - powiedział. - Dobrze?

Kiedy tak patrzyli na siebie, wyraz jej twarzy zmienił się od niedowierzania do podszytej strachem rezygnacji. W końcu pokiwała głową.

- Tak - odparła. - Dobrze. - Zaczęła się wewnętrznie przygotowywać na najgorsze. Kiedy to okaże się konieczne, będzie gotowa.

ROZDZIAŁ 43

Tym razem było już jasne, że Burden płynie łodzią. Musiał mówić do telefonu komórkowego podniesionym głosem, a w słyszalnym w tle dudnieniu silnika tonęły wszystkie inne odgłosy.

- Nie, to nie jest pułapka - powiedział. - Ci dwaj nie działają w ten sposób.

- Skąd ta pewność?

- Zastawianie pułapki jest ryzykowne: może się skończyć niezłym bałaganem. Pułapka w Bogocie, Rio... w porządku. Jeśli coś się nie udaje, torują sobie drogę ucieczki bronią i znikają. Ale to inna historia. Tu muszą działać bez

rozgłosu. A to poważnie ogranicza ich swobodę działania.

- O co zatem tu chodzi?

- Macias łamie własną zasadę. Jeśli Luquín jest zdolny zaufać komukolwiek, to właśnie jemu. Tano wierzy, że na pierwszą oznakę czegoś podejrzanego Macias da sygnał i oni wszyscy się zwiną. I tak powinno być. Ale teraz wygląda na to, że jedyny facet na świecie, który może zdradzić Tana Luquína i przeżyć, właśnie się nad tym zastanawia.

- A więc to jest to, prawda? - powiedział Titus ze zdumieniem w głosie. - Nasza wielka szansa.

- Tym jednym telefonem - kontynuował García - Jorge Macias przekroczył Rubikon. To jest to wielkie ryzyko, o którym wspomniał. Wyda Luquína. Może.

- Może? O co chodzi? Myślisz, że cię rozpoznał?

- Tego nie wiem, ale tak naprawdę nie musiał. Zobaczył uzbrojonych ochroniarzy. Zobaczył kogoś nieznanego, kto wchodząc do lasu, rozmawiał przez telefon komórkowy. To powinno być dla niego wystarczającym powodem, żeby przerwać tę operację.

- Ale tak nie zrobił, prawda? - powiedział Titus. To było dobijanie targu. Coś, co Titus mógł zrozumieć. Na pierwszy rzut oka potrafił poznać manewr służący ratowaniu tyłka. - Próbuje coś wymyślić, żeby ograniczyć straty. Cholera! Musimy szybko działać. Nie możemy mu dać czasu do namysłu. Musi być teraz zmęczony i świadomy tego, że ryzykuje wszystko. Mamy dobrą pozycję negocjacyjną.

- Wyhamuj, Titus. Ja już wszystko uruchomiłem. Operacja jest w toku. Musimy się upewnić, że nie zaczniemy z Maciasem czegoś, co pokrzyżuje nasze plany. Ani jeden z tych facetów nie może nam się wymknąć. Ani jeden. - Zamilkł na chwilę. - Pozwól, że coś sprawdzę. To zajmie parę sekund.

Titus trzymał telefon komórkowy z szyfratorem, jakby to była końcówka liny ratowniczej. Chciał to zrobić. Był zaskoczony, jak bardzo. To była jego szansa, żeby z ofiary stać się prześladowcą, i nie chciał jej stracić.

- Posłuchaj, Titus - odezwał się w końcu Burden. - Dobrze, zaaranżuj spotkanie, ale postaraj się, żeby odbyło się jak najpóźniej. Nie wcześniej niż o dziesiątej trzydzieści.

A nawet później, jeśli ci się uda. Im później, tym lepiej. Potrzebuję czasu, żeby porozstawiać moich ludzi. Chcę mieć na oku jego wszystkie zespoły, a to będzie wymagało szybkiego i starannego planowania. Bardzo nam się teraz przyda to, co zdziałałeś ostatniej nocy.

- Co z miejscem spotkania?

- On będzie chciał je wybrać. Ty upieraj się przy późnej porze. Negocjuj. Wymyśl jakiś dobry powód, dlaczego nie możesz wcześniej.

- Jak mam traktować jego propozycje?

- Po prostu wysłuchaj go i radź sobie, jak umiesz najlepiej. Ale zrób jedno: uszczęśliw go. Targuj się, ale daj mu powód do myślenia, że coś zyskuje, że zawiera świetny układ, najlepszy z możliwych.

- A co, jeśli będzie chciał, żebym się zgodził na coś, co może cię później postawić w niekorzystnym położeniu? Skąd mam wiedzieć, czy tak się nie stanie?

- Cóż, nie możesz poprosić o więcej czasu do namysłu. Gdybyś to zrobił, stałoby się oczywiste, że nie masz tu ostatniego słowa, że negocjacje prowadzi ktoś inny. To byłby koniec tej sprawy. Macias może nadstawić karku, ale nie będzie go tak trzymał na tyle długo, żebyś zdążył ściąć mu głowę. Będzie zwracał uwagę na każde słowo, każdy niuans. Będzie wypatrywał pułapki.

- A czego absolutnie nie powinienem zrobić, żeby ci nie pokrzyżować planów?

W słuchawce zapadła cisza.

- Posłuchaj, Titus - odezwał się w końcu Burden. - Dla tych gości nie będzie żadnego później. Kropka. Wykorzystamy to spotkanie, żeby ich załatwić.

Titus nie mógł w to uwierzyć.

- To, co obiecasz temu facetowi, nie ma żadnego znaczenia - ciągnął dalej Burden. - Cokolwiek obiecasz.

Titus zerknął na Ritę. Nie odrywała od niego wzroku.

- A więc to tak? - zapytał.

- Właśnie.

Burden chciał jeszcze porozmawiać z Janet. Titus podał jej telefon, a gdy skończyła, wyszli na patio za domkiem. Otaczający je mur pokrywały pnącza *moneda*, a po treliach w narożnikach piał się jaśmin. Z otworu w murze, w

który wprawiono dekoracyjną kratę z kutego żelaza, mieli widok na końcowy odcinek wawrzynowej alei i rozciągającą się dalej dolinę.

Titus zrelacjonował jej rozmowę z Burdenem. Kiedy przytoczył jego ostatnią uwagę, Rita zachłysnęła się powietrzem.

- Taa - powiedział. - Dla mnie to też był wstrząs.

Stała przed w pełni rozkwitłym jaśminem. Zbliżał się koniec dnia i na tonącym w cieniu patiu robiło się chłodniej. Ku zaskoczeniu Titusa, Rita sprawiała wrażenie, jakby upadła na duchu. Uniosła ręce i zasłoniła twarz. Białe kwiaty jaśminu tworzyły dla niej olśniewające tło. Jej głowę prawie idealnie obramowywał zakratowany otwór w murze, przez który widział ostatnie promienie słońca padające na szczyty wzgórz po drugiej stronie doliny.

- Tego już za wiele - powiedziała przez dłonie. Widział, jak porusza się jej klatka piersiowa, jakby miała problemy z oddychaniem. Popatrzył na jej głowę, na jej gęste włosy w kolorze masła, rozczesane pośrodku i związane z tyłu. - To cholerne napięcie - dodała i opuściwszy ręce, spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami. - Titus, tak się boję.

Podszedł do niej i delikatnie ją objął. Poczul, jak przyciska się do niego i wtula mu głowę w ramię. Takie poddanie się słabości było dla niej czymś bardzo rzadkim. Świetnie radziła sobie z tym uczuciem przez całe życie, co zyskało jej reputację silnej, twardej kobiety. Tym razem jednak po prostu nie miała na to dość sił.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Ja też się boję, ale oboje wiemy, że muszę to zrobić. I chcę to zrobić. Niczego w życiu bardziej nie chciałem.

ROZDZIAŁ 44

Kiedy Macias z telefonem w dłoni wracał z tarasu do domu, zauważył, że Luquín przygląda mu się przez dymne szkło wielkiego okna. Stał pod słońce, więc włożył ciemne okulary i obserwował go jak rybę w akwarium. Wyglądało

jednak na to że powoduje nim coś więcej niż tylko pusta ciekawość.

Macias zamknął za sobą drzwi, podszedł do sofy i klapnął na nią obok niskiego stolika, na którym zostawił szklanke lemoniady z lodem. Na ogromnym ekranie telewizyjnym migotał film, który oglądał Roque, siedzący w fotelu ze słuchawkami na uszach. Luquín nie przepadał za telewizją, ale pozwalał ją oglądać swojemu ochroniarzowi, ponieważ była to jedna z niewielu rzeczy, jakie lubił ten okrutny imbecyl, oprócz komiksów dla dorosłych, które wręcz pochłaniał.

- Co się dzieje? - zapytał Luquín, kiedy Macias chwycił szklanke z lemoniadą.

- Co masz na myśli?

- Sporo rozmawiasz przez telefon.

- Pilnuję, żeby nie było żadnych nawalanek - odparł Macias. - Jeśli wierzyć temu, co Cain powiedział żonie, sprawy zaczną się toczyć coraz szybciej. Do tej pory wszystko szło dosyć gładko. Chcę, żeby nadal tak było.

Luquín zdjął okulary i wsadził ręce w kieszenie. Spojrzał w dół i zamyślony przeszedł od jednego końca szklanej ściany do drugiego. Macias zerknął na ekran. Nie poznał filmu. Popatrzył na Luquína. Musiał się sam przed sobą przyznać, że czuje się nieswojo, gdy ten człowiek nad czymś rozmyśla.

I powinien się tak czuć. W ciągu ostatniej godziny zainicjował działania, które, jeśli je doprowadzi do końca, zmieni resztę jego życia niezależnie od tego, co się stanie. W gruncie rzeczy już samo to, że zatelefonował, zmieni resztę jego życia. Jeśli ludzie pracujący z Cainem są bystrzy, będą wiedzieć, że tym samym Macias zerwał z Luquínem. Mogliby wykorzystać tę rozmowę telefoniczną - jeśli są bystrzy, to ją nagrali - żeby rozwalić wszystko.

Czy Luquín coś podejrzewa? Podejrzewał wszystko i wszystkich. Był niepokojąco dobry w wykrywaniu zdrady we własnych szeregach. A czasem - Macias widział to nie raz - wykańczał bezwzględnie wiernych mu ludzi, ponieważ tylko ich podejrzewał.

Jedno działało na korzyść Maciasa: był *número uno* Luquína. Jak dotąd Luquín nie uderzył jeszcze w nikogo,

kto byłby tak wysoko. Zmorą życia każdego tyrana jest, to, że na pewnym etapie musi komuś zaufać. Musi. Ale nie na zawsze.

- Zastanawiałem się... - Luquín nagle odwrócił się od okna, gdzie stał, pobrzękując amerykańskimi monetami, które miał w kieszeni. - Zacząłeś już działać w sprawie żony Caina?

- Taa - skłamał Macias, starając się panować nad głosem. Luquín przyjmował za pewnik, że jeśli Macias powiedział mu, iż pracuje nad jakąś sprawą, to rzeczywiście tak jest i wszystko będzie załatwione. W średnim wieku stał się zbyt zadufany. Był pewien, że inni zadbają za niego o szczegóły.

- Zastanawiałem się nad tym - kontynuował Luquín. - Chcę, żeby to było coś specjalnego. To musi być wypadek... oczywiście Cain musi wiedzieć, co się stało... ale, no wiesz, szczególny wypadek. Coś, co ściągnie na nią wstyd, powszechną niesławę.

Macias wpatrywał się w niego. Ten facet był naprawdę niesamowity.

- Masz jakiś pomysł?

- Nie, niezupełnie. Narkotyki, seks, te rzeczy. Ale najważniejsze, żeby nie mógł tego zatuszować. To będzie, no wiesz, jak przekręcenie noża w ranie.

- Przygotowanie czegoś takiego może zabrać trochę czasu.

- W porządku. Kiedy to się stanie, on będzie wiedział. Może tak będzie nawet lepiej. Facet myśli, że już się mnie pozbył, a wtedy... ciach. - Wykonał taki ruch, jakby wbijał komuś nóż w brzuch od dołu, przytrzymał go tam, a potem przekręcił. - Jedno jest jednak pewne: chcę, żeby to było bardzo żenujące. - Odwrócił się z powrotem do okna i wyjrzał przez nie. - Ten *pendejo* diabelnie mnie wkurzył. Cholera. - Zerknął przez ramię na Maciasa. - I chcę mieć zdjęcia. Mogę mu je wysyłać przez lata. - Znów spojrzął w okno.

Macias nic nie powiedział.

Luquín rozmyślał nad czymś przez chwilę, po czym odwrócił się i ruszył wolnym krokiem ku Maciasowi.

- Nigdy nie odchodź na zawsze, Jorge - powiedział do

niego, jakby mówił do siebie. - To najlepsza tortura Do diabła, zaznaczę to sobie w kalendarzu i zapomnę o tym. Kiedy nadejdzie ten dzień, po prostu to zrobię, cokolwiek to będzie. Dla nich to gorsze od najgorszych wspomnień. Te się z czasem zacierają. Ale świadomość, że ja wrócę i przypomnę im o wszystkim... do diabła, tego nigdy nie przestaną się bać. To prawdziwa tortura.

Macias nigdy jeszcze nie słyszał, żeby Luquín mówił takie rzeczy. O co mu chodzi? Czyżby coś w końcu zwęszył? Może zarzucał wędkę, czekając na jakąś reakcję Maciasa, która potwierdziłaby jego podejrzenia? Jeśli kiedykolwiek Macias musiał naprawdę zachować zimną krew, to właśnie teraz. Luquín jednak nie mógł wiedzieć, co on postanowił zrobić, ponieważ pominąwszy rozmowę z Cainem, zdrada pozostawała wyłącznie w jego głowie. Nikomu nie bąknął na ten temat ani słowa. Była tylko ta rozmowa telefoniczna, to wszystko. Macias wiedział, że Luquín potrafi prowadzić takie umysłowe gierki, i ostrzegł sam siebie, żeby się nie dał w nie wciągnąć.

- Pomyśl o tym - powiedział i podniósłszy szklanekę, dopił lemoniadę, żeby ukryć zakłopotanie. - O tym, co chcesz zrobić. - Spojrzał na zegarek. - Dziś późnym wieczorem spotykam się z moimi ludźmi. Zajmie mi to kilka godzin. Czy twoim zdaniem powinienem coś wiedzieć, zanim pojedę? To pewnie będzie ostatni raz, kiedy się z nimi zobaczę, zanim to się skończy. Chcę się upewnić, że rozumieją, czego się spodziewamy.

- A czego się spodziewamy?

- Jeśli Cain zapłaci przed czasem, jak mamy nadzieję, chcę zwolnić szybko większość tych ludzi. Trzymanie ich tutaj tylko zwiększa ryzyko. Cokolwiek postanowisz w sprawie żony Caina, można to będzie przeprowadzić osobno.

- Oczywiście Cain nie powiedział nam jeszcze, co zamierza zrobić.

- Nie - odparł Macias. Założył nogę na nogę i położył rękę na oparciu sofy, robiąc, co w jego mocy, aby wyglądało na to, że czuje się swobodnie. - A co będzie, jeśli on zmieni zdanie i nie zapłaci natychmiast?

Ale Luquín nie odpowiedział. Chociaż patrzył na Maciasa, uśmiechał się do swoich myśli.

To jest masa pieniędzy - odezwał się w końcu. Jorge, będziesz bardzo bogatym człowiekiem. - To dobrze - odparł Macias.

ROZDZIAŁ 45

Burden wrócił do wynajętego domu zgrzany i zmęczony, a jego dżinsy były mokre na kolanach. Zdażył już zwolnić trzyosobowy zespół deszyfrantów, którzy odczytywali wiadomości przejęte przez beechcrafta, i w domu byli jedynie trzej ludzie Romola Cala oraz jego własna ekipa z furgonetki obserwacyjnej, też trzyosobowa.

Jeden z mężczyzn siedział w furgonetce, obserwując na monitorach żółte i zielone kropki oznaczające „pieprzyki”, które Titus zdołał poprzylepiać bandzirom oraz w ich pojazdach. Reszta ludzi leżała na parnym, osłoniętym siatką ganku. Oszczędni w ruchach jak Beduini, starali się przetrzymać późnopołudniowy upał. Wszędzie walały się kartki, mapy i zdjęcia, które były im potrzebne do opracowania planu tego, co należało zrobić.

Burden wyjął z lodówki puszkę royal crown, otworzył ją i wyszedł na ganek. Usiadł, opierając się plecami o ścianę, postawił puszkę na podłodze i rozpiął koszulę. Wszyscy obrócili wzrok na niego. Wypił długi łyk coli.

- Ostatnie wiadomości - odezwał się w końcu i zaczął im opowiadać, co się właśnie wydarzyło.

Calò zagwizdał cicho pod nosem.

- Tak więc Cain uważa - mówił Burden - że w gruncie rzeczy Macias właśnie sprzedał swojego szefa. Muszę się z tym zgodzić. Co ważniejsze, sam Macias dał nam odpowiedź na pytanie, jak odizolować Luquína w tym domu. Prześledź moje rozumowanie, Calò, i sprawdź, czy moje wyliczenia pokrywają się z twoimi.

Z naszych wczorajszych obserwacji - zaczął - wynika, że w tym domu jest ich sześciu. Luquín, jego ochroniarz Roque i ich kierowca. Używają czarnego navigatora. Macias, jego ochroniarz i ich kierowca jeżdżą niebieskim navigatorem. Tych trzech ostatnich musimy wyciągnąć z

domu, dzięki czemu zostaną w nim tylko kierowca, Roque i Luquín.

- Są jeszcze dwaj goryle i kierowca w pathfinderze - odezwał się Calò. - Kiedy Macias wyjedzie, oni prawdopodobnie zaparkują gdzieś w pobliżu, żeby móc szybko wejść do akcji, gdyby Luquín ich potrzebował. Mamy zatem trzy problemy: trzech uzbrojonych ludzi w samochodzie Maciasa, łącznie z nim samym. Trzech uzbrojonych ludzi w pathfinderze. I nikogo do śledzenia ich furgonetki obserwacyjnej. - Popatrzył na Burdena. - Brakuje nam jednej ekipy.

- Chcesz wypuścić ich grupę obserwacyjną? - zapytał Burden.

- I zatrzymać furgonetkę.

- W porządku. W takim razie załatwię, żeby Gil zebrał ekipę, która zajmie się ich furgonetką.

Calò skinął głową.

- A co chcesz zrobić z samym Maciasem?

Burden ścisnął w dłoni puszkę, która cicho potrząsała. Był to jedyny dźwięk słyszalny na ganku, oprócz głosów cykad, które dawały koncert w pobliskich zaroślach.

- Ma zniknąć, tak jak reszta.

Calò pokiwał głową.

- Jeszcze jedno - powiedział Burden. - Kiedy to wszystko zostanie zrobione, jeden z navigatorów, obojętne który, ma zostać przy domu Luquína.

- Dobrze - odparł Calò.

Nikt nie zapytał, co się stanie w domu, kto się zajmie kierowcą, który będzie tam z Luquímem i jego ochroniarzem, ani co czeka Roque'a i Luquína. Ale samo to, że Burden nic na ten temat nie powiedział, wystarczyło, by uruchomić wyobraźnię. Mężczyźni znajdujący się na ganku wymienili kilka znaczących spojrzeń, ale Burden, pogrążony w myślach, albo je zignorował, albo ich nie zauważył. Tak czy owak nie miało to żadnego znaczenia. Ta sprawa była już rozstrzygnięta.

Burden wstał sztywno i poszedł w stronę lasu. Wpatrując się w drzewa, wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do Gila Norlina. Wysoka temperatura wydobywała olejki eteryczne z soków krążących w cedrach. Kiedy Burden skończył

rozmowę, stał tak jeszcze przez jakiś czas, zatopiony w myślach.

Calò chodził tam i z powrotem przed swoimi ludźmi i nie zwracając uwagi na Burdena, jeszcze raz omawiał z nimi szczegóły operacji, od której dzieliły ich tylko godziny. Proponowali różne rozwiązania, krytykowali, dostosowywali do możliwości i przedstawiali ponownie. A następnie znowu krytykowali. Jednak wciąż stawali wobec tego samego problemu niepoznawalnych zmiennych, których nie można było usunąć z równań. Jedyne, na co mogli na pewno liczyć, to zaskakujące zdarzenia, które musiały wystąpić w czasie operacji. Resztę planu powtarzali z w zaciętym skupieniem.

W pewnym momencie, kiedy rozprawili się z nazbyt subtelnym manewrem, który zaproponował Baas, Calò odwrócił się i podszedł do Burdena.

- Złapałeś Gila?

- Oddzwoni do nas. Nie wydaje mu się, żeby wyskoczył jakiś problem, ale potwierdzi to tak szybko, jak tylko będzie mógł. Podałem mu wszystkie szczegóły na temat furgonetki i jej obsady, ale będzie chciał to jeszcze usłyszeć od ciebie. Możesz mu powiedzieć, gdzie chcesz, żeby ją dostarczyli.

- Dobrze - odparł Calò. Chwila milczenia. - To nie jest najprostsza ze spraw.

- Nie mieliśmy dość czasu - powtórzył Burden. - Przykro mi, że tak to musimy przeprowadzić. - Brzegiem puszki z colą przeciągnął po zardzewiałej siatce, wywołując cichy, brzękliwy odgłos. - Strach przed czasem i jego konsekwencjami - powiedział - to jedno z przekleństw ludzkości. Mniej więcej sto lat temu słyszałem od starej kobiety, która właśnie została wdową, że czas to kurwa bez sumienia. Oddaje się najgorszym, a odmawia świętym. Wydaje mi się, że wiem, co chciała przez to powiedzieć. - Myślał o tym przez chwilę. - Ale, w ostatecznym rachunku, czas traktuje wszystkich tak samo: prędzej czy później kończy się dla każdego.

ROZDZIAŁ 46

Macias zadzwonił po dwudziestu minutach, jak obiecał. Rozmowa była krótka i chłodna. Spotkają się w La Terrazza, włoskiej restauracji przy Loop 360. Za kwadrans jedenasta. Macias nie dał Titusowi szansy na wynegocjowanie późniejszej pory, ale na szczęście i tak było to w ramach czasowych, które wyznaczył mu Burden.

Kilka następnych godzin upłynęło Titusowi na posępnym oczekiwaniu, gorączkowych przygotowaniach i najrozmaitszych zajęciach mających go powstrzymać od rozmyślań. Między innymi załatwił w końcu jedną ze spraw, których lękał się najbardziej. Zadzwonił do córek Carli.

Potem zadzwonił także do Louise Thrush. Kiedy odłożył słuchawkę, był mokry od potu.

Następnie wstał od biurka i poszedł do kuchni, gdzie Rita i Janet robiły kanapki.

Kiedy wszedł, Rita popatrzyła na niego wyczekująco, ale nie odezwał się ani słowem. Minął tacę z kanapkami, która leżała na stole obok szklanek z chłodzoną herbatą, wyjął z kredensu butelkę szkockiej, wrzucił do szklaneczki trochę lodu i nalał sobie drinka.

- Jak ci poszło? - zapytała Rita, starając się, żeby to zabrzmiało zwyczajnie. To czekanie przypominało opiekę nad śmiertelnie chorym przyjacielem: nie było sposobu, żeby przed tym uciec. Należało to robić i trzeba było przy tym udawać, że nie jest się przygnębionym lub wystraszone, bo w przeciwnym razie tylko by się pogorszyło sprawę. Ekstremalne ćwiczenie w powstrzymywaniu się od okazywania normalnych uczuć.

Wypił łyżeczkę szkockiej.

- Prawdę mówiąc, to było straszne - odparł. - Dziewczynki... - pokręcił głową - Leslie przez cały czas płakała. Po prostu nie mogła przestać. Nie wiem, co jej powiedziałem. Próbowalem ją pocieszać. Nie wiem. Lynne była spokojna i uprzejma. Zachowywała się prawie tak, jakby jej to wcale nie dotknęło. Ale czułem, że gdzieś głęboko w niej coś się zmieniło. Boję się, że nic ani nikt jej nie pocieszy. - Znowu sięgnął po szkocką.

- A Louise? - zapytała Rita.

- Chciała omówić ceremonię pogrzebową. Pieśni, fragmenty z Biblii. Kolejność rzeczy. Chciała porozmawiać... o Charliem. Długo z nią rozmawiałem. Potrzebowała tego. - Przerwał. - I ja tego chciałem... dla niej.

Znowu pokręcił głową, po czym odwrócił się i wyszedł na werandę. Na życzenie Kala wszystkie lampy ogrodowe były włączone oprócz tych na werandzie. Titus patrzył na rozlane na kamiennych płytach światło padające z kuchennych okien. W nocnym powietrzu poczuł zapach kapryfolium.

Ale ta chwila wytchnienia była krótka. Zadzwoił jego telefon komórkowy.

- Tu Ryan. Może pan przyjść do domku? Musimy zacząć pana przygotowywać.

- Dobrze. - Titus podszedł do drzwi i wsadził głowę do kuchni. - Rita, zaczynamy przygotowania.

Byli tam wszyscy z wyjątkiem Burdena: troje ochroniarzy, Herrin i Cline ze słuchawkami na uszach, obserwujący monitory oraz słuchający rozmów radiowych, a także Rita i Titus.

- Każde z nas musi wiedzieć, co robić - powiedział Kal. - A oto, co ustaliliśmy. - Na jego twarzy widać było oznaki zmęczenia i napięcia. On i Ryan pracowali bez przerwy nad koordynacją tego, co należało wykonać w domku, z tym, co robili ludzie Burdena. Od telefonu Maciasa wszyscy zwiłali się jak w wieży kontroli lotów wielkiego lotniska. Każdy miał do wykonania jakieś zadanie, nikt nie był zbędny.

- Do pańskiego wyjazdu mamy około godziny - mówił Kal. - Garcia będzie przez cały czas w ruchu, obserwując wszystko na monitorach. Są trzy zespoły ludzi Maciasa, którymi trzeba się zająć. Garcia ma ekipę taktyczną spoza miasta, która kryje dwa z nich. Gil Norlin zebrał pospiesznie kilku ludzi, którzy zaopiekują się furgonetką obserwacyjną Maciasa. Wszyscy oni będą w kontakcie z nami, ze sobą i z Garcią. I też będą mieli monitory, żeby mogli wzajemnie obserwować swoje poczynania.

Kal otarł usta. Stres wywołał u niego nerwowe tiki. Krążył po pokoju, od czasu do czasu zerkając na swoje zapiski.

Titus zakarbował sobie w pamięci informację o grupie taktycznej spoza miasta.

- A co z Luquínem? - zapytała Rita, rozglądając się dookoła, jakby się zastanawiała, dlaczego nikt nie podjął tego tematu.

- García ma kogoś, kto się nim zajmie - odparł szybko Kal i przeszedł do następnej sprawy. - Został jeden mikro-nadajnik - powiedział, podchodząc do Titusa, i podał mu „pieprzyk”. - Niech pan go dobrze wykorzysta.

Titus zerwał ze znamienia przezroczystą folię i przykleił je sobie po wewnętrznej stronie prawej ręki, mniej więcej w tym miejscu, w którym zwykle podłącza się kroplówkę.

- W pańskim roverze umieścimy nadajnik - kontynuował Kal - ale oni na pewno założą, że tam jest. Mimo to... - Wzruszył ramionami. - Chcą, żeby przyjechał pan do La Terrazza przed nim, wszedł do ogródka i czekał. Macias zapewne przyjdzie do pana bez ochroniarza i kierowcy, którzy zostaną w navigatorze.

- I co dalej? - zapytał Titus.

- Niech pan z nim porozmawia. I wróci do domu.

Titus pokiwał głową.

- Jak długo mam go tam przetrzymać?

- Do czasu, aż zadzwonimy do pana. Jeden z nas lub García.

- Mam więc zabrać telefon komórkowy?

- Taa.

- Ten z szyfratorem?

- Taa.

- A co z podsłuchem?

- Bezużyteczny. Macias pana sprawdzi; znalazłby go.

Titus znowu pokiwał głową. To wszystko wyglądało na zbyt proste.

- Posłuchajcie - powiedział do Kala i Ryana - wiem, że nic nie wiem o tym, co się tu dzieje, lub powinno się dziać, ale coś mi tu nie pasuje. To wszystko wydaje się po prostu zbyt ładnie poukładane.

- To wydaje się zbyt ładnie poukładane - odpowiedział Ryan - ponieważ nie mówimy panu wszystkiego. Będzie się cholernie dużo działo, ale pan nie weźmie w tym udziału.

To nie pańska robota. Nie musi pan o tym wiedzieć. - Umilkł na chwilę. - I nie powinien pan wiedzieć.

- Chodzi o to - dodał Kal, ocierając usta - że pozostali faceci także nie będą wiedzieli, co się będzie działo u pana. I nie muszą wiedzieć. Ale jeśli ta operacja ma się powieść, wszyscy muszą zrobić to, co do nich należy. Jeśli nie przetrzyma pan Maciasa w La Terrazza wystarczająco długo, może pan zagrozić temu, co robią inni. Muszą mieć tyle czasu, ile potrzebują. Każdy wie, co robią inni, w ogólnym zarysie, rozumiemy więc wszyscy, za co jesteśmy odpowiedzialni i jakie są tego powody. Ale poza tym tak jak reszta nie zna pan wszystkich szczegółów.

- W porządku - powiedział Titus. To miało sens. Chole-
ra, c h y b a miało sens. - Posłuchajcie, powiedzcie mi przy-
najmniej tyle, żebym mógł sobie wyrobić jakiś pogląd na to,
gdzie i kiedy najprawdopodobniej coś się może potoczyć
złe?

Kal skinął głową.

- Kiedy wyjedzie pan stąd przez bramę, w każdej chwili
coś może pójść nie tak. To cholernie proste. Każdy moment
każdej operacji zaważyć na całości. Nie wolno panu nigdy...
dosłownie nigdy... pomyśleć, że jest inaczej.

Titus wbił w niego wzrok.

- To nie żadne pieprzone frazesy - wtrącił Ryan. - To
rada, dzięki której można ocalić skórę.

Titus i Rita wyszli z domku i zatrzymali się przed aleją.
Lampy ogrodowe oświetlały początek dwóch długich rzę-
dów wawrzynów zbiegających się w ciemności.

- To było otrzeźwiający - stwierdziła Rita, nawiązując
do krótkich korepetycji, których udzielono im w domku dla
gości. - Dobrze, Titus, przejdę z nimi tę drogę, krok po kro-
ku. Nalegałam na to. Już to omówiliśmy. Ale gdy tylko bę-
dziesz bezpieczny, natychmiast do mnie zadzwoń.

- Taa, zadzwonię - odparł. Nagle poczuł, że wezbrała w
nim adrenalina. Ogarnęło go jakieś przyprawiające o za-
wrót głowy uczucie - niespokojne wyczekiwanie, ale po-
wściągane przez świadomość, że nie wszystko mu powie-
dziano. Wydawało się absolutnie niemożliwe, żeby ta zbie-
ranina ludzi, którzy wyglądali na nieprzygotowanych i
spóźnionych, mogła zrobić to, czego chciał Burden. Ale

zabierali się do tego. Titus zastanawiał się, czy oni zawsze działają w takich warunkach. Lub czy każda operacja jest dla nich inna i wywołuje inne emocje. Czy to niekończący się ciąg nigdy niepowtarzających się epizodów? Czy to właśnie jest magnes, który trzyma tych ludzi w tym biznesie?

- Titus? - Rita ujęła go za ramię i przyciągnęła do siebie. Czuł jej zapach, nie perfum, ale jej samej, czyli coś o wiele bardziej frapującego. Objął ją.

- Jutro będzie po wszystkim - powiedziała. - Będziemy mogli żyć jak dawniej. Wierzę w to.

- Wiesz co? Ja też w to wierzę - skłamał. Wiedział, że nigdy już nie odzyskają swojego dawnego życia. Ale mogą się uwolnić od Luquína i w tej chwili pomyślał, że to będzie warte każdego kłamstwa, każdego zabójstwa. Przeraziło go to, ale nie zamierzał udawać przed sobą, że dręczą go jakieś moralne skrupuły.

Otworzyły się drzwi domku i na progu stanął Kal.

- Czas ruszać - oznajmił.

Titus objął Ritę i bardzo mocno przycisnął ją do siebie. Czuł, że ścisza mu się gardło. Nie potrafił wykrztusić ani słowa. Ale wiedział, że ona dobrze wie, co oznacza jego uścisk. Rozumieli się bez słów. I wtedy powiedziała to, co zawsze mówiła, kiedy to robili:

- Ja ciebie też kocham, Titus.

Pocałował ją i odszedł z Kalem. Po chwili zniknęli w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 47

Na pustym parkingu przy małym zielonym biurowcu górującym nad Bull Creek Road stała szara furgonetka marki Dodge. Była dwudziesta pierwsza trzydzieści i biura już dawno zostały zamknięte. Szara furgonetka o przyciemnionych szybach przyjechała tam przed dwudziestoma minutami i zaparkowała za kępą drzew, które zasłaniały ją od ulicy.

Z tyłu dodge'a siedziało trzech techników w słuchawkach z mikrofonami. Jeden z nich zgodnie z tym, co ustalono, co pół godziny kontaktował się z Maciasem. Na tym etapie ich praca była zwykłą rutyną, głównie słuchali i pilnowali, żeby nie było żadnych przerw w łączności między Maciasem i innymi zespołami. W tej chwili słuchali rozmów między pathfinderem i niebieskim navigatorem Maciasa, który właśnie odjeżdżał spod domu w Las Lomitas. Macias chciał być pewny, że pathfinder dotrze tam na czas, żeby pilnować domu w czasie jego nieobecności. Nie powiedział, gdzie się wybiera. Poza Luquínem był jedynym człowiekiem, który nie musiał się przed nikim tłumaczyć z tego, co robi.

Kiedy na parking wjechała z ulicy czarna toyota lexus, trzej mężczyźni w furgonetce zamarli. Jeden z nich wolno wstał, przeszedł do przodu i usiadł za kierownicą, skąd miał lepszy widok na toyotę.

Reflektory lexusa zgasły i przez sekundę nic się nie działo. Potem otworzyły się drzwi kierowcy i w świetle, które się zapaliło we wnętrzu, mężczyzna dostrzegł drobną blondynkę w jasnym bezrękawniku i szortach. Siedziała za kierownicą i szukała czegoś w torebce.

- Rany, popatrzcie tylko - powiedział mężczyzna i pochyliwszy się, podniósł lornetkę z siedzenia pasażera, podczas gdy jego dwaj towarzysze wyglądali przez jedno z wielkich przyciemnionych okien furgonetki.

- Co ona robi, Del? - zapytał technik z tyłu wozu. Słuchawki, które zsunął z uszu, wisały mu na szyi.

- Pewnie szuka kluczy - odparł kierowca.

Del był Angloamerykaninem, pozostali dwaj Amerykanami pochodzenia meksykańskiego. Wszyscy trzej przyjechali z Juarez.

Kobieta wysiadła z samochodu, zamknęła go pilotem i przewiesiwszy torebkę przez ramię, ruszyła szybkim krokiem w stronę biurowca.

- Kobieta z pilną sprawą - mruknął w zadumie Del. - Tutaj mam dla niej pilniejszą.

- Zapomniała o czymś. Pracuje w domu - powiedział jeden z pozostałych mężczyzn i wzruszył ramionami.

- Popatrzcie... na... ten... tyłek - wymamrotał Del.

Widziana przez noktowizyjną lornetkę była blisko, bardzo blisko.

Dwaj mężczyźni w tyle samochodu spojrzeli na siebie.

- Wsadź sobie ślepią z powrotem do oczodołów, Del - powiedział jeden z nich.

Kobieta podeszła do podwójnych szklanych drzwi, włożyła klucz do zamka i zaczęła przy nim majstrować, stojąc tyłem do obserwujących ją mężczyzn.

- Wygląda na to, że nic z tego - mruknął Del.

Zirytowana ruszyła z powrotem do samochodu. Można było poznać, że jest zirytowana. Podeszła do wozu, wyciągnęła pilota i odblokowała zamek, ale gdy już otwierała drzwi, coś ją zatrzymało. Pochyliła się w prawo i spojrzała na lewą tylną oponę.

- Aaha - relacjonował Del - patrzcie, patrzcie. Och, ma-lutka, złapaliśmy g u m ę .

- Co? - Dwaj faceci z tyłu furgonetki znowu zaczęli wyglądać przez okno, ignorując ścianę monitorów, przed którą siedzieli.

- Chyba żartujesz - odezwał się jeden z nich.

Kobieta stała wyprostowana, gapiąc się w osłupieniu na oponę.

- Poczekajcie, zaraz wyciągnie komórkę - powiedział drugi.

Ale nie wyciągnęła. Zamiast tego cisnęła torebkę na ziemię i kopnęła ją, trafiając w samochód.

- Jest wkurzona! - stwierdził Del.

- Zostawiła ją w domu - spekulował jeden z mężczyzn. - Przyjechała tu w pośpiechu, żeby tylko coś wziąć, i zabrała złe klucze, a na dodatek zostawiła komórkę na stole w domu. No i macie - perorował - jakie wredne bywa życie. Ranny, niby prosta sprawa... miała tu tylko przyjechać i coś zabrać...

- Nie potrafi zmienić tego cholernego koła - przerwał mu Del. - Pięćdziesiąt dolicz, że jej się nie uda.

Kobieta podniosła znowu rękę z pilotem i otworzyła bagażnik. Podeszła do niego i zajrzała do środka. Stała tak przez chwilę i patrzyła. Potem odwróciła się i spojrzała na zjazd z ulicy.

- Żadnej pomocy w zasięgu wzroku - relacjonował Del,

wciąż wpatrując się w nią przez lornetkę, przejeżdżając wzrokiem po jej nogach, delektując się kształtem jej biustu.
- Cholera - zdecydował się - dżentelmeński obowiązek wy-
wa.

- Co?! - Byli tak zaskoczeni, że krzyknęli to jednym głosem.

- O czym ty, do diabła, mówisz?! - odezwał się jeden.

- To wykluczone - dodał drugi.

Ale Del już odkładał lornetkę, uśmiechając się szeroko.

- Ona się wystraszy, Del. Człowieku, ściągniesz na nas śmierć. Macias nas zabije.

- Kto mu o tym powie? - zapytał Del, patrząc na nich. - Może ta szpryca da dupy za zmianę koła. Warto sprawdzić, no nie?

- O czym ty gadasz, człowieku? Ona się nie rozłoży tylko po to, żebyś jej zmienił koło, ty głupi dupku.

- Ucieknie z wrzaskiem - dodał drugi.

Ale Del już otwierał drzwi.

Stała z pięćdziesiąt metrów od furgonetki, ale jej nie widziała. Del nie chciał jej wystraszyć, kiedy więc wyszedł z samochodu, zawołał: „Halo, proszę pani!” i ruszył ku niej.

Kobieta drgnęła i gwałtownie obróciła się ku niemu.

- Czekałem w furgonetce na przyjaciół, z którymi mam jechać na ryby, i zobaczyłem, jaki ma pani kłopot... - nawijał, żeby ją uspokoić. - Prawie przysnąłem i wtedy pani podjechała... Nie chcę pani przestraszyć, ale mogę zmienić koło, jeśli pani chce...

Kobieta sięgnęła szybko do torebki, pogrzebała w niej i wyciągnęła puszkę gazu łzawiącego, pieprzowego sprayu, lub czegoś podobnego. Cofając się, skierowała ją na niego.

Zatrzymał się.

- Hej, nie. - Patrzyli na siebie przez chwilę. - Proszę posłuchać - powiedział. - Mam propozycję. Pani trzyma ten spray... tam, niech pani stanie tam... A więc niech pani trzyma ten spray skierowany we mnie, a ja zmienię koło, a potem wsiądzie pani do samochodu i odjedzie.

Zastanawiała się nad tym, zerkając przez ramię w stronę furgonetki, żeby sprawdzić, skąd on przyszedł. Jedna sekunda. Druga. Trzecia. Czwarta... Zaczęła się odsuwać od samochodu, w jednej ręce ściskając torebkę, a w drugiej

puszkę z tym, co tam było, skierowaną na niego, jakby trzymała krzyż, stojąc przed wampirem.

- Taa, tak jest dobrze - powiedział, wolno zamieniając się z nią miejscami. - Proszę mnie teraz nie spryskać. Niech pani tam stanie. Nie dziwi mnie, że się pani wystraszyła, ale co miałem robić? Tak sobie po prostu siedzieć i patrzeć na panią?

Teraz, kiedy był blisko niej, widział, że to naprawdę atrakcyjna kobieta. I gdy się do niej zbliżył, przesuwał się w stronę bagażnika toyoty, podczas kiedy ona go okrążyła, trzymając w górze puszkę z gazem, zauważył coś jeszcze: malutki, częściowo przesłonięty przez włosy mikrofon, który przylegał do jej policzka. Zastanowiło go, co to może znaczyć.

Gdy dwaj technicy wstali z siedzeń i przykucnąwszy, oglądali przez okno głupie widowisko, które urządził Del, gwałtownie otworzyły się tylne drzwi furgonetki i okazało się, że stoi tam mężczyzna mierzący do nich z pistoletu wielkości bochna chleba.

- Niczego nie dotykajcie - poradził im. - Tutaj wszystko w porządku - powiedział do swojego mikrofonu.

Blondynka przy lexusie zapytała:

- Jak masz na imię?

- Del - odparł ogłupiały, ale jeszcze nie w pełni rozumiejąc, jak dokumentnie wszystko schrzanił.

Sięgnęła znowu do torebki, wyciągnęła z niej ogromny pistolet i skierowała go na niego.

- Dobrze, Del, chodźmy do furgonetki.

ROZDZIAŁ 48

Calò i Baas przyjechali do La Terrazza na godzinę przed spotkaniem Titusa z Maciasem. Tę kamiennie-terakotową kopię toskańskiej gospody posadowiono między dębami i cedrami na zachodnim zboczu wzgórza. Było to popularne miejsce wieczornych spotkań, a i popołudniami ludzie chętnie gromadzili się tu po pracy na drinka, gdyż jej otoczone murem ogródki zapewniały chłód i schronienie

przed słońcem.

Parking składał się z wielu małych stanowisk na kilka samochodów, wyciętych wśród cedrów i połączonych żwirową drogą. Nie było tam żadnych lamp, więc po opuszczeniu obszaru oświetlonego przez wiszące w ogródkach latarnie znikало się stopniowo w ciemności.

O wpół do dziesiątej wieczorem, kiedy Calò i Baas podjechali do restauracji, zabawa trwała tam w najlepsze, jak w każdy piątek. Przejechali przez cały parking, sprawdzając, czy nie ma tam kóregoś z naviga torów, ale nie zauważyli żadnego. Znaleźli miejsce, z którego mieli widok na wejście do restauracji i drogę dojazdową z autostrady, wyłączyli silnik i przygotowali się na czekanie.

- W porządku, jesteśmy - powiedział Calò do mikrofonu i odczekał, aż usłyszy w słuchawkach potwierdzenie. Następnie pochylił się i dostroił zainstalowany pod deską rozdzielczą monitor LorGuide. Widział żółte plamki oznaczające zmierzającego ku nim niebieskiego navigatora Maciasa oraz rovera Titusa, który także był już w drodze. Ale za Maciasem.

- Świetnie, szykuje się pierwsza kłapa - powiedział sarkastycznie. - Wygląda na to, że Macias będzie tu pierwszy.

- Cudownie. - Baas przyciskał do oczu lornetkę noktowizyjną, którą skierował na prowadzący z autostrady długi tunel w drzewach.

- Macias zjechał z autostrady - odezwał się po chwili Calò.

- I oto jest - odparł Baas. - Niebieski navigator.

Calò także podniósł do oczu lornetkę.

- Dwie... trzy głowy - mruknął Baas. - Taa, definitywnie trzy.

Obserwowali w milczeniu zbliżający się samochód, który wjechał na parking, zatrzymał się, jakby kierowca się wahał, po czym ruszył w kierunku tylnej części, gdzie wolno zaparkował na jednym z miejsc. Po chwili zgasły jego światła i uciął silnik.

- Rozmawiają - powiedział Calò, który pochylił się nisko i przyciskając lornetkę do oczu, obserwował tamtych, ledwie wystawiwszy głowę nad deskę rozdzielczą.

W navigatorze otworzyły się przednie drzwi od strony pasażera i wysiadł ochroniarz.

- Cholera! Ma w ręce gogle noktowizyjne - powiedział Baas.

Meżczyzna ruszył po żwirze, zaglądając do samochodów.

- W porządku - odparł Calò - wysiadamy. Niech nas zobaczy, nie mamy nic do ukrycia. Wchodzimy po prostu do środka, idziemy do baru i czekamy na Maciasa.

Otworzyli drzwi i wysiedli, rozmawiając normalnie i ignorując idącego za samochodami meżczyznę. Zamarł, kiedy ich usłyszał, a zaraz potem dostrzegł za kępą drzew. Minęli go, nie zwracając na niego uwagi.

Usiedli przy barze w miejscu, skąd mogli obserwować drzwi wejściowe, i czekali na Maciasa.

- Będą siedzieć w samochodzie z otwartymi oknami - stwierdził Calò, trącając łokciem Baasa. - Przez ten żwir nigdy nie uda nam się do nich zbliżyć. Trzeba to zrobić inaczej.

Sprawdzenie wszystkich samochodów na parkingu zajęło ochroniarzowi mniej niż kwadrans i po dwudziestu minutach w drzwiach restauracji ukazał się Macias. Ale był z nim jeden z goryli.

Calò jęknął pod nosem.

- Żaden problem - odparł Baas, obserwując ochroniarza, który zatrzymał się w drzwiach prowadzących do ogródka i czekał, aż Macias znajdzie sobie stolik. Goryl szybko się rozejrzał, po czym wrócił do baru i zajął miejsce przy małym stoliczku, skąd mógł obserwować zarówno Maciasa, jak i drzwi wejściowe. Calò i Baas zapłacili, po czym wyszli na parking.

Wróciwszy do samochodu, jeszcze raz przyjrzeni się navigatorowi przez noktowizyjne lornetki. Drugi ochroniarz siedział za kierownicą. Pobawili się trochę swoim sprzętem, po czym Calò wycofał samochód z miejsca parkingowego, a następnie ruszył okrężną drogą w kierunku frontu restauracji. Zakręty na żwirowej drodze były ciasne i jechali bardzo wolno. Gdy zbliżali się do niebieskiego navigatora, Calò zwolnił i w końcu, kiedy go minęli, zatrzymał samochód. Następnie wrzucił tylny bieg i cofnął, jakby chciał mieć więcej miejsca przed kolejnym zakrętem. Jeszcze raz

podjechał do przodu i ponownie wycofał Nagle uderzył w tylny błotnik navigatora.

Nic się nie wydarzyło. Odczekawszy chwilę, Calò znowu podjechał o stopę lub dwie do przodu, wrzucił wsteczny bieg i drugi raz wbił się ze zgrzytem w to samo miejsce. Tym razem otworzyły się drzwi kierowcy navigatora i w czerwonym blasku ich świateł zobaczyli wysiadającego face-ta. Calò także wysiadł i zostawiwszy otwarte drzwi, pod-szedł do niego.

- Cholera! - zaklął. - Co jest, u diabła?! - Popatrzył na kierowcę. - Człowieku, wystajesz o dwie stopy.

Mężczyzna odpowiedział coś po hiszpańsku i rozłożyw-szy ręce, rzucił Calowi spojrzenie znaczące zapewne „co to ma, do diabła, być?”

- Taa, ze dwie stopy - powtórzył Calò po angielsku - wy-stajesz dobre dwie stopy, na litość boską. - Kopnął w zde-rzak navigatora.

Baas także już wyszedł i okrążywszy ich samochód od przodu, znalazł się po tej samej stronie wgniecionego zde-rzaka co ochroniarz.

- O rany - powiedział, patrząc na wgniecenie.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - zapytał Calò kierowcę, kiedy ten przyglądał się swojemu zderzakowi. - Ja też mam tu uszkodzenia, widzisz? Wystajesz o dwie stopy, na litość boską.

Goryl Maciasa podszedł do wozu Cala, żeby się przyjrzeć szkodzie.

I wtedy stojący po drugiej stronie samochodu Baas po-wiedział coś po hiszpańsku do Meksykanina. To była obe-lga. Ochroniarz ruszył ku niemu i znalazł się w zasięgu ra-mion Cala.

Calò uderzył go pięścią w pierś na wysokości serca, wbi-jając mu między żebra igłę. Z ukrytego w zaciśniętej dłoni Cala pojemnika wydostał się sprężony gaz, który wepchnął przez igłę do serca kropelkę cyjanku ze stłuczonej przy ude-rzeniu ampułki.

Meksykanin runął na żwir między samochodami, jakby spadł z nieba. Calò wskoczył do samochodu i zaparkował go w innym miejscu, żeby nie ściągać na nich uwagi, a nastę-pnie pomógł Baasowi załadować trupa do navigatora.

ROZDZIAŁ 49

Tuż przed zjazdem z autostrady Titus odebrał telefon od bardzo spokojnego Herrina, który poinformował go, że Macias przyjechał już do La Terrazza. To żaden problem, powiedział Herrin. Byłoby lepiej, gdyby Titus zjawił się tam pierwszy, ale nie miało to decydującego znaczenia.

Dobrze, odparł Titus. Wiedział, że nie chcą go denerwować. Doszedł do wniosku, że kiedy usłyszy w ich głosie lekkie podniecenie, będzie to znaczyło, że jest naprawdę źle. Bądź elastyczny, powiedział sobie. Weź po prostu głęboki oddech i bądź elastyczny.

Przejechał przez parking, zastanawiając się, gdzie mogą być dwaj ochroniarze Maciasa, kiedy zajmą się nimi ludzie Burdena i jak to zrobią. Po cichu, tyle wiedział. A jak potem rozprawią się z Maciasem? Nie zdradzili mu tego. To nie należało do jego zadania. On miał za zadanie zatrzymać Maciasa przy stole do czasu, aż do niego zadzwonią.

Znalazł wolne miejsce na parkingu i zostawiwszy wóz, ruszył do restauracji. Przeszedł przez ogródek od frontu, przez bar, i wkroczył do wielkiego ogródka na zapleczu, gdzie stoły były porozstawiane pod drzewami. Maciasa, bardzo przystojnego Meksykanina w eleganckiej płócienniej koszuli i równie eleganckich spodniach, nietrudno było zauważyć. Zwłaszcza że siedział sam.

Titus ruszył prosto do niego i kiedy się zbliżył, zaskoczył go wyraz twarzy Maciasa, który uśmiechnął się, wstał, wyciągnął rękę i powiedział:

- Titus, jakże się cieszę, że cię widzę.

Titusowi stanął przed oczami Charlie Thrush rozdzierany przez piłę łańcuchową i Carla walcząca z kimś, a potem umierająca powoli w wyniku szoku anafilaktycznego. Nie mógłby tego zrobić. Nie mógł dotknąć tego faceta, a tym bardziej uścisnąć mu ręki. Usiadł natychmiast, pozostawiając mu decyzję, co ma zrobić ze swoją wyciągniętą prawicą. Macias opuścił rękę i także usiadł.

- Musi pan prowadzić tę grę zgodnie z zasadami, panie Cain - powiedział cichym głosem, wciąż się uśmiechając. - Nie możemy zwracać na siebie uwagi. Musimy być dla

siebie uprzejmi.

- Nie, nie muszę być uprzejmy - odparł Titus. - Czego pan chce?

Na stoliku stała butelka wina, które Macias kazał podać i już pił. Nalał teraz trochę do kieliszka Titusa i popchnął go o cal ku niemu.

- Niech pan wypije - powiedział. - Trochę to panu ułatwi sprawę.

Titus wypił, przyglądając się Maciasowi. Był niepokojąco przystojny, miał starannie przyczesane włosy, wymanikiurowane paznokcie i krótko przystrzyżony, zadbany wąs. Jego koszula z krótkimi rękawami nie kryła muskularnych barców i ramion.

Przy sąsiednich stolikach było pełno ludzi, ale Titus nie zwrócił na nikogo uwagi. Macias usiadł w miejscu, w którym mogli spokojnie porozmawiać. Także łyknął wina, po czym jego uśmiech zgasł.

- Proszę mi pozwolić - powiedział, wyciągając małe czarne urządzenie wielkości telefonu komórkowego. Kiedy skierował je na Titusa, rzuciło cienką poziomą kreskę na jego klatkę piersiową. Macias przesunął ją wolno po ciele Caina aż do poziomu blatu, a następnie przełożył je pod stół i przebiegł do końca po jego torsie i nogach. W końcu spojrział dyskretnie na czytnik aparatu i pokiwał głową.

- Bardzo dobrze - powiedział i odłożył urządzenie. - Mam propozycję, jasną i prostą: przeleje pan dziesięć milionów na pewne konto na Kajmanach, a ja dam panu Cayetana Luquína. Będzie pan go mógł powstrzymać, a zarazem zaoszczędzić czterdzieści cztery miliony dolarów. I, oczywiście, ocalić życie niewinnym ludziom.

Po raz drugi Titus był zaskoczony. Co z tym przesłuchaniem, przed którym tak go ostrzegano? Gdzie te podchwytliwe pytania, czytanie między wierszami? Czy gdyby teraz przystał na propozycję Maciasa, byłby to koniec rozmowy? Po prostu wstaliby i się rozeszli?

Przypomniał sobie instrukcje Burdena: przytrzymaj tam Maciasa tak długo, jak będziesz mógł. Powiedz, cokolwiek będziesz musiał powiedzieć. Tylko zatrzymaj go tam do czasu, aż Kal do ciebie zadzwoni.

- Dlaczego proponuje mi pan ten układ?

- Żeby zarobić więcej pieniędzy.

Jego odpowiedź brzmiała otwarcie i prosto, jakby dobijał targu, kupując nowy samochód.

- I moimi rękami - dodał Titus - uwolnić się od tego sukina.

Macias przechylił głowę i wzruszył ramionami.

- To prawda.

- Powiedzmy, że to zrobię - rzekł Titus. - Wyplączę pieniądze, pozbędę się Luquína. Skąd mogę wiedzieć, że jeden z jego ludzi nie będzie mnie prześladował i nie spełni jego gróźb? Skąd mam wiedzieć, że pan nie będzie mnie prześladował?

Macias pokiwał głową.

- Po pierwsze, nikt nie zrobi nic dla martwego Tana Luquína. On po prostu nie wzbudza aż takiej lojalności. Wielu ludziom będzie żal, że skończyły się pieniądze, które dzięki niemu zarabiali, ale nikomu nie będzie żal, że Tano nie żyje.

Po drugie - kontynuował - wyobrażam sobie, jak jest pan wściekły z powodu tego, co się panu przydarzyło. I wyobrażam sobie, ile pan wyniósł z tego doświadczenia. Mogę sobie także wyobrazić, że z pańskimi pieniędzmi i tym, czego się pan nauczył, będzie pan umiał zapewnić sobie bezpieczeństwo. Żadna gwarancja, jakiej mógłbym panu udzielić, nie będzie pewniejsza od pańskiej determinacji.

- Niezbyt to mnie uspokaja.

- Tylko dlatego, że nie wie pan, jak ryzykowne jest takie przedsięwzięcie dla drugiej, mojej strony.

- A jak pan mi „da” Luquína? - zapytał Titus.

- Szczegóły możemy ustalić - odparł Macias. - Przede wszystkim jednak, czy jest pan zainteresowany propozycją?

- To możliwe. Ale najpierw muszę poznać szczegóły.

- Dlaczego najpierw szczegóły?

- Nigdy przedtem nie dobijałem targu z zabójcą - odpowiedział spokojnie Titus. - Muszę być bardzo ostrożny.

Twarz Maciasa zastygła. Nie podobały mu się te słowa. W zmarszczkach wokół jego ust pojawiły się kropelki potu.

- A jak przekaże mi pan pieniądze? - zapytał.

- Mogę to zrobić jednym telefonem. Tak samo jak przesłałem tamte dziesięć milionów.

- Kiedy?
- Rano. W ciągu godziny od mojej rozmowy telefonicznej dostanie pan potwierdzenie ze swojego banku.

Macias ponownie pokiwał głową.

- Kiedy dostanę telefoniczne potwierdzenie z mojego banku, wyjaśnię panu krok po kroku, jak to zrobić.

- To mi nie wystarcza.

Macias przyglądał mu się przez chwilę.

- Wiem, że ma pan kogoś, kto z panem pracuje. Nie wiem, co się dzieje. Muszę się zabezpieczyć.

- Cóż, wygląda na to, że mamy impas.

- Co więc pan proponuje? - zapytał Macias.

- Proszę posłuchać - zaczął Titus. - Widział już pan, że dałem dziesięć milionów Luquínowi, tak jak obiecałem. Panu też prześlę dziesięć milionów na konto, jeśli teraz powiem, że to zrobię. Natomiast wy przez ten cały czas tylko kłamaliście i mordowaliście. Teraz mówi mi pan, że jest gotów wydać Luquína. Cóż, niech mi pan powie, jaką on ma ochronę... dokładnie. Jeśli pan tego nie robi, pomyślę, że chce pan okantować i jego, i mnie, a potem dać po prostu nogę. Tak więc moje obecne odczucia mogę podsumować tak: pieprz się pan.

Macias znowu przez jakiś czas przypatrywał się Titusowi. Próbował pogodzić to twarde stanowisko z tym, co słyszał dzięki pluskwie. Ale oczywiście, gdy skontaktował się z Cainem i zaproponował mu, że sprzeda Luquína, położenie tego pierwszego radykalnie się zmieniło. Widział, że duch walki Caina ożył natychmiast, gdy tylko pojawiła się najmniejsza nawet szansa uzyskania przewagi. Macias zrozumiał, że może go tu czekać trudniejsza sprawa, niż się spodziewał. Opróżnił szybko swój kieliszek, ważąc za i przeciw. Czuł nosem dziesięć milionów dolarów, myślał o tym, jakie byłoby jego życie bez Cayetana Luquína dyszącego mu nad karkiem. Sam właściwie nie musiałby w tym celu nic zrobić. Ale Cain miał rację: musiał dostać coś wiarygodnego.

- Dlaczego chce pan wiedzieć, jaką on ma ochronę? - zapytał. - Jedyne, co pan mógłby z tą informacją zrobić, to przekazać ją policji.

- Czy powiedziałem, że przekażę ją policji?

- O co zatem chodzi? - zapytał Macias z rezerwą w głosie i uśmiezkiem na ustach. - O pańską osobistą zemstę? Czy to nie za bardzo latynoskie, panie Cain?

Titus czuł, że pod wpływem adrenaliny aż go trzęsie.

- Czy pan naprawdę myślał, że będę spokojnie patrzył, jak ten człowiek zabija moich przyjaciół i kradnie moje pieniądze, a potem pozwoli mu odejść? Powiedział mi, że jeśli nie zrobię, co mi każe, będzie mnie prześladował do końca życia, mordując moich przyjaciół, członków rodziny. Cóż, zrobiłem, co mi kazał, a on i tak zabijał. - Umilkł na chwilę. - A raczej pan zabijał dla niego.

Uśmiezek zamarł na ustach Maciasa.

- Czy pan naprawdę myślał... - ciągnął Titus - że pozwolię, by to się stało, i w żaden sposób nie zareaguję? Pięćdziesiąt cztery miliony dolarów... Jeśli on myśli, że te pieniądze umożliwią mu przeprowadzenie pewnych spraw, zakup jakichś informacji, zabijanie ludzi, to dlaczego uważa, że ja nie mogę za nie kupić tego samego? Czy on ma mnie za idiotę?

Titus, zdziwiony, że powiedział to wszystko, nagle, patrząc na Maciasa, zrozumiał, że przewaga, którą miał ten człowiek najpierw wraz z Luquínem nad nim, a teraz również nad Luquínem, wynikała z lekceważenia wszelkich zasad. Nawet zaufanie, którym darzył Maciasa Luquín, opierało się na jakichś, pokrętnych co prawda, zasadach. A teraz Macias postanowił zignorować nawet te reguły, które obowiązywały w jego zdeprawowanym świecie.

Ale jeszcze bardziej wściekało Titusa widoczne przekonanie jego rozmówcy, że Cain nadal będzie postępował zgodnie z zasadami obowiązującymi porządnymi ludźmi, że nie ucieknie się do bezprawia, nawet jeśli postawi go to w beznadziejnej sytuacji. Protekcyjność takiego założenia Titus odczuł niczym policzek. Co ten facet sobie, do cholery, myśli?

Wbił wzrok w oczy Maciasa i powiedział, zniżywszy głos:

- Czy Luquín kiedykolwiek pomyślał, jak się mogę na nim zemścić, mając tyle pieniędzy?

Macias nie odpowiedział. Wszystko, co Cain mówił o Luquínie, mógłby również powiedzieć o nim.

- Nie zapłacę za kolejne kłamstwa - zakończył Titus. -

Jeżeli nie uwierzę w to, co pan mi mówi, po prostu zatrzymam te dziesięć milionów.

Macias poczuł, że musi ponownie ocenić swoje położenie. Nie spodziewał się usłyszeć czegoś takiego. Dlaczego Cain stał się nagle tak pewny siebie? Czyżby wiedział więcej, niż powinien? Jeśli dążył do zemsty, to może jednak działał na własną rękę. Żadna z agencji rządowych nie zaangażowałaby się w coś takiego. Czy to możliwe, że wynajął jakichś kompetentnych zawodowców? Macias miał nadzieję, że zorientował się w tym na czas, żeby zapobiec fiasku swoich planów.

- Mógłbym powiedzieć panu parę rzeczy - powiedział, żeby zyskać trochę czasu do namysłu.

- Jaką on ma ochronę? - powtórzył pytanie Titus. - Z kim moi ludzie będą mieli do czynienia, jeśli pan mi go „da”? Ilu wartowników? Gdzie są porozmieszczani? Niech mi pan poda trochę szczegółów, żebym mógł uwierzyć. Ale zanim wyrzucę choć jednego dolara na kogoś takiego jak pan, muszę usłyszeć o wiele więcej niż tylko obietnice.

Na przystojnej twarzy Maciasa odcisnął się gniew i więcej niż lekka podejrzliwość.

- Wiele pan żąda jak na człowieka, którego trzyma za jaja Cayetano Luquín. Może po prostu mu pozwolę, żeby zabrał pańskie pięćdziesiąt cztery miliony... i zabił tylu ludzi, ilu będzie chciał.

Titus oparł łokcie na stole i pochylił się tak, że prawie dotknął czołem twarzy Maciasa.

- Posłuchaj mnie, ty chory sukinsynu - zaczął. - Już od tego, że tutaj z tobą siedzę, chce mi się rzygać. Nie... groż... mi.

Nagle przyszło mu do głowy, że powiedział zbyt dużo, że spieprzył sprawę. Macias się zorientował, że coś jest tu bardzo nie w porządku. Dlaczego, do cholery, nie mógł utrzymać nerwów na wodzy jeszcze przez godzinę? I co, do diabła, jest z tym telefonem od Kala?

ROZDZIAŁ 50

Cope i Tito skontaktowali się z Calem na chwilę przed tym, gdy przejechali obok pathfindera, zaparkowanego na ulicy niedaleko domu Luquína. Minęli go tylko raz, ale wolno. Prowadził Cope, a Tito osunął się w sąsiednim fotelu, żeby nie rzucać się w oczy.

- Opuszczone szyby - powiedział. - Wydaje mi się, że słyszałem radio.

Dwie przecznice dalej zatrzymali się przy krawężniku.

- Zaparkowali przy skarpie przed domem - ciągnął Tito. - Podwórko jest mniej więcej cztery stopy nad ulicą. Brama garażu otwiera się dokładnie na tył pathfindera. Na skarpie jest żywopłot wysoki na sześć stóp, który zasłania dom od ulicy. Za pathfinderem rośnie spory krzew, który posadzono przy krawężniku, żeby ukryć kubły na śmieci.

- Jak z podejściem?

- Moglibyśmy zbliżyć się do domu od tyłu, za garażem, przez podwórko sąsiada. Nie widzieliby nas w tylnych lusterkach, bo zasłaniałby im widok ten wielki krzew.

Tito milczał.

- Nie podoba mi się ten pomysł z gazem - powiedział Cope. - To musi być zrobione cholernie szybko, a przy otwartych oknach nie możemy mieć gwarancji, że gaz cholernie szybko zadziała.

- To będzie granat z gazem łzawiącym - powiedział Tito.

- Przejeżdżamy obok i wrzucam go do środka, bum. Przez jakieś trzydzieści sekund nie będą mogli złapać oddechu. To jest tak, jakbyś dostał w twarz deską. Ale ten gaz szybko przestaje działać, musimy więc szybko zrobić swoje.

- Hałaśliwy ten granat? - zapytał Cope.

- Wcale.

- Jakiś błysk?

- Nic z tych rzeczy.

Cope zastanawiał się przez chwilę.

- Nie możemy dopuścić, żeby strzelili, nawet raz.

- Nie będą mogli nawet zipnąć - zapewnił go Tito. - Dopiero po trzydziestu sekundach zaczną dochodzić do siebie.

Milczenie. Cope popatrzył na zegarek.

- W porządku. W takim razie ja podjeżdżam, a ty rzucaś granat. Daję po hamulcach i wypadamy. Gdy się upewnisz, że wszystko w porządku, wskakujesz za kierownicę, a ja ładuję się do tyłu.

To było wszystko.

Cope odbił od krawężnika i wolno podjechał do skrzyżowania. Przyhamował, patrząc w prawo. Dwie przecznice dalej widać było pathfindera, który stał na lekko wznoszącej się ulicy. Wyglądał na łatwy cel. Cope skręcił i ruszył pod górę.

Nagle zaświeciły się tylne światła pathfindera.

- Cholera. - Tito pochylił się nad deską rozdzielczą, ale światła znowu zgasły. - Facet po prostu nie może usiedzieć.

Cope zerkał w lusterko wsteczne, wypatrując innych samochodów, ale o tej porze w całej okolicy nie było żadnego ruchu. Jechał wolno, bo nie chciał zwalniać, kiedy będą mijali pathfindera. Chwilę później już tam byli.

Gdy zrównali się z pathfinderem, Tito wrzucił do niego granat, jakby ciskał do kosza na śmieci zmiętą kulę papieru. Mała puszka z gazem przeleciała tuż obok zdziwionej twarzy kierowcy.

Cope nadepnął na hamulec, zatrzymując samochód zaraz za przednim błotnikiem pathfindera, żeby Tito mógł bez kłopotu otworzyć swoje drzwi. Zostawiwszy samochód na wolnym biegu, obiegił go od tyłu i stanął przy pathfinderze, z którego okien wydobywały się kłęby dymu.

- Czekaj! - warknął Tito i po trzech sekundach rzucił: - Teraz!

Otworzył drzwi, strzelił kierowcy w twarz z pistoletu maszynowego z tłumikiem i wepchnąwszy umierającego mężczyznę pod kierownicę, wcisnął się do środka. W tej samej chwili Cope szarpnął tylne drzwi, wpakował duszącemu się ochroniarzowi dwa pociski w usta i oddał krótką serię w głowę goryla siedzącego w głębi, po czym zwałił obu na podłogę. Zaraz potem wyskoczył na ulicę i wrócił do ich samochodu.

Nie minęło piętnaście sekund i było po wszystkim. W pathfinderze dogorywało trzech mężczyzn. Tito odjechał

nim wolno od krawężnika i ostrożnie ruszył ulica. W pewnej odległości za nim trzymał się Cope.

Mężczyzna przysiadł w głębokim cieniu między cedrami i usadowił się możliwie wygodnie, żeby jakoś znieść obezwładniający upał popołudnia. Słońce lało się na gęste korony drzew, wysysało całe powietrze z poszycia. Czterdzieści metrów dalej o przybrzeżne skały miękko uderzały fale jeziora. Cykady hałasowały pośród rozgrzanych drzew, a na ich brzęczenie nakładało się od czasu do czasu warkot łodzi i stateczków wycieczkowych. Patrząc przez lukę w zaroślach, dostrzegł po drugiej stronie jeziora, w połowie wysokości stromego zbocza, dom kryty terakotą, i skoncentrował na nim uwagę.

Wszystko, co robił przez następne cztery i pół godziny, działało się w jego głowie. Zdawał sobie sprawę, że zmienia się natężenie i kąt padania światła, ale były to dla niego osobne spostrzeżenia przedzielone okresami, w których nie widział niczego - to jest niczego, co widział - sobie nie uświadamiał. Był nieobecny, podróżował w myślach.

A potem, jakby nadrabiając czas, w jednej chwili jego oczy i mózg rejestrowały zmiany, które zaszły podczas ostatniej godziny.

I znowu wszystko zastygało, kiedy on, wpatrzony w terakotowe dachówki, przechodził do innych światów.

Wstał raz, żeby zdjąć ubranie, które wepchnął do małego worka marynarskiego. Następnie oddał mocz na trawę, po czym znowu przykucnął i wrócił wzrokiem do tamtego dachu.

Minęła jeszcze godzina i moskity stały się tak dokuczliwe, że znowu sięgnął do worka i wyjął z niego dwa okrągłe plastikowe pojemniki z farbą maskującą do ciała. Metodycznie zaczął się nią pokrywać. Prawie nie zwracał uwagi na to, co robi, jakby to nie miało większego znaczenia. Ale był dokładny: pomalował się od głowy do palców u nóg, nie zapominając o żadnym zakamarku.

Zmierzch.

Siedział teraz skryty w zaroślach, całkowicie niewidoczny. Liczba moskitów rosła wykładniczo. Poirytowane przez repelent zawarty w farbie maskującej, krążyły wokół niego

gęstą chmurą. Opływało go ich wysokie, jękliwe bzyczenie, tak samo jak półmrok w Espiritu Santo, kiedy czekał na człowieka z Andradiny, którego miał zabić, i był zdumiony, że słyszy, jak płynie czas. Brzmiało to tak samo jak brzęczenie tej chmury moskitów. Dziwne.

Zapadła ciemność.

Kiedy w jego dłoni zawibrował telefon - trzymał go przez cały czas, jedynie gdy się malował, położył go ostrożnie na dużym palcu u nogi, żeby w razie czego wyczuć jego drgania - odebrał, mówiąc jedynie:

- Tak.

- Macias wyjechał - powiedział Burden. - Wydaje mi się, że z Luquínem został tylko jego goryl, Roque. To wszystko, co wiemy.

- Macias nie wróci?

- Nie.

- Mam więc czas do rana?

- Nie. Musisz odjechać stamtąd najpóźniej o drugiej w nocy. Wiesz, jak dotrzeć na lądowisko?

- Tak. Ale nic się nie zmieniło?

- Nie.

Cisza. Nie był pewny, jak długo trwała, ale był jej świadomy, więc pewnie dość długo. Ale Burden się nie rozłączył. Wciąż tam był.

- Chcesz coś wiedzieć, García?

- Tak. Co?

- Nie myślałem, że kiedyś do tego dojdzie. Myślałem, że umrę i to się nigdy nie stanie.

Cisza.

- Nie podziękuję ci - powiedział mężczyzna. - Nie chcę, żebyś miał to na sumieniu. Oszczędzę ci tego.

Cisza.

- Ale gdybym mógł ci podziękować, zrobiłbym to. I gdybym wierzył w Boga, też bym mu podziękował, chociaż on nie chciałby mojej wdzięczności. Powiedziałbym: *Gracias a Dios*, ale on by zadbał, żeby to do niego nie dotarło. Taka wdzięczność.

Cisza.

- Słyszysz owady?

- Tak - odparł Burden.

- Jestem otoczony przez moskity - ciągnął mężczyzna. - Jest ich wielka chmura. Śpiewają mi pieśń czasu.

Cisza.

- Nie chcę cię nigdy więcej widzieć, García. Rozumiesz.

- Tak. Rozumiem. Cisza.

- Wyglądam jak owad - powiedział mężczyzna.

W słuchawce wciąż panowała cisza, więc w końcu się rozłączył.

ROZDZIAŁ 51

Po telefonie od Burdena serce mężczyzny zaczęło bić szybciej. Już do tego przywykł. Tak się dzieje, kiedy człowiek zrzuci ubranie i pokryje ciało kolorami ziemi oraz roślin. Zaczyna się otrząsać z człowieczeństwa. I tak jest dobrze.

Tylko w tenisówkach, które także pomalował maskującą farbą, ruszył przez las w stronę zbocza. Moskity uformowały wokół niego wirujący kokon, w którym czuł się jak zawieszony w czasie.

Zbocze było strome, ale wspinał się bez trudu, tylko w kilku miejscach miał niewielkie kłopoty ze znalezieniem stabilnego podparcia na stopy i czegoś, czego mógłby się chwycić. Przez cały czas uważał, żeby nie obruszyć jakichś kamieni, które spadając, narobiłyby hałasu.

W końcu zobaczył solidnie posadowiony w kamiennym zboczu basen. Otaczał go taras wspierający się na grubych betonowych słupach osadzonych w skale. Kiedy dotarł do nich, zatrzymał się na chwilę, żeby odpocząć przed ostatnimi dwudziestoma stopami wspinaczki po gładkich zepchniętych ze zbocza, kiedy budowano basen. Następnie dobrnął do pomieszczenia z pustaków, w którym znajdowała się instalacja wodno-kanalizacyjna basenu. Zaczynały się tam schody, które prowadziły do wysokiej żaluzjowej bramy otwierającej się na taras oraz teren za nim.

Przykucnął przy bramie i trwał tak dość długo, przyciskając do piersi mały worek marynarski ze swoim ubraniem

i kilkoma innymi rzeczami. Kiedy się upewnił, że nie sły-
chać żadnych głosów, ostrożnie otworzył bramę i wsunął się
do środka. W cieniu przy domu położył worek marynarski i
wyjął z niego mały szary pistolet automatyczny, który dał
mu Burden. Broń była przystosowana do strzelania amuni-
cją poddźwiękową. Naboje ze zmniejszonym ładunkiem
prochowym miały miękkie, ołowiane pociski, które roz-
plaszczały się przy uderzeniu.

Blade światło przenikające przez szklane ściany - wyglą-
dało to jak poświata telewizora - zbytnio rozjaśniało taras i
basen. Mężczyzna uznał, że nie uda mu się przejść niezau-
ważenie na drugą stronę. Zostawiwszy swój marynarski
worek, wrócił do bramy i zbiegł kilka stopni po schodach.
Przesadził barierkę i wszedł prosto w zarośla ciągnące się
wzdłuż urwistego zbocza. Lekko szeleściły, więc podkra-
dł się pod dom i obszedł go, trzymając się muru.

Kiedy dotarł do frontowego narożnika, ukrył się za wiel-
kim krzakiem. Czekał. Wiedział, jak funkcjonuje ochrona
Luquína. W nocy zawsze ktoś zostawał na zewnątrz, w
ciemności. Czekał więc. Żywy człowiek wydaje dźwięki.

W uszach szumiała mu krew, jak płynący czas. Czekał.

Ochroniarz puścił bąka. Mężczyzna zmrużył oczy, wpa-
trując się w budynek i rosnący przed nim żywopłot. Ostroż-
nie osunął się na ziemię i na boku, plecami do domu, cał po
cału zaczął pełznąć pod żywopłotem.

Ochroniarz stłumił ziewnięcie. Nagi mężczyzna ocenił, że
tamten jest bliżej, niż myślał. Przeczougał się jeszcze kilka
stóp pod drapiącymi gałązkami. Żywopłot skręcał w lewo.
Mężczyzna odczekał chwilę, po czym wolno wyjrzał spod
liści. Jakieś dwa i pół metra od niego na krześle ogrodowym
siedział ochroniarz.

Kiedy do niego strzelił, dało się słyszeć jedynie stłumio-
ny trzask pękającej czaszki i ciche pluśnięcie na kamie-
niach. Mężczyzna zerwał się na nogi. Wziął z kolan ochro-
niarza zsuwającego się kałasznikowa i położył go ziemi.
Trupa zostawił na krześle.

Podszedł do drzwi wejściowych i przekręcił gałkę. Nie
były zamknięte na klucz. Otworzył drzwi milimetr po mili-
metrze i usłyszał telewizor. Dobrze. Ostrożnie wsunął głó-
wę. Hol, w porządku. Roque będzie w promieniu dwudziestu

stóp od Luquína Przeszedł ostrożnie przez hol w padającej przez otwarte drzwi bladej, migotliwej poświacie telewizora. Nie było żadnych innych świateł. Kolejny szczęśliwy traf.

Przez szklaną ścianę w głębi zobaczył taras. Upewniając się, że za jego plecami nie pali się żadna lampa, we-mknął się ostrożnie do pokoju i dostrzegł Luquína, który siedział rozwalony na sofie przed telewizorem. Przysypiał, jednym okiem oglądając program. Nigdzie nie było widać Roque'a.

Nagle usłyszał szum wody spuszczonej w toalecie i odwróciwszy się, zobaczył Roque'a, który wychodził zza rogu po drugiej stronie holu, mocując się z rozporkiem. Stojący w ciemnym korytarzu mężczyzna uniósł broń i strzelił.

Głowę Roque'a szarpnęło do tyłu, jakby oberwał kijem golfowym. Padł na podłogę z głuchym łomotem, pół sekundy po tym, gdy większość jego mózgu znalazła się na ścianie.

Nagi mężczyzna błyskawicznie się obrócił i stanął naprzeciw ogromnego ekranu, patrząc na Luquína, który próbował wstać. Kiedy w końcu złapał równowagę i wyprostował się, mężczyzna miał już w ręce pilota od telewizora. Wyłączył dźwięk.

Stali naprzeciw siebie, rozdzieleni małym stolikiem.

- *Siéntese* - nakazał intruz i twarz Luquína nagle obwiśla. Silny blask padający z ekranu podkreślał malujące się na niej osłupienie. - *Siadaj* - powtórzył przybysz po angielsku.

Oszołomiony Luquíń opadł na to samo miejsce, z którego przed chwilą z trudem się podniósł. Nagi mężczyzna obszedł stolik i wolno na nim usiadł. Jego kolana prawie dotykały kolan Luquína.

- Zdejmij koszulę.

Zanim Luquíń zaczął rozpinać guziki swojej quayabery, upłynęły ze dwie sekundy. Kiedy zdjął koszulę, mężczyzna wyciągnął rękę i zabrał mu ją. Następnie zaczął nią wolno ścierać farbę z twarzy, nie spuszczając wzroku z oczu Luquína, który wpatrywał się w niego z niepokojem. Spod farby stopniowo wyłaniała się twarz. Luquíń kilka razy zmrużył odruchowo oczy, próbując rozpoznać mężczyznę.

Nagle uświadomił sobie, kto to jest.

Cały zwiotczał. Jego usta otworzyły się w wyrazie najwyższego zdumienia, a pokój wypełnił smród kału. Niektórzy ludzie obdarzeni są jakimś szóstym zmysłem, który odzywa się w chwili, gdy zbliża się ich ostatnia chwila, mówi im, że tym razem to się stanie naprawdę. Często ta intuicyjna pewność wysysa z nich wszystko. Tak właśnie było z Cayetanem Luquínem. Zostały mu teraz tylko dwie rzeczy: śmierć i strach przed śmiercią.

Nagiego mężczyznę zaskoczyło to nagłe załamanie. Zawsze zakładał, że Luquín będzie walczył jak wściekły kojot. Tego nie przewidział. Ale to i tak nie miało żadnego znaczenia.

- Kładź się na podłodze.

Luquín popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc. Mężczyzna wstał.

- Kładź się na podłodze.

Luquín zawałał się, po czym zsunął się na podłogę. Nie wiedział, jaką przyjąć pozycję, więc po części przykleknął, po części położył się na boku, i zwrócił oczy na trzymającego pistolet człowieka.

- Na plecach - rozkazał przybysz, po czym, stojąc nad Luquínem, pochylił się, rozpiął mu pasek i spodnie. Następnie ściągnął jego drogie mokasyny ze skóry aligatora i jedwabne spodnie. Zrobiwszy to, cofnął się.

- Ściągaj bieliznę.

Luquín przekreślił się na podłodze i zdjął zabrudzone kamieniem majtki.

- Wsadź je sobie w usta.

Luquín zrobił to bez wahania.

Mężczyzna wrócił do stolika i znowu na nim usiadł. Przyglądał się Luquínowi. Jego ciało było w zaskakująco dobrej formie jak na kogoś w tym wieku. Prawie atletyczne.

- Jak myślisz, Tano - zapytał przybysz - czy różni ludzie boją się inaczej, czy jest jeden strach, taki sam dla wszystkich? A może są strachy? - Zastanawiał się przez chwilę. - Strach dziecka. Myślisz, że dziecko boi się inaczej niż mężczyzna? - Umilkł, jakby chciał, żeby Luquín to sobie przemyślał. A potem powiedział: - Jakże mogłoby nie bać się inaczej?

A jak długo człowiek może się bać, Tano? - podjął spokojnym, konwersacyjnym tonem. Przez chwilę milczał, jakby czekał na odpowiedź, jakby się naprawdę spodziewał, że Luquín coś powie. - Kilka dni? Tygodnie? Miesiące? - Cisza. - Mnie się wydaje, że po jakimś czasie, przypuszczalnie różnym dla różnych ludzi, strach zmienia się w coś innego. Dla ciebie, tak doświadczonego w tych sprawach, może to trwać... nieskończenie długo. - Zastanowił się nad tym. - Co o tym myślisz? - zapytał znowu Luquína. - Jesteś przecież autorytetem w tej dziedzinie.

Luquín leżał na podłodze sparaliżowany strachem, a powalane majtki zwisały mu z ust.

- Wiesz, co myślę, Tano? - kontynuował przybysz. - Myślę, że jeśli to, co wywołuje strach, trwa bardzo długo, strach zmienia się w przerażenie. Myślę, że to bardzo głębokie doświadczenie. Przerażenie jest *miedo profundo*.

Oczy Luquína zaczęły przybierać szklisty, pusty wyraz, jakby odcinał się od rzeczywistości. Mężczyzna z pistoletem przyglądał mu się w bladym, zimnym, migoczącym świetle telewizora, tworzącym stosowną aurę do tego, co miało się wydarzyć.

- Zgłębnymy razem te filozoficzne pytania, Cayetano. Ty, *el maestro del horrible*. I ja, *novicio*.

ROZDZIAŁ 52

Jorge Macias wyjął telefon komórkowy i wcisnął jeden z guzików.

- Przyrowadź samochód - powiedział, nie spuszczając wzroku z Titusa.

Titus w jednej chwili uświadomił sobie, że wszystko się wali i że z głupoty sam do tego doprowadził. Ogarnęło go mdlące uczucie, że znalazł się w matni.

Wyraźnie wymawiając słowa, Macias powiedział:

- Pójdzie pan teraz ze mną. W tej chwili ktoś trzyma pana na muszce, proszę więc wykonywać moje polecenia i nie stwarzać mi kłopotów. Chodźmy.

Titus nie miał dużego wyboru Burden przede wszystkim wbijał mu do głowy minusy robienia sceny, bo to miałyby nieprzewidywalne konsekwencje. A oni nie chcieli żadnych nieprzewidywalnych konsekwencji. Wykonywanie poleceń Maciasa wydawało się w tej sytuacji rozsądnym rozwiązaniem. Nie było jeszcze zbyt późno na to, by zachowywać się rozsądnie.

Z miną wyrażającą pewność siebie i swobodę Macias poprowadził Titusa przez ogródek do poczekalni za barem. Czekał tam na nich goryl Maciasa, Meksykanin.

- Luis nie odpowiada - powiedział. - Co się dzieje?

- Nie wiem - odparł Macias.

Nagle zadzwonił telefon Titusa.

Macias szybko odwrócił głowę i chwycił Caina za ramię.

- Odbierz - nakazał. - I bardzo uważaj na to, co mówisz.

Gdy Titus odbierał telefon, Macias i jego człowiek poprowadzili go do toalety.

- Tak - powiedział Titus.

- Mieliśmy drobny problem - odezwał się Kal.

- Taa, wiem.

Byli już w toalecie i goryl zablokował drzwi nogą, a Macias wyrwał Titusowi telefon.

- Kto tam? - warknął.

Wahanie.

- Kal.

- Mój kierowca nie odbiera telefonu, Kal - rzekł Macias.

Wahanie.

- Kim pan jest?

- Jorge Macias.

Wahanie.

- Nie wiem, o czym pan mówi... kierowca nie...?

- Posłuchaj. Cain stoi obok mnie z lufą mojej spluwy w brzuchu i tak zostanie do czasu, aż się jakoś dogadamy. Teraz wiesz, o czym mówię?

Wahanie.

- Widocznie potrafię myśleć szybciej niż ty - powiedział Macias - ale raczej nie spodobałoby ci się, o czym myślę. Jeszcze raz: gdzie jest mój kierowca?

- Został usunięty.

- Usunięty. - Macias z trudem złapał oddech. - Posłuchaj, gnojku - cały zeszywniał - powiedz swoim ludziom, że stąd wychodzimy. Chcę, żeby podstawili mój samochód pod drzwi restauracji. Kiedy ten, co to robi, wysiądzie, ma zostawić otwarte drzwi kierowcy i otworzyć tylne. A potem niech stamtąd wypieprza. I zapamiętaj sobie: nie chcę widzieć, że ktoś mnie śledzi. Pewnie założyliście w samochodzie nadajnik. Może być. Ale nie chcę widzieć, że ktoś za mną jedzie. - Wyłączył telefon, nie czekając na odpowiedź, i włożył go do kieszeni. - Słyszałeś, co się stanie - powiedział do Titusa. - Trzymaj się blisko mnie. Bądź ostrożny i niczego nie próbuj, bo rozmażę twoją wątrobę na ścianach tego lokalu.

Macias pocił się. Był wystraszony, ale należał do ludzi, których osobiste zagrożenie mobilizuje, także intelektualnie.

- Kiedy stąd wyjdziemy - powiedział do swojego ochroniarza - usiądziesz na przednim fotelu dla pasażera. Cain, ty prowadzisz. Ja będę za tobą.

Titus popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Zapowiadało się na katastrofę.

- Hej! - warknął Macias, wbijając łufę pistoletu w żebra Titusa. - Rozumiesz?!

- Taa, w porządku, zrozumiałem. Zrozumiałem.

Wyszli z toalety i krótkim korytarzem dotarli do holu wejściowego. Dookoła kłębili się ludzie, wychodzący, wychodzący, czekający. Zbliżyli się do drzwi. Do frontowego ogródka schodziło się po dwóch stopniach. Na parking prowadziła łukowata brama.

Po chwili podjechał navigator, Titus poczuł, że lufa pistoletu Maciasa wbija mu się w nerki, i ruszyli do wyjścia. Większość stolików we frontowym ogródku obsiedli ludzie, czekający, aż zwolnią się miejsca pod dachem. Rozmawiali spokojnie, popijając drinki.

Nikt nie zwrócił na nich uwagi, gdy przechodzili pod kamiennym łukiem przez szeroko otwartą bramę z kutego żelaza. Mężczyzna, który wysiadł z navigatora, rzucił porozumiewawcze spojrzenie Titusowi, otworzył tylne drzwi i odszedł. Titus i Macias wsiedli do samochodu i jednocześnie zamknęli drzwi.

- Jedź do autostrady i skręć w lewo - nakazał Macias. - I bardzo uważaj na to, co robisz.

Titus wolno podjechał do autostrady Loop 360 i skręcił w lewo, na południe.

Goryl przez cały czas wpatrywał się w lusterko wsteczne, a Titus mógł się tylko domyślać, co robi za nim Macias. Słyszał jego ciężki oddech i czuł napięcie panujące w naviga tor ze.

- Co zamierzasz? - zapytał, gdy samochód nabrał szybkości.

Macias nie odpowiedział.

Titus lewą ręką sięgnął do zgięcia ramienia prawej, którą trzymał na kierownicy. Wymacał „pieprzyk”. Wciąż tam był.

Siedzący za nim Macias milczał i Titus domyślał się, że w jego głowie kłębi się od kalkulacji. Titus zaczął się zastanawiać, jak to się może dla niego skończyć. Macias mógł go zabić. Ale po co? Tylko by na tym stracił. Mógłby go wywieźć ze Stanów i zażądać okupu, ale przecież nie za trupa. Titus domyślał się jednak, że Burden nie pozwoliłby mu przekroczyć granicy. Nie miał pojęcia, co może się zdarzyć. Ale był pewny, że Macias wie, iż będą go próbowali zabić.

Navigatorski połykał mile. Titus przesunął się na fotelu, myśląc o wycelowanym w niego pistolecie. Pomyślał też o mężczyźnie, który podprowadził samochód do bramy. Co, do diabła, próbował mu przekazać tym porozumiewawczym spojrzeniem?

W prawe biodro wpijała mu się kłamra pasa bezpieczeństwa. Nie przypominał sobie, kiedy go założył, i był zaskoczony, że to zrobił. Opuścił rękę między siedzenia, żeby przesunąć zapięcie pasa... i zmacał rękojeść pistoletu. Cholera!

Nagle wszystko się zmieniło.

- Skręć na następnym zjeździe - nakazał Macias - a potem zawróć pod autostradę i kieruj się do miasta.

Titus zrobił, co mu kazano. Ochroniarz powiedział coś do Maciasa, a ten odrzekł: *Bueno*. Titus domyślił się, że Kal i Burden wykonują polecenia Maciasa i trzymają się z dala.

- A więc pracujesz z zawodowcami? - odezwał się Macias.

- Tak.

- Kto to jest?
- Facet, który nazywa się Steve Lender.
- Czy oni wiedzą wszystko?
- Wszystko, co ja wiem. A to najwyraźniej nie jest wszystko.

Macias powiedział coś po hiszpańsku do ochroniarza, który wyjął komórkę i wybrał numer. Słuchał przez dłuższą chwilę, po czym rzucił:

- *Nada*.

Macias znów coś powiedział. Goryl wybrał inny numer.

- *Nada* - powtórzył po chwili i nie czekając na kolejne polecenie, wybrał jeszcze jeden numer. - *Nada*.

- *Chinga!* - zaklął Macias. - Ilu ludzi bierze w tym udział? - zapytał Titusa.

- Nie wiem. - Poczul na karku lufę pistoletu Maciasa. - Mówił, że lepiej, żebym nie wiedział - odparł. - Po prostu nie wiem.

Titusa ogarnęła panika. Wymacał kciukiem bezpiecznik pistoletu, ale nie wiedział, czy broń jest zabezpieczona, czy odbezpieczona. W jakim stanie ten facet by ją zostawił? Odbezpieczoną, uznał w końcu. Gotową do strzału.

- Od jak dawna ten Lender bierze w tym udział?

Titus zawahał się. Lufa pistoletu wbiła się mocniej w jego kark. Czuł, jak się przekręca.

- Od początku.

- Kurwa!

W ciszy, która zapadła, Titus próbował odgadnąć, co teraz myśli Macias. To oczywiste, że jego ochroniarzowi nie udało się skontaktować z resztą ich ludzi. Meksykanin wiedział teraz, że tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi o włos uniknął ich losu i że cały misterny plan się rozsypał. Musiał być zdesperowany.

ROZDZIAŁ 53

Furgonetka obserwacyjna Burdena trzymała się Loop 360. Poza Burdenem i jego kierowcą w pojeździe śledzili

dwaj technicy i Gil Norlin. Zespół meldował o wykonaniu kolejnych zadań i wyglądało na to, że mimo niesprzyjających okoliczności, w jakich przyszło im działać, wszystko przebiega nadspodziewanie dobrze.

Aż do ostatnich chwili w La Terrazza.

Burden, Kal i ludzie w domku dla gości byli w stałym kontakcie telefonicznym. Rita obserwowała wraz z nimi monitory, ale nie miała dostępu do ich telefonów. Wszystko, co wiedziała o rozwoju wypadków, musiała sobie poskładać z połówek rozmów, które usłyszała. A oni bardzo uważali, żeby nie usłyszała zbyt wiele.

W furgonetce Burdena wszyscy wpatrywali się w monitory, na których o położeniu navigatora informowały świetlne punkty oznaczające Titusa i ochroniarza Maciasa, któremu Cain poprzedniej nocy przykleił mikronadajnik.

Navigatorski zwoleń przed zjazdem z autostrady, a potem skręcił i ruszył w stronę miasta.

- O, cholera - rzucił Burden. Norlin nachylił się do monitora.

- Nie wierzę - powiedział.

Calò, który jechał najbliżej śledzącego samochodu, także to zobaczył.

- Co mam robić, García?

- Utrzymuj odległość... i czekaj.

Burden chwycił telefon i zaczął wybierać numer komórki człowieka, którego zostawił na brzegu jeziora pod kryjówką Luquína. Telefon dzwonił, dzwonił i dzwonił.

- Nie odbierze - stwierdził w końcu Burden. - Będzie myślał, że z jakiegoś powodu chcemy go od tego odciągnąć, a on zbyt długo na to czekał.

Następnie zadzwonił na komórkę Titusa, choć był pewien, że Macias mu ją odebrał. Bez odzewu. To także nie było zaskakujące. Mogli tylko patrzeć, jak zmniejsza się odległość między dwoma świetlnymi punktami a kryjówką Luquína.

- Po jaką cholere on tam wraca? - zapytał Norlin.

- Pewnie coś zostawił - odparł Burden. - Nie chce, żeby się to dostało w obce ręce.

- Jezu - jęknął Norlin. - Masz tam kogoś?

- Nikogo.

- Całò jest za nimi.

- Ma w samochodzie LorGuide'a i będę go potrzebował przed domem, kiedy oni zbiorą się do wyjścia. Baas jedzie roverem Titusa na lądowisko; wiezie ciało tamtego ochroniarza. Twoi ludzie przejęli ich wóz łączności i czekają na wiadomość od nas. Poza tym nie są przygotowani na to, co mogą zastać w tym domu. Tito i Cope jadą na lądowisko z ciałami facetów z tamtego pathfindera. Cope mógłby wrócić, ale zajmie mu to co najmniej pięćdziesiąt minut.

- A może tak ktoś z domu Caina?

- Nie zabiorę ani jednego ochroniarza jego żony.

Szumiące urządzenia elektroniczne, którymi zapchana była furgonetka, nagrzały jej wnętrze. Było ciasno i wszyscy się pocili.

- Co może jej się stać, jeśli wycofasz jedno z nich? - zapytał Norlin.

- Nie wysłałbym tylko jednej osoby, a jeśli wyślę dwie, z Ritą zostanie tylko jedna.

- Posłuchaj, oni wszyscy i tak już nie żyją. Kto mógłby jej zagrozić?

- Gdzie jest facet, który robił zdjęcia? - zapytał retorycznie Burden. - Nie uwzględniliśmy go w naszych planach. Po prostu nie zamierzam ryzykować w tej sprawie.

- Więc pozwolisz, żeby to się stało, cokolwiek...

- Tak - przerwał mu beznamiętnie Burden. - Nie możemy nic z tym zrobić. Przeczekamy to. Cain będzie musiał sobie jakoś poradzić.

Furgonetka zwolniła i zatrzymała się na poboczu w pobliżu zjazdu z autostrady.

Cisza w domku dla gości jakby się zmieniła. Rita także widziała na monitorze, że plamka oznaczająca Titusa oddala się od restauracji, ale zdołała zachować spokój. Wiedziała, że wytrącona z równowagi mogłaby źle zinterpretować to, co widzi, i zaszkodzić mężowi.

Ale kiedy zobaczyła, że Titus opuszcza La Terrazze z jednym z ludzi Luquína, którym przylepił mikronadajniki, poczuła, że jeśli jeszcze chwilę będzie próbowała trzymać emocje na wodzy, to wybuchnie.

- Chcę mówić z Garcíą - powiedziała.

Nie krzyczała. Głos jej nie zadrżał. Nie było w nim żadnych histerycznych tonów. Ale wszyscy odwrócili się i spojrzeli na nią.

- Jakiś problem? - zapytała spokojnie. Ale był to spokój, jaki czasem ogarnia człowieka zdesperowanego, któremu lepiej wtedy nie wchodzić w drogę.

- Hm - mruknął Herrin i spojrział na Kalá.

- Proszę, może je pani nałożyć - powiedział Kal, podając jej słuchawki, z których przedtem nie pozwalano jej korzystać.

- Chcę z nim porozmawiać prywatnie - powiedziała.

Herrin popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Mam na myśli to, że wy wszyscy słuchacie się nawzajem przez te słuchawki, prawda? - mówiła dalej.

- Taa - odparł Kal, żałując, że musi to potwierdzić.

- Cóż, chcę z nim porozmawiać tak, żebyście tego nie słyszeli.

- Proszę wybaczyć - powiedział Kal - ale on jest w samym środku...

- Chyba mi pan nie odmawia, prawda? - przerwała mu Rita, wstając z krzesła.

- Zapytam go, czy może teraz rozmawiać - odpowiedział Kal.

- Niech pan zapyta.

Kal oddalił się od niej, mówiąc coś cicho do mikrofonu. Wszyscy czekali na odpowiedź, wpatrując się w ekran lub po prostu w przestrzeń. Wszyscy oprócz Janet, która patrzyła na Ritę z powoli budzącym się uśmiechem rozbawienia.

Kal wrócił, sięgnął do kieszeni i wyjął telefon komórkowy.

- Proszę nacisnąć guzik odbioru - powiedział, podając go Ricie.

Wzięła telefon i przesłała na drugą stronę pomieszczenia.

Chciała wyjść na patio, ale wiedziała, że jej na to nie pozwolą.

- Słucham - powiedział Burden.

- Co się dzieje?

- Titus i Macias wciąż rozmawiają.

- To mi nie mówi, co się dzieje.

- Wygląda na to, że Macias nas zaszachował. Będzie trzymał Titusa do czasu, aż dostanie gwarancję, że pozwolimy mu odjechać.

- I wtedy co?

- Zgodził się zostawić w navigatorze Titusa, który ma mówić bez przerwy przez komórkę na dowód, że żyje. W tym czasie Macias odjedzie, a my na to pozwolimy.

Wyczuła w jego głosie, że celowo nie owija niczego w bawełnę. Chciała usłyszeć całą prawdę? W porządku.

- A gdzie oni są teraz?

- Pojechali do domu, w którym Macias mieszkał z Luquínem.

- Dlaczego?

- Sądzymy, że Macias przed ucieczką chce odzyskać jakieś materiały, bez których się nie może obejść.

- Czy Macias wie, że mieliście zamiar zabić Luquína?

- Taa, teraz już wie.

- Luquíń nie żyje?

- Nie wiemy.

Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

- I co robicie w tej sprawie?

- Teraz niewiele możemy zrobić. Czekamy po prostu, aż Macias zabierze to, po co wrócił, i potem zostawi gdzieś Titusa w navigatorze, jak to powinien zrobić.

- Powinien zrobić - powtórzyła. Miała wrażenie, że serce skoczyło jej do gardła. Słowo „powinien” nigdy jeszcze nie brzmiało dla niej tak złowieszczo.

- Nie mogę tu siedzieć bezczynnie i tylko patrzeć na to wszystko - powiedziała. - Wiemy dokładnie, gdzie jest Titus, prawda?

- Tak.

- W takim razie chcę być tak blisko niego, jak to możliwe.

- Jest pani tak blisko, jak to możliwe.

- Nie tak blisko jak pan.

Milczenie.

- Zatrzymał się pan tak blisko niego, jak tylko pan mógł - kontynuowała, naciskając go - nie narażając go i nie chrzaniąc wszystkiego, prawda?

Milczenie.

- W takim razie chcę tam być razem z panem.

- Niemożliwe.

Przez chwilę milczeli oboje, a Rita przełknęła żółć, która podeszła jej do gardła, i stłumiła wzbierającą wściekłość. Jeśli miała dostać to, czego chciała, musiała się dostosować do reguł gry obowiązujących w świecie Burdena.

- Pozwoli pan, że powiem, co jest niemożliwe - zaczęła z wystudiowanym spokojem, naśladując Burdena. - Nie jestem głupia. Wiem, nie może mi pan zagwarantować, że Titus przeżyje i będzie bezpieczny. To nie jest pański koszmar. Jest nasz. Ale... - ciągnęła - jeśli coś mu się stanie, a ja nie będę tak blisko niego, jak to możliwe... to niemożliwe, żebym nie pisnęła słowem o tym wszystkim. Jeśli coś mu się stanie, a ja nie będę wtedy tak blisko niego, jak tylko zdoła mnie pan umieścić, to niemożliwe, żebym latami nie napuszczała na pana i tych, którzy za panem stoją, środków masowego przekazu. Jeśli będę zmuszona siedzieć tutaj i oglądać śmierć mojego męża - jeśli do tego dojdzie - jakby to była jakaś pieprzona gra wideo, to niemożliwe, żeby pan już kiedykolwiek cieszył się tą swoją cholerną anonimowością. - Przerwała. - Tak - dodała po chwili - pamiętam pańskie groźby... czy raczej dobre rady, przestrogi. I nie, nie boję się.

Umilkła. W pokoju za nią i w telefonie zaległa cisza. Rita czuła, że z gniewu pieką ją policzki.

- Proszę podać telefon Kałowi - rzekł w końcu Burden.

Chciała mówić dalej, powiedzieć: „No i co, do diabła, ma pan zamiar zrobić?”, uświadomiła sobie jednak, że powiedziała już wszystko, co chciała powiedzieć, i to zupełnie serio. Lepiej, żeby w to uwierzył.

Odwróciła się i wyciągnęła telefon do Kala, który czekał po drugiej stronie pokoju. Podszedł do niej, wziął go i odwrócił się do niej plecami. Nie ruszyła się i stała obok niego

przez cały czas, kiedy mówił: „Taa... Taa... W porządku... rozumiem”.

Skończywszy, odwrócił się, włożył telefon do kieszeni, spojrzał na nią i powiedział:

- Chodźmy.

ROZDZIAŁ 54

Titus niemal słyszał myśli Maciasa. Reflektory navigatora jadącego krętą drogą ku centrum miasta wydobywały z mroku zbocza wzgórz. Po lewej widzieli światła domów stojących na ciemnych stokach. Na prawo migąła im rzeka i światelka domów po drugiej stronie szerokiej doliny, gdzie mieszkał Titus i gdzie czekała na niego Rita.

Na polecenie Maciasa skręcił i zjechał na niższy poziom tarasowego brzegu rzeki. Ciemne ulice wily się między przycupniętymi w lesie domami. Macias kazał Titusowi jeździć tam i z powrotem po ulicach, a sam z ożywieniem rozmawiał po hiszpańsku ze swoim gorylem. Wyglądało na to, że rozważają, czy się zatrzymać przy jednym z domów, obok którego przejechali już kilka razy. Titus wiedział, że one wszystkie stoją wysoko nad rzeką, gdyż od czasu do czasu migąła mu ona między nimi.

Czy to tutaj ukrywał się Luquín?

- Wiesz coś o tym, jak oni chcą się zająć Luquíнем? - zapytał Macias. - Tylko mnie nie okłamuj.

- Nie mam pojęcia.

- Kurwa! - Chwila milczenia. - Zatrzymaj się.

Titus zahamował. Patrzyli na dom, który stał o dwie działki dalej w górę, po prawej stronie ulicy.

- Luquín jest w środku - powiedział Macias. - Zostawiłem tam notebooka. Gdybym musiał odjechać bez niego, równie dobrze mógłbym sobie strzelić w łeb. - Zastanowił się. - Zabiją go.

- Tak.

- A potem co?

- Nie mam pojęcia.

- Kurwa, kurwa, jasna kurwa - mamrotał Macias.

- Posłuchaj - zaczął Titus - ten facet, Lender... ma obsesję... nie znosi zostawiać żadnych śladów... Wątpię, czy zabiją Luquina tam, jeśli tylko mają inne wyjście. Będą chcieli zostawić w tym domu porządek.

Cisza.

- Powtórz, jak nazywa się ten facet - zażądał Macias.

- Lender.

Macias nic nie odpowiedział, ale myślał o tym. Odezwał się po hiszpańsku do ochroniarza. Przez chwilę rozmawiali. Potem znowu zapadła cisza.

- *Vamos a ver* - odezwał się w końcu Macias, a potem zwrócił się do Titusa: - Jedź.

Titus ruszył ostrożnie ulicą, po czym skręcił na podjazd do garażu. Minęli wysoki żywopłot i zobaczyli stojącego za nim navigatora.

Macias zaklął.

- Stój!

On i ochroniarz naradzali się przez jakiś czas po hiszpańsku, ale teraz z jakiegoś powodu robili to szeptem.

- Wjedź i zaparkuj - powiedział w końcu Macias.

Titus zaparkował obok drugiego navigatora i wyłączył silnik.

Zostawili otwarte drzwi i ruszyli w stronę ganku, ochroniarz pierwszy, z pistoletem w ręce, za nim Titus, a na końcu Macias.

Nagle ochroniarz głośno syknął. Obejrzał się na Maciasa. *Lo hicieron*, wyszeptał i wskazał krzesło ogrodowe, na którym na wpół siedział, na wpół leżał mężczyzna z głową zwiśającą za oparciem. „Rulfo”, powiedział goryl.

Titusa znowu ogarnęło wrażenie, że nic z tego nie dzieje się naprawdę. Nie mógł uwierzyć, że to robi. Zastanawiał się, co myślą Burden i inni, widząc na monitorach, że jest w domu Luquina. Czy wysłali pomoc? Czy mimo tych wszystkich starań, żeby zachować tajemnicę, dojdzie do strzelaniny?

Ochroniarz powoli przekręcił gałkę u drzwi wejściowych i delikatnie je pchnął. Zaczęły się otwierać, a on posuwał się za nimi, jakby był ich częścią. Macias szturchnął Titusa lufą pistoletu. Ochroniarz patrzył w kierunku źródła migocącego bladego światła, które padało z pokoju dziennego tuż przy

holu. Telewizor. Dużo światła, wielki ekran. Gdy Titus przeszedł przez drzwi, ochroniarz znowu się zatrzymał. Nad ramieniem Titusa popatrzył na Maciasa i wskazał mu coś na podłodze holu. Jeszcze jeden trup. Wszyscy trzej instynktownie zamarli, nasłuchując.

Nic.

I wtedy gdzieś za pokojem dziennym zaczęła się lać woda. Kuchnia. Ten, kto stał przy kranie, nie mógł teraz wiele usłyszeć, więc ochroniarz przeszedł szybko obok pierwszych drzwi do pokoju dziennego i minawszy trupa, zbliżył się ostrożnie do drugich, w pobliżu kuchni.

Pachy Titusa były śliskie od potu. Nagle poczuł smród kału. Kał? Spojrzał na Maciasa, który wpatrywał się w swojego goryla jak górnik w kanarka w zametanionej kopalni. Ochroniarz uniósł palec: jeden człowiek.

Macias wepchnął Titusa do pokoju dziennego przez pierwsze drzwi, a ochroniarz wszedł przez drugie. Titus i Macias popatrzyli na goryla, oczekując od niego kolejnej wskazówki, ale mężczyzna stał zdumiony, rozglądając się gorączkowo. Stracił z oczu człowieka, którego tu przed chwilą widział.

Był przerażony i Titus zrozumiał, że goryl Maciasa zdał sobie właśnie sprawę, iż zaraz umrze. W tej samej chwili ciche puf złało się z głuchym plaśnięciem pocisku, który uderzył w czoło ochroniarza i wyszedł potylicą, wyrwijąc spory kawał czaszki. Siła uderzenia złamała mu kark i zbiła z nóg.

Titus zmartwił.

I wtedy zza sofę podniosła się demoniczna męska postać. Była naga, pokrywał ją błotnisty brąz farby maskującej, a nastroszone włosy sterczały dziko na wszystkie strony. Titus tak naprawdę nie rozumiał, na co patrzy, nie miał też pojęcia, że niekiedy czas płynie inaczej, zagęszcza się. Tak też stało się i teraz, gdyż zanim on lub Macias zdążyli się poruszyć, mężczyzna trzymał przy głowie Meksykanina mały pistolet, a w drugiej ręce odebraną mu broń, którą zaraz rzucił na podłogę.

- Kto ty jesteś? - zapytał Titusa. Miał hiszpański akcent. Jego oczy o zaczerwienionych obwódkach były spokojne, ale pełne cierpienia. Białka miał bardzo białe.

Titus nie mógł wykrztusić ani słowa. Czuł teraz woń farby maskującej. I jeszcze czegoś. Mężczyzna był umazany krwią i to jej mdląco słodki zapach doszedł Titusa. Ten człekopodobny stwór nie był wielki, ale groza, którą rozlał, paraliżowała.

- Kto ty jesteś? - spytał z kolei Maciasa. Lewą rękę położył na potylicy Meksykanina, a prawą mocno przycisnął do jego czoła lufę pistoletu.

- Jorge Macias.

- Miałem być tu sam - powiedział mężczyzna. - Dlaczego tu jesteś?

- Przyjechałem po komputer - odpowiedział Macias z absurdalną dziecięcą szczerością.

- To wszystko, czego chcesz?

- Tak.

- Gdzie on jest?

Macias ostrożnie podniósł rękę i wskazał stół znajdujący się o kilka stóp od Titusa.

- Weź go - powiedział demon do Caina. - Tak. Idź i weź go.

Titus podszedł do stołu i zamknął notebook. Był podłączony do prądu. Kiedy wyciągał wtyczkę, zobaczył porozrzucone na stole fotografie. Były różnej wielkości, jedne czarno-białe, inne kolorowe, niektóre pożółkłe ze starości. Sceny, które przedstawiały, były przerażające: dziewczynka w wieku dziesięciu- jedenastu lat, gwałcona przez różnych mężczyzn, czasem kilku naraz. Na jej drobnym ciele, które nie zaczęło jeszcze nabierać kobiecych kształtów, wyraźnie widać było ślady bicia.

Titus zmagał się ze swoją pamięcią. To dziecko... Jezu Chryste! Przypomniał sobie... Burden opowiedział mu potworną historię o Luquinie... i małej dziewczynce... i jej ojcu. Artemio. Ospina.

Spojrzał na mężczyznę, który wciąż trzymał głowę Maciasa między lufą pistoletu a swoją ręką i patrzył na Titusa. Co tu się, do diabła, dzieje? pomyślał.

W pewnej chwili uwagę Caina zwrócił leżący na stole telefon komórkowy. Dzwonek był wyłączony, ale mrugało czerwone światełko.

- Czy to pański telefon? - zapytał.

Mężczyzna nie odpowiedział.

- Dzwoni - poinformował go Titus.

- Tak. Wiem.

Tym razem w kieszeni Maciasa zadzwonił telefon Titusa.

- Niech pan pozwoli mi odebrać - poprosił Titus. - To mój telefon. Ten facet mnie porwał...

- Nie - przerwał mu Macias, a jego oczy się rozbiegły, gdy usiłował je obrócić na człowieka, który go trzymał. Zaczął mówić do niego po hiszpańsku i nagi mężczyzna wbił wzrok w Titusa.

- Nie wiem, co on mówi - powiedział Titus, nagle przerażony wybiegiem Maciasa - ale on i Luquín wymuszali ode mnie pieniądze, zabili moich przyjaciół... Chwileczkę... zaraz. Pracuje pan dla Garcíi Burdena, prawda?

Po spojrzeniu mężczyzny poznał, że trafił. Zachowanie Maciasa również świadczyło, że musi doskonale wiedzieć, o kim mowa. Chociaż Titus był na skraju jego pola widzenia, Maciasowi udało się na niego spojrzeć. Oczy miał szeroko otwarte, jakby te dwa słowa zajaśniały w ciemnym pokoju niczym przepowiednia na ścianie pałacu Baltazara.

- Zatrudniłem Garcíę, żeby mnie uwolnił od Luquína i Maciasa. Może on z kolei zatrudnił pana... - mówił Cain, widząc, że idzie to zbyt wolno, że nie przedstawia argumentów wystarczająco szybko. - Te zdjęcia... - rzucił gorączkowo - wiem o tych zdjęciach. Kilka dni temu, w San Miguel, García mi o tym opowiedział. Ona jest córką kogoś, kogo on zna. Tłumaczył mi, jaki jest Luquín. Chciał, żebym wiedział, z kim mam do czynienia.

Wszystko zamarło. Żadnego dźwięku. Nikt się nie odezwał. Jednak z nagim mężczyzną coś się stało, coś, co niemal wyssało powietrze z pokoju.

I wtedy Titus usłyszał pojedyncze, ciche stuknięcie.

Mały pistolet nie wypalił.

Macias uświadomił to sobie na milisekundy przed Titusem i błyskawicznie zaatakował. Trzykrotnie uderzył prawą pięścią w górną część uda przeciwnika, tuż obok jego nagiej pachwiny, i w potężnym przypiływie energii pchnął go do tyłu. Nie rozerwał jednak uchwytu tamtego, runęli więc razem na stolik, a z niego na podłogę. Macias upuścił mały nóż sprężynowy, rzucił się po swój pistolet i złapał go,

zanim nagi mężczyzna zdołał dojść do siebie. W tej samej chwili stojący za sofą Titus cisnął w niego laptopem i trafił w pierś, tak że Macias zatoczył się do tyłu. Wpadł plecami na wielki telewizor, ale utrzymał równowagę i wymierzył w Titusa, który rzuciwszy się przez pokój, był już o kilka stóp od niego.

Wszystko znowu zamarło. Obaj ciężko oddychali, zesztywniali z napięcia i napompowani adrenaliną.

- W porządku - powiedział Macias. - Podnieś laptop. - Nieznacznie przesunął lufę pistoletu, żeby mieć w polu ostrzału obu mężczyzn. - Spróbuj nim znowu rzucić, to cię zabiję. Nie mam już nic do stracenia. - Zwrócił się do nagiego człowieka: - Luquín nie żyje?

- Prawie. - Mężczyzna trzymał się za udo, a na całej sofie widać było krew.

Macias wskazał Titusowi drzwi.

- Idziemy stąd - powiedział do nagiego mężczyzny. - Dokończ to, po co tu przyszedłeś. Nie zostawiaj tego sukina syna żywego.

Przyciskając dłoń do ran, mężczyzna odprowadzał ich wzrokiem, gdy szli przez hol do drzwi wejściowych. Zanim Titus je otworzył, mimo że Macias wbijał mu w nerki lufę pistoletu, zerknął do tyłu. Błede, migoczące światło telewizora padało na zakrwawioną sofę. Mężczyzna zniknął.

ROZDZIAŁ 55

Nagle plamka oznaczająca Titusa zaczęła się odsuwać od domu.

- Niewiarygodne. - Norlin siedział na skraju fotela, nosem niemal dotykając ekranu.

- Ochroniarz się nie porusza - powiedział jeden z techników.

- Myślisz, że nie żyje? - zapytał drugi.

Burden wpatrywał się w ekran, ignorując ich pytania.

- Sądzisz, że Cain jest sam? - zapytał Norlin.

Burden wziął swój telefon i nacisnął guzik powtórnego

wybierania numeru. Czekał. Nikt nic odbierał. Pokręcił głową.

- Nie, nie jest sam.

Świetlna kropka przesunęła się przez dzielnicę, po czym skręciła w lewo na drogę numer 2222 i ruszyła na zachód.

- Jedzie w naszą stronę - powiedział jeden z techników.

- Mam szansę - odezwał się Burden, jakby myślał na głos. - Macias zawsze ma plan ucieczki. Tylko dla siebie. Cokolwiek wykombinował, właśnie to robi. Zakłada, że w aucie jest nadajnik, a więc je porzuci. Będzie ciągnąć ze sobą Caina jako zabezpieczenie. Jeśli tak dalej pójdzie, może się to skończyć konfrontacją. Nie wiemy, co się stało w domu Luquína, może doszło do strzelaniny. Nie wiemy, czy Artemio żyje. Nie wiemy, czy Luquín jest martwy. Policja może być już w drodze. A to oznacza ujawnienie naszych działań. Jeśli podczas próby uwolnienia Caina będzie strzelanina, oznacza to ujawnienie. Jeśli Cain zostanie zabity, nawet bez strzelaniny, oznacza to ujawnienie. Jeśli Macias go porwie, oznacza to ujawnienie i prawdopodobnie śmierć Caina.

- To co, chcesz go puścić?

- Jeśli będziemy mieli pewność, że Cainowi nic się nie stanie, to tak - odparł Burden. - Jeśli możemy zagwarantować utrzymanie tej operacji w tajemnicy, też tak. Musimy. Nawet jeśli ktoś będzie musiał uziemić tego sukinsyna później.

- Calò znowu jedzie za nimi - odezwał się jeden z techników.

- Jeszcze jedno - powiedział Burden. - Ta spluwa między siedzeniami.

- Stary, to bardzo ryzykowne - odparł Norlin. - Cholernie ryzykowne. Cain zginie, jeśli ją wyciągnie. Do diabła, nawet nie wiemy, czy potrafi jej użyć. Dlaczego, do cholery, Calò to zrobił?

- Nie wiem, czy to było takie złe posunięcie. Ta broń może ocalić mu życie.

- Raczej przez nią zginie.

- Nie wiem, może zrobiłbym to samo. Pojawiła się okazja i Calò nie miał czasu tego przemyśleć. Musiał szybko podjąć decyzję.

Zadzwoił telefon Burdena Podniósł go szybko i odebrał.

- García Burden - powiedział Macias. To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Cześć, Jorge.

- To wiele wyjaśnia - odrzekł Macias. - Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak starannie obmyślany plan tak szybko się rozsypuje.

- Czy on wciąż żyje?

- Kto?

- Cain.

- Tak.

- Daj mi z nim porozmawiać.

Macias przyłożył telefon do głowy Titusa.

- Powiedz mu, że żyjesz.

- Nic mi nie jest - powiedział Titus.

- Słyszałeś? - zapytał Macias.

- Musimy porozmawiać o tym, na czym stoimy, Jorge.

- Proszę bardzo. Nie mogę się doczekać, żeby to usłyszeć.

- Czy Luquín nie żyje?

- Teraz prawdopodobnie już tak.

- Jaka jest tam sytuacja?

- Zadzwoń do tego swojego wariata i zapytaj go.

- Próbowałem.

- Cóż, wyglądał tak, jakby był bardzo zajęty.

Milczenie.

- Twoi ludzie zostali wybici do nogi - powiedział po chwili Burden. - Na tym stoisz.

- Mów dalej.

- Chcę dobić targu. My zatrzymamy się tu, gdzie jesteśmy, i pozwolimy ci odejść. A ty pozwolisz odejść Cainowi. Prosta sprawa. Ale jeśli on umrze, umrzesz i ty. Masz na to moje słowo.

- Może po prostu zabiorę go ze sobą - powiedział Macias.

- Wykluczone.

Macias wiedział, że Burden to powie. Ale ich opinie co do tego, jakie mu pozostały możliwości, nie do końca się pokrywały. Nie zamierzał mówić tego Burdenowi, ale uważał, że ma pewne pole manewru. Burden nie targowałby

się z nim, gdyby Macias nie miał sporych szans na doprowadzenie do końca tego, co sobie zamyslił.

- Co zatem proponujesz? - Zirytowało go, że musiał zadać to pytanie. To było jak pytanie o zgodę, przyznanie, że Burden ma przewagę. Przynajmniej w tej chwili. Ale jego upokorzenie było niczym w porównaniu z nagłym przypływem panicznego strachu, który go ogarnął. Tak niewiele brakowało, żeby został zabity, a teraz miał ostatnią szansę uratowania tyłka. Nie mógł popełnić żadnego błędu.

- Umieściliśmy pluskwę w samochodzie - odparł Burden - a drugą ma Cain. Znamy więc każdy jego ruch. On ją połknął, Jorge, więc nie trudź się ściąganiem z niego ubrania i podobnymi bzdurami. Wiem, że masz plan ucieczki. Wiem, że chcesz porzucić samochód. Proszę bardzo. Ale zostaw w nim Caina. Żywego. Jeśli tak zrobisz, będziesz żył. Zrobisz cokolwiek innego i nie żyjesz.

- Tak, wiem. Już to powiedziałeś. - W głowie Maciasa szalała burza myśli. Cholera. Cholera. Coś tu jednak zabrzmiało zbyt gładko. Cain połknął pluskwę. Dlaczego Burden mu to powiedział? Takie sprawy trzyma się w tajemnicy. Dlaczego więc Burden to powiedział? Kłamał? Aby on sądził, że nawet jeśli porzuci samochód i ludzie Burdena stracą z nim kontakt wzrokowy, będą wiedzieli, gdzie jest Cain. Burden próbował mu wmówić, że nie ma wyjścia, musi zostawić Caina w navigatorze. Ale on tego nie kupował. W każdym razie nie tej części układu.

Poza tym jak, do diabła, zapewni sobie gwarancję, że go puszcza wolno, jeśli zrobi, czego chce Burden?

- To delikatny moment, García. Zrób coś, żebyś uwierzył, że dotrzymasz słowa.

- Muszę porozmawiać z Cainem, żeby to się udało.

Macias zamarł.

- Po prostu podaj mu telefon - dodał Burden, wyczuwając podejrzliwość Maciasa. - Muszę go uspokoić, Jorge. Nie rozumiesz jeszcze, z czym masz tu do czynienia.

Macias próbował to sobie poukładać w głowie, w której panował kompletny mętlik. Wiedział, że sytuacja wymyka mu się z rąk, i zaczął się gubić, usiłując przewidzieć wszystkie pułapki, oraz bać, że nie dostrzeża nawet najbardziej oczywistych.

- Podaj mu telefon, Jorge. On ci go szybko odda

To pewnie okaże się cholernym błędem, pomyślał Macias, ale musiał szybko podjąć decyzję. Samochód mknął autostradą. Wkrótce będą musieli z niej zjechać.

- Jeśli tego nie zrobisz - naciskał Burden - to się nie uda. Będzie po wszystkim.

Macias miał wszelkie powody, żeby mu nie wierzyć.

- On chce z tobą porozmawiać - powiedział, podając telefon Cainowi.

Zlany potem Titus, wyciągnąwszy rękę po aparat, dotknął przypadkiem dłoni Maciasa. Z trudem ukrył odrazę.

- Słucham.

- Titus - powiedział Burden - za chwilę będziesz musiał oddać telefon Maciasowi, muszę więc mówić szybko. Znalazłeś pistolet?

- Tak.

- W porządku, zdejmij teraz, gdy do ciebie mówię, „pieprzyk” z ręki i przyklej go po kryjomu do pistoletu. Oddasz mu broń, kiedy zażąda. Powiedziałem mu, że połknąłeś pluskwę i że przez cały czas wiemy, gdzie jesteś. Musi w to uwierzyć. Spróbuję go namówić, żeby zostawił cię w navigatorze w zamian za to, że go puścimy. A teraz szybko, po co on wrócił do Luquína?

- Po laptop.

Macias wyrwał telefon Titusowi i uderzył go w głowę tak mocno, że Cain gwałtownie skręcił kierownicę i samochód zjechał na pas zieleni. Navigator orał ziemię przez jakieś sto jardów, zanim Titus odzyskał panowanie nad pojazdem i wrócił na asfalt.

- Ty cholerny idioto! - krzyknął Macias do telefonu. Był roztrzęsiony i wściekły.

- Posłuchaj, Jorge - powiedział wolno Burden. - Zróbmy to bardzo ostrożnie, dobra? Pamiętaj, póki on żyje, ty też żyjesz. Jeśli zginie, zginiesz i ty. - Przeciągał to, żeby dać Titusowi czas na przełożenie pieprzyka. - Kiedy moi ludzie podstawili ci samochód pod La Terrazza, między przednie siedzenia wepchnęli pistolet. On już go znalazł. Jest odbezpieczony i gotowy do strzału. Powiedziałem mu, żeby ci go przekazał.

- Rozwałę mu łeb, García! - wrzasnął Macias. - Mam spluwać przy jego głowie! Zaraz go, kurwa, zastrzelę!

- Do cholery, to nie podstęp, Jorge.

Macias, trzymając telefon przy uchu, zwrócił się do Titusa.

- Co on ci powiedział?

W czasie tej wymiany słów między Maciasem a Burdenem Titus ostrożnie oderwał pieprzyk z prawego ramienia i przyciskał go właśnie do chropowatej rękojeści pistoletu. Wciąż mu szumiało w głowie od uderzenia, ale zanim odpowiedział, wolno i niezauważenie przeniósł rękę z pistoletu na dolną część kierownicy.

- Powiedział, żebym nie próbował używać tego pistoletu, który wsadzili między siedzenia. Powiedział, żebym ci go oddał.

Macias zastanowił się. Burden nie mógł chyba powiedzieć dużo więcej. Wcisnął lufę broni w podstawę czaszki Titusa i wolno sięgnął między przednie siedzenia. Zmacał rękojeść pistoletu i ostrożnie go wyciągnął. Był wyposażony w tłumik.

- Co teraz? - powiedział Macias do telefonu.

- W porządku, widzisz, jak idziemy ci na rękę? - zapytał Burden.

- Taa, widzę.

- Chcemy po prostu doprowadzić to do końca, Jorge. Jeśli odzyskamy Caina żywego i w jednym kawałku, masz wolną drogę. Tym razem dopisało ci szczęście. Wielkie szczęście.

Macias wiedział, że Burden nie kłamie, przynajmniej w tej jednej sprawie. Miał tę małą szansę *solo por suerte*. Liczyła się teraz każda chwila. Co jakiś czas zerkał przez tylną szybę, obserwując drogę. Nie zauważył, by światła jakiegoś samochodu stale trzymały się za nimi, więc pewnie śledzili ich za pomocą elektroniki, jak powiedział Burden. Nie musieli im siedzieć na ogonie. Jeśli się nie mylił, to jedyną szansę stwarzała mu odległość między nimi a śledzącym ich wozem. A następne posunięcie musiał wykonać w czasie, w którym ten dystans skurczy się do zera, i to w absolutnej tajemnicy.

- Co ty na to, Jorge? Dogadaliśmy się? - zapytał go Burden.

- Taa, dogadaliśmy się.

- W porządku, teraz twoja kolej: przekonaj nas, że możemy ci wierzyć - mówił Burden. - Zanim zostawisz Caina w navigatorze, dasz mu telefon, żebyśmy wiedzieli, że jest żywy. Będziemy do niego mówić do czasu, aż go odnajdziemy. Wtedy będziesz miał wolną drogę.

- *iHecho!* - odparł Macias i wyłączył telefon.

Wahał się przez chwilę, obliczając, powtarzając w myślach wszystkie elementy swojego planu, upewniając się, że o żadnym nie zapomni, że zmieści się w założonym czasie. Następnie wcisnął numery kodu na swoim telefonie i włączył wsteczne odmierzenie czasu w zegarku. Dał sobie na wszystko czterdzieści pięć minut.

Wolna droga. Też coś. Czy Burden myśli, że ze strachu zupełnie stracił głowę? Za cholere nie wypuści z rąk Titusa Caina, dopóki nie wydostanie się z tego bałaganu... a może nie puści go nawet później. Zobaczmy, jak to się rozwinie. A na razie dzięki małemu kłamstwu może zyska trochę czasu.

ROZDZIAŁ 56

- Jezu - mruknął Norlin.

Burden poczuł na sobie jego wzrok. Siedzieli w furgonetce, a ich oczy skakały nerwowo po ekranach monitorów.

- To jest bardzo ryzykowne - dodał Norlin.

- Chciałeś powiedzieć: bezduszne, prawda? - odparł Burden, nie patrząc na niego. - Tylko że nie chce ci to przejść przez gardło.

- Nie, chciałem powiedzieć: ryzykowne. Jeśli się pomylisz... to będzie bezduszne. Uzyskałeś prawie wszystko, co chciałeś, García. Więcej, niż się spodziewałeś uzyskać. Mogłbyś teraz odpuścić.

- I pewnie bym odpuścił... gdyby on nie wrócił po tego

laptopa. Jeśli zaryzykował życie, żeby go odzyskać, to chce go mieć.

- Ryzykując życie Caina?

- Cain to jeden człowiek. Bóg jeden wie, ilu ludziom można uratować życie dzięki temu laptopowi.

- A jeśli okaże się, że nie można? Jeśli nie uratujesz nikogo?

- Zachowujesz się tak, jakby Cain już nie żył. Posłuchaj, jeśli Macias wierzy, że Cain połknął pluskwę, to zostawi go z samochodem, bo musi zniknąć. A jeśli tak, to chcę, żeby Calò mógł go dopaść.

- To cholernie duże jeśli.

Burden nic nie odpowiedział i ignorując Norlina, przeniósł wzrok na monitory.

- A jeśli Macias tego nie kupi? - drążył Norlin.

Burden odwrócił się do niego.

- Pomyśl o tym, Gil. Wycięliśmy w pień jego ludzi. Do diabła, samemu trudno mi w to uwierzyć. To musiało go cholernie wystraszyć. Należy założyć, że Jorge Macias myśli teraz wyłącznie o ratowaniu własnego tyłka.

- A jeśli nie kupi tej bujdy o połknięciu pluskwy?

- Wtedy zabierze Caina ze sobą. Ale nawet jeśli to zrobi, to w jakimś zakamarku jego umysłu będzie się tliła myśl, że może jednak się pomylił. Że widzę na monitorze, jak wbrew temu, co uzgodniliśmy, Cain opuszcza samochód. I będzie pamiętał, co mówiłem: że jeśli zrobi coś innego niż to, co uzgodniliśmy, jest trupem. Już chwilę po gdy odstąpi od naszego porozumienia... jeśli to zrobi... zacznie się pocić krwią. Ludzie, którzy się pocą krwią, popełniają błędy. - Popatrzył na monitor. - Calò wciąż jedzie za navigatorem.

- Taa, trzyma się z daleka - powiedział jeden z techników. - Jest ponad milę za nimi.

Furgonetka znowu była w ruchu, jechała mniej więcej milę za samochodem Cala.

Burden nie odrywał wzroku od monitorów. Dotąd wszystko przebiegało o wiele lepiej, niż mógł się spodziewać, ale nie miał już wolnych ludzi i wiedział, że na to, co się wydarzy, może nie mieć wielkiego wpływu. A na razie mógł tylko obserwować rozwój wypadków.

- Można inaczej spojrzeć na jego sposób rozumowania odezwał się po dłuższym milczeniu. - Wie doskonale, że jego bezpieczeństwo zależy od Caina. Może się go uchwycić jak tonący koła ratunkowego. Jeśli to się tak potoczy i jeśli on z jakiegoś powodu wyrzuci pistolet albo go zgubi, albo w panice zapomni wziąć ze sobą, jesteśmy załatwieni.

- Cain jest załatwiony - poprawił go Norlin.

- Skręcili na South Loop One - powiedział jeden z techników.

- Dajcie mapy południowo-zachodniej części miasta - polecił Burden.

- Jeśli Macias będzie dalej jechał w tym kierunku... - Norlin pochylił się i wskazał mapę na największym z czterech ekranów - to dotrze do Oak Hill. Zbliży się do skrzyżowania, na którym będzie musiał wybrać między dwiema drogami. Jedna, stanowa, prowadzi do jezior i dalej ku Liano; drugą, autostradą krajową, można dojechać do Fredericksburga lub, na południe, do San Antonio. Obie prowadzą przez tereny ranczerskie.

Burden wpatrywał się w mapę. Macias zaczął realizować swój plan ucieczki. Żeby mu się to udało, musi zniknąć z ekranów monitorów. Musi w ogóle zniknąć.

Ręce Titusa drżały na kierownicy od nadmiaru adrenalin. Jadąc na południe, dotarli do miejsca, gdzie miasto wylało się na wzgórze. Ekskluzywne osiedla, które tu wybudowano, spływały w zalesione doliny i pełzyły po grzbietach wzniesień, a ich światła pokrywały całą tę okolicę niczym roziskrzona pleśń. Pozostali na autostradzie, kiedy w południowej części miasta zawróciła z powrotem na wschód, a kiedy skrzyżowała się z Loop 1, Macias kazał mu skręcić w prawo i jechać na południe.

Macias nie odzywał się, a Titusowi szczególnie działało na nerwy to, że wciąż mocno przyciskał mu pistolet do podstawy czaszki. Titus wyczuwał krągłość lufy i było to dla niego niczym nieustanne przypomnienie o trumnie.

Kiedy Loop 1 przecięła drogi 290 i 71, Macias kazał mu z niej zjechać między tradycyjne osiedla mieszkaniowe, ulica za ulicą parterowych domów, urozmaicone centrami handlowymi i zespołami bloków mieszkalnych.

- Zjedź tutaj - powiedział Macias i Titus skręcił pod nowe, rozległe centrum handlowe, na które składało się mnóstwo parterowych budynków udających domy ranczerów. Był tam całodobowy supermarket, całodobowy sklep z artykułami budowlanymi i wyposażenia wnętrz, całodobowa apteka, całodobowa restauracja i kilka mniejszych interesów ze wspólnym dużym parkingiem oświetlonym przez halogenowe lampy uliczne.

- Zaparkuj tam - nakazał Macias, wskazując jedno z największych skupisk samochodów na parkingu. Kiedy tam dojechali, wysiadł i otworzył Titusowi drzwi.

- Chodź - powiedział, ale gdy Titus obrócił się na siedzeniu, żeby wysiąść, Macias przyłożył mu lufę pistoletu do jabłka Adama. Nic nie powiedział, ale naciskał tak mocno, że Cain czuł, jak ugina mu się tchawica. Na koniec Macias, jakby chciał coś podkreślić, dźgnął go jeszcze silniej lufą, aż łzy napłynęły Titusowi do oczu.

- Daj mi kluczyki - powiedział.

Titus podał mu je, a Macias cofnął się o krok i pozwolił mu wysiąść.

Stojąc obok samochodu, Titus patrzył, jak Macias wyciąga koszulę ze spodni, żeby zakryć pistolet z mikronadajnikiem, który wsunął za pasek. Skulił się w duchu, zaniepokojony, czy Meksykanin nie zerwał przy tym „pieprzyka” z broni.

Macias objął go ramieniem.

- Sądzę, że chciałbyś zachować nerki - powiedział. - Chodźmy.

Ale Titus zamarł.

- Chwileczkę. Uzgodniliśmy co innego. Oni cię zabiją, jeśli nie zostanę przy samochodzie.

- Najpierw będą musieli nas znaleźć.

- Posłuchaj - zaczął Titus - ja... ja będę z tobą szczerzy. Nadaję sygnał. Połknąłem pluskwę. Oni przez cały czas wiedzą, gdzie jestem. Kiedy zobaczą, że oddalam się od samochodu, będziesz załatwiony.

- To dlaczego, do cholery, mówisz mi o tym?

- Bo nie jestem idiotą. Nie chcę zginąć w strzelaninie, a jeśli odejdę od tego wozu, oni ruszą na ciebie.

Stali twarzą w twarz. Macias roztaczał stęchły zapach

wody kolońskiej i potu. Obaj walczyli ze strachem, a każdy musiał sobie odpowiedzieć na pytanie, czy sprzyja mu szczęście i jak daleko może się posunąć. Titus czuł także oddech Maciasa i pomyślał, że wyczuwa w nim woń desperacji.

ROZDZIAŁ 57

Prowadził Kal, Ryan siedział obok niego, a Rita i Janet za nimi. Kiedy zjechali z Loop 1 South i skręcili na parking przy La Quanta Inn, Rita wyjrzała przez okno ich cherokee.

Gdy Kal zatrzymał jeepa obok furgonetki, otworzyły się jej tylne drzwi i na asfalt zszedł Garcia Burden. Wysiedli z cherokee i stanęli przy otwartych drzwiach furgonetki. Rita zobaczyła w jej zapchanym, ciemnym wnętrzu jarzącą się ścianę monitorów, na których migotały kolorowe plamki, i dobiegł ją szum transmisji radiowych.

- Dwie rzeczy - zwrócił się do niej Burden. - Pierwsza: nie mam więcej ludzi i zanim to się skończy, mogę potrzebować pani ochroniarzy. A zatem jest mi to na rękę.

Druga rzecz: ma pani rację. Jeśli on zginie, nie powinna tego pani oglądać na monitorze. Gdyby brało w tym udział wielu ludzi, jak wcześniej, nie pozwoliłbym pani przyjechać. Ale teraz zostali tylko oni, Titus i Macias.

Nadajnik Titusa się nie przemieszcza - ciągnął. - Sygnał dochodzi z tamtego centrum handlowego, gdzie widać te wszystkie światła. - Wyciągnął rękę, wskazując teren po drugiej stronie autostrady. Tył jego luźnej koszuli był cały ciemny od potu. Sprawiał wrażenie kompletnie wypompowanego.

- Calò już tam jest i próbuje dotrzeć możliwie jak najbliżej nich. Jeśli mamy szczęście, tu właśnie Macias zamierza zostawić Titusa.

Ryan i jeden z techników wynieśli z furgonetki monitor. Poszli z nim do cherokee i zaczęli go instalować między fotelami kierowcy i pasażera.

- Hej - odezwał się od monitorów Norlin. - Sygnał od-
dała się od navigatora.

Burden w jednej chwili znalazł się w furgonetce, a reszta
zgrupowała się przy tylnych drzwiach.

- To wielki supermarket - powiedział Norlin, wskazując
plan widoczny na jednym z monitorów. - Sygnał dobiega
teraz ze środka.

Burden zadzwonił do Cala.

- Taa, widzę - potwierdził Calò. - Wjeżdżam na parking.
Spróbuję zbliżyć się ostrożnie do navigatora.

Nikt nie musiał mówić, że to niedobrze. Mikronadajnik
był na pistolecie. Titus miał do nich zadzwonić, gdy Macias
opuści samochód. Nie zadzwonił.

Rita przypomniała sobie wcześniejszą rozmowę z Bur-
denem. Upierała się, że chce być jak najbliżej miejsca wyda-
rzeń, i oto była. Postanowiła, że prędzej ją szlag trafi, nim
się załamie i zacznie histeryzować. Nie zrobi tego. Titus
żyje. Wiedziałyby, gdyby umarł. Wierzyła w to tak mocno
jak w to, że rano znowu wszędzie słońce. Wbiła wzrok w
ciemne wnętrze furgonetki i czekała.

Poganiiany Titus w końcu się ruszył i poszli w stronę su-
permarketu.

W ogromnym, jasno oświetlonym sklepie Macias zwol-
nił. Tak swobodnie, jak to tylko było możliwe, przeszli mię-
dzy półkami z produktami zbożowymi, napojami i mrożon-
kami, minęli dział z warzywami i owocami oraz mięsny,
pchnęli wielkie drzwi wahadłowe i znaleźli się na zapleczu.
Niekórzy z pracowników rzucali im zaciekawione spojrze-
nia, ale nie płacono im wystarczająco dużo, żeby byli nad-
miernie ciekawi, toteż Titus i Macias niezaczepli przeszli
cały magazyn i otworzywszy metalowe drzwi, wydostali się
na uliczkę za sklepem.

Macias rozejrzał się dookoła i znowu wbił pistolet w ner-
ki Titusa, po czym popchnął go do przodu. Ruszyli wzdłuż
stojących z tyłu supermarketu pojemników ze śmieciami,
których stęchły smród unosił się w nieruchomym powie-
trzu. Po drugiej stronie uliczki ciągnął się wysoki drewnia-
ny płot zasłaniający sklepowe śmietniki przed wzrokiem
mieszkańców z pobliskiego osiedla.

Macias wytrwale sprawdzał każde zaplecze, a kiedy znaleźli się w nieoświetlonym miejscu między sklepem zoologicznym i fotograficznym, nakierował Titusa lufą pistoletu i skrzył w stronę płotu.

Zwolnili do kroku spacerowego, potem do bardzo wolnego kroku spacerowego, a następnie zatrzymali się i cofnęli o kilka metrów. Macias jeszcze raz omiótł wzrokiem tylne ściany sklepów, najwyraźniej po to, żeby sprawdzić, czy jest we właściwym miejscu, a potem podszedł do płotu, odchylił trzy sztachety i, zmusiwszy Titusa, żeby wszedł pierwszy, wsunął się za nim na tylne podwórko małego parterowego domu. Zarośnięte chwastami podwórko oświetlały tylko latarnie uliczne, a dom był ciemny.

Macias otworzył kluczem kuchenne drzwi i wepchnął przez nie Titusa, któremu w pierwszej chwili wydało się, że ciemność w kuchni rozpraszają tylko lampy uliczne. Zaraz potem dostrzegł jednak jasną linię u dołu zamkniętych drzwi. Macias kazał mu je otworzyć i weszli do garażu. Stała tam czarna honda accord, a na jej bagażniku siedział z nogami na zderzaku jakiś mężczyzna.

- Zaraz, zaraz - powiedział zaniepokojony i zeskoczywszy z samochodu, zaczął się uważnie przyglądać Titusowi. - O, cholera, co tu się dzieje, Jorge?

Brakowało mu parę lat do trzydziestki i był Latynosem, chociaż mówił bez obcego akcentu. Miał na sobie dżinsy i rozpiętą nylonową koszulę z krótkimi rękawami, a pod nią białego T-shirta.

- Żadnych pytań - odparł Macias.

Młodszy mężczyzna wyglądał tak, jakby chciał dać nogę, a jego wzrok nerwowo biegał między Titusem a Maciasem.

- Słuchaj - rzucił - kiedy zadzwoniłeś do mnie i kazałeś mi tu przyjechać, powiedziałaś tylko, że mi zapłacisz. Ja... ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Ty nie masz z tym nic wspólnego, Elias - odparł Macias. - Musisz tylko wykonać jeszcze jedną robotę i na tym skończysz.

- Jeszcze jedną? Myślałem, że przyjeżdżam tu po moją ostatnią zapłatę za fotografie. Powiedziałaś też, że zwrócisz mi pieniądze za laptopa, którego mi zabrali.

Titus przyjrzał się młodemu mężczyźnie. Czy to ten

facet, który zrobił zdjęcia Rity? Macias musiał czytać w jego myślach, bo znowu dźgnął go pistoletem w nerkę, nakazując, żeby trzymał głowę na kłódkę. Titusa coraz bardziej bolały plecy od tego ciągłego poszturchiwania.

Macias wyciągnął z kieszeni kluczyki do navigatore i rzucał je młodemu mężczyźnie.

- Na parkingu tego centrum handlowego, przed supermarketem, stoi lincoln navigator. Ciemnoniebieski. Chcę, żebyś go odprowadził do San Marcos. Przed miastem wypatrzyj pierwszej stacji Texaco po prawej. Zjedź na nią i zatrzymaj się. Znajdziesz tam innego navigatora, takiego samego jak ten, którym przyjedziesz. Twoje pieniądze są w schowku na rękawiczki. Weź je i odjedź. To wszystko.

Elias Loza wbił w niego wzrok.

- Skąd ta nagła zmiana planów? Tego nie było w umowie. - Zerknął na Titusa. - Wygląda mi na to, że wszystko się tu sypie. Nie było mowy o żadnym odprowadzaniu samochodu. Jeśli to... jeśli wszystko się sypie...

- Nic się nie sypie - przerwał mu Macias. - Jesteśmy po prostu elastyczni. Ty też musisz być elastyczny.

- Nie chcę być elastyczny. Chcę resztę moich pieniędzy.

- Cóż, twoje pieniądze są elastyczne... nie ma ich tutaj. Są w tym drugim samochodzie... w San Marcos.

Loza wpatrywał się w Maciasa. Titus czytał w jego myślach: Albo pieniądze są w drugim samochodzie, albo... ten sukinsyn może mnie zastrzelić tu, na miejscu.

- A więc o to chodzi?

- Taa, chodzi o to.

Oburzony, ale jeszcze bardziej wystraszony, Loza podniósł swoją torbę fotograficzną. Kiedy się wyprostował, spojrzął na Titusa, a potem znów na Maciasa.

- Nie wiem, co tu się dzieje - rzekł - ale coś mi nie gra w tym, co chcesz, żebym zrobił. I nie mam broni, nic...

Macias zaklął. Titus domyślał się, że z rozkoszą zastrzełiłby tego faceta i zwał stąd gdzie pieprz rośnie, ale chciał, żeby nadajnik, który, jak myślał, był w navigatorskiej, wyjechał z miasta. Nagle podniósł koszulę i zza paska spodni wyciągnął pistolet. Rzucił go zaskoczonemu Lozie, który chwycił go wolną ręką i przycisnął do brzucha.

- Spadaj stąd, do diabła - powiedział Macias.

Loza popatrzył na pistolet, potem na Maciasa, a na koniec zerknął na Caina. Przez krótką chwilę Titus myślał, że Loza strzeli do Maciasa. Ale to była złudna nadzieja. Loza odwrócił się i wyszedł z garażu.

ROZDZIAŁ 58

Romo Calò odnalazł navigatora wśród samochodów stojących przed supermarketem. Zamiast ograniczyć się do obserwacji z daleka, zdecydował, że pójdzie na całość. Zaparkował kilka metrów od śledzonego wozu, tak żeby go mieć między swoim samochodem a wózkami na zakupy.

Kiedy idąc po wózek, przechodził obok navigatora, zaczął się bawić kluczykami. Niczego nie zauważył. Wyciągnął wózek, po czym udał, że zapomniał czegoś w samochodzie, i znowu przeszedł obok wozu Maciasa. Tym razem też niczego nie dostrzegł. Otworzył swój samochód, zamarkował, że coś z niego wyjmuje, i kolejny raz minął navigatora, wracając po wózek.

W drodze powrotnej, wciąż nie widząc nic podejrzanego, zatrzymał się obok śledzonego wozu, zostawił wózek i wśliznąwszy się między samochody, zajrzał do środka. Nic. Szybko wrócił do wózka i ruszył w stronę wejścia do supermarketu, wyciągając telefon komórkowy.

- Samochód jest pusty - poinformował ekipę w furgonetce. - *Nada*.

- Miej go na oku - polecił mu Burden. - Odezwiemy się do ciebie.

Calò wyłączył telefon i obejrzał się za siebie akurat na czas, żeby zobaczyć mężczyznę, który między rzędami samochodów szedł w stronę navigatora. Rozglądał się dookoła, przystawał i znowu ruszał, jakby czegoś szukał. W końcu dostrzegł navigatora i już się nie zatrzymując, zmierzał prosto ku niemu. Calò szybko zawrócił i pchając wózek, ruszył w tamtą stronę. Facet zerknął za siebie, zobaczył Calà, ale nie zwrócił na niego uwagi.

Mężczyzna oglądał samochód, jakby go nie znał. Uniósł

wzrok i rozejrzał się dookoła, O co tu chodzi? zastanawiał się Calò. Chce go ukraść? Potem tamten podszedł do drzwi i skierował na niego pilota; navigator pisnął i facet je otworzył.

Miał jeszcze jedną nogę na asfalcie, kiedy Calò barkiem zablokował drzwi, które tamten właśnie miał zatrzaskać. Pistolet Cala w jednej chwili znalazł się przy jego twarzy.

- Ani mru-mru - warknął Calò. - Jesteś sam?

Facet skinął głową.

- Coś za jeden?

- Elias Loza.

Calò zbliżył lufę pistoletu do ust Lozy i dotknął nią jego warg. Zauważył, że na siedzeniu obok kierowcy leży jakaś torba.

- Co jest w tej torbie?

- Aparat fotograficzny.

- Masz broń?

Facet skinął głową.

- Gdzie?

Loza spojrział na swój brzuch.

- Tutaj.

Calò przyłożył mu lufę do czoła i wyciągnął pistolet zza paska spodni Lozy. Ze zdumieniem zauważył, że jest to ta sama broń, którą schował między siedzeniami dla Titusa. Zwolnił magazynek, ale okazało się, że jest pusty.

- Skąd to masz, do cholery?

- Od Jorge Maciasa. - Loza nie miał żadnych wątpliwości, że to nazwisko jest dobrze znane temu człowiekowi.

- Gdzie go znajde?

- Posłuchaj, ja nie mam nic...

- Gdzie?!

- Tam... po drugiej stronie centrum handlowego... w jednym z tych domów...

- Co tu robisz? Loza powiedział mu.

- Jaki jest tam adres?

Gdy Loza podawał mu adres, Calò wyciągnął telefon.

- Jest z nim jakiś człowiek? - zapytał.

- Taa.

- Ktoś jeszcze?

- Nie.
- Dokąd się wybierają?
- Nie wiem.

Calò uderzył go w usta lufą pistoletu. Zrobił to tak szybko, że zanim Loza poczuł ból, znów miał ją między oczami.

- Nie, nie, nie... - bełkotał, a z rozciętej wargi i dziury po wybitym zębie lała mu się krew. - Och, och, kurwa, ochhh... naprawdę nie, nie... ja nie wiem, dokąd oni, cholera, jadą. Ja nie... nie wiem nic o tym...

Nie odrywając wzroku od oczu Lozy i wciąż przyciskając lufę pistoletu do nasady jego nosa, Calò szybko relacjonował wszystko Burdenowi.

- A najgorsze jest to - zakończył - że mam tu ten cholerny pistolet z nadajnikiem.

- Sprawdź go - polecił Burden. - Czy ten „pieprzyk” wciąż tam jest?

- Co ci mówi sygnał?

- Że jest mniej więcej pięćset metrów na zachód od ciebie.

- Naprawdę? - Calò wepchnął Lozę głębiej do samochodu i kazał mu się zwinąć na podłozie. Loza zrobił to, jęcząc, a Calò zbliżył pistolet do lampki oświetlającej wnętrze. Zanim doszedł do wniosku, że na broni niczego nie ma, oglądał ją z uwagą prawie przez minutę.

Burden razem z Ritą i innymi wsiadł do jeepa cherokee i przejechali na drugą stronę autostrady, gdzie Janet i Ryan przejęli Lozę i zabrali go navigatorem.

Calò wrócił do swojego samochodu, a Rita została w cherokee z Burdenem i Kalem. Siedząc samotnie na tylnym fotelu, słuchała, jak trzej mężczyźni dyskutują, zastanawiając się, jak najlepiej rozegrać starcie z Maciasem. Nie zdążyli jednak wyjechać z ogromnego parkingu, kiedy sygnał zaczął się oddalać od domu, do którego zmierzali.

- Calò - powiedział Burden, obserwując monitor - jedź za źródłem sygnału. Nie wiem, co się stało z tym cholernym „pieprzykiem”, czy został usunięty z pistoletu celowo, czy przypadkiem, ale musimy przyjąć, że Macias nie wie, że wciąż siedzimy mu na karku. Jednak najpierw powinieneś się na tyle zbliżyć do źródła sygnału, żeby zobaczyć tę hon-dę. Musimy się dowiedzieć, czy to w niej jest nadajnik,

czy też Macias umieścił go w jakimś innym pojeździe, żeby nas zmylić.

Macias ponownie usiadł z tyłu, a Cain za kierownicą. Stosując się do poleceń Meksykanina, wrócił na autostradę Loop 1 South, gdzie skręcił w stronę Oak Hills. Titus analizował swoje położenie. Nie było dobre. Teraz, gdy „pieprzyk” pojechał do San Marcos, był zdany tylko na siebie. Wiedział, że Burden od początku miał mały zespół, a że dotąd wszystko toczyło się zgodnie z planem, nie ściągnął posiłków, które mogłyby przeciwdziałać temu niespodziewanemu rozwojowi wypadków. Kolejna niemiła niespodzianka dla Burdena.

Macias dał wyraźnie do zrozumienia, że życie Titusa wiąże się bezpośrednio z jego własnym bezpieczeństwem. Titus to rozumiał, ale dręczyło go pytanie, co się stanie, kiedy Macias uzna, że jest już bezpieczny. I jak bardzo musi się czuć bezpieczny, zanim zdecyduje, co zrobić z zakładnikiem. Wciąż się nad tym zastanawiał, ale nie potrafił dostrzec, jaką korzyść mógłby odnieść Macias, zabijając go, kiedy już mu nie będzie potrzebny.

Z drugiej strony to, że Titus nie widział powodów, by Macias miał go zabić, nie znaczyło, że ich nie ma albo się nie pojawią. Bóg wie, że w ostatnich dniach było już nazbyt wiele nagłych zwrotów akcji.

- Uważaj na ograniczenia prędkości - powiedział Macias. - Żadnych glin.

Titus spojrział w lusterko wsteczne, ciekawy, co robi Meksykanin. Macias wciąż obserwował drogę za nimi. Był wyraźnie zdenerwowany. Może teraz czuł się nieco lepiej, zyskawszy chwilę wytchnienia, ale był realistą. Wiedział, że przewaga, którą zyskał, jest minimalna i w każdej chwili może ją stracić.

Titus uznał, że powinien wyrobić sobie jakieś pojęcie o stanie umysłu Maciasa i jego zamiarach.

- W San Marcos nie ma żadnych pieniędzy, prawda? - zagadnął. - Założę się, że nie ma tam nawet drugiego nawigatora.

- To jego problem - odparł Macias. - Da sobie z nim radę. Ty masz inne problemy, o których powinieneś myśleć.

Jechali przez miasteczko Oak Hill na południowo-zachodnich obrzeżach Austin. Jeszcze kilka minut i Macias będzie musiał podjąć decyzję. Tak czy owak, ruch niedługo zmaleje do minimum i łatwiej będzie zauważyć ogon.

- Jak się upewnisz, że Luquín nie żyje? - zapytał Titus.

- Po tym, co zobaczyłem w tamtym domu, nie muszę się obawiać, że Tano dożyje świtu. Wygląda na to, że wszyscy chcą go widzieć martwym. Nadszedł jego czas. Kiedy psy zwietrzą krew, to nie popuszczą.

Dojechali do skrzyżowania.

- Prosto - polecił Macias i pozostali na drodze 290. Mogli nią dojechać do Fredericksburga lub do San Antonio. Titus uznał, że bardziej prawdopodobne jest San Antonio.

- Chciałbym wiedzieć jedno - odezwał się Macias. - Jak, do diabła, znalazłeś Garcíę Burdena?

Titus powiedział mu prawdę, nie wymieniając żadnych nazwisk.

- I pojechałeś się z nim spotkać zaraz następnego dnia?

- Tak.

- Jak?

Titus jeszcze raz powiedział mu prawdę. Macias pokręcił głową.

- I to było zaledwie trzy dni temu?

- Tak.

Milczenie. Titus słyszał, że Macias syczy pod nosem.

- Tylko Garcíá Burden mógł w trzy dni rozpieprzyć operację przygotowywaną prawie dwa miesiące - powiedział. - Całkowicie ją rozpieprzyć.

Nie całkowicie, pomyślał Titus. Macias wciąż trzymał pistolet przy jego głowie.

Zostawili za sobą miasto i przedmieścia. Teraz po obu stronach drogi przeważnie była tylko ciemność.

- Jak daleko jedziemy? - zapytał Titus.

- Nie zwracaj sobie tym głowy - odparł Macias.

Titus sądził, że Macias wyrzuci go z samochodu w jakimś odludnym miejscu przy drodze lub ciemnym zaułku w San Antonio. Wtedy on poszuka jakiegoś automatu telefonicznego i będzie po wszystkim. Nie mógł się tego doczekać, nie mógł się doczekać końca tego całego szaleństwa. Skupił

uwagę na drodze i próbował oderwać myśli od... wszystkiego.

Ale nie mógł ich oderwać od faceta na tylnym siedzeniu. Myślał o tym, co powiedziała Rita, że chociaż to jest okropne, wciąż wyobraża sobie Charliego z wnętrznościami zaplątanymi w piłę łańcuchową i wciąż widzi duszącą się, próbującą złapać powietrze Carlę. Nie potrafiła zrozumieć, jak to wszystko mogło się zdarzyć, jak to w ogóle było możliwe. Titus też nie mógł tego zrozumieć. Doprowadzało go do furii, że człowiek, który to wszystko zorganizował i przeprowadził, siedzi teraz za nim, a on pomaga mu w ucieczce. Boże, a Carla i Charlie nie zostali jeszcze nawet pochowani.

- Zwolnij - powiedział Macias.

ROZDZIAŁ 59

Kiedy stało się jasne, że Macias jedzie drogą 290 na zachód, Burden połączył się przez radio z Cal'em.

- Calò - zapytał - masz jeszcze gogle noktowizyjne?

- Taa.

- W porządku, o tej porze droga będzie prawie pusta. Włóż gogle, wyłącz światła, zbliż się do źródła sygnału i zobacz, czy to jest honda accord. Będzie jechał z dozwoloną prędkością, więc przy odrobinie szczęścia szybko go dogonisz.

- Co z glinami?

- Jeśli cię złapią, ściągnij gogle i po prostu zapłać mandat. Masz dobre papiery, prawda?

- Taa. Nic mi nie będzie.

Przez następne dwadzieścia minut Kal pilnie obserwował prędkościomierz, podczas gdy Calò na bieżąco relacjonował, co się dzieje, pędząc na złamanie karku z wyłączonymi światłami i widząc przed sobą świat w różnych odcieniach zieleni.

Dla Rity było to prawie pół godziny niewiarygodnego napięcia. Nie odrywała oczu od monitorów i wyciężała słuch,

usiłując wyłuskać z suchych meldunków Cala jak najwięcej informacji. Rozboleł ją brzuch, a z twarzy Kala i Burdena, którzy beznamiętnie słuchali i obserwowali monitory, niczego nie potrafiła wyczytać.

- Mam ich! - krzyknął nagle Calò. - Światła hamowania. Zwalniają... w dole przede mną...

- Gdzie? Co tam jest?

- Nic. Jakieś odludzie. Ostro hamuję. Muszę się zatrzymać...

Titusa to zaskoczyło. Zwolnić? Czy Macias zostawi go po prostu na poboczu?

- Zwolnij - powtórzył Macias.

Titus był zdezorientowany. Znajdowali się w samym środku jakiegoś pustkowia, a na dodatek było tak ciemno, że oko wykol.

- W porządku, widzisz te czerwone światełka odbłaskowe na ogrodzeniu? Tam jest rów przykryty kratownicą, przeszkoda dla bydła. Przejeźdź po niej. No już, szybko.

Titus zauważył, że droga jest zupełnie pusta, i to w obu kierunkach. Na to zapewne liczył Macias i się nie przeliczył.

Titus zjechał na pobocze, a potem skręcił na kratownicę nad rowem. Światła reflektorów wyłowiły z ciemności koleiny drogi gruntowej. Między nimi rosły najróżniejsze trawy, które już spaliło czerwcowe słońce.

- Wyłącz reflektory i zatrzymaj się - rozkazał Macias. Titus wykonał polecenie.

- Otwórz okna - powiedział Macias.

Wnętrze samochodu wypełniły głosy nocnych owadów i zapach traw. Gdy ich oczy dostosowały się do ciemności, koleiny zaczęły lekko fosforyzować w świetle księżyca.

- Widzisz dość, żeby prowadzić - powiedział Macias. - Ruszaj.

Titus wrzucił bieg i powoli ruszył polną drogą. Szorując podwoziem o wysokie trawy, pokonał najpierw lekkie wzniesienie, a potem zjechał po łagodnym stoku. Przed sobą widzieli falujące wzgórza, trawy, na które padało blade światło księżyca, czarne plamy lasów, a nad głowami nocne niebo roziskrzone zimnymi jak lód gwiazdami.

- Zatrzymaj się i wyłącz silnik - polecił Macias.

Titusowi wcale się to nie spodobało.

Macias wziął swój laptop i pistolet, po czym wysiedli z samochodu i ruszyli przed siebie. Wzgórza były kamieniste, porośnięte kępami traw i z rzadka cedrami, które niespodziewanie wyłaniały się z ciemności.

Serce Titusa biło coraz mocniej. Nie potrafił sobie wyobrazić żadnego wyjścia z tej sytuacji. Zeszli do płytkiej dolinki i szli nią, potykając się na kamieniach, wpadając na kaktusy. Księżyc dawał dosyć światła, by mieli ogólne pojęcie o kierunku, w którym się poruszają, za mało jednak, żeby widzieli szczegóły. W końcu wyszli z dolinki na grzbiet wzgórza.

- Siadaj - rozkazał Macias, naciskając lufą pistoletu na bark Titusa. Następnie wyjął telefon komórkowy i nacisnął guzik.

- *Estamos aquí* - powiedział. - *iÁndale! iÁndale!*

Obaj ciężko dyszeli i byli spoceni, w butach mieli pełno kamyków i drobnych patyczków, a w skarpetkach dziury po kołcach ostnic.

Titus gubił się w domysłach. Potem nagle usłyszał głęboki dźwięk, niepodobny do niczego, co kiedykolwiek słyszał, jakby szybkie pokaszływanie zabarwione niskim świstem. Patrząc w kierunku źródła tego dźwięku, dostrzegł dwie rosnące w oczach gwiazdy. Gdy stały się naprawdę duże, inne wokół nich znikły, przesłonięte przez czarną sylwetkę helikoptera. Potem uderzył w nich podmuch jego łopat i maszyna wolno, niemal w ciszy, zawisła przed nimi.

- Chodźmy - powiedział Macias, ściskając laptop i popędzając Titusa lufą pistoletu.

Gdy Titus podniósł się z klęczek, w prawej dłoni trzymał kamień wielkości grejpfruta. Ciemność dała mu szansę, której potrzebował.

Machnął ręką z całej siły, ale kamień wyśliznął mu się z dłoni i cios był niezbyt celny. Mimo to Macias, trafiony w lewe ucho, wypuścił laptop i zatoczył się do tyłu. Ale nie upadł. Titus ugiął nogi i uderzył go barkiem w brzuch z całą siłą, jaką zdołał z siebie wykrzesać. Zbiło to ich obu z nóg i upadli pięć stóp dalej, z tym że Macias zwałił się na ziemię,

ale nie stracił głowy. Natychmiast zaczął tłuc Titusa kolbą pistoletu po twarzy. Titus, broniąc się, przypadkiem położył rękę na innym kamieniu, którym zaraz uderzył Maciasa w czoło, ale zbyt słabo, gdyż Meksykanin zaczął strzelać.

Titus przetoczył się w bok, żeby uniknąć kul, a oszłamiony Macias, usiłując dojsć do siebie, podniósł rękę z pistoletem. Był jednak zbyt otumaniony, żeby dobrze wycełować. Padło jeszcze więcej strzałów, w niebo, w ziemię, obok twarzy Titusa, ale żaden pocisk go nie trafił.

Zanim Macias zdołał się podnieść, Titus znowu zaatakował. Wpadł w szal, tłukł go obu rękami, nie pozwalając mu oprzytomnieć. Pistolet znowu wystrzelił. Lufa była przy szyi Titusa i strzał wypalił mu ślad pod żuchwą. Titus rzucił się na pistolet. Wyłamał Maciasowi palce, wyrwał mu go z dłoni i strzelił - gdzieś w brzuch. Wypalił jeszcze raz, odłupując mu część twarzy - Titus zobaczył to w błysku wystrzału. Potem jeszcze raz - gdzieś, w coś. I jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz, aż broń przestała strzelać.

Przeszywające ciemność błyski sprawiły, że unoszący się nad ziemią helikopter jakby się zawahał. Spod jego brzucha na stojącego nad trupem Titusa trysnął strumień jaskrawo-błękitnego światła.

W kieszeni Maciasa zaczął dzwonić telefon, ale Titus nie miał siły po niego sięgnąć. Ugięły się pod nim nogi i z pistoletem w rękę padł na twardą ziemię obok człowieka, którego zabił. Ciężko dyszał, ale w podmuchach wzniesionej przez helikopter wichury nie potrafił zaczerpnąć dość powietrza.

Nagle reflektor zgasł i na niebie znowu, bardzo powoli, rozjarzyły się gwiazdy. Ciemna maszyna zaczęła sunąć w bok, unosząc ze sobą wiatr i tajemnicę swego pochodzenia. Trzymała się nisko nad ziemią. Przyciszony odgłos jej silnika szybko zaczął zanikać, ale niebieskim światłem zajęło to więcej czasu. W końcu stały się malutkimi jasnymi punktami, których nie można było nawet odróżnić od gwiazd.

ROZDZIAŁ 60

Łądowisko znajdowało się na ranczu leżącym na pełnym odludziu około pięćdziesięciu mil od Austin. Pas startowy zajmował środek wąskiej doliny ciągnącej się półtorej mili od drogi numer 71. Stał tam mały hangar (pusty) i przylegający do niego warsztat. Pięćdziesiąt metrów dalej znajdowały się dwa zbiorniki paliwa. Kolejne pięćdziesiąt metrów od zbiorników stała stara, czarna jak smoła cessna grand caravan. Światła samolotu były zgaszone, drzwi otwarte do załadunku, a pod kadłubem siedzieli pilot z pomocnikiem. W ciemnościach widać było tylko ogniki ich papierosów.

Baas pojawił się pierwszy. Zjechał z porośniętego cedrowym lasem wzgórze w dolinę z taką swobodą, jakby to już robił z milion razy. Zatrzymał range rovera Titusa obok cessny i wysiadł. Pilot i pomocnik podbiegli do terenówki, żeby mu pomóc ze zwłokami ochroniarza Maciasa. Wyciągnęli je z samochodu i złożyli w przedziale ładunkowym cessny. Ciało, już zmieniające kolor po cyjanku, spoczęło na nagim aluminiowym pokładzie.

Kiedy z nim kończyli, przyjechał Tito, a za nim Cope. Wyładowanie trzech zakrwawionych trupów z pathfindera Tita było dość makabryczną robotą.

Gdy umieścili je obok ciała ochroniarza, Tito odprowadził pathfindera na skraj pasa startowego i zatrzymał go obok hangaru. Następnie otworzyli wszystkie drzwi samochodu i rozsypali w nim proszek do prania, który Cope kupił w całodobowym sklepie w Paleface. Potem przeciągnęli od hangaru wąż i zaczęli łąć wodę do pathfindera, z którego prawie natychmiast chlusnęła różowa piana.

Kiedy skończyli, Cope i Tito zdjęli ubrania, wyprali je w reszcie proszku, a ponieważ noc była ciepła, rozwiesili je na gałęziach cedru, żeby wyschły. Następnie wszyscy usiedli i paląc papierosy, czekali, aż przyjedzie jeszcze jedna osoba.

Minęła godzina, potem druga, lecz nikt się nie zjawił. Nagle zadzwonił telefon Tita.

- Tito - odezwał się Calò - zaraz u was będę.
- Co? Co się stało?

- Nic złego. Po prostu wydarzyło się coś nieoczekiwane-
go. Zobaczycie za kilka minut. Jest tam Luquín?

- Nie. Nic nie wiemy.

Niecierpliwie wypatrywali w zaroślach świateł jego sa-
mochodu. Kiedy przejechał wzdłuż lądowiska i zatrzymał
się obok cessny, wszyscy już tam byli.

Calò wysiadł z samochodu spocony jak mysz i bez słowa
otworzył bagażnik. Cope, Baas i Tito podeszli bliżej i zajrze-
li do środka.

- Jasna cholera - mruknął Cope.

Stali tam, jakby ich wmurowało.

W końcu Baas uniósł wzrok i zapytał:

- Co się stało?

Gdy wyciągali ciało Maciasa z bagażnika, Calò opowie-
dział im, jak to się pojawił na miejscu wydarzeń, gdy czarny
helikopter odlatywał w ciemność, jak myślał, że się spóźnił i
Macias porwał Titusa, jak usłyszał czyjś kaszel i poszedł w
stronę źródła tego dźwięku, gdzie natknął się na Titusa.
Kiedy Burden i Kal przybyli tam z Ritą, Calò odjechał z cia-
łem Maciasa, pędząc z maksymalną prędkością na lądowi-
sko, żeby zdążyć przed odlotem cessny.

- A co z tym cholernym „pieprzykiem”? - zapytał Cope.

- Co tam się, do diabła, stało? Czy Macias go zdjął? Gdzie go
przykleił?

- Wciąż odbieraliśmy jego sygnał, kiedy wszyscy byli już
na miejscu - odparł Calò. - Cain był zaskoczony. Myślał, że
nadajnik jest na pistolecie, który wziął Loza. W końcu zna-
leźliśmy go we włosach na brzuchu Maciasa. Domyślamy
się, że Cainowi nie udało dobrze przykleić „pieprzyka” do
pistoletu i odpadł się od niego, kiedy Macias wepchnął go
za pasek spodni lub gdy go wyciągał, żeby dać Lozie.

Calò spojrział na zegarek, po czym rzucił zatroskane spoj-
rzenie na koniec lądowiska.

- Bierzmy się do roboty - powiedział - i wyczyścimy ba-
gażnik.

Zanim skończyli, zrobiła się za dwadzieścia trzecia. We-
dług planu była to nieprzekraczalna pora odlotu cessny.
Czas minął.

- Dajmy mu jeszcze dziesięć minut - zaproponował
Calò.

- Gdyby był gdzieś w pobliżu, chyba by zadzwonił - odezwał się Tito.

- Jest! - zawołał Cope. Wszyscy się obrócili i zobaczyli światła reflektorów samochodu, który wychynął zza wzgórza i skierował się w stronę lądowiska. Czarny navigator Cayetana Luquína zbliżał się do nich skrajem pasa startowego. Kierowcy najwyraźniej się nie spieszyło.

Zatrzymał się przy samolocie. Żaden z sześciu mężczyzn stojących obok cessny nie wiedział, kim jest ten człowiek, i nigdy nie miał się tego dowiedzieć. Otworzyły się drzwi kierowcy. Mężczyzna, który wysiadł z samochodu, miał na sobie tylko spodnie. Poza częściowo oczyszczoną twarzą cały był pokryty farbą maskującą. Spod zmierzwionych włosów upiornie lyskała białka jego oczu.

Nie odzywając się do nikogo, podszedł od tyłu do navigatora i otworzył drzwi. Jednak zamiast ciał, które spodziewali się ujrzeć, w samochodzie leżał stos wypełnionych czymś grubych czarnych worków na śmieci.

Zdziwili się, ale nikt nie powiedział ani słowa. Zaczęli wyładowywać worki, po dwóch na jeden, gdyż to, co zawierały, przesunęło się w środku, utrudniając noszenie.

Kiedy wszystkie osiem złożyli w samolocie, Baas powiedział do Tita:

- Nie zapomnij, że to nie może zostać w workach.

Tito skinął głową.

- Taa, wiem. Już o tym pomyślałem.

Cope zagwizdał pod nosem.

Gdy kończyli załadunek, pilot uruchomił silniki. Mężczyzna, który przywiózł worki, kucnął w drzwiach przedziału ładunkowego. Najwyraźniej też zamierzał polecieć.

Tito popatrzył niechętnie na niego.

- Cholera - powiedział do pozostałych.

- Nie ma sprawy, zostań, polecę za ciebie - odezwał się Calò. - Tylko zadzwoń do Garcíi i powiedz mu, że potrzebujemy jeszcze dwóch kierowców. Kiedy się tu zjawią, odprawicie wszystkie samochody na złomowisko w San Antonio, jak zaplanowaliśmy. Przypilnujcie, żeby wszystkie zostały sprasowane. Potem odbierzcie furgonetkę obserwacyjną od ludzi Norlina. Zacie miejsce spotkania, prawda?

Tito pokiwał głową.

- Tak - odparł.

Calò spojrział na kokpit. Pilot uniósł kciuk, dając znak, że jest gotów. Calò skinął mu głową.

- Jeszcze jedno, Tito. Powiedz Garcíi, że Luquín w końcu dojechał.

- *Bueno* - odparł Tito. Spojrział na luk ładunkowy. - Masz u mnie dług, *Jefe*.

Calò też popatrzył w tamtą stronę.

- Cholera - mruknął.

Kiedy *cessna caravan* oderwała się od pasa startowego przy końcu doliny i wspięła się w ciemność, pilot lekko tylko przymknął przepustnice turbośmigłowych silników Pratt&Whitney. Leciał z maksymalną prędkością na niebezpiecznie niskim pułapie utkanym radarami korytarzem ulubionym przez przemytników narkotyków. Kierował się prosto ku granicy meksykańskiej, nad którą miał przelecieć w połowie drogi między Del Rio i Eagle Pass.

Było jeszcze ciemno, kiedy wlecieli w przestrzeń powietrzną stanu Coahuila i znaleźli się nad wielką jałową pustynią północnego Meksyku. Skręciwszy lekko na zachód, wznieśli się wyżej, żeby przelecieć nad Sierra Madre Oriental. Kiedy na wschodzie zaczęła rzednąć ciemność, zbliżali się już do oznaczonego na mapie pilota miejsca tuż przy granicy między stanami Coahuila i Chihuahua.

W głębi liczącego ponad tysiąc mil kwadratowych spieczonego słońcem bezludzia *cessna* zmniejszyła prędkość do minimum. Otworzyły się dolne drzwi luku ładunkowego i zaczęły przez nie wypadać ludzkie ciała oraz części ciał. Nagi aluminiowy pokład samolotu był śliski od krwi i Calò oraz półnagi mężczyzna, którzy opróżniali ładownię, musieli bardzo uważać. Pomocnik pilota siedział w kokpicie i nie patrzył na to, co robią.

Kiedy już wyrzucili ostatnią część ludzkiego ciała i Calò wyciągnął rękę, żeby zamknąć drzwi, półnagi mężczyzna chwycił go za nadgarstek. Przez chwilę, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, Calò patrzył mu w oczy. Potem mężczyzna puścił jego rękę, pochylił się i skoczył w chłodne poranne powietrze.

ROZDZIAŁ 61

Przetrzymali jakoś noc, rozmawiając i rozmawiając, obejmując się i od czasu do czasu zapadając w krótką drzemkę. Następnego ranka wszystko było nie tak. Wstali razem i Titus zrobił kawę. Ale nie wiedział, jak się zachowywać. Przed kilkoma godzinami brutalnie zabił człowieka. Z czymś takim trudno żyć i nie ma tu znaczenia, jakim człowiekiem był zabity.

Kawa była dobra, ale ich to nie obchodziło. To, że musieli udawać, że nic się nie stało, było nie do wytrzymania. Gdyby po tych czterech strasznych dniach wszystko potoczyło się zgodnie z jakimś rytuałem, przewidującym zeznania na policji, pocieszenie przez przyjaciół, obecność adwokatów lub lekarzy... może łatwiej byłoby im to przetrzymać.

Jednak nic takiego nie było. Między dziesiątą wieczorem a północą zginęło dziewięć osób, przy czym jedna z ręki Titusa, a zaraz potem zniknęli wszyscy uczestnicy akcji, przepadły wszystkie zwłoki. Burden został na wzgórzu, a Kal zawiózł Ritę i Titusa do domu. Wtedy ostatni raz widzieli Garcíę Burdena. Żadnych pożegnań. Nikomu najwyraźniej nie było to potrzebne. Ochroniarze zostali jeszcze przez noc, ale w południe następnego dnia już ich - a także Herrina i Cline'a - nie było.

Pogrzeb Charliego odbył się w słoneczną niedzielę. Pochowano go na ranczu. Gdy zgromadzili się przy jego grobie, pod dębami na zboczu wzgórza, doliną powiał chłodny wietrzyk. Titus wygłosił mowę, o którą go proszono, usiadł i zamknął się w sobie. Zareagował tylko na krzyk myszołowa rdzawosternego krążącego wysoko na niebie.

Carłę pochowano następnego dnia. Na popołudniowej mszy w kościele, do którego chodziła od wielu lat, zebrał się tłum pracowników CaiTekstu. Titus znowu przemawiał, ale on i Rita siedzieli razem z córkami Carli i kiedy wrócił od trumny, nie mógł uciec we własne myśli, bo dziewczęta wymagały jego uwagi.

W następnych dniach Titus musiał się natychmiast zabrać do ratowania resztek swojego majątku. Jego prawnicy i doradcy finansowi wciąż jeszcze próbowali się dopatrzeć

sensu w operacjach, które poczynił za pośrednictwem Cavatina. Ostatecznie Titus doszedł do wniosku, że choć czekają go jeszcze trudne chwile związane z uporządkowaniem tego wszystkiego, w sumie nie jest to problem nie do pokonania. CaiText był wciąż silną firmą z jasnymi perspektywami, nie zaczynał zatem od zera. Mimo to strata była poważna i musiał się poświęcić interesom tak bardzo, jak tego nie robił od lat.

W domu prowadzili z Ritą niekończące się rozmowy o tym, co się stało. Długo było to dla nich obsesją. Kiedy zostawali sami, rzadko myśleli i rozmawiali o czymś innym.

Jednak z czasem stopniowo wplekli jakoś ten koszmar w tkaninę swego życia. Musieli to zrobić, gdyż inaczej wspomnienie tych czterech dni przesłoniłoby im wszystko i okazałoby się, że Luquín wraz z Maciasem pozbawili ich nie tylko dwojga przyjaciół i pieniędzy, ale i czegoś więcej.

Titus jednak nie mógł w pełni odzyskać spokoju. Pewnej nocy stwierdził, że dłużej nie wytrzyma, i powtórzył skomplikowaną procedurę nawiązywania kontaktu z Gilem Norlinem. Powiedział mu, że chciałby się spotkać z Garcíą Burdenem. Po co? Chce z nim po prostu pogadać. Chce, żeby facet posiedział spokojnie przez kilka godzin i porozmawiał z nim. Norlin odparł, że zobaczy, co może zrobić. Ale już się nie odezwał.

EPILOG

WASZYNGTON LISTOPAD

Kiedy tego wieczoru Titus wysiadł z taksówki przed restauracją Galileo, na dworze siąpiła zimna mżawka, a światła miasta zamazywały się w gęstej mgle. Zapłacił kierowcy i wszedł do środka, gdzie czekał na niego boks pod jedną z żeńsian, tak jak sobie zażyczył.

Przyjechał do Waszyngtonu w interesach i następnego dnia miał wracać do Austin. Po tygodniu spędzonym na spotkaniach, z których jedno gonilo drugie, zdecydował, że zrobi sobie wolny wieczór. Chciał po prostu zjeść posiłek

sam, bez pośpiechu i spokojnie przeczytać prasę.

Dostał butelkę dobrego wina i zamówił kolację. Kiedy mu ją podano, zaczął wolno jeść, przeglądając gazetę. Był w trzech czwartych posiłku, kiedy zdał sobie sprawę, że ktoś podszedł do stolika. Spojrzał w górę i ze zdumieniem graniczącym z szokiem zobaczył, że stoi przed nim García Burden.

- Witaj, Titus - powiedział Burden, uśmiechając się do niego, i podał mu rękę. - Mogę się przysiąść?

Titus pomyślał, że García zdaje się czuć równie swobodnie w drogim dwurzędowym garniturze jak kiedyś w dzinsach i luźnej płóciennnej koszuli. Burden usiadł, a kelner przyniósł jeszcze jeden kieliszek. Czekali w milczeniu, aż napelni go winem i zabierze talerz Caina.

- To nie przypadek - stwierdził Titus.

Burden uśmiechnął się.

- Przyjechałem tu w interesach, ale Gil Norlin zadzwonił do mnie, kiedy się dowiedział, że obaj jesteśmy w Waszyngtonie. Postanowiłem cię zatem odnaleźć. Słyszałem, że chciałeś ze mną porozmawiać dodał. Przykro mi, że nie mogłem się odezwać wcześniej.

Titus skinął głową, przyglądając mu się uważnie. Burden mógł zmienić ubranie, ale w oczach miał ten sam smutek co dawniej.

- Kiedy zadzwoniłem do Norlina, czułem się... zdesperowany - odpowiedział Titus. - Z czasem trochę doszedłem do siebie. Od tamtej pory Rita i ja uporaliśmy się z pewnymi sprawami, pogodziliśmy się z nimi.

Burden pokiwał głową.

Titus wypił łyk wina. Patrzyli na siebie.

- Chociaż wciąż męczy mnie jedna sprawa. Ten człowiek, który... tej nocy u Luquína... To był Artemio Ospina, prawda? Ojciec tej dziewczynki?

Burden znowu kiwnął głową.

- Dlaczego mnie okłamałeś, mówiąc, że on nie żyje? Nie wiem, jaki miałeś w tym cel.

- Nie okłamałem cię. Powiedziałem, że on się unieścił. To właśnie było w tym takie okropne. Lepiej, gdyby nie żył. Został zawodowym mordercą. Nie zabił się po tym wszystkim, bo postanowił wytropić tych pięciu mężczyzn,

k którzy pojawili się w jego domu tamtej nocy. Przez te lata dopadł ich wszystkich. Luquín był piąty. Potem Artemio po prostu z tym skończył.

- Przestał zabijać?

Burden powiedział mu, jak umarł Ospina.

- Jezu!

Titus przyglądał się rozmówcy. García, który podczas tych czterech czerwcowych dni z nerwową energią planował i przeprowadzał poszczególne posunięcia, zmienił się. Teraz był otwarty i odprężony. Nie spieszyło mu się.

Burden rozejrział się po sali, mimowolnie sygnalizując, że lepiej zmienić temat. Pochylił się trochę do przodu, oparł łokcie na stoliku. Jego długie palce dotykały nóżki kieliszka, przesuając go wolno w stronę świeczki. Przechylił go lekko i przechodzące przezeń światło rzuciło na obrus rubinową płamę.

- Pamiętasz ten laptop, który Macias tak rozpaczliwie chciał odzyskać? - odezwał się.

Titus skinął głową.

- Były w nim wszystkie szczegóły ich operacji przeciwko tobie. Nazwiska. Nazwiska. Nazwiska. Powiększyło to o trzydzieści procent naszą bazę danych o kryminalnym podziemiu w Meksyku i jego związkach z międzynarodowymi środowiskami przestępczymi. To ogromna sprawa. Ten laptop okazał się kopalnią złota.

Gil powiedział mi później - ciągnął Burden - że opowiedział tobie i Ricie o Mouradzie Berkacie. Cóż, Tano Luquín był najważniejszą z postaci stojących za epizodem z Berkatem. Dziwna rzecz, ale to on miał kontakt z Hamasem. Po tej sprawie zniknął. Kiedy przyjechałeś do San Miguel i zidentyfikowałeś jego zdjęcie w moich aktach, nie mogłem w to uwierzyć.

Macias to zupełnie inna historia - kontynuował. - Wiedział o kontaktach Luquína z radykalnymi frakcjami na Bliskim Wschodzie i zaczął kompletować informacje na ten temat. Ludzie tacy jak Macias są uzależnieni od informacji jak kolekcjonerzy rupieci od swoich gratów. Nigdy nie wiadomo, kiedy uda ci się zarobić dolca lub dwa za jakąś wiadomość. Macias wiedział, że prędzej czy później informacje o bliskowschodnich kontaktach Luquína będą wiele warte.

Wiedział również, że interesy, które Tano prowadzi z tymi ludźmi, mogą doprowadzić do jego upadku. Dlatego też zaczął się zabezpieczać na całego, gromadząc wszystko o Luquínie i terrorystach, co udało mu się wygrzebać. Laptop był pełen najróżniejszych śladów, a Macias w znacznej mierze już je połączył w całość.

Burden spojrzał na Titusa, powoli prostując kieliszek, i rubinowa plama, poruszając się po obrusie niczym duszek, wróciła do niego.

- Tano Luquín prowadził bardzo niebezpieczną grę, Titus. Po twoim wyjeździe z San Miguel, kierując się tylko przeczuciem, wysłałem ludzi na przeszukanie jego domu w Rio de Janeiro. Znaleźli tam, między innymi, numer telefonu z dzielnicy Polanco w Mexico City. Kiedy wysłałem inną ekipę do domu w Polanco, stwierdzili, że jest opuszczony. Opuszczony w pośpiechu. Przez poprzednie dwa miesiące wynajmował go niejaki Adnan Abdul-Haq.

Moi ludzie znaleźli tam więcej numerów telefonów. Wśród nich jeden z Bejrutu, z domu należącego do Hezbollahu.

W wyniku dalszych poszukiwań - podjął Burden - odkryliśmy, że w ciągu poprzednich sześciu miesięcy Luquín był dwa razy w Bejrucie. No i jeszcze coś. Przypominasz sobie konta, przez które Cavatino miał rozdzielić twoje dziesięć milionów?

- Jedno z nich było bejruckie.

Burden skinął głową.

- Taa, Bejrut to dobre miejsce do prania pieniędzy. Ale w tym wypadku na to konto nie przelano żadnej kwoty. W każdym razie nie na początku, chociaż w końcu wszystkie pieniądze trafiły właśnie tam.

- Jezu. A więc co tu się dzieje?

Burden popatrzył na Titusa i wyprostował się na krześle.

- Być może nigdy się tego nie dowiemy.

- Gdybyś mógł przesłuchać... - Titus przerwał. Właśnie o to chodziło. Nie mógł.

Burden uśmiechnął się lekko i wzruszył ramionami.

- A Abdul-Haq? - powiedział. - Nie mamy pojęcia, kim był ten facet. To nazwisko nie pojawia się w żadnej z wywiadowczych baz danych, do których mamy dostęp. Ten człowiek najprawdopodobniej pozostanie dla nas tajemnicą. A ile będzie nas kosztowała ta niewiedza? Tego też zapewne nigdy się nie dowiemy. Albo dowiemy się w najgorszy z możliwych sposobów: za późno.

Burden wypił nieco wina i rozejrzył się dookoła. Przez chwilę wydawało się, że jego wzrok przykuło coś interesującego za plecami Titusa, ale zaraz spojrzał gdzieś indziej. Ten człowiek nie dawał sobie zbyt wiele swobody. Stałe kontrolował swoje zachowanie, jakby się obawiał, że mimowolnie się czymś zdradzi.

- Nie mogę pojąć - powiedział Titus, zniżając głos i pochylając się ku Burdenowi - dlaczego, jeśli można się było tyle od Luquína dowiedzieć, nie był on dla ciebie więcej wart żywy niż martwy. To samo można zresztą powiedzieć o każdym z tej listy, jeśli już przy tym jesteśmy.

- Informacja jest... niestabilna - odparł Burden. - Jej okres połowicznego rozpadu mierzy się w chwilach. Ma jakąś wartość jedynie wtedy, gdy obiekt, którego dotyczy, nie wie, że ją masz. W chwili, gdy się tego dowiaduje, staje się bezwartościowa.

- Ponieważ wszystko zostaje zmienione - powiedział Titus.

- Właśnie. Gdybyśmy zwinęli Luquína, wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli z nim cokolwiek wspólnego, spaliliby mosty. Wszystko, co się z nim wiąże - kontakty, procedury nawiązywania łączności, trasy, systemy, kryjóWKi... wszystko - zostałyby przekreślone, uznane za spalone i natychmiast zmienione. Wszyscy zaczęliby prowadzić swoje interesy inaczej, a my musielibyśmy zaczynać od zera, próbując się dowiedzieć, kto, kiedy, jak i dlaczego.

Ale on umarł - mówił Burden - więc jest szansa, że informacje, które mamy, wciąż są coś warte.

- Jednak została po nim próżnia - podjął Titus, zaczynając dostrzegać logikę tego rozumowania i odpowiadając na własne pytanie. - Skomplikowało to te operacje, które właśnie prowadził, może nawet położyło im kres, no i wypadł z gry jeden z głównych graczy.

Burden pokiwał głową.

- To jeden ze sposobów działania. Obecnie, z naszego punktu widzenia, to się sprawdza. Wciąż nadrabiamy zaległości, reorganizując nasze służby wywiadowcze. Potrzebujemy chwili wytchnienia. Skreślając nazwiska na tej liście, kupujemy sobie czas.

Podszedł kelner i zapytał, czy wypiją jeszcze butelkę wina. Titus popatrzył na Burdena, który pokręcił przecząco głową. Kelner wycofał się.

- Jak ty i Rita sobie z tym radzicie? - zapytał Burden. - Jaki to ma wpływ na wasze życie?

Titus był zdziwiony, że Burden chce to wiedzieć.

- Prawdę mówiąc - zaczął - nie ma sposobu, żeby się z tym pogodzić. Ani od tego uciec.

Burden pokiwał głową, jakby wiedział, o czym Titus mówi.

- Ten przymus milczenia - dodał Titus - udawania, że nigdy do tego nie doszło... przez to jeszcze trudniej się z tym wszystkim żyje. Czasem jest to nie do zniesienia.

- Zachowanie tajemnicy i udawanie, że nic się nie stało, to dwie różne rzeczy - powiedział Burden. - Nie możecie udawać, że to się nie wydarzyło. To was doprowadzi do szaleństwa. Ta sprawa stała się częścią was i nic na to nie możecie poradzić.

Posłuchaj - ciągnął - to, co was spotkało, przyszło znikąd, nieproszone i niechciane, jak choroba lub zawał serca... jak wszystkie nieszczęścia. - Przyjrzał się Titusowi. - A co do zachowania tajemnicy, nie będę cię okłamywał. To zmieni wasze życie. Co nie znaczy, że zmieni na gorsze; będzie ono po prostu inne. Nauczycie się z tym żyć.

- A więc już po wszystkim? - zapytał Titus. Chciał, żeby ta cholerna sprawa wreszcie się jakoś zakończyła. Chciał usłyszeć, jak Burden mówi, ostatecznie i oficjalnie, że już po wszystkim.

Burden popatrzył na niego z uwagą, zanim odpowiedział.

- Dlaczego Luquín przelewał pieniądze na konto Hezbollahu? - zapytał. - Jeżeli robił im przysługę, pomagając założyć bazę w Meksyku, o żabi skok od Stanów, to dlaczego oni nie płacili jemu? A może to oni robili mu jakąś przysługę? I co to mogło, do diabła, być? I czy śmierć Luquína położyła temu kres? Czy też może był on tylko jednym z wielu elementów większego planu, tak jak ty?

Burden dopił wino, postawił ostrożnie kieliszek na obrusie, wygładzając jakąś zmarszczkę jego cienką jak wafelek stopką. Potem popatrzył na Titusa.

- Tak, dla ciebie i Rity jest już po wszystkim. Musicie tylko jakoś się z tym pogodzić.

- A co z tobą? - zapytał Titus.

Burden zastanawiał się nad czymś przez chwilę, lecz najwyraźniej porzucił tę myśl.

- Historia nigdy się o tym nie dowie - odpowiedział. - Sprawy, którymi się zajmuję, załatwia się bez rozgłosu.